

Gustaw Flaubert

Bouvard i Pécuchet

Tłum: Waclaw Rogowicz

Upał dochodził do trzydziestu trzech stopni, więc bulwar Bourdon był zupełnie pusty. Niżej kanał Saint-Martin, zamknięty dwiema śluzami, rozpościerał prostą linią wodę koloru atramentu. Na środku stała berlinka pełna drzewa, a na brzegu dwa rzędy beczulek. Za kanałem, między domami, które były poprzegradzane przez szopy z budulcem, czyste niebo odcinało się płaszczyznami ultramaryny i w blasku słońca białe fasady, łupkowe dachy, granitowe nabrzeża raziły oczy. W dali głuchy zgiełk wznosił się w cieplej atmosferze; wszystko zdawało się odrętwiać w beczynności niedzieli i w smutku letnich dni.

Zjawili się dwóch ludzi.

Jeden szedł od Bastylii, drugi od strony Jardin des Plantes. Wyższy, w płóciennym ubraniu, kroczył w kapeluszu zsuniętym w tył, w rozpiętej kamizelce, trzymając krawat w ręku. Mniejszy, ginący w tabaczkowym surducie, schylał głowę pod kaszkietem o spiczastym daszku.

Doszedłszy do połowy bulwaru siedli jednocześnie na tej samej ławce. Żeby otrzeć pot z czoła, zdjęli nakrycia głowy i każdy położył swoje obok siebie; wtedy niższy dostrzegł napisane w kapeluszu sąsiada: „Bouvard”; a ten z łatwością wyczytał w kaszkiecie jegomościa w surducie słowo: „Pecuchet”,

— Ciekawe — rzekł — mieliśmy tę samą myśl, wypisać nasze nazwiska wewnątrz naszych kapeluszy.

— Cóż, paniedzieju, mogliby mi inaczej zamienić w biurze!

— Ja również dlatego, jestem urzędnikiem. Wówczas przyjrzeni się sobie.

Miała powierzchowność Bouvarda od razu ujęła Pecucheta.

Niebieskawe oczy, zawsze na wpół przymknięte, uśmiechały się w jego rumianej twarzy. Wysoko sięgające spodnie, garbiące się u dołu na sukiennych trzewiakach, uwydatniały brzuch, wyrzucały koszulę w pasie, a blond włosy, wijące się z natury w lekkie loki, nadawały fizjonomii coś dziecięcego.

Brzeżkiem warg wydawał stale rodzaj pogwizdywania.

Poważny wygląd Pecucheta uderzył Bouvarda.

Mógłby kto pomyśleć, że nosi perukę, tak były płaskie i czarne kosmyki na jego długiej czaszce.

Twarz wydawała się jakby tylko profilem z powodu nosa opuszczającego się bardzo nisko. Nogi w wąskich nogawicach z lastingu były nieproporcjonalne do długości torsu, a głos miał niski, stłumiony.

Wyrwał mu się okrzyk:

— Jakby to było dobrze być na wsi!

Ale okolice podmiejskie, według Bouvarda, były okropne z powodu hałasu na letniskach.

Pecuchet myślał tak samo. Jednakże stolica zaczynała go męczyć. Bouvarda również.

I oczy ich błądziły po stertach kamienia do budowy, po ohydnej wodzie, gdzie pływał wiecheć słomy, po wznoszącym się na widnokręgu kominie fabrycznym; powietrze nasycali miazmaty ścieków. Obrócili się w drugą stronę. Mieli przed sobą mury magazynu zbożowego.

Stanowczo (i Pecuchet był tym zdumiony) na ulicy było jeszcze goręcej niż w mieszkaniu.

Bouvard namawiał go, żeby zdjął surdut. On tam kpi sobie z tego, co ludzie powiedzą!

Naraz jakiś pijak przeszedł w zygzakach przez chodnik; i od robotników rozmowa przeszła na politykę. Mieli jednakowe poglądy, choć może Bouvard był liberalniejszy.

Ostry turkot rozległ się na bruku w tumanie kurzu:

to trzy wynajęte karety jechały ku Bercy wioząc pannę młodą z bukietem, mieszczuchów w białych krawatach, damy zagrzebane w spódnicach aż po pachy, dwie czy trzy dziewczynki, uczeniaka. Widok tego orszaku ślubnego naprowadził Bouvarda i Pecucheta na rozmowę o kobietach; zaopiniowali, że są płocze, kłótlive, uparte. Mimo to są one często lepsze od

mężczyzn, a czasami gorsze. Krótko mówiąc, lepiej żyć bez nich; toteż Pecuchet został kawalerem.

— Ja jestem wdowcem — rzekł Bouvard — i bezdzietnym!

— Może to szczęście dla pana... Ale samotność długotrwała jest bardzo smutna.

Potem na nabrzeżu pojawiła się dziewczyna publiczna z żołnierzem. Błada, czarnowłosa i dziobata, opierała się na ramieniu wojskowego, szurając znoszonymi trzewikami i kołysząc biodrami.

Gdy się oddaliła, Bouvard pozwolił sobie na sprośną uwagę. Pecuchet mocno poczerwieniał i zapewne ażeby nie odpowiedzieć, wskazał mu oczami zbliżającego się księdza.

Duchowny przeszedł wolno aleją nędznych, młodych więźów, posadzonych wzdłuż chodnika, i Bouvard, gdy tylko trójgraniasty kapelusz zniknął mu z oczu, oświadczył, że czuje ulgę, bo nie cierpi jezuitów, Pecuchet, choć ich nie rozgrzeszał, okazał pewien szacunek dla religii.

Tymczasem zapadał zmierzch i żaluzje naprzeciwko podniosły się. Przechodniów zaczęło być coraz więcej. Wybiła siódma.

Słowa płynęły im bez przerwy, uwagi przeplatali anegdotami, spostrzeżenia filozoficzne poglądami osobistymi. Przenicowali dyrekcję dróg i mostów, monopol tytoniowy, handel, teatry, ministerstwo marynarki i cały rodzaj ludzki jak ludzie, którzy doznali wielkich zawodów. Każdy z nich słuchając drugiego odnajdywał swoje zapomniane przeżycia. I chociaż przekroczyli wiek naiwnych wzruszeń, doznawali przyjemności niezaznanej jeszcze, jakiejś radości, czaru rodzących się serdecznych uczuć.

Dwadzieścia razy wstawali, znowu siadali i przemierzali długość bulwaru od górnej do dolnej śluzy kanału,

za każdym razem chcąc i nie mając siły się rozstać, zatrzymywani wzajemnym urokiem.

Żegnali się jednakże i dłonie ich były złączone, gdy Bouvard raptem rzekł:

— Jak Boga kocham, a gdybyśmy tak poszli razem na obiad?

— To mi przychodziło do głowy — podjął Pecuchet — ale nie śmiałem panu tego zaproponować! I dał się zaprowadzić do restauracyjki naprzeciw ratusza, gdzie będą się czuli dobrze.

Bouvard zamówił potrawę.

Pecuchet bał się korzennych przypraw, że mogą go rozpalić. To było tematem dyskusji medycznej. Potem sławili korzyści wiedzy: ile jest rzeczy do poznania, ile badań... gdyby człowiek miał czas! Niestety! Praca zarobkowa pochłaniała go; i podnieśli ręce ze zdumienia, omal nie uściskali się poprzez stół, odkrywszy, że obaj są kopistami; Bouvard — w pewnym domu handlowym, Pecuchet — w Ministerstwie Marynarki; nie przeszkadzało mu to jednak poświęcać co wieczór kilka chwil pracy naukowej. Wynotował błędy w dziele Thiersa i mówił z najwyższym respektem o niejakiem Dumou-chelu, profesorze.

Bouvard górował nad nim pod innymi względami. Jego łańcuszek do zegarka, upleciony z włosów, i sposób, w jaki przyrządzał sos tatarski, zdradzały doświadczonego wygę, a podczas jedzenia miał rożek serwety pod pachą i wygadywał rzeczy pobudzające Pecucheta do śmiechu. Był to śmiech szczególny, jedna bardzo niska nuta, wciąż ta sama, wyrzucana z długimi przerwami. Śmiech Bouvarda był ciągły, dźwięczny, odsłaniał mu zęby, wstrząsał jego ramionami, aż goście przy drzwiach odwracali się.

Po obiedzie poszli na kawę do innego zakładu. Pecuchet patrząc na lampy gazowe urągał na nadmiar zbytku, po czym pogardliwym gestem odsunął gazety. Bouvard był pobłażliwszy dla drukowanego słowa. Lubił wszystkich pisarzy w ogóle, a w młodości miał pociąg do zawodu aktorskiego.

Chciał popisać się zręcznością utrzymując w równowadze kij bilardowy i dwie bile z kości słoniowej, jak to wykonywał jeden z jego znajomych, Barberou. Za każdym razem bile spadały i tocząc się po podłodze między nogami gości, ginęły z oczu. Kelner, który wciąż wstawiał, żeby poszukać ich na czworakach pod ławkami, wreszcie zaczął się skarżyć. Pecuchet pokłócił się z nim; gdy zjawił się właściciel kawiarenki, nie słuchał jego przeprosin i nawet przyczepiał się do jakości podanej kawy,

Potem zaproponował zakończyć wieczór spokojnie w jego mieszkaniu, które było o dwa kroki, na ulicy Saint-Martin.

Zaledwie wszedł, wdział rodzaj bawełnianego kaftana i robił honory domu.

Sosnowe biurko, stojące akurat pośrodku pokoju, zawadzało swoimi rogami; dookoła na półkach, na trzech krzesłach, na starym fotelu i po kątach poniewierały się tomy *Encyclopedie Roret* *, *Manuel du magnetiseur* *, tom Fenelona *, inne książki, razem ze stosami papierów, dwoma orzechami kokosowymi, różnymi medalami, fezem i muszlami przywiezionymi z Hawru przez Dumouchela. Warstwa kurzu miękko okrywała ściany niegdyś pomalowane na żółto. Szczotka do butów poniewierała się na brzegu łóżka o zwisających betach. Na suficie widać, było wielką, czarną plamę od kopcia z lampy.

Bouvard, zapewne z powodu zaduchu, zapytał, czy można otworzyć okno.

— Papiery wyfruną! — zawołał Pecuchet obawiający się ponadto przeciągów.

Jednakże dusił się w tym pokoiku nagrzanym od rana przez łupkowe dachówki. Bouvard powiedział mu:

— Na pańskim miejscu zdjąłbym flanelę!

— Co?!

I Pecuchet pochylił głowę przerażony przypuszczeniem, że mógłby nie mieć na sobie koszulki zdrowia.

— Niech pan mnie odprowadzi — podjął Bouvard — powietrze na dworze orzeźwi pana.

Wreszcie Pecuchet wzuł z powrotem buty mruczając:

— Słowo honoru daję, pan mnie urzekł.

I chociaż to było dość daleko, odprowadził go aż do domu na rogu ulicy de Bethune, na wprost mostu de la Tournelle.

Pokój Bouvarda, ładnie wyfroterowany, z perkalowy-rni firankami i meblami z mahoniu, miał balkon wychodzący na rzekę. Głównymi ozdobami pokoju były: serwis do likierów pośrodku komody i wzdłuż lustra dagerotypy* przedstawiające przyjaciół; obraz olejny zajmował ścianę alkowy.

— Mój stryj! — rzekł Botward.

I świeca, którą trzymał, oświetliła jakiegoś pana.

Ryże faworyty poszerzały jego twarz uwieńczoną czubem z zakręconym końcem. Wysoki halsztuk, przy potrójnym kołnierzu koszuli, aksamitnej kamizelki i czarnego fraka, skracał mu szyję. Na żabocie wymalowano brylanty. Oczy miał zwięzione przy kościach policzkowych i uśmiechał się filuternym uśmieszkiem.

Pecuchet nie mógł się powstrzymać od uwagi:

— Można by go wziąć raczej za pańskiego ojca!

— To mój ojciec chrzestny — odparł Bouvard niedbale, dodając, że na chrzcie dano mu imiona Franciszek Dionizy Bartłomiej. Pecuchet nosił imiona Justyn Roman Cyryl. Byli w równym wieku: czterdzieści siedem lat. Ten zbieg okoliczności, sprawił im przyjemność, ale ich zaskoczył, bo każdy z nich uważał drugiego za trochę starszego. Za czym podziwiali Opatrzność, której kombinacje są niekiedy nadzwyczajne.

— Gdyż, koniec końców, gdybyśmy nie wyszli dziś na przechadzkę, moglibyśmy byli umrzeć nie poznawszy się!

I po wymianie adresów swych miejsc pracy życzyli sobie dobrej nocy.

— Niech pan nie idzie na dziewczynki! — zawołał Bouvard na schodach.

Pecuchet zszedł na dół nie odpowiadając na tłusty żart.

Nazajutrz w podwórzu firmy Bracia Descambos- Manufaktura Alzacka, ulica Hautefeuille 92, jakiś głos zawołał:

— Bouvard! Panie Bouvard!

Ów wysunął głowę z okna i poznał Pecucheta który zawołał jeszcze głośniejsze:

— Nie jestem chory! Zdjąłem ją!

— Co takiego?

Ją! — rzekł Pecuchet wskazując na pierś.

Wszystko, co usłyszał i powiedział poprzedniego dnia, łącznie z temperaturą pokoju i pracą trawienia, nie dało mu spać, tak iż nie mogąc już wytrzymać odrzucił precz od siebie iłanelę. Rano przypomniał sobie swój czyn, na szczęście bez następstw, i przyszedł powiadomić o tym Bouvarda, który zyskał tym sobie niezwykle uznanie Pecucheta.

Pecuchet był synem drobnego kupca i nie znał matki zmarłej w bardzo młodym wieku. W piętnastym roku życia odebrano go ze szkoły i oddano na praktykę do komornika sądowego. Zjawili się żandarmi i chlebobdawca poszedł na galery; historia okropna, która po dziś dzień napawała go grozą. Potem próbował różnych fachów: był uczniem aptekarskim, korepetytorem, buchal-terem na statku na Sekwanie. Wreszcie pewien szef wydziału, zachwycony jego charakterem pisma, zaangażował go jako kopistę; ale świadomość braków wykształcenia, rodząca w nim potrzeby umysłowe, czyniła zeń zgryźliwca; żył zupełnie samotnie, bez rodziny, bez kochanki. Rozrywką jego było oglądania przy niedzieli robót publicznych.

Najdawniejsze wspomnienia Bouvarda przenosiły go myślą nad brzegi Loary, na dziedziniec folwarku. Człowiek, który był jego stryjem, wziął go ze sobą do Paryża, żeby nauczyć handlu. Gdy doszedł do pełnoletności, otrzymał kilka tysięcy franków. Wówczas ożenił się i założył sklep cukierniczy. W pół roku potem małżonka ulotniła się zabierając ze sobą kasę. Przyjaciele, dobra kuchnia, a zwłaszcza lenistwo rychło dokończyły jego materialnej ruiny. Ale przyszło mu na myśl, żeby wyzyskać swój piękny charakter pisma; i od dwunastu lat pracował w tym samym miejscu, u Braci Descarbos: Manufaktura Alzacka, ulica Hautefeuille 92. Co do jego stryja, który niegdyś przysłał mu na pamiątkę słynny portret, Bouvard nie wiedział nawet, gdzie przebywa, i niczego już od niego nie oczekiwał. Tysiąc pięćset franków rocznego dochodu i pensja kopisty pozwalały mu co wieczór ucinać sobie drzemkę w knajpie.

Toteż ich spotkanie nabrało wagi przygody. Przylgnęli od razu do siebie całą swoją istotą. Jak sobie zresztą wytłumaczyć sympatie? Dlaczego jakaś właściwość, jakaś przywara, obojętna lub odpychająca w jednym

osobniku, zachwyca w drugim? To, co nazywamy piorunującym wrażeniem, jest prawdziwe dla wszystkich namiętności. Zanim, upłynął tydzień, mówili sobie po imieniu.

Często przychodził jeden po drugiego do biura. Jak tylko jeden się zjawiał, drugi zamykał swój pulpit i szli rażeni na miasto. Bouvard stawiał wielkie kroki, a Pecuchet, drepcąc w swym surducie uderzającym go po piętach, wyglądał, jakby sunął na kółkach. Ich gusty osobiste również uzupełniały się wzajem. Bouvard palił fajkę, lubił ser, pił regularnie swoje pół czarnej. Pecuchet zażywał tabakę, na deser jadł tylko konfitury i maczał kawałek cukru w kawie. Jeden był ufny, roztargniony, szczodry; drugi skryty, skłonny do rozmyślań, oszczędny.

Żeby mu sprawić przyjemność, Bouvard chciał poznać Pecucheta z Barberou. Był to dawny komiwojażer, obecnie makler giełdowy, bardzo prostoduszny, patriota, kobieciarz i popisowywał się gwarą przedmieścia. Pecuchetowi nie podobał się i zaprowadził Bouvarda do Du-mouchela. Ten autor (wydał mały podręcznik mnemo-techniki *) dawał lekcje literatury na pensji, był przekonany prawomyślnych i zachowywał się poważnie. Znudził Bouvarda.

Żaden z nich nie ukrył przed drugim swego sądu. Jeden uznał słuszność drugiego. Zmienili swe zwyczaje i porzuciwszy stołowanie się w mieszczańskich, pensjonatach zaczęli jadać obiady razem w restauracji.

Robili uwagi o głośnych sztukach teatralnych, o rządzie, o drożyznie artykułów spożywczych, o fałszerstwach w handlu. Od czasu do czasu afera naszyjnika * lub proces Fualdesa * powracały w ich rozmowach; a potem szukali przyczyn wielkiej rewolucji. ^ Wałęsali się przed sklepami z różnymi rupieciami. Zwiedzili Muzeum Sztuk i Rzemiosł, Saint-Denis *, wytwórnię gobelinów, gmach Inwalidów i wszystkie zbiory publiczne.

Gdy żądano od nich dowodu osobistego, udawali, że go zgubili, podając się za dwóch cudzoziemców, dwóch Anglików.

W galeriach Muzeum Historii Naturalnej obejrzeni za zdumieniem wypchane czworonogi, z przyjemnością motyle, przeszli obojętnie obok metali; zadumali się nad okazami kopalnymi, kolekcje muszel znudziły ich. Przyglądali się cieplarniom przez szyby i zadrżeli na myśl, że wszystkie te liście wydzielają jady. W cedrze to podziwiali, że można byłoby go przywieźć w

kapeluszu.

Usiłowali w Luwrze zachwycać się Rafaeliem. W wielkiej bibliotece byliby chcieli znać dokładną liczbę tomów.

Pewnego razu zaszli na kurs arabskiego do College de France; profesor był zdziwiony na widok tych dwóch nieznanym usiłujących robić notatki. Dzięki Barbe-rou dostali się za kulisy pewnego teatrzyku. Dumouchel dostarczył im biletów na posiedzenie Akademii. Informowali się o odkryciach, czytali prospekty i przez tę ciekawość inteligencja ich rozwinęła się. W głębi widnokregu co dzień rozległe j szego dostrzegali *rzeczy* niezrozumiałe a przedziwne.

Podziwiając jakiś stary sprzęt żalowali, że nie żyli w czasach, kiedy służył on do użytku, chociaż absolutnie nie wiedzieli, co to była za epoka. Na podstawie nieznanych nazw wyobrażali sobie jakieś kraje tym piękniejsze, że nic bliższego o nich nie wiedzieli. Dzieła o tytułach niezrozumiałych zdawały się kryć w sobie tajemnicę.

Z przybywaniem pojęć przybywało im cierpień. Gdy mijał ich na ulicy dyliżans pocztowy, czuli potrzebę wyruszenia razem z nim. Quai aux Fleurs * kazało im wzdychać za wsią.

Pewnej niedzieli wyruszyli z samego rana i przechodząc kolejno przez Meudon, Bellevue, Suresnes, Au-teuil *, cały dzień włóczyli się między winnicami, zrywali maki na miedzach, spali na trawie, pili mleko, posilali się pod akacjami wiejskich domków i wrócili bardzo późno, zakurzeni, wyczerpani, zachwyceni. Powtarzali często te wycieczki. Nazajutrz było im tak smutno, że wreszcie się ich wyrzekli.

Monotonia biur zaczynała ich mierzwić. Wciąż tylko skrobaczka i sandarak, wiecznie ten sam kałamarz, te same pióra i ci sami koledzy! Uważając ich za durniów odzywali się do nich coraz mniej. Narazili się przez to na docinki. Codziennie spóźniali się do pracy i dostali monity.

Niegdyś byli prawie szczęśliwi; ale to zajęcie upokarzało ich, odkąd zaczęli siebie wyżej cenić, i umacniali się w tej odrazie, podsycali się wzajemnie, psuli się. Pecuchetowi udzieliła się porywczosć Bouvarda, Bou-vard miał teraz w sobie coś z pochmurnego usposobienia Pecucheta.

— Mam ochotę stać się jarmarcznym kuglarzem! — mówił jeden.

— Lepiej być śmieciarzem! — wołał drugi.

Co za ohydne położenie! I nie ma sposobu wyjścia z niego! Nawet nadziei!

Pewnego popołudnia (było to stycznia 39 r.) Bou-vard w swoim biurze otrzymał list przyniesiony przez listonosza.

Podniósł ręce do góry, głowa powoli mu opadała i runął zemdłony na podłogę.

Subiekci rzucili się na pomoc, zdjęto mu krawat. Posłano po lekarza. Otworzył oczy; potem na pytania, które mu zadawano, wydobył z siebie:

— Ach!... bo... bo... trochę powietrza dobrze mi zrobi. Nie! Puśćcie mnie! Pozwólcie!

I pomimo swej tuszy pobiegł co tchu aż do Ministerstwa Marynarki; przesunął ręką po czole, myślał, że zwariuje, usiłował się uspokoić.

Kazał poprosić Pecucheta.

Pecuchet zjawił się.

— Mój stryj umarł! Dziedziczę!

— Nie podobna! Bouvard pokazał taki list:

KANCELARIA NOTARIUSZA TARDIYELA

Savigny-en-Septaine, stycznia 39.

Szanowny panie.

Uprzejmie proszę o przybycie do mej kancelarii dla zapoznania się z treścią testamentu naturalnego ojca "WPana, p. Franciszka Dionizego Bartłomieja Bouvarda, b. kupca w mieście Nantes, zmarłego w naszej gminie 10 bm. Testament ten zawiera na rzecz WPana rozporządzenie nader ważne.

Łączę wyrazy poważania Tardivel-notariusz.

Pecuchet musiał aż usiąść na kamiennym słupku na dziedzińcu. Po czyni zwrócił papier mówiąc powoli:

— Oby... to tylko nie był... jakiś kawał!

—• Myślisz, że to kawał! — rzekł Bouvard głosem zdławionym, podobnym do rżenia

konającego.

Ale stempel pocztowy, nazwa kancelarii wydrukowana, podpis notariusza, wszystko dowodziło, że wiadomość jest autentyczna; popatrzyli na siebie z drzeniem w kątach ust i łąz kłęjącą się w ich nieruchomych, oczach.

Brak im było przestrzeni. Poszli aż do Łuku Triumfalnego, wrócili brzegiem rzeki, minęli Notre-Dame. Bouvard był bardzo czerwony. Dał Pecuchetowi kilka szturchańców w plecy i przez pięć minut gadał zupełnie od rzeczy.

Wybuchali mimo woli śmiechem. Ten spadek z pewnością musiał wynosić...

— Ach! To byłoby zbyt pięknie! Nie mówmy o tym więcej.

Zaczęli znowu o tym mówić. Nic nie szkodziło zażądać zaraz wyjaśnień. Bouvard w tym sensie napisał do notariusza.

Notariusz przesłał kopię testamentu kończącego się w ten sposób:

„Wobec czego daję Franciszkowi Dionizemu Bartłomiejowi Bouvard, uznanemu przeze mnie synowi naturalnemu, część mego majątku prawnie rozporządzenia.”

Jegomość miał tego syna w młodości, ale ukrywał to starannie, tak że chłopiec uchodził za jego bratanka i bratanek ten zawsze nazywał go stryjem, choć wiedział, jak rzeczy stoją. Mając koło czterdziestki pan Bouvard ożenił się, potem owdowiał. Gdy dwaj jego prawni synowie pokierowali się inaczej, niż sobie życzył, poczuł wyrzuty sumienia, że od tylu lat opuścił swe pierwsze dziecko. Byłby je nawet sprowadził do siebie, gdyby nie wpływ jego gospodyni. Dzięki zabiegom rodziny została odprawiona i w swym osamotnieniu, bliski śmierci, zapragnął naprawić krzywdę zapisując ze swego majątku na rzecz owocu swej pierwszej miłości to, co

38

mógł. Majątek ten wynosił pół miliona, z czego na kopistę przypadało dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków. Starszy z braci, pan Stefan, oświadczył, że uszanuje ostatnią wolę ojca.

Bouvard popadł w rodzaj ogłupienia. Powtarzał półgłosem, uśmiechając się spokojnym uśmiechem pijaków:

— Piętnaście tysięcy franków renty!

I Pecuchet, który miał przecie mocniejszą głowę, nie mógł się nadziwić.

Uderzył ich jak pałka w łeb list Tardiyela. Drugi syn, pan Aleksander, oznajmiał, że zamierza uregulować sprawę spadku na drodze sądowej, a nawet jeśli będzie można, zakwestionować zapis żądając uprzednio opieczętowania, sporządzenia inwentarza, mianowania se-kwestratora itd.!

Bouvard zachorował z tego na wątrobę. Jak tylko zaczął powracać do zdrowia, pojechał do Sa-yigny, skąd nie przywiózł żadnego rozstrzygnięcia, i żałował tylko kosztów¹ podróży.

Potem nastąpiły okresy bezsenności, napady na przemian gniewu i nadziei, podniecenia i przygnębienia. Wreszcie, po sześciu miesiącach, pan Aleksander uspokoił się i Bouvard wszedł w posiadanie spadku.

Pierwszy jego okrzyk był:

— Wyniesiemy się na wieś!

I ta decyzja, łącząca przyjaciela ze swym szczęściem, wydała się Pecuchetowi zupełnie naturalna. Gdyż związek tych dwóch ludzi był głęboki i nie znał ograniczeń.

Ale że nie chciał być na utrzymaniu Bouvarda, nie pojedzie z nim przed przejściem na emeryturę. Jeszcze dwa lata; mniejsza o to! Był nieugięty i sprawa tak została zadecydowana.

Żeby wiedzieć, gdzie osiąść, zrobili przegląd wszystkich prowincji. Północ była żyzna, ale zbyt chłodna, południe czarowało klimatem, ale było przykre ze względu na komary, a Francja centralna, szczerze mówiąc, nie miała y/ sobie nic ciekawego. Bretania odpowiadałaby im, gdyby nie bigoteria mieszkańców. Co się tyczy wschodnich okręgów, z racji germańskiej gwary ludowej nie należało o nich nawet myśleć. Ale były inne okolice. Co to było, na przykład, le Forez. le Bugey, le Roumois? Mapy nic o nich nie mówiły. Zresztą mniejsza, czy ich siedziba będzie w takim, czy owakim miejscu, główna rzecz, że będą ją mieli.

Już widzieli siebie z zakasanyimi rękawami przy klombie, jak obcinają zbyteczne gałązki na krzakach róż, kopia, piela, spulchniają ziemię, przesadzają tulipany. Wstawac będą przy śpiewie skowronków, żeby chodzić za pługiem, pójdą z koszykiem zbierać jabłka, będą patrzyli, jak się robi masło, młóci, strzyże owce, chodzi koło pasieki i będą się delectowali rykiem krów,

zapachem siana. Nie będzie już żadnej pisaniny! Żadnych zwierzchników! Nawet komornego! Bo będą mieli własny dom! I będą zajadali kury z własnego kurnika, warzywa z własnego ogrodu, siedząc przy obiedzie w sa-botach!

— Robić będziemy, co nam się żywnie spodoba! Zapuścimy brody!

Nakupili narzędzi ogrodniczych, potem całą furą rzeczy, które „mogą się przydać”, jak skrzynkę na narzędzia (zawsze powinna być w domu), dalek wózek, łańcuch mierniczy, wannę na wypadek choroby, termometr, a nawet barometr „system Gay-Lussac” * do doświadczeń fizycznych, jeżeli im się tego zechce. Nieźle będzie też (bo nie można ciągle pracować na dworze) mieć kilka dobrych dzieł literackich; szukali ich, niekiedy mocno zakłopotani pytaniem, czy dana książka jest istotnie „książką biblioteczną”. Bouvard przecinał kwestię:

— Ach! Nie będzie nam potrzeba biblioteki.

— Zresztą mam swoja — mówił Pecuchet.

Z góry układali, jak się urządzi. Bouvard zabierze swoje meble, Pecuchet — wielkie, czarne biurko; weźmie się firanki, pewną ilość naczyń kuchennych i to S najzupełniej wystarczy. Poprzysięgli sobie nikomu o tym wszystkim nie mówić, ale twarze ich promieniały. Toteż ich koledzy uważali, że są śmieszni. Bouvard, który pisał rozłożony na pulpicie, z łokciami na zewnątrz, żeby lepiej zaokrąglić pismo, wydawał swój charakterystyczny poświszt mrużąc przy tym szelmowsko ciężkie powieki. Pecuchet, siedzący jak na grzędzie na wysokim wyplatany stołku, wciąż wyciągał starannie laski swych długich liter, ale rozdymając nozdrza zaciskał wargi, jakby się bał, że wypuści z nich swoją tajemnicę. Po półtorarocznym szukaniu nic nie znaleźli. Zjeździli wszędzie okolice "Paryża i odbyli podróż od Amiens aż do Evreux i od Fontainebleau aż do Hawru. Chcieli znaleźć prawdziwą wieś, nie wymagali koniecznie malowniczego położenia, ale ograniczony widnokrąg przygnębiał ich. Unikali sąsiedztwa siedzib ludzkich, a zarazem obawiali się samotności.

Kilka razy już byli zdecydowani, po czym bojąc się, że będą później żalowali, zmieniali zdanie, gdyż miejscowość wydała im się niezdrowa lub wystawiona na wiatr od morza, to znów była za blisko fabryki albo miała niewygodny dojazd.

Wybawił ich Barberou.

Znał ich marzenia i pewnego pięknego poranku przyszedł im powiedzieć, że mówiono mu o majątku w Cha-yignolles, między Caen a Falaise. Składał się z fermi obszaru trzydzieści osiem hektarów, dworu i dochodowego ogrodu.

Pojechali do departamentu Calvados i wpadli w zachwyty. Tylko że za fermę i dom (nie chciano sprzedać oddzielnie) żądano sto czterdzieści trzy tysiące franków. Bouvard dawał tylko sto dwadzieścia tysięcy.

Pecuchet zwalczał jego upór, prosił go, aby ustąpił, wreszcie oświadczył, że uzupełni resztę. Był to cały jego majątek pochodzący ze schedy po matce i z oszczędności. Nigdy słowa o tym nie pisał zachowując ten kapitał na nadzwyczajną okazję.

Wszystko zostało zapłacone pod koniec 40, na pół roku przed przejściem Pecucheta na emeryturę. Bouvard już nie był kopytą. Z początku nie rzucił swego zajęcia, gdyż nie ufał przyszłości, ale zwolnił się z chwila, gdy był pewny objęcia spadku. Jednakże zachodził chętnie do firmy Descambos, a w przeddzień wyjazdu postawił poncz całemu personelowi.

Pecuchet, przeciwnie, okazywał kolegom zły humor i ostatniego dnia pracy wyszedł z biura trzaskając brutalnie drzwiami.

Musiał dopilnować pakowania, załatwić mnóstwo spraw i sprawunków i pożegnać się z Dumouchelem!

40

41

Profesor zaproponował mu utrzymywanie korespondencji, w której będzie go informował o ruchu literackim, i ponownie złożywszy powinszowanie *życzył* mu zdrowia.

Barberou serdeczniej pożegnał się z Bouvardem. Zrezygnował z partii domina, obiecał odwiedzić go na wsi, zamówił dwie anyżówki i uściskał go.

Bouvard, wróciwszy do domu, zaczerpnął na balkonie pełną piersią powietrza, mówiąc sobie: „Nareszcie.” Światła nabrzeży drżały w wodzie, odległy turkot omnibusów cichł. Wspominał szczęśliwe dni spędzone w tym wielkim mieście, bibki w restauracjach, wieczory w teatrach, plotki odzwiernej, całe swoje paryskie życie i poczuł ścisnienie serca, smutek, do którego nie śmiał przyznać się samemu sobie.

Pecuchet aż do drugiej w nocy spacerował po pokoju. Nie wróci już tutaj; tym lepiej! Jednakże, żeby pozostawić coś z siebie, wrył swe nazwisko na gipsie kominka.

Najgrubsze sztuki bagażu wysłano poprzedniego dnia. Narzędzia ogrodowe, łóżka, materace, stoły, krzesła, kuchnia angielska, wanna i trzy beczki burgunda pójdą Sekwaną aż do Hawru, a stamtąd zostaną wyekspediowane do Caen, gdzie będzie na nie czekał Bouvard i każe je dostawić do Ch'avignolles.

Ale portret ojca, fotele, serwis do likierów, książki, zegar ścienny, wszystkie cenne przedmioty zostały umieszczone w furgonie do przeprowadzki, który pojedzie przez Nonancourt, Yerneuil i Falaise. Pecuchet chciał być przy rzeczach.

Ulokował się obok przewodnika na ławeczce i ubrany w swój najstarszy surdut, w szaliku, w mitynkach, z nogami w podbitym futrem worku spod swego dawnego biurka, w niedzielę marca wczesnym rankiem wyruszył ze stolicy.

Ruch i nowość podróżowania zajmowały go przez kilka godzin. Potem konie zwolniły kroku, co wywołało spory z przewodnikiem i furmanem. Wybierali oni okropne obojętne i choć odpowiadali za wszystko, Pecuchet przez nadmiar ostrożności nocował z nimi pod jednym dachem.

Nazajutrz wyruszone skoro świt; droga, wciąż jed-

42

naka, wznosząc się lekko wiodła' aż do krańca horyzontu. Pryzmy szabru szły jedna za drugą, w rowach było pełno wody, pola rozpościerały się wielkimi obszarami jednostajnej i zimnej zieleni, chmury gonily po niebie, o" d czasu do czasu padał deszcz. Trzeciego dnia zerwał się wichur.

Plandeka furgonu, źle umocowana, łopotiała na wietrze jak żagiel statku. Pecuchet schylał twarz pod czapką i ilekroć otwierał tabakierkę, musiał dla ochrony oczu odwracać się cały. Na wybojach słyszał, jak za nim cały bagaż się trzęsie, i nie szczędził upomnień. Widząc, że to nic nie pomaga, zmienił taktykę: zrobił się dobronuduszy, łaskawy; przy trudnych wjazdach popychał koła razem z ludźmi; posunął się aż do fundowania im po jedzeniu kawy z wódką. Odtąd jechali żwawiej, tak że w okolicy Gauburge oś się złamała i wóz stanął przechylony. Pecuchet zaraz zajrzał do środka: porcelanowe filiżanki leżały w kawałkach: Złapał się za głowę, zgrzytając zębami przeklinał dwóch bałwanów; następny dzień był stracony z powodu woźnicy, który się urzynał; ale Pecuchet nie miał już siły się skarżyć, bo czara goryczy była pełna.

Bouvard opuścił Paryż dopiero na trzeci dzień, żeby móc zjeść jeszcze raz obiad razem z Barberou. Przybył na stację pocztową w ostatniej chwili, po czym obudził się przed katedrą w Rouen; omylił się wsiadając do dylizansu.

Wieczorem wszystkie miejsca do Caen były zamówione; nie wiedząc, co ze sobą zrobić, poszedł do teatru des Arts i uśmiechał się do sąsiadów, mówiąc, że jest kupcem, który wycofał się z interesów i świeżo nabył majątek w okolicy. Gdy w piątek przybył do Caen, rzeczy jeszcze nie było. Odebrał je w niedzielę i wysłał wozem, uprzedziwszy dzierżawcę folwarku, że sam wyjedzie w kilka godzin potem.

W Falaise, dziewiątego dnia podróży, Pecuchet najął przyprzeżnego konia i aż do zachodu słońca jechano dobrze. Za Bretteville zjechawszy z traktu ruszył boczną drogą i zdawało niu się co chwila, że widzi już szczytowy trójkąt dworu w Chayignolles. Tymczasem koleiny zacierały się: zniknęły i znaleźli się wśród zaoranych pól. Zapadała noc. Co robić? Wreszcie Pecuchet zlązł z wozu i brnąc po błocie poszedł na poszukiwania. Gdy

43

zbliział się do zabudowań folwarcznych, psy szczekały. Krzycał z całych sił, pytając o drogę. Nikt nie odpowiadał. Bał się i wrócił na otwarte pole. Raptem zabłysły dwie latarnie. Dojrzał

kabriolet, rzucił się ku niemu. Siedział tam Bouvard.

Ale gdzie mógł być furgon przewozowy? Całą godzinę pokrzykiwali w ciemnościach. Wreszcie odnalazł się i przyjechali do Chavignolles.

W jadalni buzował na kominku suty ogień z chrustu i z szyszek. Było nakryte na dwie osoby. Meble przywiezione furgonem zapychały się. Nic nie brakowało. Siedli do stołu.

Przygotowano dla nich zupę cebulową, kurę, słoninę i jaja na twardo. Baba pełniąca funkcje kucharki zaglądała co pewien czas dowiedzieć się, czy im smakuje. Odpowiadali: „O, bardzo dobre, bardzo dobre!” Ordynarnym chlebem, trudnym do krajania, śmietaną, orzechami, wszystkim się delectowali. W posadzce były dziury, ze ścian kapało. Jednakże rozglądali się z zadowoleniem, jedząc na stoliku przy świecy. Twarze mieli czerwone od wiatru. Wyprężali brzuchy; opierali się o grzbiety krzesel, które aż trzeszczały od tego, i powtarzali sobie:

— No, nareszcie jesteśmy tutaj! Co za szczęście! Wydaje mi się, że to sen!

Choć była już północ, Pecuchetowi przyszło do głowy przejść się po ogrodzie. Bouvard nie uchylił się od tego. Wzięli świecę i osłaniając ją starą gazetą spacerowali wzdłuż grządek.

Sprawiło im przyjemność wykrzykiwać nazwy warzyw:

— Patrz no, marchewka! O, kapusta!

Potem obejrzeni drzewa rozpięte na szpalerze. Pecuchet usiłował znaleźć pączki. Niekiedy pajak uciekał nagle po murze i dwa ich cienie rysowały się na nim powiększone, powtarzając ich ruchy. Z czubków traw sączyły się krople rosy. Noc była zupełnie ciemna i wszystko trwało nieruchome w wielkim spokoju i wielkiej ciszy. W dali zapał kogut.

Ich dwa pokoje miały między sobą drzwi zamaskowane tapetą. Gdy potrącili je komodą, odskoczyły gwoździe i drzwi rozwarły się na oścież. Była to niespodzianka.

44

Rozebrawszy się gawędzili jakiś czas w łóżkach, potem zasnęli; Bouvard na wznak, z otwartymi ustami i z gołą głową; Pecuchet na prawym boku, z podkulonymi nogami, w bawełnianej szlafmocy, i obaj chrapali przy księżycu wchodzącym przez okna.

II

Co za radość nazajutrz po przebudzeniu się! Bouvard wypalił fajkę, a Pecuchet zażył tabaki i obaj oświadczyli, że były najlepsze w ich życiu. Po czym umieścili się w oknie, by zobaczyć krajobraz.

Na wprost mieli pola, na prawo stodołę i dzwonnice kościoła, a na lewo rząd topoli.

Dwie główne aleje tworząc krzyż dzieliły ogród na cztery kwatery. Warzywa zajmowały grędy, gdzie widać było tu i ówdzie malutkie cyprysy i drzewa owocowe — karły. W jednej stronie ogrodu altana przytykała do kopca za ścieżką-serpentyką; w drugiej mur służył za oparcie dla szpalerów do rozpinania drzew, a sztachety w głębi wychodziły na wieś. Za murem był sad, dalej szpaler grabowy, gaik; za sztachetami dróżka.

Przeglądali się tej całości, gdy jakiś człowiek szpakowaty, w czarnym płaszczu przeszedł ścieżką drapiąc laską po wszystkich żerdkach sztachet. Stara służąca powiedziała im, że to był pan Vaucorbeil, doktor, słynny w całej okolicy.

Innymi notablami byli: hrabia de Fayerges, niegdyś deputowany, znany ze swej obory zarodowej; mer, pan Foureau, który handlował drzewem, gipsem, różnymi rzeczami; pan Marescot, notariusz; ksiądz Jeufroy i pani Bordin, wdowa żyjąca z własnych funduszków. Co do starej służącej, nazywano ją Gerwazową z racji nieboszczyka Gerwazego, jej męża. Pracowała jako przychodnia, ale byłaby rada przejść na stałą służbę do wielmożnych panów. Zgodzili się na to i poszli do swej fermy położonej w odległości kilometra.

Gdy weszli na podwórze, dzierzawca Gouy darł się na parobka, a jego połowica siedząc na stołeczku ścisnęła między nogami indyka, którego tuczyła kluskami.

45

Mąż miał niskie czoło, nos cienki, patrzył spode łba i był barczysty. Żona była jasną blondynką, z piegami na policzkach i z tym wyrazem prostoty, jaki widuje się u kmiotków na witrażach kościelnych.

W kuchni pęki konopi wisały pod pułapem. Trzy stare strzelby były rozstawione na wysokim przypiecku. Kredensik pełen fajansów w kwiaty zajmował środek ściany; szyby z butelkowego

szkła rzucały na statki kuchenne, blaszane i miedziane, blady poblask.

Dwaj paryżanie pragnęli obejrzeć dokładnie swą posiadłość widzianą raz tylko, pobieżnie. Gouy z małżonką eskortowali ich i zaczęła się litania narzekań.

Wszystkie budynki, począwszy od wozowni a kończąc na gorzelni, wymagały remontu. Należało zrobić przybudówkę na serownię, dać nowe okucia przy barierach, podwyższyć nasypy, wykopać sadzawkę i przesadzić znaczną ilość jabłoni w trzech podwórzach.

Potem zwiedzano grunty: Gouy szacował je nisko. Pochłaniały za dużo nawozu, zwózka była kosztowna; niesposób oczyścić roli z kamieni, chwasty niszczyły łąki; to oczernianie jego ziemi osłabiło przyjemność, jaką odczuwał Bouvard stąpając po niej.

Wrócili stamtąd drożyną w wąwozie ocienioną bukami. Dwór ukazywał z tej strony zajazd i fasadę.

Pomalowany był cały na biało, z żółtymi pasmami przy węglach ścian. Szopa i spiżarnia, piekarnia i drwalnia tworzyły pod prostym kątem dwa niższe skrzydła. Z kuchni przechodziło się do salki. Potem była sień, druga salka większa i salon. Cztery pokoje na piętrze miały wejście z korytarza, z którego było widać podwórze. Pecuchet wziął sobie jeden z nich na pomieszczenie swych zbiorów; ostatni został przeznaczony na bibliotekę; gdy otwierali szafy, znaleźli tam jakieś książki, ale nie mieli ochoty odczytywać ich tytułów. Najpilniejszą sprawą był ogród.

Bouvard przechodząc obok grabowego szpaleru odkrył pod gałęziami gipsową damę. Dwoma palcami odgarniała spódnice, kolana miała zgięte, głowę na ramieniu, jak gdyby bała się, że ktoś ją dostrzeże.

— Ach! Przepraszam! Niech pani się nie kępuje!

I ten koncept zabawił ich tak, że dwadzieścia razy na dzień przez trzy tygodnie z górą powtarzali go.

46

Tymczasem mieszczanie z Chavignolles pragnęli ich poznać: podglądano ich przez sztachety. Zasłonili otwory tarcicami. Ludność się o to gniewała.

Żeby się zabezpieczyć przed słońcem, Bouvard nosił na głowie chustkę zawiązaną jak turban, Pecuchet swą czapkę; i miał na sobie duży fartuch z kieszenią z przodu, w której majtały się: sekator, fularowa chustka do nosa i tabakierka, z zakasanyimi rękawami i obok siebie kopali, pełli, obcinali gałęzie, narzucali sobie różne zadania, jedli możliwie szybko: ale kawę po drugim śniadaniu pili na kopcu, żeby się delektować widokiem.

Jeżeli napotkali ślimaka, podchodzili doń i miażdżyli z grymasem w kacie ust, jak gdy się chce zgnieść orzech. Nie wychodzili z domu bez szpadla i rozcinali na dwoje podjadki z taką siłą, że żelazo narzędzia wchodziło w ziemię na trzy cale.

Żeby pozbyć się gąsienic, z pasją walili w drzewa drągiem.

Bouvard posadził piwonie pośrodku trawnika, a pomidory, które miały zwisać jak świeczniki, pod łukiem altany.

Pecuchet kazał wykopać przed kuchnią szeroką jamę i podzielił ją na trzy przedziały, gdzie będzie fabrykował komposty, na których wyrosną różne rośliny, a te z kolei po zgniciu wywołają inne plony dostarczające innych nawozów, i tak w nieskończoność; i marzył na brzegu rowu, widząc w przyszłości góry owoców, powódź kwiatów, lawiny warzyw. Ale gnoju końskiego, tak pożytecznego w inspektach, było mu brak. Rolnicy go nie sprzedawali, oberżyci nie chcieli dać. Wreszcie, po wielu poszukiwaniach, mimo usilnej prośby Bouyarda i wyrzekając się wszelkiego wstydu postanowił „iść sam zbierać łajno”!

Podczas tego właśnie zfflcia pewnego dnia na gościńcu zaczepiła go pani Bordin. Powiedziawszy mu parę komplementów zapytała o jego przyjaciela. Czarne oczy tej osoby, bardzo błyszczące, chociaż małe, mocne rumieńce, jej pewność siebie (miała nawet mały wąsik) onieśmieliły Pecucheta. Odpowiedział krótko i odwrócił się. Tę niegrzeczność Bouvard zganił.

Potem nadeszły słoty, śnieg, wielkie chłody. Przebywali w kuchni i robili sztachety albo chodzili po poko-

47

j ach, rozmawiali przy kominku, patrzyli, jak deszcz pada.

•••

Od półpościa czyhali na wiosnę i powtarzali każdego ranka: „wszystko się rusza!” Ale pora roku się spóźniła i pocieszali się w swej niecierpliwości mówiąc: „wszystko się ruszy”.

Wreszcie zobaczyli, że groszek zielony wschodzi. Szparagów było dużo. Szczepy winne wyglądały obiecująco.

Skoro rozumieli się na ogrodnictwie, powinni mieć powodzenie w rolnictwie; i ogarnęła ich żądza uprawiania roli na swej fermie. Mając zdrowy rozsądek i przygotowanie dadzą sobie z tym radę, nie ma żadnych wątpliwości.

Przede wszystkim trzeba było zobaczyć, jak postępują inni; napisali list, gdzie prosili pana de Faverges o zaszczyt zwiedzenia jego majątku. Hrabia natychmiast wyznaczył im spotkanie.

Po godzinie drogi pieszo znaleźli się na stoku wzgórza panującego nad doliną Orny. Rzeka płynęła w głębi zygzakami. Bloki czerwonego piaskowca wznosiły się tu i ówdzie, a większe skały tworzyły w dali jakby urwisko zwisające nad wsią pokrytą łąkami dojrzałego zboża. Na wprost, na innym pagórku, zieleń była tak obfita, że zakrywała domy. Drzewa dzieliły ją na nierówne kwadraty zaznaczając się na trawie ciemniejszymi liniami.

Raptem ukazał się cały majątek. Zabudowania kryte dachówką wskazywały, gdzie jest ferma. Pałac o białej fasadzie znajdował się po prawej stronie, z lasem z tyłu, a trawnik schodził aż do rzeki, w której odbijał swe cienie rząd jaworów.

Dwaj przyjaciele weszli w lucernę, którą przetrząsano. Kobiety, w słomkowych kapeluszach, w chustkach z perkalu lub z papierowymi daszkami na czole, podnosiły na grabiach siano leżące na ziemi; a na drugim końcu równiny obok kopie żwawo rzucano wiązki na długi wóz zaprzężony w trzy konie. Hrabia podszedł, a za nim rządca.

Pan de Faverges miał ubranie z dymki, sztywną figurę i faworyty w kształcie kotletów, wyglądał wraz na wyższego urzędnika i na dandysa. Rysy jego twarzy, nawet gdy mówił, były nieruchome.

48

po wstępnej wymianie grzeczności wyłożył swój system odnośnie paszy; przewraca się pokosy nie rozrzucając ich; stogi powinny być stożkowate, a wiązki należy robić zaraz, na miejscu, potem składać po dziesięć. Co się tyczy grabiarki angielskiej, łąka jego była zbyt nierówna dla takiego narzędzia.

Dziewczynina z gołymi nogami, w podartych trzewikach, w podartej spódnicy, przez którą przeglądało ciało, dawała pić kobietom lejąc jabłecznik z dzbana opieranego o biodro. Hrabia zapytał, skąd się wzięło to dziecko; nikt nie wiedział. Robotnice ją przygarnęły, żeby im usługiwała podczas żniw. Wzruszył ramionami i odchodząc wyraził ubolewanie, że nasze wsie są tak niemoralne.

Bouvard chwalił jego lucernę. Była ona istotnie niezła mimo spustoszeń poczynionych przez kaniankę; przyszli agronomowie wytrzeszczyli oczy przy słowie k a n i a n k a. Wobec ilości swego bydła starał się urządzać sztuczne łąki; było to zresztą dobre przygotowanie do następnych zbiorów, co nie zawsze dopisuje z roślinami pastewnymi.

— To mi się przynajmniej wydaje bezsprzeczne.

Bouvard i Pecuchet podchwycili razem:

••• O! Bezsprzeczne.

Znajdowali się na skraju pola starannie uprawionego: koń prowadzony przy pysku ciągnął szeroką skrzynię umieszczoną na trzech kołach. Siedem radełek umieszczonych w dole otwierało w roli równoległe wąskie rowki, w które ziarno spadało przez rurki dochodzące aż do ziemi.

—• Tutaj —• rzekł hrabia — sieję turnip*. Turnip jest podstawą mego czteroletniego płodozmianu.

I zaczął pokazywać działanie siewnika. Ale przyszedł po niego służący. Był potrzebny w pałacu. Zastąpił dziedzica jego rządca, człek o niepoczesnym a przebiegłym wyglądzie i uniżonych manierach.

Zaprowadził „wielmożnych panów” na inne pole, gdzie czternastu żniwiarzy, o nagiej piersi i rozstawionych nogach, kosiło żyto. Żeleźca świszczały w słomie padającej na prawo. Każdy opisywał przed sobą szerokie półkole i wszyscy stojąc w jednej linii posuwali się jednocześnie.

Dwaj paryżanie podziwiali ich ramiona

i czuli w sobie poryw czci niemal religijnej dla bogactwa ziemi.

Następnie przeszli wzdłuż pól, gdzie odbywała się orka.

Dzień miał się ku końcowi, wrony zlatywały w bruzdy.

Potem spotkali stado. Owce pasły się tu i ówdzie i słychać było ich nieustanne żucie. Pastuch siedząc na pniu robił na drutach wełnianą pończochę. Jego pies był przy nim.

Rządca pomógł Bouvardowi i Pecuchetowi przeleźć przez ogrodzenie z poziomych drągów i minęli dwa okólniki, gdzie krowy przeżuwały pod jabłoniami.

Wszystkie budynki fermy przylegały do siebie i zajmowały trzy boki podwórza. Praca odbywała się tutaj mechanicznie za pomocą turbiny korzystającej ze strumienia, którego bieg umyślnie odwrócono. Pasy skórzane szły od jednego dachu do drugiego, a pośrodku gnojowiska działała żelazna pompa.

Rządca zwrócił w owczarni uwagę na małe otwory przy samej ziemi, a w chlewach na pomysłowe drzwiczki zamykające się automatycznie.

Stodoła była sklepiona jak katedra, z łukami z cegły spoczywającymi na ścianach z kamienia.

Żeby dostarczyć gościom rozrywki, dziewczyna folwarczna rzuciła kurom kilka garści owsa. W tłoczni trzon tłoku wydał im się olbrzymi; weszli po drabinie do gołębnika. Szczególnie zachwycała ich mleczarnia. Krany w rogach dostarczały dość wody do zlewania płyt podłogi, a gdy się wchodziło przejmował miły chłód. Brunatne dzbany, stojące szeregiem na drewnianych kratkach, były napełnione mlekiem po brzegi. Mniej głębokie kamionki zawierały śmietankę.

Osełki masła leżały obok siebie, podobne do odłamków mosiężnej kolumny, a piana przelewała się przez krawędzie blaszanych wiader, dopiero co postawionych na ziemi. Ale chlubą folwarku była obora. Drewniane słupy, wmurowane prostopadle na całej długości budynku, dzieliły go na dwie części: pierwsza dla bydła, druga dla służby. Z trudem można było coś dojrzeć, gdyż wszystkie otwory w murze były zamknięte. Woły jadły przywiązane na łańcuchach i ciała ich wydzielają ciepło,

50

które gęstniało pod niskim pułapem. Ale ktoś odsłonił otwory, a strumień wody raptem napełnił rynienkę biegnącą wzdłuż żłobów. Rozległy się porykiwania; uderzające o siebie rogi wydawały takie dźwięki, jakby uderzały o siebie kije. Wszystkie woły wsunęły pyski między drążki i piły powoli.

Na podwórze wjechały duże zaprzęgi i żrebaki zarżały. Na parterze zabłysły dwie czy trzy latarnie i zniknęły. Przechodzili robotnicy szurając drewniakami po kamieniach i rozległ się dzwon na wieczrę.

Dwaj goście odeszli.

Wszystko, co zobaczyli, zachwycało ich; decyzja została powzięta. Zaraz tego samego wieczora wyciągnęli z biblioteki cztery tomy *Domu wiejskiego**, kazali sobie wysłać kurs Gasparina * i zaprenumerowali czasopismo rolnicze.

Żeby wygodniej było jeździć na jarmarki, kupili bryczkę; Bouvard powoził.

Ubrani w granatowe bluzy, w kapeluszach o szerokich rondach, w kamaszach do kolan i z kijami takimi, jakie mają handlarze koni, kręcili się koło bydła, nagabywali fernali i nie opuszczali żadnego zjazdu kółek rolniczych.

Niebawem znużyli Gouya swymi radami, krytykując głównie jego system ugorowania. Ale dzierżawca upierał się przy swoich metodach. Prosił o odroczenie terminu płatności czynszu pod pretekstem gradu. Co do świadczeń w naturze, to nic nie dostarczył. Na jak najbardziej uzasadnione pretensje żona jego odpowiadała

Bouvard oznajmił swój zamiar

gzędzał nawozu, zachwacił pola, Srał z miną złowrogą, zapowiada-
wrzaskiem. Wreszcie nieodnawiania dzierżę

Od tej pory Gouy wyjałowił glebę i odsjąca plany zemsty.

Bouvard myślał, że 000 franków, to znaczy przeszło czterokrotny czynsz dzierżawny, starczy na początek. Jego notariusz paryski przysłał mu tę sumę.

Majątek ich składał się z piętnastu hektarów wód i łąk, dwudziestu trzech ziemi ornej i pięciu ugorów położonych na wzgórzu pokrytym kamieniami, które nazywano Górką.

Nabyli wszystkie niezbędne narzędzia, cztery konie, dwanaście krów, sześć świń, sto sześćdziesiąt owiec,

jako służbę folwarczną przyjęli dwóch fernali, dwie kobiety, pastucha; sprowadzili jeszcze dużego psa.

Żeby mieć zaraz gotówkę, wyprzedali paszę; *zaplacono* za nią na miejscu; złoto napoleonów, liczone na skrzyni do owsa, wydało im się bardziej błyszczące niż inne, nadzwyczajne i lepsze. W listopadzie robili jabłecznik. Bouvard poganiał konia w kieracie, a Pecuchet siedząc na kadzi mieszał wytłoczyny łopatą.

Zdyszani dokręcali śrubę, czerpali łyżką z kadzi, pilnowali czopów, chodzili w ciężkich sabotach, bawili się świetnie.

Wychodząc z założenia, że nigdy nie ma się za dużo zboża, skasowali mniej więcej połowę swych sztucznych łąk; a że nie mieli nawozu, używali makuchów, które szły do ziemi nie rozgniecione, tak iż wydajność była nędzna.

Następnego roku siali zboże bardzo gęsto. Przyszły burze. Kłosa się pokładły.

Mimo to zawzięli się na pszenicę i przystąpili do oczyszczenia z kamieni Górki. Wywozili je wózkiem. Jak rok długi, od rana do wieczora, w deszcz czy w upał, widziano nieśmiertelny wózek z tym samym człowiekiem i z tym samym koniem, jak wspinał się na wzgórze, zjeżdżał i znowu wracał pod górę. Czasami Bouvard szedł z tyłu, zatrzymywał się w połowie zbocza, żeby otrzeć pot z czoła.

Nie dowierzając nikomu sami leczyli zwierzęta', dawali im na przeczyszczenie, stosowali lewatywę.

Wydarzyły się poważne nieporządki. Dziewczyna od drobiu zaszła w ciążę. Przyjęli ludzi żonatych; zaroilo się od dzieci, kuzynów, kuzynek, wujów, stryjów, szwa-gierek: cała zgraja żyła na ich koszt, i postanowili nocować na folwarku kolejno.

Ale wieczorami byli smutni. Brud w pokoju na fermie mierzył ich, a Gerwazowa, która przynosiła tam posiłki, pomrukiwała przy każdej takiej wędrówce. Nabierano ich na wszelkie sposoby.

Młockarze sypali zboże do swych dzbanków na wodę. Pecuchet złapał na tym jednego z nich i zawołał wypychając go na dwór:

— Nędzniku! Jesteś hańbą wsi, która cię zrodziła!

Osoba jego nie wzbudzała żadnego szacunku. Poza

52

tym miał wyrzuty sumienia z powodu ogrodu. Gdyby cały czas mu poświęcił, nie byłoby nadto, żeby go utrzymywać w dobrym stanie. Folwarkiem zajmie się Bou-vard. Rozważyli tę sprawę i takie rozwiązanie zostało postanowione.

Pierwszym punktem programu było urządzenie dobrych inspektów. Pecuchet kazał zbudować je z cegły. Sam pomalował ramy i obawiając się, by słońce nie spaliło roślin, posmarował kredą wszystkie kłosze.

Dla ostrożności usuwał z rozsady czubki razem z liśćmi. Potem wziął się do sadzonek. Próbował kilku rodzajów szczepień: szczepienia podłużnego, wieńcowego, okulizowania, szczepienia angielskiego. Jak troskliwie dopasowywał obie części! Jak ściśle obwiązywał rafią! Ile pakował maści, żeby ją pokryć!

Dwa razy dziennie brał polewaczkę i kołysał nią nad roślinami, jak gdyby je okadzał. W miarę jak zieleniały pod wodą spadającą drobnym deszczem, zdawało mu się, że sam gasi swe pragnienie i odżywa wraz z nimi. Potem w zapamiętaniu zrywał z konewki sitko i lał wprost szyjką, póki starczyło wody.

Na końcu grabowego szpaleru, opodal damy z gipsu, stała spora budka z okrągłaków. Pecuchet zamykał w niej swe narzędzia i spędzał tu rozkoszne godziny na łuskaniu nasion, wypisywaniu etykiet, porządkowaniu małych doniczek. Dla odpoczynku siadał przed drzwiami na skrzyni i wtedy projektował upiększenia ogrodu.

Na dole przy podjeździe zasadził dwa klomby pelargonii: między cyprysami a karłami

owocowymi posadził słoneczniki; a ponieważ grządki były pokryte jaskrami, zaś wszystkie ścieżki wysypane świeżym piaskiem, ogród olśniewał obfitością kolorów żółtych. Ale w inspektach roilo się od robaków; pomimo ogrzewającego pokładu zbutwiałych liści w malowanych inspektach i pod umazanymi kredą kloszami wyrosły jeno rachityczne roślinki. Szczepienie się nie udało, zrazy się odkleiły, soki w sadzonkach wyschły, w korzeniach drzew pełno było pędraków, siewki przedstawiały się rozpaczliwie. Wiatr bawił się przewracaniem tyczek od xasoli. Obfitość kloaczego nawozu zaszkoziła truskawkom, nieusuwanie zbędnych pędów pomidorom.

Nie dopisały zupełnie brokuły */oberżyny, brukiew

53

/*

J**†; O. § -' •

i rzeżucha wodna, którą chciał hodować w balii. Po odwilży wszystkie karczochy przepadły. Pocieszyła go kapusta. Zwłaszcza jedna główka budziła nadzieje. Rozwijala się, rosła, rosła, aż stała się ogromna i absolutnie niejadalna. Mniejsza z tym, Pecuchet był rad, że posiada potwora. Wówczas spróbował tego, co wydawało mu się szczytem sztuki: hodowli melonów.

Nasiona kilku odmian posiał na talerzach napełnionych próchnicą, które zagrzebał w swym inspekcie. Potem przygotował drugą skrzynię inspektową; i gdy ta się zagrzała, przesadził tam najpiękniejszą rozsądę, pokrył ją kloszami. Poczył wszelkie ciecica według przepisów *Dobrego ogrodnika*, pozostawił kwiaty, pozwolił zawiązać się owocom, wybrał po jednym na każdym pędzie, usunął resztę i gdy miały wielkość orzecha, wsunął pod nie deszczułki, by nie gnęły od zetknięcia z końskim nawozem. Skrapiał je, wietrzył, wycierał chustką zapocone klosze i gdy pokazywały się chmury, żwawo przynosił słomiane maty.

W nocy nie spał przez te melony. Nieraz nawet wstawał i w butach rsa bose nogi, w koszuli, dygocząc z zimna przechodził przez cały ogród, żeby przykryć inspekty kołdrą ze swego łóżka. Kantalupy dojrzały. Przy pierwszej Bouvard skrzywił się. Drugi melon nie był lepszy, trzeci również; Pecuchet znajdował dla każdego nowe usprawiedliwienie, aż do ostatniego, który wyrzucił przez okno, oświadczając, że nic z tego wszystkiego nie rozumie.

Wobec tego że hodował obok siebie różne odmiany, melony cukrowe skrzyżowały się z warzywnymi, wielki portugalski z wielkim mongolskim, a że sąsiedztwo pomidorów dopełniło anarchii powstały z tego wszystkiego obrzydliwe mieszańce o smaku dyni.

Po tym niepowodzeniu zwrócił się Pecuchet ku kwiatom.

Napisał do Dumouchela, żeby mu przysłał krzewów i nasion, kupił zapas ziemi wrzosowej i śmiało wziął się do dzieła.

Ale posadził passiflory w cieniu, bratki w słońcu, pokrył nawozem hiacynty, podlał lilie po kwitnieniu, zniszczył rododendrony nadmiernym przycinaniem,

" 54

podsycał rozrost fuksji klejem zwierzęcym i upiekł krzew grana!u wystawiając go w kuchni na działanie żaru z pieca.

Z nadejściem chłodu osłaniał krzaki dzikiej róży kopułami z tektury nasyconej stearyną: tworzyło to jakby głowy cukru podniesione na palikach.

Podpórki przy daliach były olbrzymie i widać było między tymi prostymi liniami pokręcone gałęzie krzewu *sophora japonica* *, który nie zmieniał się wcale, ani nie ginąc, ani nie rosnąc. Jednakże skoro najrzadsze gatunki trzymały się dobrze w ogrodach stolicy, powinny były przyjąć się i w Chayignolles: i Pecuchet sprowadził sobie bez indyjski, różę chińską i eukaliptus, wówczas w pierwszej fazie swego rozgłosu. Wszystkie te doświadczenia spaliły na panewce. Za każdym rażeni bardzo był zdziwiony.

Bouvard, podobnie jak Pecuchet. napotykał przeszkody. Naradzali się wzajemnie, otwierali jakąś książkę, brali inną, po czym nie wiedzieli, czego się trzymać wobec rozbieżności zdań.

Na przykład co do marglu *, jako nawozu, Puviv * go zaleca, podręcznik Roreta * zwalcza.

Co się tyczy gipsu, mimo przykładu Franklina *, Rief-fel * i pan Rigaud * nie wydają się nim zachwyceni.

Ugory, zdaniem Bouvarda, to średniowieczny przesąd. A tymczasem Leclerc * notuje wypadki, gdy są one prawie niezbędne. Gasparin cytuje lionczyka, który przez pięćdziesiąt lat hodował

zboże na tym samym polu: to obala teorię płodozmianów. Tuli * wysławia orkę, a lekceważy nawozy, a oto major Beetson nie ceni ani nawozów, ani orki!

, Żeby się rozeznać w przewidywaniu pogody, studiowali chmury według klasyfikacji Luke Howarda *. Wpatrywali się w obłoki wydłużające się jak grzywy, \v obłoki podobne do wusp lub też w takie, które można by wziąć za góry śniegowe, usiłując rozróżnić nimbusy od cirrusów, stratusy od kumulusów; kształty zmieniały się, zanim mogli znaleźć ich nazwy.

Barometr ich oszukał, termometr niczego nie mówił; uciekli się do sposobu obmyślonego za Ludwika XV przez pewnego księdza z Turenii *. Pijawka w słoju powinna była podpływać w górę w razie deszczu, spoczy-

55

wać na dnie naczynia przy stałej pogodzie, ruszać się niespokojnie, gdy zbliżała się burza. Ale aura prawie zawsze przeczyła pijawce. Wsadzili trzy inne do pierwszej. Każda z czterech pijawek zachowywała się inaczej.

Po wielu rozmyślaniach Bouvard uznał, że omylił się. Jego posiadłość wymagała wysokiej kultury rolnej, intensywnej gospodarki i zaryzykował na inwestycje to, co mu pozostało z rozporządzalnego kapitału, trzydzieści tysięcy franków.

Podniecony przez Pecucheta wpadł w istny szal na punkcie nawozów. Do dołu na kompost walono na kupę gałęzie, krew i kiszki bydlęce, pierze — wszystko, co mógł znaleźć. Używał płynu belgijskiego *, gnojówki szwajcarskiej *, ługu, wędzonych śledzi, morszczyzny, szmat, sprowadził *gnano* * spróbował je fabrykować i doprowadzając swe zasady do ostateczności, nie znosił, żeby marnowano moc; skasował wychodki. Dostarczano na jego podwórze padłe zwierzęta, którymi mierzwił swe grunta. Poćwiartowaną padlinę rozrzucano po polach. Bouvard uśmiechał się w tym smrodzie. Pompa umieszczona na gnój arce na kołach rzygała gnojówką na plony. Tym, którym to sprawiało obrzydzenie, mówił:

— Ależ to złoto! To złoto!

I żałował, że nie ma jeszcze więcej gnoju. Szczęśliwe kraje, gdzie są groty naturalne, pełne ptasich ekskrementów!

Rzepak był lichy, owies średni i zboże z powodu jego woni sprzedali bardzo tanio. Rzecz szczególna — Górka, wreszcie oczyszczona z kamieni, dawała gorszy urodzaj niż dawniej. Uznał za wskazane odnowić swój inwentarz martwy. Kupił spulchniacz Guillaume'a, mechaniczny wypielacz marki Yalcourt, siewnik angielski i duży pług bezko-leśny systemu Mathieu de Dombasle *, ale fornał go skrytykował.

— Naucz się, jak się z nim obchodzić!

— No, to niech mi pan pokaże! Próbował pokazać, mylił się i chłopci drwili.

Nigdy nie mógł ich zmusić, żeby stosowali się do sygnałów dzwonu. Bezustannie wrzeszczał na nich, biegał z miejsca na miejsce, zapisywał swe uwagi w note-

58

się, wyznaczał spotkania, zapominał o nich, a w głowie kipiały mu pomysły handlowo-przemysłowe. Obiecywał sobie hodować mak, mając na uwadze opium, a zwłaszcza tragant *, który będzie sprzedawał pod nazwą „kawy dla rodzin”.

Żeby woły prędzej tyły, co dwa tygodnie puszczał im krew.

Nie zabił ani jednej świni i tuczył je solonym owsem. Niebawem chlewnia była za ciasna. Świnie pętały się po podwórzu, rozwalaly ogrodzenia, gryzły ludzi.

Podczas wielkich upałów dwadzieścia pięć owiec dostało kołowacizny i w krótkim czasie zdechło.

Tego samego tygodnia padły trzy woły — wynik puszczenia im krwi przez Bouvarda.

Umyślił, w celu zniszczenia poczwarek chrząszczy, zamykać kury w klatce na kółkach, która dwóch ludzi pchało za pługiem; w rezultacie połamano im łapki.

Sfabrykował piwo z liści ożanki * i dał je zniwiarzom zamiast jabłecznika. Dostali ciężkich boleści. Dzieci płakały, kobiety jęczały, mężczyźni byli wściekli. Zagrozili wszyscy, że porzucą pracę, i Bouvard ustąpił.

Jednakże, aby ich przekonać o nieszkodliwości swego napoju, wypił przy nich kilka butelek,

zrobiło mu się niedobrze, ale ukrył bóle pod wesołą miną. Kazał nawet zanieść ową miksturę do siebie. Pili ją wieczorem z Pe-cuchetem i obaj wysilali się, żeby uznać ją za dobrą. Zresztą nie mogła się zmarnować.

Że boleści Bouvarda stawały się coraz silniejsze, Ger-wazowa poszła po doktora.

Był to człowiek poważny, o wypukłym czole, zaczął od straszenia swego pacjenta. — „Choleryna pana musiała mieć związek z tym piwem, o którym ludzie gadają.” — Chciał znać jego skład i ganił je w terminach naukowych, wzruszając ramionami. Pecuchet, który dostarczył przepisu, był przybity.

Pomimo szkodliwego wapnowania, oszczędnej orki i wyrywania ostu nie w porę, Bouvard miał w następnym roku piękna pszenicę. Umyślił wysuszyć ją przez fermentację, na modłę holenderską, systemem Clap-Mayera; to znaczy kazał skosić od razu całą pszenicę i *złożyć* w sterty, które będą rozrzucone, skoro tylko się zagrzeje, po czym pszenica pozostawiona będzie działa-

57

niu powietrza. Po wydaniu takich dyspozycji Bouvard odszedł spokojny.

Nazajutrz, podczas obiadu, usłyszeli bicie w bęben w alei bukowej. Gerwazowa wyszła zobaczyć, co się stało, ale człowiek z bębniem był już daleko. Prawie natychmiast zaczął bić gwałtownie dzwon na kościele.

Trwoga ogarnęła Bouvarda i Pecucheta. Wstali od stołu i chcąc jak najprędzej wiedzieć, co się stało, z gołymi głowami ruszyli w stronę Chayignolles.

Przechodziła jakaś stara baba. Nic nie wiedziała. Zatrzymali małego chłopca, który, odpowiedział:

— Ja myślę, że się pali!

A bęben wciąż było słyhać, dzwon bił coraz mocniej. Wreszcie dotarli do pierwszych domostw wsi. Sklepiarz krzyknął im z daleka:

— Pali się u was!

Pecuchet ruszył krokiem gimnastycznym i mówił do Bouvarda biegnącego obok w tym samym tempie:

••— Raz, dwa; raz, dwa! Rytmicznie, jak strzelcy w Yincennes *.

Droga, którą biegli, wciąż się wznosiła; spadzisty teren zasłaniał im widnokrąg. Dotarli na wzniesienie, obok Górki, i jeden rzut oka wystarczył, by objąć ogrom nieszczęścia.

Wszystkie sterty, rozrzucone tu i ówdzie, wyrzucały płomienie jak wulkany, na ogołoconej równinie w ten spokojny wieczór.

Koło największej było może ze trzysta osób; pod komendą pana Foureau, mera w trójbarwnej szarfi, parobcy ściągnęli bosakami i żerdziami słomę ze szczytu, żeby uchronić resztę.

Bouvard w pośpiechu omal nie przewrócił pani Bor-din, która tu się znajdowała. Potem zobaczywszy jednego ze swych parobków zwymyślał go, że mu nie dał znać. Parobek, przeciwnie, przez nadmiar gorliwości pobiegł naprzód do domu, do kościoła, potem do dziedzica i wrócił inną drogą.

Bouvard tracił głowę. Otaczała go czeladź, gadali jeden przez drugiego, a on nie pozwalał rozwalać stert, błagał o pomoc, żądał wody, domagał się straży ogniowej.

— Czyż ją mamy? — zawołał mer.

58

— To pańska wina! — odpalił Bouvard.

Unosił się, mówił rzeczy niestosowne i wszyscy podziwiali cierpliwość pana Foureau, który był przecież brutalem, jak na to wskazywały jego grube wargi i szczeka buldoga.

Żar bijący od stert tak się wzmógł, że nie można już było do nich podchodzić. Pod pożerającymi płomieniami słoma skręcała się z trzaskiem, ziarna zboża jak śruciny smagały twarze obecnych. Potem sterta waliła się na ziemię, tworząc szerokie żarowisko, z którego wylatywały iskry i jakby kręgi mory falowały po tej czerwonej masie ukazującej w kolejnych zmianach swej barwy to części czerwone jak cynober, to brunatne jak zakrzepła krew. Zapadła noc, dał wiatr; kłęby dymu spowijały tłum. Od czasu do czasu pojawiała się iskra na tle czarnego nieba.

Bouvard wpatrywał się w pożar cicho płacząc. Oczy ginęły mu pod nabrzmiałymi powiekami i całą twarz miał jakby poszerzoną z bólu. Pani Bordin, bawiąc się frędzlami zielonego szala,

nazywała go „biednym panem”, usiłowała go pocieszyć. Skoro nic nie można było na to poradzić, powinien się z tym pogodzić.

Pecuchet nie płakał. Bardzo blady, a raczej siny, z otwartymi ustami i z włosami zlepionymi zimnym potem trzymał się na uboczu, pogrążony w rozmyślaniu. Ale proboszcz, który nagle przybył, wyszeptał przymilnym głosem:

— Ach! Co za nieszczęście, doprawdy, to bardzo przykre! Proszę mi wierzyć, że współczuję!... Inni nie udawali żadnego smutku. Rozmawiali uśmiechając się i zasłaniając się ręką przed płomieniami. Jakiś starzec podniósł płonące słomki, żeby zapalić sobie fajkę. Dzieci zaczęły tańczyć. Jakiś urwis zawołał nawet, że to jest bardzo zabawne.

— Tak, ładna zabawa! — rzekł Pecuchet, który to usłyszał.

Ogień osłabł, stopy zmalowały i w godzinę potem zostały tylko popioły tworzące na równinie okrągłe i czarne plamy. Wówczas ludzie się rozeszli.

Pani Bordin i ksiądz Jeufroy odprowadzili panów Bouvarda i Pecucheta do domu.

W drodze wdowa zwróciła się do swego sąsiada

59 --

z uprzejmymi wymówkami, że z niego taki odludek, a kapłan wyraził wielkie zdziwienie, że nie mógł dotychczas poznać się z tak wybitnym swym parafianinem.

Gdy znaleźli się sami, szukali przyczyny pożaru i zamiast uznać, jak wszyscy, że wilgotna słoma zapaliła się samorzutnie, podejrzewali zemstę. Była ona niewątpliwie dziełem Gouy'a albo może łapacza kretów. Sześć miesięcy temu Bouvard odrzucił jego usługi, a nawet twierdził w pewnym kole słuchaczy, że ponieważ jego zajęcie jest zgubne, rząd powinien go zakazać. Od tej pory typ ten włóczył się po okolicy. Nosił niestrzyżoną brodę i wydawał im się straszny, zwłaszcza wieczorem, gdy zjawiał się na brzegach strumieni, potrząsając swą długą żerdzią obwieszoną zabitymi kretami.

Szkoda była poważna i żeby się rozeznąć w sytuacji, Pecuchet przez tydzień siedział nad rejestrami Bouvarda, które wydały mu się „istnym labiryntem”. Po zestawieniu dziennika, korespondencji i księgi głównej, pokrytej notatkami ołówkiem i odsyłaczami, doszedł prawdy; żadnych produktów na sprzedaż, żadnej należności do odebrania, a w kasie zero. Kapitał zaznaczał się deficytem wynoszącym trzydzieści trzy tysiące franków.

Bouvard nie chciał w to uwierzyć, i przeszło dwadzieścia razy sprawdzali rachunki. Za każdym razem dochodzili do tego samego wniosku. Jeszcze dwa lata takiej samej gospodarki rolnej i ich majątek diabli wezmą! Jedyny środek zaradczy — sprzedać.

W każdym razie należało zasięgnąć opinii notariusza. Był to krok zbyt przykry dla Bouvarda; wziął go na siebie Pecuchet.

Zdaniem pana Marescota lepiej było nie ogłaszać sprzedaży. On sam pogada o fermie z poważnymi klientami i prześle ich propozycje.

— Bardzo dobrze — rzekł Bouvard — mamy czas. Weźmie dzierżawcę, potem się zobaczy.

— Nie będzie nam się gorzej wiodło niż dotychczas; tylko jesteśmy oto zmuszeni oszczędzać. Oszczędności gniewały Pecucheta z powodu ogrodnictwa i w kilka dni potem powiedział:

— Powinnibyśmy zająć się wyłącznie hodowlą drzew,

60

nie dla przyjemności, lecz dla zysku. Gruszkę, której wyprodukowanie kosztuje trzy su, sprzedaje się niekiedy w stolicy za pięć do sześciu franków! Ogrodnicy hodujący morele mają z tego dwadzieścia pięć tysięcy franków rocznego dochodu! W Petersburgu podczas zimy płaci się za kiść winogron złotego napoleona! To jest piękny zawód, zgodzisz się z tym! A co to kosztuje? Praca, nawóz, ostrzenie noża ogrodniczego — to wszystko!

:

Tak rozpałił wyobraźnię Bouvarda, że natychmiast wyszukali w swych książkach spis odmian drzewek, które trzeba było kupić, i wybrawszy nazwy, które ich olśniły, zwrócili się do właściciela szkółki drzewek owocowych w Falaise; ten bezzwłocznie dostarczył im trzysta sztuk, których nie mógł nikomu wkręcić.

Do poofpórek, żelaznych usztywniaczy i wsporników przy rozpinaniu drzewek na szpalerach sprowadzili: ślusarza, blacharza i cieślę. Wyrysowali kształty drzew. Kawałki sztabek żelaznych

na murze wyobrażały kandelabry. Dwa słupy na końcach grzęd kwiatowych łączyły się poziomymi drutami, a w sadzie obręcze wskazywały przyszły kształt waz, pręty tworzące stożki — przyszły kształt piramid, tak iż każdy, kto do nich przyszedł, myślał, że widzi części jakiejś nieznaney maszyny lub szkielet fajerwerków.

Gdy doły zostały wykopane, trzeba było czy nie trzeba, przycięli końce wszystkich korzeni i zagrzebali korzenie w kompoście. W pół roku potem drzewka uschły. Nowe zamówienia w szkółce i nowe sadzenie w dołach jeszcze głębszych. Ale że grunt rozmiękł od deszczu, ziemia spłynęła ze szczepów i drzewka się przyjęły.

Z nadejściem wiosny Pecuchet wziął się do cięcia grusz. Nie odcinał strzał*, zachował podciągi* i uparcie, chcąc przygiąć pod kątem prostym diuszesy*, które miały tworzyć jednoramienne kordony, łamał je lub wyrwał. Co się tyczy brzoskwiń, poplątał pędy pierwszego, drugiego i trzeciego piętra. Zagęszczenia i puste miejsca powstawały zawsze tam, gdzie nie należało, i niesposób było uzyskać na szpalerze prawidłowy prostokąt o sześciu gałęziach z prawej i sześciu z lewej strony, nie licząc dwóch głównych — co w całości tworzy piękny szkielet rybi.

61

Bouvard spróbował prowadzić morele; zbuntowały się. Obciął im pnie przy samej ziemi; żaden nie odbił. Wiśnie, na których zrobił nacięcia, wydzieliły żywicę. Z początku obcinali pędy za nisko, co niszczyło dolne oczka; potem zbyt wysoko i wyrastały wilki; a nieraz nie wiedzieli, co zrobić, nie umiając odróżnić pączków liści od pączków kwiatów. Cieszyli się, że mają kwiaty; ale poznawszy swój błąd, oberwali trzy czwarte, aby wzmocnić resztę.

Bezustannie mówili o sokach i tkankach roślinnych, o rozpinaniu drzew, o nadłamywaniu, o nacinaniu oczek. W jadalni na środku ściany mieli w ramie spis swoich szczepów z numerami, które się powtarzały w ogrodzie na deszczulce u stóp drzewa.

Wstając o świcie, pracowali do późnego wieczora z nożem ogrodniczym u pasa. W zimne wiosenne ranki Bouvard nosił swą ciepłą kurtkę pod bluzą roboczą, Pecuchet swój stary surdut pod fartuchem i ludzie przechodzący koło ich płotu słyszeli, jak kaszlą we mgle.

Czasami Pecuchet wyciągał z kieszeni swój podręcznik i studiował w nim jakiś paragraf stojąc, z rydlem obok siebie, w pozie ogrodnika zdobiącego kartę tytułową książki. To podobieństwo bardzo mu nawet pochlebiało. Zwiększył się z tej racji jego szacunek dla autora.

Bouvard stale siedział na wysokiej drabinie przed piramidami. Pewnego dnia dostał zawrotu głowy i bojąc się zejść zawołał na Pecucheta, żeby mu pomógł.

Wreszcie pojawiły się gruszki w ogrodzie przy domu, a w sadzie śliwki. Wtedy użyli przeciw ptakom wszelkich zalecanych forteli. Ale kawałki lustra migotały oślepiająco, klekotka wiatraka budziła ich po nocach, a wróble siadały sobie na „strachu”. Zrobili drugiego, a nawet trzeciego, zmieniając im stroje — nic nie pomogło.

Jednakże mogli się spodziewać pewnej ilości owoców. Pecuchet doręczył właśnie Bouvardowi obliczenie, gdy raptem rozległ się grzmot i lunął deszcz ciężki i gwałtowny. Wiatr co pewien czas wstrząsał całą powierzchnię szpaleru owocowego, podpórki padały na ziemię jedna po drugiej, a nieszczęsne karły kołysząc się ob-tłukiwały nawzajem swe gruszki.

Pecuchet, zaskoczony ulewą, schronił się w budzie ogrodowej. Bouvard tkwił w kuchni. Widzieli, jak wiro-

62

wały przed nimi odłamki drzewa, gałęzie, dachówki; żony marynarzy na wybrzeżu, o dziesięć mil stąd, nie patrzyły na morze z większym natężeniem i nie miały bardziej ściśniętego serca. Potem naraz podpórki i pręty szpalerów wraz z kratami runęły na grzędy.

Co za widok, gdy odbywali oględziny! Wiśnie i śliwki pokrywały trawę wśród topniejących kulek gradu. Odmiany *passe-colmar*, *besi-des-veterans* i *triomphe-de-jordoigne* były stracone. Z jabłek zaledwie zostało trochę *bon-papa*; a dwanaście *teton-de-Venus* i cały zbiór brzoskwiń wały się w kałużach przy wyrwanych z korzeniami krzakach bukszpanu.

Po obiedzie, przy którym bardzo mało jedli, Pecuchet rzekł łagodnie:

— Dobrze byłoby zajrzeć na fermę, zobaczyć, czy się co nie stało?

— Ba! Żeby znaleźć jeszcze powody do zmartwienia!

— Być może! Bo nie mamy za grosz szczęścia. I skarżyli się na Opatrzność i na przyrodę.

Bouvard, z łokciem na stole, jakby cicho pogwizdywał po swojemu; a że nowe bóle ożywiają stare, przypomniały mu się dawne projekty rolnicze, szczególnie fabrykacja mączki kartoflanej i nowy gatunek sera.

Pecuchet oddychał hałaśliwie i pchając sobie do nozdrzy niuchy tabaki marzył, że gdyby los tak chciał, byłby teraz członkiem Towarzystwa Rolniczego, zajmowałby poczesne miejsce na wystawach, byłby cytowany w gazetach.

Bouvard rozglądał się dokoła' smutnymi oczami.

— Dalibóg! Mam ochotę pozbyć się tego wszystkiego i przenieść się gdzie indziej!

— Jak chcesz — rzekł Pecuchet. A po chwili:

— Autorzy zalecają nam zmieniać kierunek krążenia soków. Soki przez to napotykaają na przeszkody i drzewo nieuchronnie cierpi na tym. Żeby się dobrze czuło, musiałoby przestać owocować. Tymczasem te, których się nie przycina i nigdy nie nawozi, rodzą owoce, prawda że nie tak duże, ale smaczniejsze. Niech mi kto powie, dlaczego tak jest! I nie tylko każdy gatunek wymaga specjalnych zabiegów, ale jeszcze każdy osobnik, zależnie od klimatu, temperatury, różnych rzeczy! Gdzie jest

63

reguła w takim razie? I jakąż możemy mieć nadzieję na jakiegokolwiek powodzenie czy zysk?

Bouvard mu odpowiedział:

•—• Zobaczysz u Gasparina, że zysk nie może przekraczać jednej dziesiątej kapitału. Więc lepiej umieścić ten kapitał w banku. Po piętnastu latach przez składane procenty będzie się miało podwojony kapitał bez wysiłania się.

Pecuchet pochylił głowę.

— Hodowla drzew owocowych może być po prostu błagą!

— Jak agronomia! — zareplikował Bouvard. Następnie oskarżyli siebie o to, że byli nadmiernie ambitni, i postanowili oszczędzać odtąd i trud swój, i swoje pieniądze. W sadzie wystarczy wycinanie od czasu do czasu gałęzi. Szpalery na kratach zostaną zniesione; nie będą zastępować nowymi drzew uschniętych lub obalonych; potworzą się, co prawda, bardzo brzydkie luki, jeśli się nie zniszczy wszystkich pozostałych. Jak z tego wybrnąć?

Pecuchet zrobił szereg planów posiłkując się cyrkami. Bouvard dawał mu rady. Nie osiągnęli nic zadawalającego. Na szczęście znaleźli w swej bibliotece dzieło Boitarda *, zatytułowane *l'Architecte des Jardins*.

Autor dzieli ogrody na nieskończoność rodzajów. Jest naprzód rodzaj melancholijno-romantyczny, który wyróżnia się nieśmiertelnikami, ruinami, grobowcami i jakimś „wotum dla Madonny wskazującym miejsce, gdzie można pan padł od sztyletu mordercy”. Rodzaj straszliwy komponuje się z wiszących skał, strzaskanych drzew, spalonych chat; rodzaj egzotyczny, sadząc opuncje peruwiańskie, „żeby wywoływać wspomnienia u osadnika lub podróżnika”. Rodzaj poważny winien posiadać, jak Ermenomdille *, świątynię poświęconą filozofii. Obeliski i łuki triumfalne charakteryzują rodzaj majestatyczny; mech i grotty — rodzaj tajemniczy; jezioro — rodzaj marzycielski. Jest nawet rodzaj fantastyczny, którego najpiękniejszy okaz można było podziwiać od niedawna w pewnym ogrodzie wirtemburskim, gdyż spotykano tam kolejno dzika, pustelnika, dużo grobów i łódź, która sama odbijała od brzegu, żeby przewieźć

64

gościa do buduaru, gdzie go oblewały wodotryski, skoro tylko spoczął na sofie.

Bouvard i Pecuchet byli olśnieni tym horyzontem wspaniałości. Rodzaj fantastyczny wydał im się zarezerwowany dla książąt. Świątynia filozofii zajęłaby zbyt dużo miejsca. Wotum dla Madonny nie miałyby znaczenia wobec braku morderców; i trudno, nie sprawią przyjemności osadnikom i podróżnikom: rośliny amerykańskie są za drogie. Ale skały były możliwe, zarówno jak strzaskane drzewa, nieśmiertelniki i mech, i w potęgującym się zapale, po wielu próbach i wahaniach, przy pomocy jednego tylko parobka i za psi grosz urządzili sobie siedzibę nie mającą podobnej w całym departamencie.

Otwarty tu i ówdzie szpaler grabowy wychodził na gaj, pelen krętych ścieżek na modłę labiryntu. W murze szpaleru owocowego chcieli zrobić łuk, który by odsłaniał perspektywę. Ponieważ obdaszek łuku nie mógł się utrzymać w powietrzu, pozostała w murze ogromna wyrwa z rumowiskiem na ziemi. Poświęcili szparagi, żeby zbudować na tym miejscu grobowiec etruski, to znaczy czworobok z

czarnego gipsu, sześć stóp wysoki, wyglądający jak wielka psia buda. Monument ten miał cztery jodełki po rogach; będzie go jeszcze ozdobiła urna na wierzchu i napis.

W innej części ogrodu warzywnego rodzaj mostu Rial-to * spinał łukiem basen o brzegach wykładanych muszlami omułków*. Ziemia wypijała wodę, to nic! Utworzy się samo dno gliniaste, które ją zatrzyma.

Buda ogrodowa została przeobrażona w wiejską chatę dzięki kolorowym szybom.

Na szczycie kopca w końcu ogrodu sześć drzew ociosanych w kwadrat podpierają kapelusze z blachy o zadartych szpicach i to wszystko oznaczało pagodę chińską.

Byli nad brzegami Orny wybierać granity, połupali je, ponumerowali, przywieźli sami na wozie, potem połączyli kawały cementem kładąc jedne na drugich i pośrodku trawnika wznosiła się skała podobna do gigantycznego kartofla.

Czegoś jeszcze brakowało do uzupełnienia harmonii. Ścięli największą lipę (w trzech czwartych zresztą uschniętą) i położyli ją w poprzek całego ogrodu w taki

5 — Bouvard i Pecuchet

65

sposób, że można było sądzić, iż przyniósł ją wzburzony potok lub powalił piorun.

Po skończonej pracy Bouvard, który znajdował się na stopniach głównego wejścia, krzyknął z daleka:

— Chodź tutaj! Lepiej widać!

— Lepiej widać — powtórzono w powietrzu. Pecuchet odpowiedział:

— Idę tam!

— De tam!

— Słyszysz, echo!

— Echo!

Lipa dotychczas nie dawała echu się tworzyć, a sprzyjała mu pagoda stojąca na wprost stodoły, której koń-czasty szczyt górował nad aleją grabową.

Żeby wypróbować echo, bawili się rzucaniem zabawnych słów; Bouvard ryknął kilka łobuzerskich, sprośnych.

Był kilka razy w Falaise, pod pretekstem odbioru pieniędzy, i wracał stamtąd zawsze z małymi paczkami, które zamykał w komodzie. Pecuchet wyszedł z domu pewnego ranka, żeby się udać do Bretteville, i wrócił bardzo późno z koszykiem, który schował pod łóżko.

Nazajutrz z samego rana Bouvard był mocno zdziwiony. Dwa pierwsze cisy głównej alei, które jeszcze wczoraj były kuliste, miały kształt pawia, a metalowy rożek z dwoma guzikami z porcelany wyobrażał dziób i oczy. Pecuchet wstał skoro świt i drżąc, żeby przyjaciel go nie wykrył, wystrzygł te dwa drzewa podług wzorów nadesłanych mu przez Dumouchela.

Od sześciu miesięcy inne cisy za tymi dwoma naśladowały lepiej lub gorzej piramidy, sześciany, cylindry, jelenie lub fotele, ale nic nie dorównywało pawiom. Bouvard przyznał to z wielkimi pochwałami.

Pod pozorem, że zostawił tam swój szpadel, zaciągnął towarzysza do labiryntu, bo skorzystał z nieobecności Pecucheta, żeby również stworzyć coś wspaniałego.

Brama wiodąca w pole była pokryta warstwą gipsu, na której tkwiło w pięknych, równych rzędach pięćset lulek fajkowych wyobrażających Abd-el-Kadera*, Murzynów, nagie kobiety, końskie kopyta i trupie głowy.

— Pojmujesz moją niecierpliwość?

— No chyba!

*

68

I ze wzruszenia uściskali się.

Jak wszyscy artyści, czuli potrzebę oklasków i Bou-yardowi przyszło na myśl wydać wielki obiad.

— Strzeż się! — rzekł Pecuchet. — Wdasz się w przyjęcia. To dziurawy worek!

Sprawa została jednak postanowiona.

Odkąd mieszkali tutaj, trzymali się na uboczu. Wszyscy, pragnąc ich poznać, przyjęli zaproszenie i tylko hrabia de Fayerges, wezwany do stolicy w interesach, nie mógł przybyć. Zadowolili się

panem Hurelem, jego totumfackim.

Beljambe, oberżysta, były kucharz z Lisieux *, miał gotować niektóre dania. Dostarczył służącego. Gerwa-zowa wzięła do pomocy dziewczynę od drobiu. Marianna, służąca pani Bordin, też miała przyjść. Od godziny czwartej brama wjazdowa była rozwarta na oścież i dwaj gospodarze niecierpliwiąc się oczekiwali gości.

Hurel zatrzymał się w alei bukowej, by włożyć zdjęty w drodze surdut. Potem zjawił się proboszcz w nowej sutannie i w chwilę potem pan Foureau, zadając szyku aksamitną kamizelkę. Doktor szedł pod rękę z żoną idącą z trudem i zasłaniającą się parasolką. Fala różowych wstążek trzepotała się za nimi; był to czepeczek pani Bordin ubranej w piękną jedwabną suknię koloru *gorge-de-pigeon* *. Złoty łańcuch zegarka dyndał na jej piersiach, a pierścionki błyszcząły na obu rękach okrytych czarnymi rnitynkami. Wreszcie ukazał się notariusz w panamie na głowie, z monoklem w oku, gdyż urzędnik sądowy nie przygaszał w nim światowca.

Salon był tak wyfroterowany, że nie można tam było utrzymać się na nogach. Osiem foteli krytych Utrechtem stało rzędem pod ścianą; okrągły stół pośrodku dźwigał na sobie serwis do likierów i można było nad kominkiem oglądać portret ojca Bouvarda. Zmatowiałe miejsca występowały pod światło i wywoływały grymas na ustach, zeza w oczach, a trochę pleśni na policzkach powiększało złudnie faworyty. Goście widzieli w nim podobieństwo do syna, a pani Bordin dodała patrząc na Bouvarda, że musiał to być bardzo piękny mężczyzna.

Po godzinnym oczekiwaniu Pecuchet oznajmił, że można przejść do jadalni.

Firanki z białego perkalu z czerwoną oblamką były,

67

tak jak w salonie, szczelnie zsunięte przed oknami i słońce przechodząc przez tkaninę rzucało płowe światło na ściany, które miały za całą ozdobę barometr.

Bouvard posadził obie damy obok siebie; Pecuchet miał mera po lewej ręce, proboszcza po prawej, i rozpoczęto od ostryg. Czuć je było szlamem. Bouvard był strapiony, szafował przeprosinami, a Pecuchet wstał, żeby iść do kuchni zrobić awanturę Beljambe'owi.

Podczas całego pierwszego dania, złożonego z fląder we francuskim cieście i gołębi w potrawce, rozmowa toczyła się na temat fabrykacji jabłecznika.

Następnie poruszono sprawę pokarmów strawnych i niestrawnych. Oczywiście pytano o opinię doktora. Ów wydawał sądy ze sceptycyzmem, jak człowiek, który dotarł do dna wiedzy, a zarazem nie znosił najmniejszego sprzeciwu.

Jednocześnie z rostbefem podano burgunda. Był mętny. Bouvard, przypisując ten wypadek nieuważnemu płukaniu butelki, otworzył trzy inne z takim samym powodzeniem, po czym nalał Saint-Julien, oczywiście za młode, i wszyscy goście zamilkli. Hurel uśmiechał się cały czas; ciężkie kroki służącego rozlegały się po posadzce.

Pani Vaucorbeil, przysadzista, o wyglądzie gderliwej baby (była zresztą w ostatnim okresie ciąży), zachowała absolutne milczenie. Bouvard nie wiedząc, o czym z nią rozmawiać, mówił jej o teatrze w Caen.

— Moja żona nigdy nie chodzi do teatru — odrzekł doktor.

Pan Marescot, gdy mieszkał w Paryżu, bywał tylko w Operze Włoskiej *.

— Ja — rzekł Bouvard — fundowałem sobie czasem krzesło w Wodewilu *, by posłuchać kawałów!

Foureau zapytał pani Bordin, czy lubi kawały.

— To zależy, jakiego rodzaju — rzekła.

Mer dokuczał jej. Odcinała mu się. Następnie wskazała przepis na korniszony. Zresztą jej talenty gospodarskie były znane i miała folwarczek znakomicie prowadzony.

Foureau zagadnął Bouvarda:

— Czy pan ma zamiar sprzedać swoją fermę?

— Mój Boże, jak dotychczas, nie wiem doprawdy...

— Jak to! Nawet działkę des Ecalles nie? — rzekł

notariusz — to by pani dogadzało, pani Bordin. Wdowa odparła z minoderią: __. Warunki pana Bouvarda byłyby zbyt twarde.

- Można by go może zmiękczyć.
- Nie będę próbowała.
- No! A gdyby go pani pocałowała?
- Spróbujmy w każdym razie — rzekł Bouvard.

I pocałował ją w oba policzki przy brawach całego towarzystwa.

Prawie zaraz potem otworzono szampana; strzelanie korków spotęgowało uciechę. Pecuchet dał znak, firanki się rozsunęły i ogród uka:;ał się oczom gości.

Było to w zmierzchu coś przerażającego. Skała, jak góra, zajmowała trawnik, grobowiec etruski tworzył sześcian wśród zagonów szpinaku, most wenecki — daszek w kształcie znaku *accent circonflexe* * nad fasolą, a chata, w głębi, wielką czarną plamę, bo podpalili na niej strzechę, by stała się bardziej poetyczna. Cisy, w kształcie jeleni lub foteli, ciągnęły się aż do powalonego drzewa, które leżało w poprzek ogrodu od szpaleru do altany, gdzie pomidory zwisały jak stalaktyty. Tu i ówdzie wystawiał swój żółty dysk słonecznik. Pagoda chińska, pomalowana na czerwono, wyglądała na kopcu jak latarnia morska. Metalowe dzioby pawie w blaskach zachodzącego słońca odbijały wzajem swoje blaski, a za sztachetami, pomiędzy których tarcice już usunięto, zupełnie płaska równina zamykała widnokrąg.

Zdumienie gości wywołało w Bouvardzie i Pecuchecie prawdziwą rozkosz.

Pani Bordin podziwiała zwłaszcza pawie; ale grobowiec nie został zrozumiany, ani spalona chata, ani mur w ruinach. Potem każdy kolejno przeszedł przez most. Żeby napełnić basen, Bouvard i Pecuchet całe rano wozili wodę. Uciekła między kamieniami dna, źle spojonymi, i szlam je pokrywał.

Spacerując pozwalano sobie na krytykę: *\$JL

— Na pańskim miejscu zrobiłbym tak. Grosze!; cukrowy jest spóźniony. Ten zakątek, szczerze mówiąc, nie jest czysty. W ten sposób obcinając drzewa nigdy panowie, nie doczekacie się owoców.

Bouvard był zmuszony odpowiedzieć, że na owoce gwizdże. Gdy goście przechodzili obok szpaleru, rzekł z filuterną miną:

— Ach! Oto osoba, której przeszkadzamy; najmocniej przepraszam!

Żart nie wywołał oddźwięku. Wszyscy znali damę z gipsu.

Wreszcie, po kilku zakrętach w labiryncie, całe towarzystwo doszło do bramy z fajkami.

Wymienione spojrzenia wyrażały osłupienie. Bouvard obserwował twarze swych gości i pragnąc czym prędzej poznać ich zdanie rzucił: ;,;' — Cóż państwo na to?

Pani Bordin parsknęła śmiechem. Wszyscy zrobili to sarno, proboszcz wydawał takie dźwięki, jakby gdał, Hurel kasłał, doktor zaśmiewał się do łez, jego żonę chwycił spazm nerwowy, a Foureau, człowiek bez skrupułów, wyłamał jednego Abd-el-Kadera i wsunął go sobie do kieszeni, na pamiątkę.

Gdy wyszli ze szpaleru, Bouvard, żeby zadziwić zaproszone osoby echem, krzyknął z całych sił:

— Sługa pań!

Nic! Echa nie było. To miało związek z przeróbką stodoły, gdzie kończasty szczyt i dach zostały zburzone. Kawa została podana na kopcu i panowie mieli właśnie zacząć partię kręgli, gdy ujrzeli naprzeciwko, za płotem, jakiegoś człowieka, który im się przyglądał.

Był chudy i opalony, w porwanych czerwonych spodniach i niebieskiej kurtce, bez koszuli, z czarną brodą ostrzyżoną w szczotkę; wymówił chrapliwym głosem:

— Dajcie mi szklankę wina!

Mer i ksiądz Jeufroy poznali go od razu. Był to dawny stolarz z Chavignolles.

— No, Gorju! Odejdźcie — rzekł pan Foureau — nie należy żebrać.

— Ja? Żebrzę! ••• zawołał z pasją człowiek. — Siedem lat wojowałem w Afryce. Wyszedłem ze szpitala. Nie mam pracy! Czy mam mordować, do jasnej cholery!

Gniew jego jakoś sam opadł; oparłszy pięści o biodra patrzył na mieszczuchów melancholijnie i szydęro. Trudy wojenne, absynt i febra, cała egzystencja w nędzy i pijaństwie wyzierała z jego zmęczonych oczu.

Blade wargi drżały mu odsłaniając dziąsła. Zalane purpurą niebo rzucało na niego krwawy blask i

jego upór, żeby stał tutaj, budził jakiś strach.

Bouvard, by położyć temu kres, poszedł po niedopitą butelkę. Włóczęga wypróżnił ją chciwie, po czym znikł w owsie gestykując.

Teraz zganiono pana Bouvarda. Tego rodzaju uprzejmości sprzyjały nieporządkom. Ale Bouvard, zirytowany niepowodzeniem swego ogrodu, wziął lud w obronę; wszyscy mówili jednocześnie.

"Foureau wysławiał rząd, Hurel nie widział na świecie nic poza własnością ziemską. Ksiądz Jeufroy skarżył się, że nie chroni się religii. Pecuchet zaatakował podatki. Pani Bordin wołała co pewien czas:

— Ja tam przede wszystkim nie cierpię Republiki. ' A doktor opowiedział się za postępem:

— Gdyż ostatecznie, proszę pana, potrzeba nam reform.

— Możliwe! — odparł Foureau — ale wszystkie te idee szkodzą interesom.

— Gwiżdżę na interesy! — zawołał Pecuchet. Vaucorbeil ciągnął dalej:

— Przynajmniej dajcie nam nowe uprawnienia. Bouvard nie szedł tak daleko.

— Tak pan sady? — odparł doktor. — Znamy pana! Dobranoc! I życzę panu potopu, żeby pan mógł żeglować po swoim basenie!

— Ja też już idę — rzekł po chwili pan Foureau.

I wskazując kieszeń, gdzie schował Abd-el-Kadera, dodał:

— Jak będę potrzebował jeszcze jednego, to przyjdę. Proboszcz przed pożegnaniem zwierzył się nieśmiało

Pecuchetowi, że nie uważa za stosowne to wystawienia grobowca wśród warzyw. Hurel odchodząc pokłonił się bardzo nisko towarzystwu. Pan Marescot zniknął po deserze.

Pani Bordin powróciła do szczegółów swych korniszonów, obiecała drugi przepis, na śliwki w spirytusie, i jeszcze zrobiła trzy tury po głównej alei; ale przechodząc koło powalonej lipy zaczęła o nią suknią i usłyszeli, jak mruknęła do siebie:

— Boże! Co za głupi pomysł z tym drzewem!

Aż do północy dwaj amfitrioni * siedząc w altanie dawali ujście swemu rozżaleniu.

Zapewne, można było obiadowi zarzucić to i owo, dwa czy trzy drobiazgi; ale przecież goście jedli jak wilki — dowód, że nie był znów taki zły. Ale co do ogrodu, tyle złośliwości pochodziło z najczarniejszej zawiści; i rozpalając się obaj wyliczali:

— Ha! Wody brak w basenie! Cierpliwości, będzie tam nawet łabędź i ryby!

— Ledwie zauważyli pagodę!

— Twierdzić, że ruiny nie są czyste, to jest sąd!

•— A grobowiec czymś niestosownym! Dlaczego niestosownym? Czyż nie ma się prawa zbudować grobowca w swej posiadłości? Chcę nawet, żeby mnie tam pochowano!

— Nie mów o tym! — rzekł Pecuchet. Potem zrobili przegląd gości.

— Lekarz wygląda mi na porządnego pozera!

— Czyś zauważył, jak Marescot drwiąco się uśmiechał przed portretem?

— Co za cham z tego mera! Gdy się jest u kogoś na obiedzie, szanuje się, do diabła, osobliwości domu.

— Pani Bordin? — rzekł Bouvard.

— Ech! To intrygantka! Daj mi spokój.

Zrażeni do ludzi postanowili nie widywać się więcej z nikim, żyć wyłącznie u siebie, dla siebie, I po całych dniach siedzieli w piwnicy oczyszczając butelki od kamienia winnego, politurowali wszystkie meble, zaprawiali podłogi w pokojach; co wieczór, wpatrzeni w płonące na kominku polana, rozprawiali o najlepszym systemie ogrzewania.

Dla oszczędności próbowali sami wędzić szynki, polewać bieliznę ługiem. Gerwazowa, której przeszkadzali w robocie, wzruszała ramionami. W porze smażenia konfitur rozgniewała się na dobre i wynieśli się do piekarni.

Była to dawna pralnia, gdzie pod stosem chrustu znajdowała się wielka kadź wmurowana, doskonale nadająca się do ich projektów, powzięli bowiem ambitny zamiar fabrykowania konserw.

Czternaście słoików zostało napelnionych pomidorami. i groszkiem zielonym; korki zakitowali

niegaszonym wapnem z serem, obwiązali paskami płótna i pogrążyli „e wrzátku. Woda wyparowywała; doleli zimnej; od różnicy temperatury słoje popękały. Tylko trzy ocalały. Następnie wystarali się o stare puszkę od sardynek, włożyli tam kotlety cielęce i zanurzyli je w podwójnej wanience do parzenia. Kotlety wyszły z tej kąpieli okrągłe jak balony; oziębienie spłaszczy je. Prowadząc dalej doświadczenie zamknęli w innych puszkach jaja, sałatę z cykorii, homara, rybę w winnym sosie, zupę! I wieszowali sobie, jak pan Appert,* „utrwalenia pór roku”; tego rodzaju odkrycia, według Pecucheta, były ważniejsze od czynów zdobywców. Udoskonalili marynaty pani Bordin z jarzyn i owoców w occie, wzmacniając ocet pieprzem; a ich śliwki w wódce były o wiele lepsze! Otrzymywali przez mace-rowanie nalewki z malin i z piołunu. Dodając miodu i dzięgielu do beczki z winem z Bagnols, chcieli zrobić malagę; przedsięwzięli również fabrykację szampana! Butelki wina chablis, pomieszanego z moszczem winnym, porozsadzało. Wówczas nie mieli już wątpliwości, że z szampanem pójdzie dobrze. Rozwijając swe studia doszli do tego, że podejrzewali fałszowanie we wszystkich artykułach spożywczych.

Szykanowali piekarza co do koloru jego chleba. Zrobili sobie wroga z kupca kolonialnego twierdząc, że podrabia czekoladę. Pojechali do Falaise po jujube * i w oczach aptekarza poddali jego pastę działaniu wody. Przyjęła wygląd skórki słoniny, co dowodziło, że jest w niej żelatyna. Po tym triumfie rozparła ich duma. Kupili inwentarz pewnego zbankrutowanego destylatora i niebawem przybyły do ich domu sita, baryłki, leje, warzáchwie. filtry i wagi, nie licząc cebrzyka z kulą i alembiku, którego system, wymagał pieca płomiennego z kapą u komina.

Nauczyli się klarować cukier i zapoznawali się z różnymi metodami gotowania go — gotowanie na nitkę, gotowanie na kryształ itd. Ale pilno im było puścić w ruch alembik; i wzięli się do fabrykacji likierów, rozpoczynając od anyżówki. Płyn prawie zawsze miał w sobie wyraźne resztki składników albo przylepiały się one do dna; kiedy indziej destylatorzy mylili się w dozowaniu. Dokoła nich błyszczały dwie miedziane misy z uchami, retorty wysuwały swe spiczaste dzioby, rondelki wisiały na ścianie. Często jeden z nich przebierał zioła na stole, a drugi wprawiał w ruch wahadłowy kulę w wiszącym cebrzyku; manipulowali łyżkami, próbowali mieszanin.

Bouvard, zawsze spocony, miał na sobie tylko koszule i spodnie podciągnięte na krótkich szelkach aż do dołka sercowego; ale roztargniony jak ptak, to zapominał o diafragmie * w kukurbitie *, to utrzymywał zbyt silny ogień.

Pecuchet mamrotał obliczenia nieruchomy, w swej długiej bluzie w rodzaju fartucha dziecinnego z rękawami; i uważali siebie za ludzi bardzo poważnych, zajętych pożytecznymi rzeczami.

Wreszcie wymarzyli sobie wytwórny likier, który miał zakasować wszystkie likiery na świecie. Będzie w nim kolender * jak w kminkówce, wiśniak jak w ma-raskinie *, hyzop * jak w *chartreuse* *, piżmak jak w likierze *vespetro* *, zioło *calamus aromaticus* jak w kram-bambuli * i będzie zabarwiony na czerwono drzewem sandałowym. Ale pod jaką nazwą wypuścić go na rynek? Gdyż trzeba było dać nazwę łatwą do zapamiętania, a jednak niezwykłą. Po długich poszukiwaniach postanowili, że będzie się nazywał „Bouyarina”.

Pod koniec jesieni pojawiły się plamy w trzech słojach z konserwami. Pomidory i groszek zielony były zgniłe. Przyczyną musiało być nieodpowiednie zamknięcie. Problem zamykania konserw zaczął ich teraz dręczyć. Na próbowanie nowych metod brak było pieniędzy. Ferma była dla nich utrapieniem.

Niejednokrotnie zgłaszali się dzierżawcy. Bouvard nie chciał ich. Jego pierwszy fernal uprawiał ziemię według rozkazów właściciela, z niebezpieczną oszczędnością, tak iż zbiory zmniejszały się, wszystko chyliło się do upadku; i właśnie rozmawiali o swych kłopotach, gdy do laboratorium wszedł Gouy eskortowany przez żonę trzymającą się z tyłu nieśmiało.

Dzięki wszystkim zabiegom, jakie stosowano, grunta się poprawiły i on przyszedł wziąć znowu fermę w dzierżawę. Ale obniżał jej wartość. Minio wszystkich ich prac zysk był wątpliwy; słowem, jeżeli pragnął tej fermy, to z przywiązania do tych stron i do tak dobrych dziedziców. Odprawiono go chłodno. Powrócił tego samego wieczora.

Pecuchet robił wymówki Bouvardowi i teraz zanosilo się na ustępstwa. Gouy zażądał

zmniejszenia czynszu; a że druga strona się oburzyła, zaczął ryczeć raczej niż mówić, wzywając Boga na świadka, wyliczając swe trudy, wysławiając zasługi. Kiedy żądano, żeby wymienił swoją cenę, opuszczał głowę zamiast odpowiedzieć. Wówczas jego żona, siedząca przy drzwiach z dużym koszem na kolanach, zaczynała te same zapewnienia, piszcząc ostrym głosem jak zarzynana kura.

Wreszcie kontrakt został ustalony na warunkach trzy tysiące franków rocznie, o jedną trzecią mniej niż dawniej.

Gouy z miejsca zaproponował kupno inwentarza i dialogi się wznowiły.

Oszacowanie obiektów trwało dwa tygodnie, Bou-var d konał ze zmęczenia. Oddał wszystko za sumę tak śmieszną, że Gouy, naprzód wybałuszony oczy, wołając „zgoda!” uderzył go w dłoń. Po czym właściciele, wedle zwyczaju, zaprosili dzierżawcę na poczęstunek do domu i Pecuchet otworzył butelkę swej malagi raczej w nadziei usłyszenia pochwał niż przez hojność.

Ale rolnik rzekł krzywiąc się:

— To jest jak syrop z lukrecji.

Ale jego żona, „żeby zabić smak”, poprosiła o szklankę wódki.

Ważniejsza sprawa ich zajmowała! Wszystkie składniki „Bouvariny” były nareszcie gotowe. Umieścili je w kukurbitach wraz ze spirytusem, rozpalili ogień i czekali. Tymczasem Pecuchet, dręczony niepowodzeniem z malagą, wyjął z szafy blaszane puszki, wyłamał pokrywę pierwszej, potem drugiej, trzeciej. Ciskał je z wściekłością i zawołał Bouvarda.

Bouvard zamknął kran serpentyny, żeby pobiec do konserw. Rozczarowanie było zupełne. Plastry cielęciny wyglądały jak ugotowane podeszwy. Błotnista ciecz zastępowała homara. Nie można było już rozpoznać potrawy z ryby. Na zupie wyrosły grzyby i nieznośny odór zasmrodził laboratorium.

Nagle z hukiem pocisku alembik pękł na dwadzieścia kawałków, które wyleciały aż do sufitu dziurawiąc kociołki, rozplaszczając warząchwie, tłukąc szkło; węgiel rozsypał się, piec był zburzony i nazajutrz Gerwa-zowa znalazła jedną kopystkę na podwórzu. Siła pary rozerwała aparat tym łatwiej, że kukurbita była przymocowana sworzniami do pokrywy z rurą przyjmującą parę.

Pecuchet natychmiast kucnął za kadzią, a Bouvard runął na stołek. Przez dziesięć minut trwali w tej pozycji nie śmiać pozwolić sobie na żaden ruch, bledzi z trwogi, wśród skorup. Kiedy odzyskali mowę, zadali sobie pytanie, co było przyczyną tylu nieszczęść, ostatniego zwłaszcza? I nic z tego wszystkiego nie rozumieli prócz tej jednej rzeczy, iż omal nie zginęli. Pecuchet zakończył rozważania tymi słowami:

— To dlatego, że, być może, nie znamy chemii!

III

Z eby poznać chemię, wystarali się o kurs Regnaulta* i dowiedzieli się przede wszystkim, że „ciała niezłożone są, być może, ciałami złożonymi”. Dzieli się te pierwiastki na metaloidy i metale, różnica, która nie ma w sobie „nic absolutnego”, mówi autor. To samo dla kwasów *i* dla zasad, gdyż „ciało może się zachowywać jak kwasy lub jak zasady, zależnie od okoliczności”. To określenie wydało im się dziwaczne. Proporcje wielorakie zaniepokoiły Pecucheta.

— Skoro drobinka ciała A łączy się z kilku częściami ciała B, zdaje mi się, że ta drobinka powinna się dzielić na tyleż części; ale jeżeli się dzieli, przestaje być jednostką, drobinką pierwotną. Koniec końców, nie rozumiem.

— Ja również! — mówił Bouvard.

I zwrócili się do dzieła mniej trudnego, do podręcznika Girardina*, gdzie nabyli pewności, że dziesięć litrów powietrza waży sto gramów, że ołów nie wchodzi w skład ołówka, że diament jest tylko węglem czystym.

W największe osłupienie wprawilo ich to, że ziemia jako element nie istnieje*.

Zapoznali się z manipulowaniem dmuchawką, dowiedzieli się, co to jest złoto, srebro, pranie bielizny, pobielenie rondli; po czym, bez najmniejszych skrupułów, zabrali się do chemii organicznej.

Co za dziw odnaleźć u istot żyjących te same substancje, z których składają się minerały! Niemniej jednak doznawali pewnego upokorzenia na myśl, że ich osoba zawiera fcsfor jak zapałki, albuminę jak białko jajka, wodór jak latarnie uliczne.

Po barwnikach i tłuszczach przyszła kolej na fermentację.

Zaprowadziła ich do kwasów i prawo równoważników znowu wprowadziło ich w zakłopotanie.

Spróbowali wyjaśnić je sobie za pomocą teorii atomów, co ich ostatecznie pogrążyło.

Żeby pojąć to wszystko, według Bouvarda, należałoby mieć przyrządy.

Wydatek był znaczny, a już ich porobili za dużo.

Ale doktor Vaucorbeil mógł ich niewątpliwie oświecić.

Zjawili się w porze przyjąć.

— Słucham panów! Co panom dolega?

Pecuchet odparł, że nie byli chorzy, i wyłożywszy cel ich wizyty rzekł:

— Pragniemy poznać najpierw „atomowość” wyższą. Lekarz mocno poczerwieniał, potem zganił ich chęć uczenia się chemii.

— Nie przeczę, że jest ona ważna, bądźcie panowie tego pewni! Ale obecnie pchają ją wszędzie! Na medycynę wywiera ona wpływ fatalny.

I powagę jego słów wzmacniał widok znajdujących się tu przedmiotów.

Plastry diachylowe i bandaże poniewierały się na kominku. Skrzynka z narzędziami chirurgicznymi stała na środku biurka, sondy wypełniały miskę w kącie, a przy ścianie stał model człowieka obdartego ze skóry.

Pecuchet powinszował doktorowi tego nabytku.

— To musi być piękna nauka, anatomia.

Dr Vaucorbeil zaczął się rozwódzić nad urokiem, który niegdyś miały dla niego sekcje; a Bouvard zapytał, jaki zachodzi stosunek między trzewiami kobiety a organami wewnętrznymi mężczyzny. Żeby ich zadowolić, lekarz wyjął z biblioteki zbiór plansz anatomicznych.

— Weźcie je, panowie, ze sobą. Obejrzyście je w domu z większą swobodą.

Szkielec zdumiał ich wydatnością szczęki, oczodołami, przerażającą długością rąk. Brak im było tekstów objaśniających; wrócili do pana Vaucorbeila i dzięki podręcznikowi Aleksandra Lautha * nauczyli się podziału kośćca dziwiąc się niesłychanie budowie kręgosłupa szesnaście razy mocniejszego, powiadają, niż gdyby Stwórca uczynił go prostym.

— Dlaczego akurat szesnaście razy?

Kości śródreca były utrapieniem Bouvarda; a Pecuchet, znęcający się nad czaszką, stracił odwagę wobec kości klinowej, mimo że jest podobna do „siodła tureckiego”.

Co do stawów, zbyt wiele wiązań je zasłaniało i wzięli się do mięśni.

Ale przyczepy mięśniowe niełatwo było wykryć i gdy doszli do żłóbków kręgowych, porzucili to zupełnie.

Pecuchet rzekł wówczas:

— Czybyśmy nie wzięli się z powrotem do chemii bodaj po to, żeby wykorzystać nasze laboratorium?

Bouvard zaprotestował i coś mu się przypomniało, że fabrykuje się na użytek anatomii w ciepłych krajach sztuczne trupy.

Barberou, do którego napisał, poinformował go w tej sprawie. Za opłatą dziesięciu franków miesięcznie można było mieć jegomościów wyrobu pana Auzoux * i w następnym tygodniu poczytliwion z Falaise wyładował przed ich bramą podłużną skrzynię.

Przenieśli ją do piekarni, pełni emocji. Gdy odbili wieko, słoma wypadła, bibułki się ześliznęły i ukazał się manekin.

Był ceglastego koloru, bez włosów, bez skóry, upstrzony niezliczoną ilością żyłek niebieskich, czerwonych i białych. To wcale nie było podobne do trupa, raczej do jakiejś zabawki bardzo brzydkiej, bardzo czystej i pachnącej pokostem.

Gdy wyjęli klatkę piersiową, zobaczyli płuca przypominające dwie gąbki, serce wielkości dużego jaja, trochę z boku; w tyle, przeponę, nerki, mnóstwo jelit.

— Do roboty! — rzekł Pecuchet.

Zszedł na niej cały dzień i wieczór.

Nałożyli bluzy, jak to robią medycy w amfiteatrach, i przy świetle trzech świec pracowali nad swymi kawałkami tektury, gdy rozległo się uderzenie pięścią w drzwi: „Otworzyć!”

Był to pan Foureau, za nim strażnik gminny.

Chlebodawcom Gerwazowej strzeliło do głowy, by pokazać jej tę figurę. W te pędy pobiegła do sklepiku opowiedzieć, co widziała, i cała wieś myślała teraz, że ukrywali w swym domu prawdziwego nieboszczyka. Foureau, ustępując przed opinią publiczną, przyszedł upewnić się o fakcie; ciekawi stali na podwórzu.

Gdy wszedł, manekin leżał na boku, a że mięśnie twarzy były odczepione, oko potwornie wysadzone na wierzch miało w sobie coś przerażającego.

— Co pana sprowadza? — rzekł Pecuchet. Foureau wy bąkał:

— Nic, nic takiego.

I biorąc jeden kawałek ze stołu zapytał:

— Co to jest?

— Mięsień policzkowy — odpowiedział Bouvard.

Foureau umilkł, ale uśmiechał się szyderczo, zazdroszcząc im, że mają rozrywką przekraczającą jego kompetencję.

Dwaj anatomowie udawali, że prowadzą dalej swe badania. Ludzie, nudząc się na progu, weszli do piekarni, a że pchano się, stół zadrżał:

— O, tego już za wiele! — zawołał Pecuchet. — Proszę nas uwolnić od publiczności!

Strażnik gminny kazał się gapiom rozejść.

— Bardzo dobrze! — rzekł Bouvard. — Nie potrzebujemy nikogo.

Foureau zrozumiał aluzję i zapytał go, czy mają prawo, nie będąc lekarzami, trzymać u siebie taki obiekt. Napisze zresztą o tym do prefekta.

— Co za kraj! Czy widział kto większych durniów, dzikusów i wsteczników! — Porównanie siebie z innymi pocieszyło ich; pragnęli cierpieć dla wiedzy.

Doktor również ich odwiedził. Skrytykował model jako zbyt daleki od natury, ale skorzystał z okazji, żeby mieć wykład.

Bouvard i Pecuchet byli zachwyceni i na ich życzenie pan Vaucorbeil pożyczył im szereg tomów ze swej biblioteki twierdząc jednakże, iż nie dadzą sobie ze wszystkim rady.

Wynotowali sobie z Dictionnaire des Sciences Medicales* nadzwyczajne przykłady porodu, długowieczności, otyłości i obstrukcji. Jaka szkoda, że nie znali słynnego Kanadyjczyka de Beaumont, żarłoków Tarare i Bijou, kobiety chorej na wodną puchlinę z departamentu Eure, Piemontczyka, który chodził do ustępu raz na dwadzieścia dni, Szymona de Mirepoix, zmarłego z ciałem, zamienionym na kość, i byłego mera z Angou-leme *, którego nos ważył trzy funty!

Mózg wywołał w nich refleksje filozoficzne. Rozróżniali wewnątrz niego doskonale *septum lucidum*, złożone z dwóch płatków, i szyszynkę podobną do czerwonego groszku; ale były tam jeszcze wyrostki i komory, łuki, warstwy, zwoje i włókna różnego rodzaju, i *fora-men* Pacchioniego, i ciało Paciniego, słowem gęstwina nie do rozwikłania, wystarczająca do wypełnienia im całego życia.

Czasami, gdy dostawali od tych studiów zawrotu głowy, rozbierali kompletnie trupa, potem mieli kłopot z włożeniem kawałków na swoje miejsce.

Ta praca była ciężka, zwłaszcza po drugim śniadaniu, i niebawem zasypiali nad nią: Bouvard z opuszczonym podbródkiem i wypiętym brzuchem, Pecuchet z głową w dłoniach, z łokciami na stole.

Nieraz w takiej chwili pan Vaucorbeil, który kończył swe przedpołudniowe wizyty, uchylał drzwi:

— No, koledzy, jakże idzie z anatomią?

— Doskonale — odpowiadali.

Wówczas zadawał im pytania, żeby mieć przyjemność wprawiania ich w kłopot.

Gdy byli zmęczeni jakimś organem, przechodzili do innego, biorąc tym trybem na warsztat i porzucając kolejno serce, żołądek, ucho, jelita, gdyż jegomość z tektury zanudzał ich mimo wysiłków, jakie czynili, by się nim interesować. Wreszcie doktor nadszedł kiedyś w chwili, gdy zabijali nad modelem wieko paki.

— Brawo! Spodziewałem się, że na tym się skończy!

Nie można w ich wieku brać się do takich studiów; uśmiech towarzyszący tym słowom dotknął ich głęboko.

Jakim prawem uważał ich za niezdolnych? Czyż wiedza należy do tego pana? Jak gdyby on sam był osobistością znacznie od innych wybitniejszą!

I przyjmując jego wyzwanie pojechali aż do Bayeux po zakup książek.

Brakowało im znajomości fizjologii i pewien antykwariusz dostarczył im traktatów Richeranda * i Adelona *, słynnych w owych czasach.

Wszystkie komunały o wieku, płci i temperamencie wydały im się niesłychanej wagi; z wielkim zadowoleniem przyjęły do wiadomości, że w osadzie nazębnym są trzy gatunki żyjątek, że siedlisko smaku jest na języku, a uczucie głodu w żołądku.

Żałowali, że — dla lepszego poznania jego funkcji — nie posiadają zdolności przeżuwania, jak ją mieli Montegre *, pan Gosse * i brat Berarda *, i żuli powoli, rozcierali, nasycali śliną, towarzysząc w myśli masie przeżutego pokarmu w swych wnętrznościach, szli za nią aż do jej ostatecznych konsekwencji, z metodycznymi skrupułami, w skupieniu niemal religijnym.

Chcąc wywołać sztucznie proces trawienia umieszczali posiekane mięso we flaszeczce z sokiem żołądkowym kaczki i nosili ją pod pachą dwa tygodnie bez innego wyniku jak to, że cuchnęli.

Widziano ich, jak biegli traktem w mokrych ubraniach, gdy słońce piekło. Robili to, żeby sprawdzić, czy pragnienie ustaje przez zwilżanie wodą naskórka. Wrócili zadyszani i obaj z katarem.

Słyszenie, wymawianie dźwięków, widzenie zostały załatwione szybko i sprawnie; lecz Bouvard szeroko potraktował funkcję płciową.

Powściągliwe zachowanie się Pecucheta w tej materii zawsze go dziwiło. Ignorancja jego wydała mu się tak kompletna, iż przycisnął go do muru, żeby się wytłumaczył, i Pecuchet, zaczerwieniony, wreszcie się przyznał.

Kiedyś kilku znajomych dla kawału wciągnęło go do domu publicznego, skąd uciekł, zachowując siebie dla kobiety, którą będzie kochał. Ta szczęśliwa okoliczność nigdy się nie zdarzyła, tak iż przez fałszywy wstyd, kłopoty pieniężne, lęk przed chorobami, upór, przyzwyczajenie, mając pięćdziesiąt dwa lata i mimo to, że mieszkał w stolicy, posiadał jeszcze dziewiczość.

Bouvard z trudem w to uwierzył, potem śmiał się do rozpuku, ale przerwał widząc łzy w oczach Pecucheta; bo nie brak mu było namiętności, skoro kochał się kolejno w pewnej tancerce na linie, w szwagierce pewnego architekta, w pannie sklepowej, wreszcie w skromnej szwaczuchnie, i małżeństwo z nią miało już być zawarte, gdy zrobił odkrycie, że jest w ciąży od innego mężczyzny.

Bouvard powiedział mu:

— Zawsze można odrobić stracony czas. Nie smuć się, mój kochany. Podejmuję się... jeśli chcesz.

Pecuchet odparł z westchnieniem, że nie ma co już

o tym myśleć; i prowadzili dalej swe studia z fizjologii.

Czy to prawda, że ciało nasze wydziela stale pewną subtelną parę? Dowodem zmniejszanie się wagi człowieka z każdą chwilą. Jeżeli codziennie doda się to, czego brak, i odejmie to, co jest nadwyżką, zachowa się zdrowie w doskonałej równowadze. Sanctorius *, wynalazca tego prawa, przez pięćdziesiąt lat ważył codziennie swe pożywienie wraz ze wszystkimi swymi wydzielinami i sam się ważył, czyniąc przerwę tylko dla zapisywania swych obliczeń.

Spróbowali naśladować Sanctoriusa. Ale że waga nie mogła pomieścić ich obu, rozpoczął Pecuchet.

Rozebrał się, żeby nic nie przeszkadzało perspiracji *,

1 stał na płycie całkiem nagi, demonstrując mimo swej wstydlivości bardzo długi tors podobny

do cylindra, z krótkimi nogami, płaskie stopy i brudną skórę. Obok na krześle jego przyjaciel coś mu czytał.

Uczeni twierdzą, że ciepło żywotne rozwija się przez kurczenie się mięśni i że można wprawieniem w ruch klatki piersiowej i członków miednicowych podnieść temperaturę letniej kąpeli.

Bouvard wyszukał ich wannę i gdy wszystko było gotowe, zanurzył się w niej trzymając termometr.

Szczątki destylarni, wymiecione w kącie izby, tworzyły w cieniu jakby wzgórek. Chwilami słychać było skrobanie myszy; w powietrzu unosił się zastarzały zapach ziół aromatycznych i że czuli się tutaj bardzo dobrze, rozmawiali pogodnie.

Jednak Bouvardowi zaczęło być trochę chłodno.

— Machaj członkami! — rzekł Pecuchet.

Poruszył nimi i nic się nie zmieniło na termometrze.

— Stanowczo jest zimno.

— Mnie też nie jest ciepło — odparł Pecuchet sam

przejęty dreszczem. — Ale machaj swymi członkami miednicowymi! Machaj nimi!

Bouvard rozwierał uda, wykręcał tors, kołysał brzuchem, sapał jak olbrotowiec *, potem patrzył na termometr, który wciąż opadał:

— Nic z tego nie rozumiem! Przecież się ruszam!

— Niedostatecznie!

I wziął się z powrotem do swej gimnastyki. Trwała trzy godziny, gdy raz jeszcze chwycił za termometr.

— Co! Dwanaście stopni! Padam do nóg! Wychodzę! Wszedł pies, mieszaniec doga z wyżłem, o sierści żółtej, parszywy, z wywieszonym językiem.

Co robić? Nie ma dzwonek! A ich służąca była głucha. Dygotali z zimna, ale nie śmieli się poruszyć z obawy, żeby ich nie pokąsał.

Pecuchet uznał za wskazane rzucać groźby wywracając oczyma.

Wówczas pies zaczął szczeleć i skakał dokoła wagi, gdzie Pecuchet, czepiając się kurczowo sznurów i zginając kolana, usiłował wdrzeć się jak najwyżej.

— Nie tak trzeba — rzekł Bouvard.

I jął stroić czule miny do psa, mówiąc miłe słówka.

Pies widocznie je rozumiał. Zaczął się łąsić do Bouvarda, położył mu łapy na ramiona, drapał je pazurami.

— No! Masz ci los! Zabrał mi spodnie! Pies położył się na nich i uspokoił.

Wreszcie, z zachowaniem największych ostrożności, odważyli się jeden zejść z wagi, drugi wyjść z wanny; i gdy Pecuchet się ubrał, wyrwał mu się taki okrzyk:

— Ty, mój jegomościu, posłużysz do naszych doświadczeń!

Jakich doświadczeń?

Można mu było zastrzyknąć fosfor, potem zamknąć go w piwnicy, żeby zobaczyć, czy będzie ział ogniem z nozdrzy. Ale jak zastrzyknąć? A zresztą nie sprzedadzą im fosforu.

Myśleli o tym, żeby go zamknąć pod kloszem z próżnią, dać mu do wdychania gazy, poić go truciznami — wszystko to pewnie nie byłoby zabawne. Wreszcie wybrali magnesowanie stali za pomocą kontaktu z rdzeniem pacierzowym.

Bouvard, hamując emocję, podawał na talerzu igły Pecuchetowi, który je wbijał w kręgi. Łamały się, ześlizgiwały, spadały na ziemię; brał inne i wtykał je szybko, gdzie popadło. Pies zerwał swe więzy, przeleciał jak pocisk armatni przez szyby, minął podwórze, sień i zjawił się w kuchni.

Gerwazowa narobiła krzyku widząc, że jest cały zakrwawiony, ze sznurkami na łapach.

Jej panowie, goniąc zbiega, weszli jednocześnie. Dał susa i zniknął.

Stara służąca ostro im przygadała.

— To jeszcze jedno wariactwo panów, jestem tego pewna. — A moja kuchnia jak wygląda. —

Od tego on może się wściec. Pakują do kryminału nie takich jak panowie.

Wrócili do laboratorium, żeby spróbować igieł.

Ani jedna nie przyciągnęła najmniejszej opiłki.

Potem hipoteza Gerwazowej zaniepokoiła ich. Mógł być wściekły, wrócić zniecka, rzucić się na nich. Nazajutrz poszli zasięgnąć języka i przez kilka lat, gdy szli przez wieś, jak tylko pokazał się pies podobny do tamtego, zbaczali z drogi.

Inne doświadczenia również spaliły na panewce. Wbrew temu, co piszą autorzy, gołębie, którym puszczali krew, czy były z żołądkiem pełnym czy pustym, zdychały w tym samym przeciągu czasu. Kocięta pogrążone w wodzie przestały żyć po pięciu minutach; a gęś, którą opychali marzanną, miała okostną zupełnie białą *.

Nękał ich problem odżywiania.

Jak to się dzieje, że ten sam sok wytwarza kości, krew, limfę i materię fekalną? Toć człowiek nie może śledzić przemian jakiegoś pokarmu. Ten, który używa tylko jednego, jest chemicznie podobny do tego, który wchłania różne. Vauquelin *, obliczywszy wszystko wapno zawarte w owsie kury, odnalazł go więcej w skorupkach zniesionych przez nią jaj.

A więc mamy do czynienia z tworzeniem się substancji. W jaki sposób? Nic o tym nie wiemy. Nie wie się nawet, jaka jest siła serca. Borelli * przyjmuje taką, jakiej trzeba do podniesienia ciężaru wagi sto osiemdziesiąt tysięcy funtów, a Keill * ocenia ją na mniej więcej osiem uncji, z czego Bouvard i Pecuchet wywnioskowali, że fizjologia jest (według starego wyrażenia) romans medycyny. Że nie zdołali jej pojąć, nie wierzyli w nią.

Miesiąc upłynął w bezczynności. Potem pomyśleli o swym ogrodzie.

Ścięte drzewo, zalegające środek ogrodu, było zawadą; porznęli je. To ćwiczenie zmęczyło ich. Bouvard musiał bardzo często nosić narzędzia do kowala, żeby je doprowadzić do porządku. Pewnego dnia, gdy szedł tam, został zaczepiony przez człowieka z płóciennym workiem na plecach, który mu zaproponował almanachy, książki do nabożeństwa, poświęcane medaliki, wreszcie książkę *Manuel de la Sante* napisaną przez Franciszka Raspail *.

Ta broszura tak mu się spodobała, że napisał do Bar-berou, aby mu wysłał największe dzieło tego autora *. Barberou wysłał je i wskazywał w liście aptekę, skąd można by sprowadzić lekarstwa. Jasność doktryny oczarowała ich. Wszystkie dolegliwości pochodzą z robaków. One psują zęby, drążą płuca, rozszerzają wątrobę, pustoszą jelita i wywołują tam burczenie. Najlepszym środkiem do pozbycia się robaków jest kamfora. Bouvard i Pecuchet zastosowali go na sobie. Wąchali ją, gryźli i rozdawali w postaci laseczek, rozdawali także flaszeczki wody uśmierzającej i pigułki z aloesem. Wzięli się nawet do leczenia garbusa.

Było to dziecko, które pewnego dnia spotkali na jarmarku. Jego matka, żebraczka, przyprawiała je do nich codziennie rano. Nacierali mu garb tłuszczem nasyconym kamforą, przykładali na dwadzieścia minut kąpieli z gorzycy, potem pokrywali diachylem * i by mieć pewność, że wróci, dawali mu śniadanie.

Przejęty doktryną glistnic* Pecuchet zauważył na policzku pani Bordin dziwną plamę. Doktor od dawna stosował na to leki gorzkie; okrążyła z początku jak moneta frankowa, plama ta powiększyła się i tworzyła różowy krąg. Chcieli sągiadkę z tego wyleczyć. Zgodziła się, ale żądała, żeby nacierania robił jej Bouvard. Siadała u okna, rozpiniała górną część stanika i nadstawiała policzek patrząc na Bouvarda okiem, które byłoby niebezpieczne, gdyby nie obecność Pecucheta. W dozwolonych dozach i mimo strachu przed rtęcią zastosowali kalomel. W miesiąc potem pani Bordin była uratowana.

Zrobiła im reklamę, i poborca podatków, sekretarz me-rostwa, sam mer, wszyscy w Chavignolles pisali do nich listy.

Jednakże garbus nie prostował się. Poborca porzucił kamforę, wzmagala jego duszności, Foureau skarżył się na pigułki aloesowe —• wywoływały hemoroidy; Bouvard cierpiał na bóle żołądka, a Pecuchet miał okrutne migreny. Stracili zaufanie do Raspaila, ale słowa o tym nikomu nie pisnęli, bojąc się zmniejszenia swej powagi.

I zaczęli się teraz gorliwie zajmować szczepieniem ospy, nauczyli się puszczać krew na liściach kapuścianych, kupili sobie nawet dwa lancety.

Towarzyszili lekarzowi, gdy szedł do biedaków, potem zaglądali do swych książek.

Objawy zanotowane przez autorów nie odpowiadały lym, które niedawno widzieli. Co do

nazw chorób, łacińskich, greckich, francuskich — była to pstra mieszanina wszystkich języków.

Liczy się je na tysiące i klasyfikacja Linneusza * jest bardzo wygodna ze swymi rodzajami i gatunkami; ale jak ustalić gatunki? Teraz zabłądzili na szlaki filozofii medycyny.

Rozmyślali nad archeusem van Helmonta *, nad wi-talizmem *, brownizmem *, organicyzmem *; zapytywali doktora, skąd bierze się zaródź zołzów, w jakie miejsce kieruje się miazmat zakaźny * i jaki jest sposób we wszystkich wypadkach chorobowych odróżnienia przyczyny od jej skutków.

— Przyczyna i skutek płaczą się ze sobą — odpowiadał Vaucorbeil.

Jego brak logiki obmierzył im i odwiedzali chorych sami, dostając się do domów pod pozorem filantropii.

W głębi izb na brudnych materacach leżeli ludzie, którym połowa twarzy zwisała z jednej strony; inni mieli twarz nabrzmiałą i szkarłatną albo koloru cytryny lub też fioletową, ze ściśniętymi nozdrzami, z drżącymi wargami, charczeli, mieli czkawkę, czuć ich było wyziewami garbowanej skóry i starego sera.

Czytali recepty ich lekarzy i byli bardzo zdumieni, że środki uspokajające są niekiedy podniecającymi, a wymiotne przeczyszczającymi, że to samo lekarstwo nadaje się do stosowania w różnych dolegliwościach i że choroba znika pod działaniem zabiegów przeciwnych.

Mimo to dawali rady, podnosili ducha, mieli odwagę opukiwać chorych.

Ich wyobraźnia pracowała. Pojechali do aptekarza w Bayeux i powoli namawiali go do fabrykowania *pila purgatoria*.

Wychodząc z założenia, że obniżenie ciepłoty ciała łagodzi stany zapalne, zawiesili w hotelu u belek pod sufitem kobietę chorą na zapalenie opon mózgowych i huścili ją z całych sił, póki nie wszedł mąż i nie rzucił ich na zbity łeb.

Wreszcie, ku wielkiemu zgorszeniu księdza proboszcza, przyjęli nową metodę wkładania termometru w zadek.

Pojawił się w okolicy dur brzuszny: Bouvard oświadczył, że nie będzie się do tego wtrącał. Ale żona Gouya, ich dzierżawcy, przyszła do nich biadać. Jej chłop był chory od dwóch tygodni, a pan Vaucorbeil zaniedbywał go.

Pecuchet poświęcił się.

Plamy soczewkowate na piersiach, bóle w stawach, brzuch wzdęty, język czerwony — wszystko-to -były-symptomy tyfusu brzuszego. Przypominając sobie 'powiedzenie Raspaila, że skasowanie diety' usuwa gorączkę, zaordynował rosół, trochę mięsa; Raptem zjawił się doktor.

Jego pacjent był w trakcie jedzenia, oparty plecami o dwie poduszki, między żoną dzierżawcy a Pecuchetem, którzy go pokrzepiali.

Podszedł do łóżka i wyrzucił talerz przez okno, wołając:

— To jest istne morderstwo.

— Dlaczego?

— Dziurawi pan jelito, ponieważ tyfus jest uszkodzeniem jego błony śluzowej.

— Nie zawsze.

I wywiązał się spór na temat charakteru gorączek. Pecuchet wierzył, że mają swoją własną istotę. Vaucorbeil uzależniał je od organów.

— Toteż usuwam wszystko, co może wywołać silne podrażnienie.

— Ale dieta osłabia zasadę witalną.

— Co mi pan tu wyjeżdża ze swoją zasadą witalną? Na czym ona polega? Kto ją widział?

Pecuchet zaplątał się w odpowiedzi.

— Zresztą — mówił lekarz — Gouy nie chce jedzenia. — Chory uczynił pod swą bawełnianą szlafmycą ruch potakiwania.

— To nic! Potrzebuje go!

— Przenigdy! Jego tętno ma dziewięćdziesiąt osiem uderzeń.

— Co znaczą uderzenia pulsu?

I Pecuchet wymienił autorytety.

— Dajmy pokój z systemami! — rzekł doktor. Pecuchet skrzyżował ręce na piersiach.

— Więc pan jest empirykiem?

— Bynajmniej! Ale obserwując...

— A jeżeli się źle obserwuje?

Vaucorbeil wziął te słowa za aluzję do liszaju pani Bordin, historii roztrąbionej przez wdowę i drażniącej go, gdy o niej wspominało.

— Przede wszystkim trzeba mieć za sobą praktykę.

— Ci, którzy zrewolucjonizowali wiedzę, nie praktykowali, Van Helmont, Boerhave*, nawet sam Brous-sais*.

Vaucorbeil nie odpowiadając nachylił się nad Gouy' em i podnosząc głos zapytał:

— Kogo z nas dwóch wybiera pan na swego lekarza? Chory, wyrwany z drzemki, zobaczył przy sobie rozgniewane twarze i zaczął płakać.

Żona jego również nie wiedziała, co odpowiedzieć; bo jeden był lekarzem z profesji, ale drugi być może posiadał jakiś sekret?

— Doskonale! — rzekł Vaucorbeil. — Skoro wahacie się w wyborze między człowiekiem posiadającym dyplom...

Pecuchet parsknął śmiechem:

— Czego pan się śmieje?

— Bo dyplom nie zawsze jest argumentem!

Te słowa zaatakowały źródła dochodu lekarza, jego prerogatywy, jego pozycję socjalną.

Wybuchnął:

— Zobaczmy się, gdy pan stanie przed sądem za bezprawne wykonywanie zawodu lekarskiego!

Potem zwrócił się do dzierżawczyni:

— Chce pani, żeby go ten pan zabił, proszę bardzo, i niech mnie szlag, trafi, jeśli kiedykolwiek pokaże się jeszcze w tym domu!

I zanurzył się w alei bukowej, wymachując laską.

Powróciwszy do domu Pecuchet zastał Bouvarda w wielkim niepokoju.

Przed chwilą był u niego Foureau, rozdrażniony do ostateczności swymi hemoroidami. Na próżno Bouvard twierdził, że zabezpieczają one przed wszystkimi chorobami. Foureau nic nie słuchając zagroził mu procesem o odszkodowanie. Bouvard tracił głowę.

Pecuchet opowiedział mu swoją historię z tyfusem, którą uważał za znacznie poważniejszą, i był nieco dotknięty obojętnością przyjaciela.

Gouy nazajutrz miał bóle w dolnej części brzucha. Mogły być wywołane wprowadzeniem pokarmu do żołądka. Może Vaucorbeil nie omylił się? Lekarz, bądź co bądź, musi się na tym znać! I wyrzuty sumienia osaczyły Pecucheta. Bał się, że jest zabójcą.

Dla wszelkiej pewności rozstali się z garbusem. Ale z powodu śniadania, które mu przepadało, jego matka pyskowała. Nie warto było ściągać ich codziennie z Bar-neval do Chavignolles!

Foureau uspokoił się, a Gouy odzyskiwał siły. Teraz wyzdrowienie było pewne. Taki sukces ośmielił Pecucheta.

— A gdybyśmy tak zajęli się położnictwem, posługując się takim modelem...

— Dosyć modeli.

— To są takie skórzane półkorpusy wynalezione dla kobiet kształcących się na akuszerki. Zdaje mi się, że potrafiłbym odwrócić płód!

Ale Bouvardowi obrzydła medycyna.

— Czynniki życia są przed nami ukryte, dolegliwości zbyt liczne, leki problematyczne, a w dziełach medycznych nie znajdujemy żadnego rozumnego określenia zdrowia, choroby, skłonności do pewnych niedomagań, nawet definicji ropy!

Jednakże cała ta lektura zachwiała ich rozumem.

Bouvard mając katar wyobraził sobie, że to początek zapalenia płuc. Gdy pijawki nie zmniejszyły klucia w boku, zastosował wezykatorię *, której działanie przeniosło się na nerki. Wówczas myślał, że to atak kamicy nerkowej.

Pecuchet nabawił się łamania w krzyżu przy obcinaniu gałęzi szpaleru i dostał po obiedzie torsji, co go mocno przeraziło; potem widząc, że ma cerę trochę żółtą, przypisał to chorobie wątroby, zadawał sobie pytanie:

— Czy mam bóle?

I w końcu dostał ich.

Razem się trapiąc oglądali sobie języki, macali puls, zmieniali wodę mineralną, brali na przecyszczenie i bali się zimna, gorąca, wiatru, deszczu, much, a przede wszystkim przeciągów. Pecuchet wyobraził sobie, że zażywanie tabaki jest zgubne. Zresztą kichnięcie wywołuje czasem porażenie serca; porzucił więc tabakierkę. Z przyzwyczajenia zanurzał w niej palce; potem raptem przypominał sobie swą nieostrożność.

Ponieważ czarna kawa działa podniecająco na nerwy, Bouvard chciał zrezygnować ze swej małej filiżanki po jedzeniu; ale sypiał po posiłkach i budził się ze strachem, gdyż zbyt długi sen grozi apopleksją.

Idealem ich był Cornaro *, ów szlachcic wenecki, który dzięki metodzie odżywiania się dożył późnej starości.

Nie naśladować go ściśle, można jednak zachować te same środki ostrożności i Pecuchet wydobyl ze swej biblioteki podręcznik higieny doktora Morina.

Jak to się stało, że dożyli swojego wieku? Potrawy, które lubili, były w tej książce zabronione.

Gerwazowa, zakłopotana, nie wiedziała teraz, co im gotować.

Wszystkie gatunki mięsa mają swe ujemne strony. Kiszka i wędliny, wędzony śledź, homar i dziczyzna są „oporne”. Im ryba jest większa, tym więcej zawiera żelatyny i wskutek tego jest ciężka. Jarzyny wywołują kwaśne odbijanie, po zjedzeniu makaronu ma się przykre sny, sery „na ogół biorąc są ciężkostrawne”. Szklanka wody rano jest „niebezpieczna”. Każdy napój czy artykuł spożywczy był opatrzony podobnym ostrzeżeniem lub takimi słowy: „Złe! — Strzeżcie się nadużywania! Nie nadaje się dla każdego!” Dlaczego złe? W czym jest nadużycie? Jak wiedzieć, że dana rzecz jest dla kogoś odpowiednia?

Jakim problemem stawało się śniadanie! Wyrzekli się kawy z mlekiem wobec jej fatalnej reputacji, a potem czekolady; jest to bowiem „nagromadzenie niestrawnych substancji”.

Zostawała więc herbata. Ale „osoby nerwowe winny odmówić jej sobie kompletnie”. Tymczasem Decker w XVII wieku kazał pacjentom pić dwadzieścia decylitrów herbaty dziennie, żeby oczyścić wydzieliny trzustki.

Przez tę informację Morin * stracił wiele w ich oczach, tym bardziej że potępia wszelkie nakrycia głowy, kapelusze, czepki i czapki, wymaganie, które oburzyło Pecucheta.

Wówczas kupili sobie traktat Becąuerela*, gdzie zobaczyli, że wieprzowina jest sama w sobie „dobrym pokarmem”, tytoń jest zupełnie nieszkodliwy, a kawa „niezbędna dla wojskowych”.

Dotychczas wierzyli, że miejscowości wilgotne są niezdrowe. Nic podobnego. Casper * uważa je za mniej szkodliwe od innych. Ludzie nie kąpią się w morzu, póki nie ochłodzą sobie skóry; Begin* chce, żeby się rzucali do wody zgrzani. Wino bez wody po zupie uchodzi za doskonałe dla żołądka; Levy * zarzuca mu, że psuje zęby. Wreszcie koszulkę flanelową, tę ochronę, tego opiekuna zdrowia, to palladium drogie dla Bouyarda i nieodłączne od Pecucheta, bez ogródek i nie licząc się z opinią autorzy ci odradzają osobnikom krwistym.

Więc cóż to jest higiena?

— „Prawda po tej stronie Pirenejów, błąd po tamtej” — twierdzi pan Levy, a Becąuerel dodaje, że higiena nie jest nauką.

Wówczas zadysponowali sobie na obiad ostrygi, kaczkę, wieprzowinę z kapustą, śmietaną, pikantny ser i butelkę burgunda. Było to wyzwolenie, niemal odwet i kpili sobie na potęgę z Cornaro! Trzeba było być durniem nie lada, żeby siebie tyranizować tak jak on. Co za pospolitość myśleć wciąż o przedłużeniu swej egzystencji! Życie jest dobre jedynie pod warunkiem używania go.

— Jeszcze kawałek?

— Proszę bardzo.

— Ja również!

— Twoje zdrowie!

— Twoje!

— gwiździemy na resztę! Zapalili się.

Bouvard oznajmił, że chce wypić trzy filiżanki czarnej kawy, chociaż nie jest wojskowym.

Pecuchet, z kaszkietem na bakier, zażywał tabakę niuch po niu-chu, kichał bez obawy; i czując potrzebę zakończenia uczyty szampanem kazali Gerwazowej iść zaraz do szynku i kupić butelkę. Wieś była zbyt daleko. Odmówiła. Pecuchet był oburzony.

— Każę wam, rozumiecie! Każę wam, żebyście poszli natychmiast.

Posłuchała, ale gderając, zdecydowana podziękować niebawem za służbę swym panom, tak niewyrozumia-łym i kapryśnym.

Potem, jak niegdyś, poszli wypić czarną kawę z wódką na kopcu ogrodowym.

Żniwa kończyły się i sterty pośród pól odcinały się czarnymi masami na tle nocy błękitnawej i łagodnej. Fermi ucichły. Nie było już słyhać nawet świerszczów. Wszystko dokoła spało.

Trawili, wdychając wietrzyk orzeźwiający im policzki.

Niebo, bardzo wysokie, było usiane gwiazdami; jedne błyszcząły grupami, inne szeregiem lub pojedynczo, daleko jedna od drugiej. Pas świetlistego pyłu, idący z północy na południe, rozwidłał się nad ich głowami. Były między tymi jasnościami duże przestrzenie puste i firmament wydawał się morzem lazuru z archipelagami i wysepkami.

— Ile tego! — zawołał Bouvard.

— Nie widzimy wszystkiego! — odparł Pecuchet. — Poza drogą mleczną są mgławice; poza mgławicami znowu gwiazdy: najbliższą odgradza od nas trzysta bilionów miriametrów *.

Patrzył często przez teleskop na placu Yendôme i pamiętał cyfry.

— Słońce jest milion razy większe od Ziemi, wielkością Syriusz dwunastokrotnie przewyższa Słońce, komety liczą trzydzieści cztery miliony mil!

— Można zwariować — rzekł Bouvard.

Ubolewał nad swym nieuctwem, a nawet żałował, że w młodości nie był w Szkole Politechnicznej. Wówczas Pecuchet, obracając go ku Wielkiej Niedźwiedzicy, pokazał mu gwiazdę polarną, potem Kassiope, której konstelacja tworzy literę Y, migotającą Vegę w gwiazdozbiorze Liry i na dole horyzontu czerwonego Aldebarana.

Bouvard zadarłszy głowę śledził z trudnością trójkąty, czworoboki, pięciokąty, które trzeba sobie wyobrazić, żeby się rozeznąć w niebie.

Pecuchet ciągnął dalej:

•— Szybkość światła wynosi osiemdziesiąt tysięcy mil na sekundę. Promień drogi mlecznej potrzebuje sześciu wieków, żeby dojść do nas. Tak, iż obserwowana przez nas gwiazda może już nie istnieć. Wiele gwiazd jest widocznych nawrotami, inne nie powracają nigdy; zmieniają one pozycje; wszystko jest w ruchu, wszystko mija.

— Jednak Słońce jest nieruchome.

— Tak niegdyś sądzono. Ale uczeni głoszą dzisiaj, że dąży ono ku gwiazdozbiorowi Herkulesa! To mąciło Bouvardowi pojęcia i po chwili zastanowienia rzekł:

— Wiedza tworzy się na zasadzie danych dostarczonych przez jeden zakątek wszechświata. Być może, nie nadaje się ona dla całej reszty, nie znanej nam, która jest o wiele większa i której nie można odkryć.

Rozprawiali tak, stojąc na kopcu, w blasku ciał niebieskich, i ich rozmowę przerywały długie chwile milczenia.

Wreszcie zadali sobie pytanie, czy są ludzie na gwiazdach. Czemu nie? A że wszechświat jest harmonijny, mieszkańcy Syriusza winni być olbrzymami, na Marsie średniego wzrostu, a ludzie na Wenerze bardzo mali. Chyba że wszędzie jest tak samo. Są tam na gwiazdach kupcy, żandarmi; ludzie tam handlują, biją się, detronizują królów.

Kilka gwiazd spadających śmignęło raptem opisując na niebie jakby parabolę jakiejś olbrzymiej

racy.

— Hm — rzekł Bouvard — oto światy, które giną. Pecuchet na to:

— Gdyby nasz świat z kolei dał susa w bezmiar, obywatele gwiazd nie przejęliby się tym bardziej niż my w tej chwili. Takie myśli podnoszą nas na duchu.

— Jaki jest cel tego wszystkiego?

— Być może, nie ma żadnego celu.

— Jednakże...

I Pecuchet powtórzył dwa czy trzy razy „jednakże”, nie znajdując nic więcej do powiedzenia.

— To nic, chciałbym wiedzieć, jak powstał wszechświat.

— To powinno być u Buffona* — odrzekł Bouvard, któremu zamykały się oczy. — Nie mogę już dłużej, idę spać.

Z dzieła Epoki *natury* dowiedzieli się, że kometa potracając słońce oderwała odeń cząstkę, która stała się Ziemią. Naprzód oziębły się bieguny. Wszystkie wody otoczyły glob; potem cofnęły się do pieczar; następnie podzieliły się kontynenty, pojawiły się zwierzęta, wreszcie człowiek.

"Wspaniałość stworzenia świata wprawiła ich w niezmiernie zdumienie.

Głowy im się rozszerzyły. Dumni byli, że rozmyślają nad tak wielkimi przedmiotami.

Minerały niebawem ich znudziły i dla rozrywki zaczęli czytać *Harmonie* Bernardin de Saint-Pierre'a*.

Harmonie roślinne i ziemne, powietrzne, wodne, ludzkie, braterskie i nawet małżeńskie, wszystko tam weszło; nie zabrakło nawet inwokacji do Wenery, do Zefirów i Amorów. Dziwiło ich, że ryby mają płetwy, ptaki skrzydła, nasiona łuskę; byli pełni tej filozofii, która odkrywa w przyrodzie cnotliwe intencje i uważa ją za rodzaj świętego Wincentego a Paulo, wciąż zajętego szerzeniem dobrodziejstw.

Podziwiali potem cuda natury, trąby powietrzne, wulkany, lasy dziewicze i kupili sobie dzieło Deppinga * *Cuda i piękności natury we Francji*. Departament Can-tal posiada ich trzy. Herault pięć. Burgundia dwa, nie więcej, podczas gdy prowincja Dauphine liczy sama coś piętnaście cudów. Ale niebawem już ich się nie znajdzie. Stalaktytowe groty wypełniają się, góry ogniste wygasają, lodowce topnieją, a prastare drzewa o pniach, gdzie wewnątrz odprawiano mszę, padają pod ciosami niwelatorów lub obumierają.

Następnie ich ciekawość zwróciła się do zwierząt.

Otworzyli znów swego Buffona i unosili się nad dziwnymi gustami niektórych zwierząt.

Ale ponieważ wszystkie książki są mniej warte od obserwacji osobistej, wchodzili na podwórza i pytali rolników, czy widzieli kiedy, żeby byki parzyły się z kłaczami, żeby knury szukały krów, a samce kuropatw dopuszczały się między sobą bezeceństw.

— Nigdy w życiu.

Uważano nawet te pytania za nieco dziwne jak na panów w ich wieku.

Zachciało im się spróbować związków anormalnych.

Najmniej trudne jest połączenie kozła z owcą. Ich dzierżawca nie posiadał kozła, jedna z sąsiadek pożyczyła swego, a gdy nadszedł okres rui, zamknęli oba zwierzęta w winotłoczni chowając się za beczkami, żeby rzecz mogła się dokonać w spokoju.

Każde z nich naprzód zjadło swoją wiązkę siana, potem przeżuwały; owca się położyła i beczała bez przerwy, a kozioł z dużą brodą i obwisłymi uszami, stojąc mocno na swych powykręcanych nogach, wpierał w nich źrenice błyszczące w mroku.

Wreszcie, wieczorem trzeciego dnia, uznali za wskazane pomóc naturze; ale kozioł, obracając się przeciw Pecuchetowi, wyrzwał go rogami w podbrzusze. Przerażona owca zaczęła kołować po tłoczni jak w kieracie, Bouvard pobiegł za nią, rzucił się na owcę, żeby ją zatrzymać, i rymnął na ziemię z dwiema garściami wełny w rękach.

Wznowili swe próby na kurach i kaczorze, na dogu i maciorze z nadzieją, że z tych skrzyżowań wyjdą potwory; nie rozumieli nic w sprawie gatunku.

To słowo oznacza grupę osobników, których potomkowie rozmnażają się; ale zwierzęta zaliczone do różnych gatunków mogą się rozmnażać, inne zaś, należące do tego samego gatunku, straciły tę zdolność.

Spodziewali się mieć o tej kwestii dokładne pojęcie studiując rozwój zarodków i Pecuchet napisał do Dumouchela, żeby im przysłał mikroskop.

Kolejno położyli na szklaną płytkę włosy, tytoń, paznokcie, nóżkę muchy; ale zapomnieli o niezbędnej kropli wody; kiedy indziej szło o małą blaszkę i popychali się, poruszali instrument; innym znowu razem widząc tylko mgłę, oskarżali optyka. Doszli do tego, że zwątpili o wartości tego przyrządu. Odkrycia przypisywane mikroskopowi być może nie są tak pozytywne?

Dumouchel posyłając im rachunek prosił ich o zbieranie dla niego amonitów * i jeżowców *, osobliwości, których zawsze był miłośnikiem, a pospolitych w ich stronach. By ich zachęcić do geologii, posyłał im *Listy Bertranda* * z „*Rozprawą*” Cuviera * o rewolucjach kuli ziemskiej.

Po lekturze tych dwóch prac wyobrazili sobie następujące obrazy:

Z początku olbrzymia przestrzeń wód, skąd wystawały przyładki upstrzone porostami, i żadnej istoty żywej, żadnego krzyku. Był to świat milczący, nieruchomy i nagi; potem długie rośliny kołysały się we mgle przypominającej parę w łaźni. Czerwone słońce przepalało wilgotną atmosferę. Wówczas wybuchły wulkany, wulkaniczne skały wytrysły z gór, a masa porfirów i bazaltów wypływając stężała. Trzeci obraz: z niezbyt głębokich mórz wyłoniły się wyspy polipów koralowych; gaj palm wznosi się na nich tu i ówdzie. Są muszle podobne do koła wozu, trzymetrowe żółwie, jaszczurki długie na sześćdziesiąt stóp, amfibie wyciągają w trzcinach swe strusie szyje ze szczęką krokodyla; latają skrzydlate węże. Wreszcie na wielkich kontynentach pojawiły się wielkie ssaki o członkach bezkształtnych jak źle ociosane kłody drzewa, ze skórą grubszą od płyt brązowych lub też kosmate, o grubych wargach, z grzywami i zakręconymi kłami. Stada mamutów pasły się na równinach, gdzie potem powstał Atlantyk; *poileo-thierium*, półkoń, półtapir rozwalał swym ryjem mrowiska Montmartre'u*, a *cervus giganteus** drżał pod kasztanami słysząc ryk jaskiniowego niedźwiedzia, na który odpowiadał szczekaniem pies Beaugency *, trzykroć wyższy od wilka.

Wszystkie te epoki były oddzielone od siebie kataklizmami, z których ostatnim jest nasz potop. Była to jakby *feeria* * w wielu aktach, której apoteozą był człowiek.

Bouvard i Pecuchet z osłupieniem dowiedzieli się, że istnieją na głazach odciski łatek, ptasich nóg; i po prze-wertowaniu jednego z podręczników Roreta zaczęli szukać skamienielin.

Pewnego popołudnia, gdy odwracali krzemienie na gościńcu, przechodzący tamtędy proboszcz zagadnął ich przymilnym głosem:

— Panowie zajmują się geologią? Doskonale. Bowiem szanował on tę naukę. Potwierdza ona powagę Pisma świętego świadcząc, że był potop.

Bouvard mówił o koprolitach *, skamieniałych ekskrementach zwierząt.

Ksiądz Jeufroy zdawał się dziwić temu faktowi, ale, ostatecznie, jeśli tak było, jest to jeden więcej powód do podziwiania Opatrzności.

Pecuchet przyznał się, że ich dotychczasowe badania nie były owocne; a przecie okolice Falaise, jak wszystkie tereny jurajskie, powinny obfitować w szczątki zwierząt.

— Słyszałem — odparł ksiądz Jeufroy — że niegdyś znaleziono w Villers szczękę słonia.

Zresztą, znajomy jego, pan Laroneur, adwokat, członek palestry w Lisieux i archeolog, dostarczy im może informacji. Napisał on historię miejscowości Port-en-Bessin, gdzie wspomina o odkryciu szczątków krokodyla.

Bouvard i Pecuchet spojrzeli porozumiewawczo na siebie; błysnęła im ta sama nadzieja; i pomimo upału stali długo na drodze indagując kapłana chroniącego się pod parasolem z niebieskiej bawełny. Dolną część twarzy miał nieco ciężką, nos spiczasty, uśmiechał się wciąż lub pochylał głowę przymykając powieki.

Sygnaturka kościelna zadzwoniła na Anioł Pański.

— No, żegnam panów! Panowie pozwolą?...

Poleceni przez proboszcza, trzy tygodnie czekali na odpowiedź Laroneura. Wreszcie nadeszła. Człowiek z Villers, który odkopał ząb mastodonta, nazywał się Louis Bloche; szczegółów było brak. Co do pracy archeologicznej Laroneura, stanowiła ona jeden z tomów Akademii Leksowieńskiej * i autor nie pożyczał swego egzemplarza z obawy zdekompletowania dzieła. Co się tyczy aligatora, odkryto go w listopadzie, pod urwiskiem des Hachettes, w Sainte-Honorine,

koło Port-en-Bessin, okręg Bayeux.

I następowały pozdrowienia.

Brak bliższych wiadomości o mastodoncie rozpałił pragnienie Pecucheta. Chciał udać się niezwłocznie do Villers.

Bouvard wysunął obiekcję, że dla oszczędzenia sobie podróży, być może zbyt cennej i z pewnością kosztownej, należy uprzednio zasięgnąć języka; napisali więc do miejscowego mera zapytując go, co się stało z niejakim Louis Bloche. W razie gdyby nie żył, czy jego potomkowie lub dalsi krewni mogliby ich poinformować co do jego cennego odkrycia? Kiedy go dokonał, w jakim miejscu gminy spoczywał ten dokument zamierzonych czasów? Czy są szansę znalezienia czegoś podobnego? Jaki jest koszt dzienny wynajęcia człowieka z wózkiem?

I daremnie zwracali się do adiunkta*, potem do pierwszego radnego miejskiego, nie dostali z Villers żadnej wiadomości. Niezawodnie mieszkańcy byli zazdrośni o swe wykopaliska. Jeśli nie sprzedawali ich Anglikom. Podróż do Hachettes została postanowiona.

Bouvard i Pecuchet wsiedli do dylżansu kursującego między Falaise a Caen. Potem bryczka przewiozła ich z Caen do Bayeux; z Bayeux udali się pieszo do Port-en-Bessin.

Nie wprowadzono ich w błąd. Na zboczu des Hachettes były dziwne kamienie i według wskazówek oberżysty dotarli do wybrzeża. Był odpływ; odsłaniał wszystkie obtoczone kamyki wraz z łąką trawy morskiej aż do brzegu fal.

Porosłe trawą dolinki przecinały urwisko z ziemi miękkiej i brunatnej, która twardniejąc tworzyła w swych dolnych pokładach mur z szarego kamienia, pasemka wody spływały zeń bez przerwy, a w dali huczało morze. Zdawało się ono wstrzymywać czasami swój ruch i słychać było tylko szemranie źródełek na urwisku.

Potykali się na oślizgłej trawie lub musieli przeskakiwać rozpadliny. Bouvard siadł na wybrzeżu i wpatrywał się w fale nie myśląc o niczym, urzeczony, nieruchomy. Pecuchet zaciągnął go na zbocze, żeby mu pokazać amonit wprawiony w skałę jak diament w swe złożę. Łamali sobie paznokcie, trzeba było mieć narzędzia, zresztą zapadał zmierzch. Niebo płonęło purpura na zachodzie, a cała plaża tonęła w cieniu. Między prawie czarnymi wodorostami kałuże rozszerzały się. Morze podchodziło ku nim; czas było wracać.

Nazajutrz, skoro świt, oskardem i kilofem zaatakowali swój amonit i rozbili jego skorupę osadową. Był on wyżarty na końcach, ale ważył dobre szesnaście funtów i Pecuchet zawołał z zachwytem:

— Nie możemy nic lepszego zrobić jak ofiarować go Dumouchelo wi!

Potem napotkali skamieniałe gąbki, terebratule, ryby w rodzaju delfina, ale krokodyla ani śladu! W braku tego gada spodziewali się znaleźć kość pacierzową hipopotama lub ichtiozaura, byle jakie wreszcie szczątki zwierzęce współczesne potopowi, gdy naraz zauważyli na wysokości człowieka, przy urwisku, kontury wyglądające na zarys gigantycznej ryby.

Naradzali się, w jaki sposób to zdobyć.

Bouvard obluzuje to znalezisko u góry, a jednocześnie Pecuchet z dołu rozbija grunt, żeby je spuścić powoli, bez uszkodzenia.

Gdy odpoczywali, ujrzeni nad swymi głowami, na równinie, strażnika pogranicznego w płaszczu, gestykulującego w sposób rozkazujący.

— No! Czego tam! Daj nam święty spokój.

I prowadzili dalej swą robotę; Bouvard, wspinając się na palcach, walił oskardem; Pecuchet, zgięty we dwoje, rył swym kilofem.

Ale strażnik zjawił się niżej, w dolince, mnożąc sygnały: dużo sobie z tego robili! Jakiś owalny kształt uwypuklał się pod coraz cieńszą warstwą ziemi i zwiślał, gotów lada chwila się stoczyć.

Drugi osobnik, z szablą u boku, pokazał się raptem.

— Wasze paszporty?

Był to polowy w obchodzie, a w tej samej chwili zjawił się i pierwszy, nadbiegłszy parowem.

— Łapcie ich, kumie Morin! Bo urwisko się zawali!

— To w celach naukowych — odparł Pecuchet.

I zaraz runęła jakaś masa, tak blisko wszystkich czterech, że o mały włos ich nie pozabijała.

Gdy kurz się rozwiął, rozpoznali maszt statku, który pod butem strażnika pogranicznego rozkruszył się.

Bouvard rzekł z weschnieniem:

— Nie zrobiliśmy wielkiej szkody!

— Nie wolno nic robić w rejonie saperskim! — odparł polowy. — Przede wszystkim, kim jesteście, żebym mógł spisać protokół?

Pecuchet stawiał się hardo, wołając, że to bezprawie.

— Nie rezonować! Marsz za mną!

Skoro tylko przybyli do portu, gromada wyrostków zaczęła ich eskortować. Bouvard, czerwony jak ćwik, przybierał minę dostojną; Pecuchet, bardzo blady, ciskał wściekłe spojrzenia; i ci dwaj obcy, z kamieniami w chustkach do nosa, wyglądali podejrzanie. Prowizorycznie wpakowano ich do oberży, której gospodarz na progu zagradzał wejście. Potem murarz zażądał zwrotu swych narzędzi. Zapłacili za nie, znowu wydatki! A polowy nie wracał! Dlaczego? Wreszcie jakiś pan, z krzyżem legii honorowej, uwolnił ich; i poszli sobie po zapisaniu ich nazwisk, imion i adresów, ze zobowiązaniem zachowania na przyszłość więcej ostrożności.

Prócz paszportu brak im było wielu *rzeczy* i przed wyruszeniem na nowe wyprawy zajrzeli do *Przejjod-nika podróżnika-geologa* napisanego przez Boue *. Trzeba mieć przede wszystkim dobry żołnierski tornister, następnie łańcuch mierniczy, pilnik, obcęgi, busołę i trzy młotki umieszczone na pasie ukrytym pod surdudem, „co chroni przed tym oryginalnym wyglądem, którego należy unikać w podróży”. Jako kij, Pecuchet wybrał sobie śmiało kij turystyczny, sześć stóp wysoki, z dużym żelaznym szpicem. Bouvard wolał laskę-parasol, czyli parasol składany, gdzie rączkę wyjmuje się z laski, by przypiąć jedwab trzymany oddzielnie w woreczku. Nie zapomnieli o mocnych trzewikach z getrami, każdy miał „dwie pary szelek, ze względu na pocenie się” i chociaż nie można „pokazywać się wszędzie w czapce”, cofnęli się przed wydatkiem na „kapelus, który się zgina i nosi nazwę swego wynalazcy, kapelus-nika Gibusa” *.

Ta sama książka podaje przepisy zachowania się: „Znać język kraju, który się zwiedza”; znali go. „Nie zachowywać się wyniośle”; to było ich zwyczajem. „Nie mieć za dużo pieniędzy przy sobie”; nie łatwiejszego. Wreszcie, by oszczędzić sobie wszelkiego rodzaju kłopotów, dobrze jest przyjąć „tytuł inżyniera”! — No, to przyjmiemy go!

Tak przygotowani rozpoczęli swe wycieczki, byli nieobecni czasami cały tydzień, wiedli życie na świeżym powietrzu.

Na brzegach Orny to spozrzegali w jakiejś rozpadlinie odłamy skalne o stromych ścianach sterczących wśród topoli i wrzosów, to martwili się spotykając przy drodze tylko warstwy gliny. Stając wobec krajobrazu nie podziwiali ani szeregu planów, ani głębokości dali, ani falowania zieleni, lecz to, czego nie było widać: grunt, ziemię; i wszystkie wzgórza były dla nich ciągle dowodem potopu. Po manii potopu nastąpiła mania głazów narzutowych. Wielkie kamienie, samotnie leżące na polach, musiały pochodzić z dawnych lodowców, i szukali moren* i f ałun*.

Nieraz brano ich za handlarzy wędrownych z powodu stroju; gdy odpowiadali, że są „inżynierami” odczuwali pewien niepokój: uzurpowanie sobie takiego tytułu mogło ich narazić na nieprzyjemności.

Pod wieczór szli zdyszani pod ciężarem „próbek”, które dźwigali, ale niczym niezrażeni znosili wszystko do domu. Pełno tego było na schodach, w pokojach, w kuchni, a Gerwazowa narzekała na moc pyłu.

Nie było drobnostką ustalenie, przed naklejeniem etykiety, nazwy głazu; różnorodność barw i ziarnistość powodowała, że nie odróżniali gliny od marglu, granitu od gnejsu *, kwarcu od wapienia.

Poza tym irytowała ich nomenklatura. Dlaczego de-woński, kambryjski, jurajski, jak gdyby ziemie oznaczone tymi słowami znajdowały się tylko w Devonshire, w okolicach Cambridge i w łańcuchu górskim Jura? Niesposób się w tym rozeznąć; to, co jest układem w jednym wypadku, w drugim jest kondygnacją, w trzecim — prostym nawarstwieniem. Pasma pokładów mieszają się ze sobą, płaczą, ale Omalius d'Halloy* uprzedza, że nie trzeba wierzyć w podziały geologiczne. To oświadczenie przyniosło im ulgę i gdy zobaczyli wapień powstały z kolonii polipów na

równinie Caen, fiilady * w Balleroy, kaolin * w Saint-Blaise, oolit * wszędzie, gdy poszukali węgla kamiennego w Cartigny, a rtęci w Chapelle-en-Juger, koło Saint-LS, postanowili odbyć dalszą wyprawę, podróż do Hawru, by zbadać kwarc krzeszący iskry i glinę Kimmeridge *.

Zaraz po opuszczeniu statku zapytali o drogę wiodącą pod latarnie morskie; tarasowały ją osypiska, było niebezpiecznie tam się zapuszczać.

Zaczepił ich człowiek wynajmujący powozy i zaproponował spacer po okolicy: Ingouville, Octeville, Fe-carnp, Lillebonnc, „Rzym w razie potrzeby”.

Jego ceny były bezczelne, ale nazwa Fecamp uderzyła ich; zbaczając nieco z drogi można było zobaczyć Etre-tat *, i wsiedli do barki płynącej do Fecamp, żeby w pierwszej wycieczce udać się jak najdalej.

W barce Bouvard i Pecuchet prowadzili rozmowy z trzema chłopami, dwiema kobieciami, klerykiem i bez wahania podawali się za inżynierów. Zatrzymano się przed basenem portowym. Dotarli do urwiska, a w pięć minut potem otarli się o nie, by ominąć wielką kałużę wysuniętą jak zatoka środkiem wybrzeża. Następnie ujrzeli arkadę, wejście do głębokiej groty; rozlegało się w niej echo, była bardzo widna, podobna do kościoła, z kolumnami od góry do dołu i kobiercem porostów morskich na kamiennych płytach.

To dzieło przyrody zdumiało ich — idąc dalej i zbierając muszle wznieśli się do rozważań o początku świata. Bouvard skłaniał się do neptunizmu *; Pecuchet, przeciwnie, wyznawał plutonizm *.

Ogień wewnętrzny rozsądził skorupę globu, podniósł tereny, poczynił rozpadliny. Jest to jakby morze wewnętrzne mające swój przyływ i odpływ, swe burze; cienka błona odgradza nas od niego. Człowiek nie mógłby spać, gdyby myślał o tym wszystkim, co ma pod stopami. Ten ogień centralny zmniejsza się jednak i słońce słabnie, tak iż ziemia pewnego dnia ulegnie zagładzie z oziębienia. Stanie się jałowa; wszystko drzewo i wszystek węgiel zamienią się w kwas węglowy i żadna istota nie będzie mogła żyć.

— Nie jesteśmy jeszcze w tym stadium — rzekł Bouvard.

— Miejmy nadzieję — odparł Pecuchet.

Mimo to ten koniec świata, choć tak daleki, zasmucił ich i szli obok siebie w milczeniu po nadbrzeżnych obtoczonych kamykach.

Urwisko, prostopadłe, całkiem białe, tu i ówdzie porysowane na czarno liniami krzemienia, szło ku widnokręgowi wyglądając niby krzywa szanica ciągnącego się pięć mil. Dął wiatr ze wschodu, ostry i zimny. Niebo było szare, morze zielonkawe i jakby wzdęte. Ze szczytu skał zrywały się ptaki, kołowały, wracały rychło do swych dziur. Niekiedy oderwany kamień odbijał się od miejsca do miejsca, zanim stoczył się aż do nich.

Pecuchet na głos ciągnął swe myśli:

— O ile ziemia nie zostanie unicestwiona przez jakiś kataklizm! Nie znamy długości naszego okresu geologicznego. Wystarczy, żeby ogień wewnętrzny wystąpił z brzegów.

— Przecież się zmniejsza.

— To nie przeszkadza, że jego wybuchy utworzyły wyspy Julia *, Monte Nuovo *, wiele innych jeszcze.

Bouvard przypomniał sobie, że czytał te szczegóły u Bertranda.

— Ale takie wstrząsy nie zdarzają się w Europie.

— Bardzo przepraszam, dowodem wstrząs w Lizbonie *. Co do naszego kraju, kopalnie węgla i pirytu są liczne i mogą bardzo łatwo rozkładając się utworzyć kraterzy wulkaniczne. Wulkany zresztą wybuchają zawsze blisko morza.

Bouvard powiódł wzrokiem po falach i zdało mu się, że widzi w dali dym wznoszący się ku niebu.

— Skoro wyspa Julia — podjął Pecuchet — zniknęła, tereny powstałe taką samą drogą spotka może ten sam los. Wysepka Archipelagu * jest równie ważna jak Normandia, a nawet jak Europa. Bouvard wyobraził sobie Europę pochłoniętą przez otchłan.

— Przypuśćmy — rzekł Pecuchet — że następuje trzęsienie ziemi pod La Manche; wody wałę do Atlantyku; brzegi Francji i Anglii, chwiejąc się w posadach, przechylają się, łączą ze sobą

i masz! Cały przedział znika.

Zamiast odpowiedzieć, Bouvard zaczął iść tak szybko, że niebawem był o sto kroków od Pecucheta. Gdy został sam, myśl o kataklizmie zaniepokoiła go. Od rana nic nie jadł. Łupało go w skroniach. Raptem zdało mu się, że ziemia się zatrzęsła i że urwisko nad jego głową przechyliło się szczytem. W tejże chwili grad żwiru sypnął z góry.

Pecuchet ujrzał Bouvarda, jak pędził co tchu, pojął jego przerażenie, krzyknął z daleka:

— Stój! stój! Okres się jeszcze nie wypełnił!

I żeby go dogonić, sadił wielkimi susami ze swym kijem turystycznym i darł się:

— Okres się nie wypełnił! Okres się nie wypełnił! Bouvard pędził wciąż w obłądnym przerażeniu. Parasol-laska wypadł mu z ręki, poły surduta rozwiewały się, tornister miotał mu się po plecach. Wyglądało to, jakby żółw ze skrzydłami galopował wśród skał; jedna z nich, większa, zasłoniła go.

Pecuchet dobiegł tam bez tchu, nie zobaczył nikogo i zawrócił, żeby dostać się na pola „korytarzem”, którym niezawodnie pobiegł Bouvard.

Ta stroma ścieżka o dużych stopniach była wykuta w urwisku, miała szerokość dwóch ludzi i połyskiwała jak polerowany alabaster.

Na wysokości pięćdziesięciu stóp Pecuchet chciał zejść. Wobec pełnego przypływu morza zaczął się znowu wspinać.

Na drugim zakręcie, gdy ujrzał próżnię, zmroził go lęk. W miarę zbliżania się do trzeciego nogi robiły mu się jak z waty. Warstwy powietrza wirowały dokoła niego, kurcz chwycił go w dołku; siadł na ziemi, zamknął oczy zdając sobie sprawę tylko z bicia serca i duszności; potem cisnął swój kij turystyczny i przy pomocy kolan i rąk wznowił wspinaczkę. Ale trzy młotki umieszczone w pasie wgniatały mu się w brzuch; kamienie, którymi miał wypchane kieszenie, tłukły go po bokach; daszek czapki zasłaniał widok, wiatr był coraz silniejszy. Wreszcie dotarł do płaskowzgórza i tam znalazł Bouvarda, który wszedł dalej przejściem mniej uciążliwym. Przygarnęła ich jakaś furka. Zapomnieli o Etrebat.

Nazajutrz wieczorem, w Hawrze, czekając na statek, zobaczyli w odcinku jakiejś gazety felieton pod tytułem:

O nauczaniu geologii.

Ten artykuł pełen faktów traktował sprawę tak, jak ją pojmowano w owych czasach.

Nigdy nie było kompletnego kataklizmu globu, lecz ten sam gatunek nie ma zawsze tego samego czasu trwania i wygasa w jednym miejscu szybciej niż w drugim. Tereny tego samego wieku zawierają różne wykopaliska, a znów złoża kamienne z bardzo oddalonych od siebie okresów — podobne. Paprocie z zamierzchłych epok

1 paprocie dzisiejsze są identyczne. Wiele zwierzokrzewów współczesnych znajdujemy w najstarszych pokładach. Reasumując, modyfikacje obecne tłumaczą poprzednie wstrząsy. Te same przyczyny działają zawsze, natura nie robi skoków, i okresy, twierdzi Brongniart *, to ostatecznie tylko abstrakcje.

Cuvier dotychczas jawił im się w blasku aureoli, na szczycie wiedzy bezspornej. Została ona podkopana. Stworzenie świata nie miało już tej samej dyscypliny i ich szacunek dla tego wielkiego człowieka osłabł.

Z życiorysów i wyciągów dowiedzieli się tego i owego z doktryn Lamarcka* i Geoffroy Saint-Hilaire'a*.

Wszystko to było w sprzeczności z utartymi pojęciami, z autorytetem Kościoła.

Bouvard doznał takiego uczucia, jak gdyby zrzucił z siebie jarzmo.

— Rad bym teraz wiedzieć, co obywatel Jeufroy odpowiedziałby mi w kwestii potopu!

Znaleźli go w jego ogródku, gdzie oczekiwał na członków dozoru kościelnego, którzy mieli zaraz zebrać się w sprawie nabycia ornatu.

— Panowie życzą sobie?...

— Otrzymać pewne wyjaśnienie, jeśli ksiądz łaskaw. I Bouvard zaczął:

— Co znaczą w Genesis*: „przepaść, co się rozdarła” i „katarakty nieba”? Gdyż przepaść się nie rozdziera, a w niebie nie ma katarakt!

Proboszcz zamknął powieki, po czyni rzekł, iż należy rozróżniać zawsze sens i literę. Rzeczy, które z początku rażą, stają się jasne, gdy się je pogłębi.

— Doskonale! Ale jak sobie wytłumaczyć deszcz zatapiający najwyższe góry, wysokości dwóch mil! Niech ksiądz pomyśli! Dwie mile! Warstwa wody wynosząca dwie mile!

A mer, który właśnie się zjawił, dodał:

— Do licha, co za kąpiel!

— Zgodzi się ksiądz, że Mojżesz diabło przesadza. Proboszcz czytał Bonalda * i zareplikował:

— Nie wiem, czym się kierował; niezawodnie chodziło mu o to, żeby wywołać u ludów, którym przewodził, zbawienne przerażenie!

— Wreszcie, ta masa wody, skąd się ona brała?

— Bo ja wiem? Powietrze zamieniło się w deszcz, jak to się zdarza codziennie.

Furtką od ogrodu wszedł Gibral, naczelnik urzędu podatkowego, z kapitanem Heurteaux, właścicielem nieruchomości; a oberzysta Beljambe podawał ramię kupcowi korzennemu Langlois, który szedł z trudem z powodu przeziębienia.

Pecuchet nie zwracając na nich uwagi zabrał głos:

— Przepraszam księdza. Ciężar atmosfery, nauka nam to wykazuje, równa się ciężarowi masy wody, która utworzyłaby dokoła globu powłokę grubości dziesięciu metrów. A więc, jeżeliby całe powietrze skondensowane spadło w stanie płynnym, powiększyłoby bardzo nieznacznie masę istniejących wód.

Członkowie dozoru kościelnego wytrzeszczali oczy, słuchali.

Proboszcz zniecierpliwiał się.

— Czy zaprzeczają panowie, że znaleziono muszle na górach? Co je tam zaniósło, jeśli nie potop? Zdaje mi się, nie mają one zwyczaju rosnąć same w ziemi jak marchewka!

A że to powiedzenie wywołało śmiech zebranych, dodał zaciskając wargi:

— Chyba że jest to jeszcze jedno odkrycie nauki? Bouvard chciał odpowiedzieć teorią Eliasza de Beaumont * o wznoszeniu się gór.

— Nie znam jej — odparł ksiądz. Foureau nie omieszkął wtrącić:

— On jest z Caen! Widziałem go raz w Prefekturze!

— Ale jeżeli pański potop — ciągnął swoje Bouvard — naniósł muszle, znajdowano by je rozbite na powierzchni ziemi, a nie na głębokościach trzystu metrów niekiedy.

Kapłan powołał się na prawdziwość Pisma świętego, tradycje rodzaju ludzkiego i zwierzęta, znalezione w lodzie na Syberii.

To nie dowodzi, że człowiek żył w tym samym czasie, co one! Ziemia, zdaniem Pecucheta, była znacznie starsza.

— Delta Missisipi pochodzi sprzed dziesiątków tysięcy lat. Epoka obecna liczy co najmniej sto tysięcy lat. Spisy Manethona *...

Podszedł hrabia de Fayerges. Wszyscy umilkli na jego widok.

— Proszę panów nie przerywać sobie! O czym mówiliście?

— Ci panowie kłócili się ze mną — odparł ksiądz.

— O co?

— O Pismo święte, panie hrabio!

Bouvard natychmiast zaznaczył, że mieli prawo, jako geologowie, poddawać dyskusji to, co w tych sprawach mówi religia.

— Strzeżcie się — rzekł hrabia — pan zna, drogi panie, powiedzenie: trochę wiedzy oddala od religii, dużo — sprowadza do niej z powrotem.

I tonem wraz wyniosłym i ojcowskim oznajmił:

— Wiercie mi! Wróćcie do niej! Wróćcie do niej!

— Być może! Ale co myśleć o księdze, w której się twierdzi, że światło zostało stworzone przed słońcem, jak gdyby słońce nie było jedyną przyczyną światła!

— Zapomina pan o tym świetle, które nazywa się północnym — rzekł duchowny.

Bouvard, nie odpowiadając na ten zarzut, stanowczo przeczył temu, żeby światło mogło być z jednej strony, a ciemności z drugiej; żeby mógł być wieczór i poranek, gdy ciała niebieskie nie

istniały, i żeby zwierzęta mogły pojawić się nagle, zamiast formować się drogą krystalizacji. Ponieważ ścieżki były za małe, gestykulując deptano po klombach. Langlois miał napad kaszlu. Kapitan krzychał:

- Jesteście rewolucjoniści! Girbal:
- Spokojnie! Spokojnie! Ksiądz:
- Cóż za materializm! Foureau:
- Zajmijmy się lepiej naszym ornatem!
- Nie! Dajcie mi mówić!

I Bouvard, zapalając się, posunął się do powiedzenia, że człowiek pochodzi od małpy! Wszyscy członkowie dozoru spojrzeli po sobie w osłupieniu i jakby chcąc się upewnić, że nie są małpami.

Bouvard podjął:

- Porównując płód kobiety, suki, ptaka, żaby...
- Dosyć!
- Ja idę dalej! — zawołał Pecuchet — człowiek pochodzi od ryb!

Wybuchły śmiechy. Ale on, nie zmieszany tym, wołał:

- *Telliamed!* Księga arabska!...
- No, panowie, na posiedzenie! I weszli do zakrystii.

Dwaj towarzysze nie pokonali księdza, jak to sobie wyobrażali: toteż Pecuchet znalazł w nim „cechy jezui-tyzmu”.

Mimo to światło północne niepokoiło ich; poszukali go w podręczniku d'Orbigny *.

Jest to hipoteza wyjaśniająca, dlaczego rośliny wykopaliskowe z zatoki Baffina * podobne są do flory równikowej. Przypuszcza się, że zamiast słońca istniało ongiś wielkie ognisko światła, które zniknęło, a zorze północne są, być może, jego szczątkami. Potem nasunęła im się wątpliwość co do pochodzenia człowieka; zakłopotani, pomyśleli o Vaucorbeilu. *

Jego pogroźki nie miały żadnych następstw. Jak dawniej przechodził rankiem koło ich ogrodu drapiąc laską po sztachetach.

Bouvard czatował nań i zatrzymawszy lekarza powie-dziajął, że chce mu przedstawić pewien ciekawy punkt widzenia z dziedziny antropologii.

- Czy sądzi pan, że rodzaj ludzki pochodzi od ryb?
- Co za głupstwo!
- Raczej od małp, prawda?
- Bezpośrednio — to jest niemożliwe!

Na kim polegać? Przecie, ostatecznie, doktor nie był katolikiem!

Prowadzili dalej swoje studia, ale bez zapału, bo znużyły ich eocen i miocen, Mont-Jurillo, wyspa Julia, mamuty Syberii i szczątki wykopaliskowe, niezmiennie porównywane u wszystkich autorów do „medali, które są świadectwami autentycznymi”, tak iż pewnego dnia Bouvard rzucił na ziemię swój tornister oświadczając, że dalej nie będzie się zapuszczał.

Geologia ma zbyt wiele braków! Znamy zaledwie kilka miejsc w Europie. Co do reszty, wraz z dnem oceanów, pozostanie ona nieznaną zawsze.

Wreszcie gdy Pecuchet wymówił słowo: królestwo minerałów, Bouvard się zaperzył:

- Nie wierzę w królestwo minerałów, skoro materie organiczne wzięły udział w tworzeniu się krzemienia, kredy, złota może! Czyż diament nie był węglem? Węgiel kamienny połączeniem roślin? Rozpalając go do iluś tam stopni, otrzymuje się trociny, tak iż wszystko mija, wszystko wali się, wszystko się przeobraża. Świat został stworzony w taki sposób, że jest zmienny i przemijający; lepiej zrobimy, zajmując się czym innym!

Położył się na wznak i zaczął drzemać, a Pecuchet z opuszczoną głową i objąwszy kolano rękami oddawał się rozmyślaniom.

Pas mchu ciągnął się wzdłuż zapadłej drogi ocienionej przez jesiony, których lekkie wierzchołki drżały; dzięgiel, mięta, lawenda wydzielały gorące, korzenne wonie; powietrze było ciężkie i Pecuchet, w jakimś otępieniu, marzył o niezliczonych egzystencjach rozproszonych dokoła niego, o brzęczących owadach, o źródłach ukrytych pod murawą, o sokach roślin, o ptakach w

gniazdach, o wietrze, o obłokach, o całej przyrodzie, nie usiłując odkryć jej tajemnic, urzeczony jej mocą, zatracony w jej wielkości.

— Pić mi się chce! — rzekł Bouvard budząc się.

— Mnie też! Chętnie napiłbym się czego!

— Nic łatwiejszego — odezwał się jakiś człowiek przechodzący koło nich bez marynarki, z deską na ramieniu.

I poznali w nim tego włóczęgę, któremu Bouvard dał kiedyś szklankę wina. Wydawał się o dziesięć lat młodszy, włosy nosił z loczkiem na skroni, wąsy miał usztywnione fiksatuarem i kręcił figurą w sposób paryski.

Po przejściu około stu kroków otworzył barierę podwórza, rzucił deskę pod ścianę i wprowadził ich do wysokiej kuchni.

— Melu! Jesteś tam, Melu?

Zjawiła się młoda dziewczyna. Na jego rozkaz poszła „utoczyć napitku” i wróciła do stołu podać panom.

Pukle włosów koloru zboża wystawały spod czepeczka z szarego płótna. Biedne ubranie leżało na niej bez żadnej fałdy; i ze swym prostym nosem, z niebieskimi oczami, miała w sobie coś delikatnego, sielskiego i naiwnego.

— Ładna, co! — rzekł stolarz, gdy niosła szklanki. — Można by przysiąc, panienka przebrana za chłopkę! A mimo to robotna, że hej! Biedactwo! Gdy będę bogaty, ożenię się z tobą!

— Pan zawsze mówi głupstwa, panie Gorju! — odpowiedziała głosem słodkim, przeciągając słowa.

Parobek od koni wszedł wziąć owsa ze starej skrzyni i opuścił wieko tak gwałtownie, że odprysł kawałek drzewa.

Gorju zaczął wymyślać na „te wszystkie wiejskie niezdary”, potem klęcząc przed sprzętem szukał miejsca, gdzie brakowało tego kawałka. Pecuchet chcąc rnu pomóc zauważył pod warstwą kurzu rzeźbione postacie.

Była to skrzynia renesansowa, z plecionką u dołu, z winoroślą w rogach; kolumnienki dzieliły jej front na pięć pól. W środku było widać Wenus-Anadyomene *

stojącą ha muszli, dalej Herkulesa i Omfalę *, Samsona i Dalilę*, Cyrce * ze świniami, córki Lota* upajające winem ojca; to wszystko zniszczone, stoczone przez robaki, a nawet prawej kwatery brakowało. Gorju wziął świecę, żeby lepiej pokazać Pecuchetowi lewą kwatere przedstawiającą pod drzewem Raju Adama i Ewę w pozie bardzo nieprzyzwoitej. Bouvard również podziwiał skrzynię.

— Jeżeli panom na tym zależy, odstąpi wam się tę rzecz niedrogo.

Wahali się ze względu na reperacje.

Gorju mógł je wykonać będąc z zawodu meblarzem.

— No! Idziemy!

I pociągnął Pecucheta w kierunku lewady, gdzie pani Castillon, właścicielka, rozwieszała bieliznę.

Mela umywszy ręce wzięła z okna swój warsztacik. do robienia koronek, siadła w pełnym świetle i zaczęła pracować.

Futryna drzwi tworzyła dookoła niej ramę. Klocki rozplątywały się pod jej palcami z klaskaniem kastanie-tów. Nie podnosiła pochylonej głowy, którą widzieli z profilu.

Bouvard zapytywał ją o rodziców, o jej rodzinne strony, o to, ile jej tutaj płacą.

Pochodziła z Ouistreham, nie miała żadnej rodziny, zarabiała dziesięć franków miesięcznie; w końcu tak mu się spodobała, że zapragnął wziąć ją do siebie na służbę, do pomocy starej Gerwazowej.

Pecuchet wrócił z fermerką i kiedy oni targowali się w dalszym ciągu, Bouvard zapytał szeptem Gorju, czy Mela zgodziłaby się być jego służącą.

— Z pewnością!

— W każdym razie — rzekł Bouvard — muszę naradzić się z moim przyjacielem.

— Ja to urządzę; ale niech pan teraz o tym nie mówi ze względu na tutejszą gospodynię.

Targ o skrzynię został ubity, zgodzono się na cenę trzydziestu pięciu franków. Co do kosztów reperacji, porozumieją się.

Zaledwie znaleźli się na podwórzu, Bouvard powiedział o swym zamiarze co do Meli.

Pecuchet przystanął, żeby lepiej się nad tym zastanowić, otworzył tabakierkę, zażył niuch i otarłszy sobie nos rzekł:

— Istotnie, to jest myśl! Dalibóg, tak! Czemu nie? Zresztą, ty jesteś gospodarzem!

W dziesięć minut potem Górju pokazał się na krawędzi rowu, zapytując ich:

— Kiedy mam przynieść skrzynię?

— Jutro!

— A co do drugiej sprawy zdecydowali się panowie?

— Zgoda! — odrzekł Pecuchet.

IV

W pół roku potem zostali archeologami, a dom ich upodobił się do muzeum.

Stara drewniana belka stała w sieni. Okazy geologiczne zapychały schody, a ogromny łańcuch leżał na ziemi wzdłuż całego korytarza.

Wyjęli drzwi między dwoma pokojami, gdzie nie sypiali, i skasowali wejście z zewnątrz do jednego z nich, żeby z tych dwóch izb zrobić jedno pomieszczenie.

Przekroczywszy próg, gość potykał się o kamienne koryto (sarkofag gallo-rzymski), potem uderzały oczy wyroby żelazne i mosiężne.

Przy ścianie na wprost wejścia płyta kuchenna górowała nad dwoma wilkami kominkowymi i blachą sprzed pieca, przedstawiającą mnicha pieścącego pasterkę. Na deseczkach dokoła widać było lichtarze, zamki, sworznie, mutry. Podłoga była zasypana odłamkami czerwonych dachówek. Stół pośrodku wystawiał na pokaz osobliwości najrzadsze: szkielet normandzkiego czepca, dwie gliniane urny, medale, flakon z opałowego szkła. Trójkąt z gipiury leżał na oparciu fotela krytego gobelinem. Kawalek kołczugi zdobił przepierzenie z prawej strony, pod nim podpórki podtrzymywały poziomo ha-labardę-unikat.

Drugi pokój, dokąd schodziło się po dwóch stopniach, zawierał dawne książki sprowadzone z Paryża i te, które po przyjeździe znaleźli w szafie. Drzwi jej były wyjęte. Nazywali ją biblioteką. Drzewo genealogiczne rodu Croixmare * zajmowało całą wewnętrzną stronę zamkniętych drzwi na korytarz. Na ścianie przeciwległej do kominka pastel przedstawiający damę w stylu Ludwika XV tworzył odpowiednik do portretu ojca Bouvarda. Ramę lustra dekorował*? sombrero z czarnego filcu i ogromny trzewik pełen liści, szczątki jakiegoś gniazda.

Dwa orzechy kokosowe (należące do Pecucheta od lat młodzieńczych) stały na kominku po bokach fajansowej beczki, na której siedział okrakiem chłop. Obok, w słomianym koszyczku, leżała moneta dziesięciocentymowa, połknięta i zwrócona przez kaczkę.

Przed biblioteką rozsiadła się komoda wykładana muszlami, z ozdobami z pluszu. Na komodzie stał kot z myszą w pysku — skamieniałość z Saint-Allyre — pudełko do robótek, też z muszlami, a na tym pudełku karafka do wódki z gruszką bonkretą w środku.

Ale najpiękniejszym okazem był tutaj, we framudze okna, posąg świętego Piotra! Prawa ręka okryta rękawiczką, ściskająca klucz do raju, była koloru bladezielonego. Ornat na nim, upięszony liliami, był lazurowy, a jego tiara, bardzo żółta, była spiczasta jak pagoda. Policzki miał uróżowane, oczy duże i okrągłe, usta szeroko rozwarłe, nos krzywy i perkaty. Nad statua wisiał baldachim zrobiony ze starego dywanu, gdzie widać było dwa amorki w wianku róż, a u stóp figury sterczała wysoka kamionka na masło z takim napisem białymi literami na czekoladowym tle: „Wykonano w przytomności Jego Królewskiej Wysokości Księcia d'Angouleme *, w Noron, 3 października ."

Pecuchet ze swego łóżka widział to wszystko w amfi-ladzie, a czasem nawet szedł do pokoju Bouvarda, żeby wydłużyć perspektywę.

Jedno miejsce, na wprost kołczugi, pozostawało puste, przeznaczone na skrzynię renesansową. Nie była wykończona, Gorju pracował nad nią jeszcze, heblując reperowane części w piekarni, dopasowując je, to znów rozbierając.

O jedenastej jadł drugie śniadanie, potem rozmawiał z Melą i często nie pokazywał się więcej przez cały dzień.

Żeby mieć kawalki w stylu tego sprzętu, Bouvard

i Pecuchet robili wyprawy. To, co z nich przynosili, nie nadawało się. Ale napotkali mnóstwo rzeczy ciekawych. Nabrali gustu do bibelotów, potem rozkochali się w średniowieczu.

Przed wszystkim zwiedzili katedry i wysokie nawy odbijające się w wodzie chrzcielnic, witraże olśniewające, jakby były z drogich kamieni, grobowce w głębi kaplic, niepewne światło krypt, wszystko, do chłodu murów włącznie, wywołało w nich rozkoszne drzenie, emocję religijną.

Niebawem potrafili odróżnić epoki i lekceważąc zakrystianów mówili:

— O! Absyda romańska... To jest z XII wieku! Oto po-' wracamy do gotyku płomienistego!

Usiłowali zrozumieć symbole wyrzeźbione na kapitelach, na przykład dwa gryfory w Marigny skubiące kwitnące drzewo. Pecuchet dopatrzył się satyry w śpiewakach kościelnych o groteskowych szczękach, którzy stanowią zakończenie murów w Feuguerolles; a co do wybujałości sprośnego człowieka na jednym z kamiennych filarów okiennych w Herouville, dowodziło to, zdaniem Bouvarda, że nasi przodkowie lubowali się w trefnych żartach.

Doszli do tego, że gniewała ich najmniejsza oznaka zniszczenia. Wszystko chyliło się ku upadkowi — i ubolewali nad wandalizmem, piorunowali na tynki *.

Ale styl jakiegoś zabytku nie zawsze zgadza się z datą, z jaką go się łączy: luk pełny z XIII wieku dominuje jeszcze w Prowansji. Ostrołuk jest, być może, bardzo stary i niektórzy spierają się o to, czy romań-szczyzna jest wcześniejsza od gotyku. Ten brak pewności gniewał ich.

Po kościołach studiowali zaniki warowne — w Dom-front i w Falaise. Podziwiali, stojąc pod sklepieniem bramy, wyźłobienia w murze do kraty spustnej, a gdy dostali się na szczyt murów, widzieli naprzód całą okolicę, potem dachy miasta, krzyżujące się ulice, wozy na placu, kobiety piorące bieliznę. Mury spadały prostopadle aż do krzaków w fosach, a oni bledli na myśl, że ludzie wspinali się tędy wisząc na drabinach. Byliby się zapuścili do lochów, ale dla Bouvarda przeszkodą był brzuch, a Pecuchet bał się żmij.

4

Chcieli poznać stare kasztele i dwory w Curcy, Bully, Fontenay, Lemarmion, Argouge. Niekiedy w narożniku budynków, za śmietnikiem wznosi się baszta z czasów Karolingów*. Kuchnia ze swymi kamiennymi ławami nasuwa myśl o ucztach feudalnych. Inne znów zamki całe mają wygląd warowni, opasane jeszcze widocznymi potrójnymi pierścieniami murów i wałów, ze strzelnicami pod schodami, z długimi wieżyczkami w kształcie ostrosłupa. Potem wchodzi się do komnaty, gdzie okno z epoki Walezjusów *, cyzelowane jak kość słoniowa, wpuszcza słońce grzejące rozsypane na posadzce ziarna rzepaku. Opactwa służą za spichrze. Napisy na kamieniach grobowych są zatarte. W polach sterczy ściana szczytowa jakiejś dawnej rezydencji i od góry do dołu okrywa ją bluszcz drżący, gdy wiatr powieje.

Mnóstwo przedmiotów budziło w nich pożądanie, cynowy garnek, kolczyk ze strasu, tkaniny bawełniane w duże desenie. Powstrzymywał ich brak pieniędzy.

Przez traf opatrnościowy znaleźli w Balleroy, u człowieka, który robił lustra, witraż gotycki; był on dość duży, by pokryć — przy fotelu — prawą stronę okna aż do drugiej szyby. Dzwonnica w Chavignolles ukazywała się w dali, dając wspaniały efekt.

Z dolnej części szafy G-orju sporządził klęcznik, żeby go ustawić przed witrażem, gdyż schlebiał ich manii. Była ona tak silna, że ubolewali nad zabytkami, o których absolutnie nic nie wiadomo, jak na przykład ustronny dworek biskupów w Seez.

Bayeux, powiada de Caumont, powinno było mieć teatr. Szukali tego teatru na próżno.

We wsi Montrency jest łąka słynna ze znalezionych tam monet. Liczyli, że w tej wsi się obłowią. Stróż nie wpuścił ich na łąkę.

Nie lepiej im się powiodło w sprawie podziemnego . połączenia, które istniało między pewną cysterną w Falaise a przedmieściem Caen. Kaczki, które tam wpuszczono, wylazły w Vaucelles gderliwie kwacząc: „Can, can, can” — skąd powstała nazwa miasta.

Żadne zabiegi nie były dla nich zbyt trudne, żadne poświęcenia.

W oberży w Mesnil-Villement, w , Galeron * zjadł śniadanie i zapłacił za nie cztery soldi.

Spożyli

H5

tam taki sam posiłek i ze zdziwieniem stwierdzili, że, co do ceny, to się już nie powtórzyło! Kto jest fundatorem opactwa świętej Anny*? Czy istnieje pokrewieństwo między Marin Onfroy, który sprowadził w XII wieku nowy gatunek ziemniaków*, a Onfroy, gubernatorem Hastingsu w epoce podboju*? Jak zdobyć *Przebieglą wieszczką*, komedię wierszem niejakiego Dutrezora*, napisaną w Bayeux i obecnie należącą do białych kruków? Za Ludwika XIV Herambert Dupaty *vel* Dupastis Herambert skomponował pracę nigdy nie wydaną, pełną anegdot o miasteczku Argen-tan: szło o to, żeby odnaleźć te anegdoty. Co się stało z rękopiśmiennymi pamiątkami pani Dubois de la Pierre, na które powołuje się w swej niewydanej historii miasteczka Laigle Louis Daspres, wikary z Saint-Martin? Tyle problemów, tyle ciekawych kwestii wymagających wyjaśnienia.

Ale nieraz nikła wskazówka wprowadzała na drogę bezcennego odkrycia.

Nałożyli więc swe bluzy robocze, żeby nie wzbudzać podejrzeń, i jako kolporterzy zjawiali się w domach w celu kupienia starych papierów. Sprzedawano im tego całe masy. Były to zeszyty szkolne, rachunki, dawne gazety, nic pożytecznego.

Wreszcie Bouvard i Pecuchet zwrócili się do Larso-neura.

Był on pogrążony w celtyzmie* i odpowiadając ogólnikowo na ich pytania, zadawał własne.

Czy zauważyli w swoich stronach ślady kultu psa, takie, jakie widuje się w Montargis*? I ciekawe szczegóły dotyczące sobótek, wesel, ludowych gadek itp? Prosił ich nawet o zdobycie dla niego kilku tych toporów z krzemienia zwanych wtedy *celtae*, których druidzi* używali „w swych zbrodniczych ofiarach”.

Przez Gorju wystarali się o cały tuzin tych toporów, wysłali mu najmniejszy, reszta wzbogaciła muzeum.

Spacerowali po nim z zachwytem, sami je sprząтали, rozpowiadali o swym dziele wszystkim znajomym.

Pewnego popołudnia pani Bordin i pan Marescot zjawili się, żeby je obejrzeć.

Przyjął ich Bouvard i rozpoczął pokazywanie od sieni.

Belka była to ni mniej, ni więcej tylko dawna szubie-

6

nica z Falaise, według słów stolarza, który ją sprzedał, on zaś miał tę informację od swego dziada. Wielki łańcuch w korytarzu pochodził z lochów wieży zamkowej w Torteyal. Przypominał, zdaniem notariusza, łańcuchy łączące słupki kamienne przed dziedzińcami głównymi pałaców i gmachów publicznych, Bouvard zaś był przekonany, że służył ongi do skuwania jeńców wojennych. Otworzył drzwi pierwszego pokoju.

— Po co te wszystkie dachówki? — zawołała pani Bordin.

— Do ogrzewania łaźni, ale po kolei, jeśli łaska. To jest grobowiec znaleziony w oberży, gdzie używano go do wodopoju.

Potem Bouvard wziął dwie urny z ziemią, która była popiołem ludzkim, i przysunął do oczu flakon, żeby pokazać, w jaki sposób Rzymianie wlewali tam łzy.

— Ale u panów widzi się same ponure rzeczy.

Istotnie, było to trochę za poważne dla damy; wówczas wyjął z jakiegoś pudełka kilkanaście monet miedzianych i jeden srebrny denar.

Pani Bordin zapytała notariusza, ile dzisiaj może to być warte.

Kolczuga, którą Marescot wtedy macał, wysunęła mu się z palców, kółka się przerwały. Bouvard ukrył swe niezadowolenie.

Był nawet tak uprzejmy, że odczepił halabardę i pochylając się, podnosząc ramiona, stukając obcasami udawał, że ścina ścięgną w kolanie konia, zadaje sztych jak bagnetem, wali na ziemię wroga. Wdowa w duchu uważała, że tęgi z niego chłop.

Zachwyty wywołała u niej komoda wykładana muszlami. Kot z Saint-Allyre bardzo ją zdziwił, gruszka w karafce mniej; potem, dochodząc do kominka, zawołała:

— A! To jest kapelusz wymagający naprawy! Trzy dziury, ślady kuł, przebijały jego rondo.

Był to kapelusz herszta rozbójników za Dyrektoriatu, Dawida z Bazoque *, zwabionego w zasadzkę i natychmiast zabitego.

— Tym lepiej, dobrze mu tak — rzekła pani Bordin. Marescot drwiąco uśmiechał się przed eksponatami.

Nie rozumiał tego, co tu robi trzewik, który był szyldem sklepu z obuwiem, ani — fajansowa beczułka, pospolite

H7

naczynie do jabłecznika, a święty Piotr doprawdy był okropny ze swą fizjonomią pijaka. Pani Bordin zrobiła taka uwagę:

— Musiał pana dobrze kosztować, bądź co bądź.

— O! Nie tak wiele, nie tak wiele!

Pewien dekarz odstąpił go za piętnaście franków. Następnie zganiała jako nieprzyzwoitość dekolt damy w pudrowanej peruce.

— Co w tym złego? — odparł Bouvard. — Gdy się posiada coś pięknego... — I dodał ciszej: — Jak pani, jestem pewny.

Notariusz był do nich odwrócony tyłem studiując na drzewie genealogicznym linie rodu Croixmare. Nic nie odpowiedziała, ale zaczęła bawić się swym długim łańcuszkiem od zegarka. Piersi napinały taftę stanika; nieco przymrużając oczy opuszczała brodę niczym turkawka, gdy się puszy; zapytała z naiwną miną:

— Jak się nazywała ta dama?

— Nie wiadomo; jest to metresa Regenta *, wiecie państwo, tego, co tyle robił kawałów.

— Oczywiście, że wiem: pamiętniki ówczesne...

I notariusz, nie kończąc zdania, ubolewał nad przykładem władcy opętanego namiętnościami.

— Ale wy wszyscy tacy jesteście!

Dwaj mężczyźni zaprotestowali przeciw temu i wywiązał się dialog o kobietach, o miłości. Marescot twierdził, że istnieje dużo związków szczęśliwych; niekiedy nawet nie domyślając się, ma się koło siebie to, czego potrzeba, żeby być szczęśliwym. Aluzja była wyraźna. Policzki wdowy zapłonęły; ale przychodząc do siebie prawie natychmiast, rzekła:

— Nie jesteśmy już w wieku szaleństw, prawda, panie Bouvard?

— No! No! Ja tego nie powiem.

I podał jej ramię, żeby wrócić do pierwszego pokoju.

— Proszę uważać na stopnie. Doskonale. A teraz proszę popatrzeć na witraż.

Widać tam było szkarłatny płaszcz i dwa skrzydła anioła. Cała reszta ginęła pod listewkami z ołowiu, spawającymi liczne pęknięcia szkła. Słońce świeciło już słabiej, cienie wydłużyły się, pani Bordin zrobiła się poważna.

lis

Bouvard oddalił się i powrócił okryty wełnianą kołdrą, po czym ukląkł na klęczniku, rozsunawszy łokcie, z twarzą w dłoniach, z plamą słońca na łysinie; był świadomy efektu, jaki wywołał, bo rzekł:

— Czyż nie wyglądam na średniowiecznego mnicha? -

Potem podniósł czoło odwracając nieco głowę, oczy miał rozmodlone i starał się nad"ać twarzy wyraz mistyczny. W korytarzu dał się słyszeć poważny głos Pe-cucheta:

— Nie bój się, to ja.

I wszedł w kasku na głowie: żelaznym garnku z ostro zakończonymi uchami.

Bouvard nie opuścił klęcznika. Goście stali. Minęła chwila w osłupieniu.

Pani Bordin wydała się Pecuchetowi nieco zimna. Jednakże chciał wiedzieć, czy wszystko jej pokazano.

— Zdaje mi się, że tak. Wskazując ścianę powiedział jeszcze:

— A, przepraszam! Będziemy mieli tutaj pewien sprzęt, który obecnie się odnawia.

Wdowa i Marescot poszli sobie.

Dwaj druhowie umyślili udawać konkurencje. Chodzili na wyprawy w pojedynkę i każdy z nich starał się przynieść do zbiorów coś, co zaćmiłoby dar drugiego. Pecuchet zdobył właśnie kask.

Bouvard powinszował mu tego nabytku i wysłuchał pochwały z powodu kołdry. Mela za pomocą sznurków zrobiła z niej rodzaj habitu. Kładli go na siebie kolejno, przyjmując zwiedzających.

Zjawili się Głrbal, Foureau, kapitan Heurteaux, potem osoby niższej kondycji: Langlois, Beljambe, ich dzierżawcy, nawet służące od sąsiadów; za każdym razem zaczynali na nowo swe objaśnienia, pokazywali miejsce, gdzie będzie stała skrzynia, udawali skromność, prosili o wyrozumiałość dla ciasnoty.

Pecuchet w takie dni nosił czapkę zuawów, którą miał w Paryżu, uważając ją za stosowniejszą w otoczeniu dzieł sztuki. W pewnej chwili nakładał kask i spychał go na potylice, żeby odsłonić twarz. Bouvard nie zapominał pomanewrować halabardą. Wreszcie rzutem

9

oka porozumiewali się, czy gość zasługuje na zainscenizowanie przy nim „średniowiecznego mnicha”.

Cóż to była za emocja, gdy przed ich bramą zatrzymał się powóz hrabiego de Faverges! Miał tylko słówko do powiedzenia. W takiej oto sprawie:

Hurel, jego pełnomocnik, zakomunikował mu, że Bouvard i Pecuchet, szukając wszędzie dokumentów, kupili stare papiery na fermie majątku La Aubrye.

Istotnie tak było.

Czy nie odnaleźli wśród nich listów dawnego adiutanta księcia d'Angouleme, barona de Gonneyal, który przebywał przez jakiś czas w La Aubrye? Korespondencja ta była pożądana w interesach rodzinnych.

Nie mieli jej u siebie, ale za to posiadali pewną rzecz, która go zainteresuje, jeżeli zechce łaskawie zejść do ich biblioteki.

Nigdy takie lakierowane buty z cholewami nie skrzypiały w korytarzu. Potknęły się o sarkofag. Hrabia o mało nie rozdeptał kilku dachówek, potrącił fotel, zszedł dwa stopnie — i gdy znaleźli się w drugim pokoju, pokazali mu pod baldachimem, przed świętym Piotrem, gar do masła wykonany w Noron.

Bouvard i Pecuchet sądzili, że data czasami może się przydać.

Szlachcic przez grzeczność obejrzał ich muzeum. Powtarzał: „Śliczne! Bardzo ładne!” — uderzając się po ustach gałką swej laseczki, i ze swej strony dziękował im za ocalenie tych szczątków średniowiecza, epoki wiary katolickiej i rycerskiego poświęcenia. Lubił postępowanie i jak oni oddałby się tym interesującym studiom, ale polityka, obowiązki członka rady generalnej *, rolnictwo, istny wir zajęć odsuwały go od nich.

— Po was, jednakże, pozostaną tylko resztki, gdyż niebawem wyłowicie wszystkie osobliwości departamentu.

— Nie chwalcąc się, tak sądzimy — rzekł Pecuchet. Tymczasem można było wykryć jeszcze niejedno

w Chavignolles, na przykład była tam pod murem cmentarza, w uliczce, chrzcielnica zagrzebana pod chwastami od niepamiętnych czasów.

Radzi byli tej informacji, potem wymienili spojrzenie,

0

które znaczyło „czy warto?”, ale hrabia już otwierał drzwi.

Mela, znajdująca się za drzwiami, uciekła co tchu.

Gdy przechodzili przez podwórze, gość zauważył Gorju palącego fajkę z założonymi rękami.

— Panowie zatrudniają tego człowieka? Hm! W razie rozruchów nie ufałbym jemu.

I pan de Faverges wsiadł z powrotem do swego *til-bury* *.

Dlaczego ich służąca jak gdyby się go bała?

Zapytali ją o to i odpowiedziała, że służyła na jego fermie. Była to ta dziewczynka, która dawała pić żniwiarzom, gdy zwiedzali gospodarstwo hrabiego dwa lata temu. Wzięto ją do dworu, do pomocy służbie, i odprawiono „z powodu plotek”.

Co do Gorju, cóż można mu zarzucić? Był bardzo zręczny i okazywał im wielki szacunek.

Nazajutrz skoro świt udali się na cmentarz.

Bouvard pomacał we wskazanym miejscu laską. Zadzźwięczało coś twardego. Wyrwali trochę pokrzyw i odsłanili misę z piaskowca, chrzcielnicę, w której rosły chwasty.

Jednakże nie ma zwyczaju zakopywać chrzcielnic poza obrębem kościoła.

Pecuchet odrysował znalezisko, Bouvard je opisał i posłali to wszystko Larsoneurowi.

Odpowiedź otrzymali natychmiast.

— Brawo, drodzy koledzy! Bezsprzecznie jest to misa druidyczna.

Wszelako niech się mają na baczności. Autentyczność posłanego mu toporka była wątpliwa i zarówno we własnym interesie, jak i dla nich wskazywał im szereg prac, do których należy zaglądać.

Larsoneur wyjawiał w postscriptum chęć poznania tej misy, co byłoby dlań możliwe w niedługim czasie, gdy wyruszy do Bretanii.

Teraz Bouvard i Pecuchet pogrążyli się w archeologii celtyckiej.

Według tej nauki starożytni Galowie, nasi przodkowie, czcili bóstwa Kirk i Kron, Taranis Esus, Netalem-nia, Niebo i Ziemię, Wiatr, Wody, a nade wszystko wielkiego Teutatesa, który jest Saturnem Galów. Bo-

¹
wiem Saturn, gdy panował w Fenicji, poślubił nimfę imieniem Anobret, z której miał dziecko nazwane Jeud, a Anobret jest podobna do Sary, zaś Jeud został złożony na ofiarę (lub niewiele do tego brakowało) jak Izaak: a więc Saturn to Abraham, z czego należy wywnioskować, że religia Galów miała te same podstawy, co religia Żydów.

Społeczeństwo galijskie było bardzo dobrze zorganizowane. Pierwsza kasta obejmowała lud, szlachtę i króla; druga — prawników, a w trzeciej, najwyższej, gromadziły się, według Taillepie'a *, „różne odmiany filozofów”, to znaczy druidów, czyli saronidów, którzy znowu dzielili się na eubagów *, bardów i wróżów.

Jedni prorokowali, drudzy śpiewali, jeszcze inni uczyli botaniki, medycyny, historii i literatury, słowem, wszystkich umiejętności swoich czasów. Pitagoras i Platon byli ich uczniami, Greków nauczyli oni metafizyki, Persów czarnoksiestwa, Etrusków wróżenia z wnętrzości ofiar, a Rzymian pobielania miedzi i handlu szynkami.

Ale z tego ludu, który górował nad starożytnym światem, pozostały tylko głazy bądź pojedyncze, bądź w grupach po trzy, to znów rozmieszczone podwójnym szeregiem albo tworzące koło.

Bouvard i Pecuchet, pełni zapału, oglądali kolejno takie kamienie w szeregu miejscowości departamentu Orne.

Wszystkie te głazy, niczym szczególnym nie wyróżniając się, szybko ich znudziły i pewnego dnia, po obejrzeniu menhiru w Passais, zabierali się do powrotu, gdy przewodnik zaprowadził ich do bukowego gaju, gdzie było mnóstwo granitowych bloków, podobnych do piedestałów lub potwornych żółwi.

Największy jest wydrążony jak basen. Jedna krawędź jest wyższa, a z dna idą dwa rowki dochodzące aż do ziemi: służyły one do odpływu krwi, nie mogło być wątpliwości! Takich rzeczy nie tworzy przypadek.

Korzenie drzew oplatały te nieokrzesane cokoły. Padał drobny deszcz; w dali unosiły się kłęby mgły niczym wielkie widma. Łatwo było wyobrazić sobie pod listowiem kapłanów w złotych tiarach i białych szatach, ze swymi ludzkimi ofiarami o skrępowanych z tyłu rękach, a na brzegu wielkiej kamiennej misy

²
kapłankę druidów obserwującą czerwony strumień, gdy dokoła tłum wyje w zgiełku cymbałów i turzych rogów.

W jednej chwili ułożyli sobie plan działania.

Pewnej księżycowej nocy wyruszyli na cmentarz idąc chyłkiem, jak złodzieje, w cieniu domów.

Okiennice były zamknięte, domostwa ciche; ani jeden pies nie zaszczekał.

Towarzyszył im Gór j u; wzięli się do roboty. Słychać było tylko skrzybot kamyków potracanych łopatą przy kopaniu darni.

Sąsiedztwo nieboszczyków było im nieprzyjemne; zegar na kościele rzązał nieprzerwanie, a witrażowa rozeta kościelnego tympanu wyglądała niby oko śledzące świętokradców. Wreszcie zabrali misę.

Nazajutrz powrócili na cmentarz obejrzeć ślady swej roboty.

Proboszcz, zażywając świeżego powietrza na progu plebanii, poprosił ich, żeby raczyli go odwiedzić. Wprowadziwszy gości do małej jadalni popatrzał na nich w dziwny sposób.

Pośrodku pomocniczego kredensu, między talerzami, stała waza do zupy w żółte bukietki.

Pecuchet, nie wiedząc co powiedzieć, pochwalił ją.

— To stary rodzinny fajans z Rouen — rzekł proboszcz.

Amatorzy cenią go, zwłaszcza pan Marescot.

On, Bogu dzięki, nie miał zamiłowania do osobliwości, a że Bouvard i Pecuchet jakoś nie zrozumieli aluzji, oświadczył wręcz, że widział ich, jak ukradkiem zabierali chrzcielnicę.

Dwaj archeologowie, bardzo zakłopotani, coś bąknęli... Przedmiot, o który idzie, był już nie do użytku.

To nic! Muszą go oddać.

Oczywiście! Ale niech im przynajmniej pozwoli sprowadzić malarza, aby go odrysował.

— Dobrze, proszę panów.

— To zostanie między nami, prawda? — rzekł Bouvard — jak na spowiedzi.

Ksiądz z uśmiechem uspokoił ich gestem.

Nie jego się obawiali, lecz raczej Larsonera. Gdy będzie przejeżdżał przez Chavignolles, zechce zobaczyć misę i jego gadaniny dojdą do rządu. Dla wszelkiej pew-

3

ności schowali ją w piekarni, potem w altanie, w budzie ogrodowej, w szafie. Górnicy u był zmordowany *taszczeniem* jej z miejsca na miejsce.

Posiadanie takiego obiektu przywiązywało ich do cel-tyckości Normandii.

Początki jej są egipskiego pochodzenia. Seez, w departamencie Orne, pisze się czasem Sais, tak samo jak miasto w delcie Nilu. Galowie przysięgali na byka, importowanego wołu Apisa.

Łacińska nazwa mieszkańców Bayeux — *Bellocastes* — pochodzi od Beli Casa, siedziba, świątynia Belusa. Belus i Ozyrys* — to to samo bóstwo. „Nic nie przemawia przeciw temu —

powiada Mangon de Lalande — że były koło Bayeux monumenty druidyczne!” „Te okolice —

dodaje Rous-sel* — są podobne do okolic, gdzie Egipcjanie zbudowali chram Jowisza — Ammona*.” A więc była świątynia zawierająca skarby. Wszystkie monumenty celtyckie zawierają je.

W roku — opowiada dom Martin* — imć Heribel wykopał w okolicach Bayeux dużo naczyń glinianych pełnych kości i wynioskował (z tradycji i autorytetów już zaginionych), że to

miejsce, nekropol*, to była góra Faunus, gdzie pogrzebano Złotego Cielca.

Tymczasem Złoty Cielec był spalony i połknięty, o ile Biblia się nie myli!

Pierwsze pytanie: gdzie jest góra Faunus? Autorowie nie wskazują tego. Autochtoni nic o tym nie wiedzą. Należałoby przedsięwziąć poszukiwania w ziemi, i w tym celu wysłali do pana prefekta podanie, na które nie było odpowiedzi.

Może góra Faunus zniknęła i to nie było naturalne wzgórze, lecz tumulus*? Co oznaczały tumulusy?

Wiele z nich zawiera szkielety w pozycji płodu w łonie matki. To znaczy, że grób był dla nich jakby drugim okresem istnienia przed narodzinami, przygotowaniem do innego życia. A więc tumulus symbolizuje organ płciowy żeński, jak kamień pionowy jest organem męskim.

Istotnie, tam gdzie są menhiry, przetrwał sprośny kult. Dowodem to, co się działo w Guerende, w Chi-chebouche, Croisic, w Livarto. Niegdyś wieże, piramidy, świece, słupy przydrożne, a nawet drzewa miały

" 4

znaczenie falliczne* i dla Bouvarda i Pecucheta wszystko stało się fallusem. Zbierali orczyki od wozów, nogi od foteli, zasuwy od piwnic, tłuczki aptekarskie. Gdy ich odwiedzano w muzeum, pytali:

— Jak pan sądzi, do czego to jest podobne?

Potem wyjawiali tajemnicę i gdy się oburzano, wrzuszali z politowaniem ramionami. Pewnego wieczora, gdy rozmyślali nad dogmatami druidów, dyskretnie zjawił się proboszcz. Natychmiast pokazali muzeum zaczynając od witrażu; ale pilno im było dojść do nowego działu, fallusów. Ksiądz powstrzymał ich, uważając tę wystawę za nieprzyzwoitą. Przyszedł żądać zwrotu chrzcielnicy.

Bouvard i Pecuchet wyblągali jeszcze dwa tygodnie — tyle czasu potrzeba do zrobienia odlewu. — Im wcześniej, tym lepiej — rzekł ksiądz. Potem rozmawiał o rzeczach obojętnych. Pecuchet, który wyszedł na chwilę, wcisnął mu w rękę napoleona.

Proboszcz uczynił ruch cofania się.

— O! To dla biednych parafian.

I Jeufroy, czerwieniąc się, wsunął sztukę złota do sutanny.

Zwrócić misę, misę ofiarną! Nigdy w życiu! Chcieli nawet nauczyć się hebrajskiego, który jest językiem macierzystym celtyckiego, o ile sam od celtyckiego nie pochodzi, i już układali sobie podróż do Bretanii, rozpoczynając się od Rennes, gdzie mieli umówione spotkanie z Larsoneurem dla zbadania tej urny, która jest wymieniona w memoriałach Akademii celtyckiej, a rzekomo zawierała prochy królowej Artemidy, gdy wszedł mer, w kapeluszu, bez ceremonii, jak to u tego ordynusa było we zwyczaju.

— No, ojculkowie, nie ma co, trzeba to oddać!

— Co takiego?

— Figlarze! Wiem dobrze, że wy to ukrywacie! Zdradzono ich.

Odpowiedzieli, że przechowują tę rzecz za zgodą proboszcza.

— To się okaże.

„, I Foureau poszedł sobie. Po upływie godziny powrócił.

5

— Proboszcz mówi, że nie! Proszę przyjść się wy tłumaczyć.

Uparli się przy swoim.

Przed wszystkim nikt nie potrzebował tej chrzcielnicy, która nie była chrzcielnicą. Dowiodą tego mnóstwem argumentów naukowych. Następnie zadeklarowali stwierdzenie w swym testamencie, że przedmiot ten należy do gminy.

Zaproponowali nawet kupno tej *rzeczy*.

— A zresztą to jest moje! — powtarzał Pecuchet. Dwadzieścia franków przyjęte przez księdza Jeufroy

było dowodem umowy, a gdyby trzeba było stanąć przed sędzią pokoju, trudno, złoży fałszywą przysięgę!

Podczas tych debat znowu kilkakrotnie przyjrzał się wazie do zupy i w duszy jego rozwinęła się żądza, pragnienie posiadania tego fajansu. Jeżeli zechcą mu go dać, on zwróci misę. Inaczej nie. Ze zmęczenia czy z obawy skandalu proboszcz odstąpił wazę.

Umieścili ją w swych zbiorach obok czepka norman-dzkiego. Misa ozdobiła kruchtę kościelną i pocieszyli się po jej stracie tą myślą, że ludzie w Chayignolles nie znają jej wartości.

Ale waza rozbudziła w nich gust do fajansów: nowy przedmiot badań i wypraw w okolicę.

Były to czasy, kiedy osoby z towarzystwa poszukiwały starych półmisków z Rouen. Notariusz miał ich kilka i tej okoliczności zawdzięczał reputację artysty, szkodliwą dla jego zawodu, ale równoważoną jego powagą,

Gdy dowiedział się, że Bouvard i Pecuchet nabyli wazę, przyszedł zaproponować zamianę. Pecuchet odmówił.

— Nie mówmy o tym więcej!

I Marescot obejrzał ich ceramikę.

Wszystkie sztuki zawieszane na ścianach były niebieskie, na tle brudnobiałym, niektóre prezentowały swój róg obfitości w tonach zielonych i czerwonych; były tam talerze i spodki, miseczki do golenia, przedmioty długi czas poszukiwane i przyniesione na sercu, za pazucha.

Marescot pochwalił je, mówił o innych fajansach, hisz-

pańsko-arabskich, holenderskich, angielskich, włoskich i gdy ich olśnił swą erudycją, odezwał się raptem:

—• Można raz jeszcze zobaczyć waszą wazę?

Dzwonił w nią palcem, potem przyjrzał się uważnie dwom *S* wymalowanym na pokrywie.

— Marka Rouen —• rzekł Pecuchet.

— O! O! Rouen, właściwie mówiąc, nie miał marki. Kiedy nie znano Mautiers, wszystkie fajanse francuskie były z Nevers. To samo jest dzisiaj z Rouen! Zresztą naśladowują go doskonale w Elbeuf.

— Niemożliwe.

— Naśladowują dobrze majoliki! Wasza waza nie ma żadnej wartości i omal nie zrobiłem kapitalnego głupstwa.

Gdy notariusz wyszedł, Pecuchet opadł na fotel, wyczerpany.

— Nie trzeba było oddawać misy — rzekł Bouvard — ale ty się egzaltujesz. Ty zawsze się unosisz.

— Tak, unoszę się.

I Pecuchet, ujawszy oburącz wazę, cisnął ją daleko od "siebie, na sarkofag.

Bouvard, spokojniejszy, pozbiierał wszystkie skorupy; po pewnym czasie przyszło mu na myśl:

— Marescot przez zazdrość mógł sobie z nas zakpić.

— Co?

— Nie mam żadnej pewności, że waza nie jest autentyczna. Tymczasem inne sztuki naszej ceramiki, które udawał, że podziwia, są, być może, fałszywe?

I reszta dnia zeszła na niepewnościach, na żalach.

Nie było racji z tego powodu poniechać podróży do Bretanii. Zamierzali nawet wziąć ze sobą Gorju, który mógłby im pomagać w pracach wykopaliskowych.

Od pewnego czasu sypiał u nich w domu, żeby prędzej skończyć restaurację skrzyni. Perspektywa zmiany miejsca nie była mu przyjemna i gdy mówili o menhirach i turnulusach, które spodziewali się zobaczyć, wtrącił swoje.

— Znam lepsze; w Algierze, na południu, niedaleko źródeł Bou-Merzoug, spotyka się ich mnóstwo.

Opisał nawet pewien grób otwarty przy nim przypadkowo; zawierał on szkielet siedzący w kucki jak małpa i obejmujący nogi rękami.

7

Larseneur, którego powiadomili o tym fackie, za nic nie chciał w to uwierzyć.

Bouvard głębiej ujął te kwestię i nie dał mu spokoju.

Czym to się tłumaczy, że monumenty Galów są bezkształtne, gdy tymczasem ci sami Galowie byli cywilizowani za czasów Juliusza Cezara? Niewątpliwie te zabytki pochodzą od jakiegoś starszego ludu.

Taka hipoteza, zdaniem Larsoneura, była niepatrio-tyczna.

— Mniejsza z tym! Nie ma dowodów, że te monumenty są dziełem Galów. Proszę nam wskazać jakiś tekst!

Akademik się rozgniewał, wcale nie odpowiedział; bardzo byli z tego radzi, tak już ich nudzili druidzi.

Jeżeli nie wiedzieli, czego się trzymać w dziedzinie ceramiki i celtyzmu, to dlatego że nie znali historii, w¹ szczególności dziejów Francji.

Dzieło Anąetila * znajdowało się w ich bibliotece; ale szereg królów malowanych * bardzo mało był zabawny. Zbrodnicość majordomów bynajmniej ich nie oburzała; porzucili więc Anąetila, zrażeni niedorzecznością jego rozważań.

Wówczas zapytali Dumouchela: „Jaka jest najlepsza historia Francji?”

Dumouchel w ich imieniu wziął abonament w czytelni i wysłał im z Paryża *Listy* Augustyna Thierry * i dwa tomy księdza de Genoude *.

Według tego pisarza władza królewska, religia i zgromadzenie narodowe oto „zasady” narodu francuskiego, sięgające epoki Merowingów *. Karolingowie naruszyli je. Kapetyngowie * w

zgodzie z ludem usiłowali utrzymać te zasady. Za Ludwika XIII władza absolutna została ustanowiona, żeby pokonać protestantyzm, ostatni wysiłek feudalizmu, a rok 89 jest nawrotem ku konstytucji naszych przodków.

Pecuchet był zachwycony tymi poglądami.

Wzbudzały one politowanie w Bouvardzie, który przeczytał naprzód Augustyna Thierry:

— Co ty mi tu bajesz o narodzie francuskim, skoro nie było jeszcze ani Francji, ani zgromadzeń narodowych! A Karolingowie nic nie uzurpowali sobie! A królowie nie usamodzielnili gmin!

Czytaj sam.

8

Pecuchet poddał się oczywistości i niebawem przeszedł Bouvarda w ścisłości naukowej.

Uważałby za hańbę dla siebie, gdyby powiedział Charlemagne, a nie Karl Le Grand, Clovis zamiast Clodowig.

Niemniej wzięła go lektura Genoude'a; uważał za bardzo zręczne to złączenie dwóch końców historii Francji, tak iż środek jest do wypełnienia. I — żeby mieć czyste sumienie — sprowadzili sobie pracę Bu-cheza i Roux *.

Ale patos przedmów, amalgamat socjalizmu i katolicyzmu był dla nich nie do zniesienia; nadmiar szczegółów nie pozwalał widzieć całości.

Zwrócili się do dzieł Thiersa.

Było to w lecie 45 r., w ogrodowej altanie. Pecuchet, oparłszy nogi na stołeczku, czytał swym stłumionym głosem, bez zmęczenia, zatrzymując się tylko po to, żeby zanurzyć palce w tabakierce. Bouvard słuchał z fajką w ustach, z rozstawionymi nogami, z rozpiętymi na brzuchu spodniami.

Starzy ludzie mówili im o roku 93 i wspomnienia prawie osobiste ożywiały płaskie opisy autora. W owych czasach gościńce roiły się od żołnierzy śpiewających Marsyliankę. Siedzące na progach domów kobiety szyły płótno na namioty. Niekiedy napływała fala ludzi w czerwonych czapkach, pochylając na ostrzu pik blade głowy ze zwisającymi włosami. Wysoka trybuna Konwentu* górowała nad obłokiem kurzu, w którym rozwścieczone twarze ryczały: „Na śmierć.” Gdy się przechodziło w południowej porze koło basenu Tuileries, słyhać było stuk przypominający uderzenia „baby” we wbijane pale.

A wietrzyk poruszał dzikim winem altany, dojrzałe owsy kołysały się co pewien czas, gdzieś gwizdał kos. Spoglądając dokoła delectowali się tym spokojem.

Jaka szkoda, że od samego początku nie zdołano się porozumieć. Bo gdyby rój aliści byli myśleli tak jak patrioci, gdyby dwór okazał więcej szczerości, a przeciwnicy mniej zaciekłości, byłoby się uniknęło wielu nieszczęść!

Długie gadania na ten temat roznamiętniły ich. Bouvard, człowiek o poglądach liberalnych i o czułym sercu, był konstytucjonalistą*, żyrondistą*, termidorczy-

9 — Bouvard i Pecuchet

9

kiem *, Pecuchet, popędliwy i arbitralny, stanął po stronie sankiulotów *, a nawet zwolenników Robespierre'a *.

Pochwalał skazanie króla, na j okrutnie j sze dekryty, kult bóstwa Rozumu. Bouvard wolał kult Natury. Powitałby z przyjemnością obraz tęgiej kobiety leżącej z piersi swym wielbicielom nie wodę, lecz burgunda.

Żeby mieć więcej faktów na poparcie swych argumentów, wystarali się o nowe dzieła, prace Montgail-larda*, Prudhomme'a *, Gallois *, Lacreteille'a * itd.; sprzeczności tych książek bynajmniej nie wprawiały ich w zakłopotanie. Każdy brał z nich to, co mogło bronić jego stanowiska.

W ten sposób Bouvard nie wątpił, że Danton * wziął sto tysięcy dukatów za postawienie wniosków gubiących Republikę, a według Pecucheta Yergniaud * miał żądać sześciu tysięcy franków miesięcznie.

— Nigdy w życiu! Wytłumacz mi raczej, dlaczego siostra Robespierre'a pobierała pensję od Ludwika XVIII?

— Nic podobnego! Od Bonapartego. A skoro ty to tak bierzesz, co to za osobistość na krótko

przed śmiercią Filipa Egalite* miała z nim tajną konferencję? Chcę, żeby przywrócono w pamiętnikach pani Campan * usunięte rozdziały! Zgon Delfina * wydaje mi się nieczystą sprawą. Prochownia w Grenelle wylatując w powietrze zabiła dwa tysiące osób. „Przyczyna nie znana”, powiadają, co za brednia!

Gdyż Pecuchet nie był daleki od poznania jej i zrzucił wszystkie zbrodnie na arystokratów, na złoto zza granicy.

W umyśle Bouvarda słowa: „Wejź do nieba, synu świętego Ludwika *”, dziewice z Yerdun * i spodnie z ludzkiej skóry nie podlegały dyskusji. Przyjmował za prawdziwe spisy Prudhomme'a *, akurat milion ofiar.

Ale Loara czerwona od krwi od Saumur aż do Nantes, na przestrzeni osiemnastu mil, dała mu do myślenia. Pecuchet również powziął wątpliwości i stracili zaufanie do historyków.

Rewolucja jest dla jednych wydarzeniem szatańskim. Inni głoszą, że to wzniosły wyjątek.

Zwycięzeni każdej strony naturalnie są męczennikami.

Thierry dowodzi, mówiąc o barbarzyńcach, jak jest

0

niemądrze doszukiwać się, czy dany władca był dobry, czy zły. Dlaczego nie stosować tej metody w badaniu epok późniejszych? Ale historia obowiązana jest pomście; wdzięczni jesteśmy Tacytowi za to, że nie zostawił suchej nitki na Tyberluszu. Ostatecznie, czy królowa * miała kochanków; czy Dumouriez * po bitwie pod Yalmy zamierzał zdradzić rewolucję; czy w periale Góra, czy Żyronda rozpoczęła *, a w termidorze Jako-bini czy Centrum * — co to ma za znaczenie dla rozwoju Rewolucji, której źródła są głębokie, a rezultaty nieobliczalne?

A więc musiała się ona dopełnić, być tym, czym była, ale przypuśćmy, że król uciekł bez przeszkód, że Robe-spierre uniknął gilotyny lub że Bonaparte został zamordowany — przypadki, które zależały od mniej skrupulatnego oberżysty, od otwartych drzwi, od śpiącego szyldwacha — i dzieje świata potoczyłyby się innym torem.

Bouvard i Pecuchet nie mieli już o ludziach i faktach owej epoki żadnego zdecydowanego sądu.

Żeby sądzić bezstronnie, trzeba byłoby przeczytać wszystkie dzieła historyczne, wszystkie pamiętniki, wszystkie czasopisma i wszystkie rękopisy, gdyż od najmniejszego przeoczenia może *zależać* omyłka, która w nieskończoność będzie za sobą pociągała inne. Zrezygnowali z tego.

Ale zrodziło się w nich zamięłowanie do historii, potrzeba prawdy dla niej samej.

Może łatwiej ją wykryć w epokach dawniejszych? Autorzy, będąc z dala od tych spraw, winni mówić o nich beznamytnie. Rychło się jednak przekonali, że historia starożytna jest niejasna z braku dokumentów, a nowożytna w nie obfituje. I Bouvard, i Pecuchet powrócili do Francji, otworzyli Sismondiego *.

Następowanie po sobie tylu ludzi budziło w nich chęć poznania ich dokładniej, niejako wzięcia udziału w ich życiu. Chcieli przejrzeć oryginalne dzieła Grzegorza z Tours *, Monstreleta *, Commines'a *, tych wszystkich, których imiona były dziwaczne lub przyjemne.

Ale wydarzenia gmatwały się im z powodu nieznanności dat.

Zresztą daty nie są zawsze autentyczne. Dowiedzieli 1

się z pewnego podręcznika szkolnego, że narodzenie Chrystusa należy przenieść o pięć lat wcześniej, niż to jest powszechnie przyjęte; że były u Greków trzy sposoby liczenia Olimpiad *, a u Latynów osiem rozpoczynania roku. Tyleż okazji do pomyłek prócz tych, które wynikają z zodiaków, z er i różnych kalendarzy.

I od nietroszczenia się o daty przeszli do lekceważenia faktów.

Filozofia dziejów, ot, co jest ważne!

Bouvard nie mógł dokończyć czytania słynnej rozprawy Bossueta *.

— Orzeł z Meaux * to kawalarz! Zapomina o Chinach, Indiach i Ameryce! Ale troszczy się o pouczenie nas, że Teodozjusz * był „radością ludzkości”, że Abraham „był za pan brat z królami” i że filozofia grecka pochodzi od Hebrajczyków. Jego zaprzątnięcie sobie umysłu Hebrajczykami drażni mnie.

Pecuchet podzielił tę opinię i chciał go skłonić do czytania Vico *.

— Jakże można dopuścić myśl — oponował Bouvard — że bajki są prawdziwsze od prawd

historyków?

Pecuchet usiłował wytłumaczyć mity gubiąc się w *Scienza Nuova*.

— Czy zaprzeczysz istnieniu planu Opatrzności?

— Nie znam go! — rzekł Bouvard.

I postanowili zwrócić się w tej sprawie do Dumouchela.

Profesor przyznał, że jest teraz zbity z tropu w dziedzinie historii.

— Zmienia się ona codziennie. Kwestionujecie królów Rzymu i podróże Pitagorasa. Atakuje się Belizariusza *, Wilhelma Telia *, a nawet Cyda *, który dzięki ostatnim odkryciom stał się zwykłym bandytą. Doszło do tego, że należy sobie życzyć, by nie czyniono już-nowych odkryć, a nawet Instytut * powinien by ustalić rodzaj kanonu przesądzającego, w co trzeba wierzyć!

W postscriptum Dumouchel przysyłał reguły krytyki zanotowane z wykładu dziejopisa Daunou*: „Cytować jako dowód świadectwo tłumów — złe to dowody; nie ma już tych tłumów, żeby mogły odpowiedzieć.

1

Odrzucać rzeczy niemożliwe. Pokazano Pauzania-szowi * kamień połknięty przez Saturna.

Architektura może kłamać, przykład: łuk na Forum, gdzie Tytus* jest nazwany pierwszym zwycięzcą Jerozolimy zdobytej przed nim przez Pompejusza *.

Numizmaty czasem wprowadzają w błąd. Za Karola IX * bito monety ze stemplem menniczym Henryka II*.

Bierzcie pod uwagę interesy fałszerzy, interesy apologetów i oszczerców."

Niewielu historyków pracowało według tych reguł — wszyscy pisali historię na rzecz jakiejś specjalnej sprawy, religii, narodu, partii, systemu rządów lub dla skarcenia królów, dawania rad ludowi, dostarczenia przykładów moralnych.

Inni, którzy twierdzili, że tylko opowiadają, nie są więcej warci; bo nie można powiedzieć wszystkiego, trzeba zrobić wybór. Ale w wyborze dokumentów pewien duch będzie przeważał, a że on się zmienia zależnie od sytuacji pisarza, nigdy dzieje nie będą ustalone.

— To smutne — myśleli sobie.

Jednakże można by wziąć jakiś temat, wyczerpać źródła, przeprowadzić dobrze analizę, potem skondensować go w opowieść, która byłaby jakby skrótem rzeczy poruszanych, odbijającym całkowitą prawdę. Taka praca wydawała się Pecuchetowi wykonalna.

— Chcesz, żebyśmy spróbowali ułożyć opowieść?

— Bardzo chętnie! Ale jaką?

— Właśnie, jaką?

Bouvard usiadł. Pecuchet chodził tam i z powrotem po muzeum, gdy gar do masła przykuł jego wzrok, i zatrzymując się raptem, rzekł:

— A gdybyśmy tak napisali życiorys księcia d'An-gouleme?

— Ależ to był dureń — zareplikował Bouvard.

— Cóż to szkodzi! Osobistości drugorzędne mają niekiedy ogromny wpływ, a ta może trzymała w rękę cały mechanizm ówczesnych spraw.

Książki dostarczyłyby im wiadomości, a pan de Fa-yerges niewątpliwie udzieli ich sam lub przez swych starych znajomych ze szlachty.

Rozważyli ten projekt, przedyskutowali i wreszcie

1

postanowili spędzić dwa tygodnie w bibliotece miejskiej w Caen, żeby poszukać tam materiałów.

Bibliotekarz oddał im do dyspozycji historie powszechnie i broszury z kolorowaną litografią przedstawiającą w pozie trzy czwarte J. O. księcia d'Angouleme.

Błękitne sukno jego munduru ginęło pod epoletami, gwiazdami orderowymi i czerwoną wielką wstęgą legii honorowej. Niesłychanie wysoki kołnierz obejmował długą szyję. Gruszkowata głowa była obramowana kędziorami włosów i wątłych faworytów, a ciężkie powieki, nos i grube wargi nadawały jego twarzy wyraz bezbarwnej dobroci.

Gdy porobili sobie notaty, zredagowali plan:

Urodzenie i dzieciństwo nieciekawe. Jednym z jego guwernerów jest książd Guenee *, wróg

Volterra. W Turynie każą mu odlać armatę i studiuje kampanie Karola VIII *. Toteż zostaje mianowany, mimo młodego wieku, dowódcą pułku gwardii szlacheckiej.

97. Małżeństwo.

. Anglicy zajmują Bordeaux. Nadciąga za nimi i pokazuje się ludność. Opis osoby księcia.

. Zaskakuje go Bonaparte. Natychmiast wzywa króla Hiszpanii i Tulon, bez marszałka Masseny *, zostaje oddany Anglikom.

Operacje na Południu. Jest pobity, ale wypuszczony na wolność po złożeniu przyrzeczenia zwrotu diamentów korony wywiezionych galopem przez króla, jego stryja.

Po „Stu dniach” powraca z rodzicami i żyje spokojnie. Mija szereg lat.

Wojna w Hiszpanii *. Zaraz po przekroczeniu Pirenejów Zwycięstwo towarzyszy potomkowi Henryka IV. Zdobywa Trocadero *, dociera do słupów Herkulesa *, miażdży frakcje, całuje Ferdynanda i wraca.

Bramy triumfalne, kwiaty podawane przez dziewczęta, obiady w prefekturach. *Te Deum* w katedrach. Paryża-nie w szale upojenia. Miasto wydaje na jego cześć bankiet. Na scenach, wyśpiewują aluzje do bohatera.

Entuzjazm słabnie. Bo w roku w Cherbourgu bal składkowy nie udaje się.

Jako wielki admirał Francji, robi przegląd floty, która ma wyruszyć do Algeru.

1

Lipiec . Marmont zawiadamia go, jak sprawy stoją. Wówczas wpada w taką wściekłość, że kaleczy sobie rękę o szpadę generała.

. Król powierza mu dowództwo wszystkich sił zbrojnych.

Spotyka w- Lasku Bulońskim oddziały liniowe, a nie umie im nic powiedzieć.

Z Saint-Cloud pędzi na most Sewrski. Chłodne przyjęcie ze strony wojska. Tym się nie przejmuje. Rodzina królewska opuszcza Trianon. Siada pod dębem, rozkłada mapę, medytuje, siada znów na konia, przejeżdża przed szkołą wojskową w Saint-Cyr i przesyła uczniom słowa nadziei.

W Rambouillet gwardia przyboczna żegna się z nim.

Siada na statek i podczas całej podróży choruje. Koniec jego kariery.

Należy w tym podkreślić znaczenie, jakie miały mosty. Naprzód naraża się niepotrzebnie na moście na rzece Inn; zdobywa most Saint-Esprit i most w Lauriol; w Lyonie dwa mosty są dlań zgubne i jego szczęście kończy się przy moście Sewrskim.

Obraz jego cnót. Zbyteczne wychwalać jego odwagę, z którą łączył politykę w wielkim stylu.

Bowiem ofiarował sześćdziesiąt franków każdemu żołnierzowi, który opuści cesarza, a w Hiszpanii usiłował przekupić zwolenników konstytucji.

Jego uступliwość była tak wszechstronna, że zgodził się na małżeństwo ułożone przez ojca i królową Etrurii; na utworzenie nowego gabinetu po zarządzeniach *, na zrzeczenie się praw do tronu na korzyść Chamborda*; na wszystko, czego od niego chciano.

A jednak nie brak mu było stanowczości. W Angers skasował piechotę gwardii narodowej, której, zazdrosnej o kawalerię, za pomocą fortelu udało się eskortować go, tak że Jego Wysokość, wtłoczony na koniu między piechurów, miał ściśnięte kolana. Ale książę dał naganę kawalerii, przyczynie nieporządku, i przebaczył piechocie; prawdziwy sąd Salomona.

Pobożność jego zaznaczyła się licznymi praktykami religijnymi, a miłosierdzie wyjednanie ułaskawienia generała Debelle'a *, który podniósł broń przeciw niemu.

Szczegóły natury poufnej, cechy księcia:

1

Na zamku Beauregard, w dzieciństwie, bawił się razem z bratem kopaniem sadzawki, którą jeszcze teraz można oglądać. Pewnego razu odwiedził koszary strzelców, poprosił o szklankę wina i wypił za zdrowie króla.

Spacerując powtarzał sobie wciąż: „Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa!”, by zachować miarowy krok.

Zachowało się kilka jego powiedzeń:

Do deputacji mieszkańców Bordeaux: „Nie jestem w Bordeaux, ale pocieszam się tym, że jestem wśród was!”

Do protestantów z Nimes: „Jestem dobrym katolikiem, ale nie zapomnę nigdy, że najznakomitszy z mych przodków był protestantem...”*

Do uczniów szkoły wojskowej w Saint-Cyr, gdy wszystko było stracone: „Dobrze, moi drodzy! Wiadomości są dobre! Dobrze idzie! Dobrze!”

Po abdykacji Karola X: „Skoro mnie nie chcą, niech sobie dają radę sami!”

W , przy każdej okazji, w najlichszej wiosce: „Nie ma już wojny, nie ma poboru, nie ma pośrednich podatków.”

Jego pisma godne były jego powiedzeń. Proklamacje księcia przechodzą wszystko.

Pierwsza proklamacja hrabiego d'Artois * zaczynała się tak: „Francuzi, brat waszego króla przybył!”

Proklamacja księcia: „Przybywam. Jestem synem waszych królów! Wy jesteście Francuzami.”

Rozkaz dzienny datowany z Bajonny: „Żołnierze, przybywam!”

Inna proklamacja w pełni klęski: „Prowadźcie dalej z mocą, jaka przystoi żołnierzowi francuskiemu, walkę, którą rozpoczęliście. Francja oczekuje tego od was!”

Ostatnia w Rambouillet: „Król wszedł w porozumienie z rządem ustanowionym w Paryżu i wszystko przemawia za tym, że to porozumienie będzie lada chwila osiągnięte.”

„Wszystko przemawia za tym” — było wspaniałe.

Jedna rzecz mnie martwi — rzekł Bouvard • — że nie ma żadnych wzmianek o jego sprawach sercowych.

I zanotowali na marginesie: „Szukać wiadomości o miłośkach księcia.”

W chwili gdy mieli wychodzić, bibliotekarz nad czymś

1

się zastanowił i pokazał im inny portret księcia d'An-gouleme.

Na tym portrecie był w mundurze pułkownika kira-sjerów, z profilu oko miał jeszcze mniejsze, usta otwarte, włosy gładkie i rozwiane.

Jak pogodzić z sobą te dwa portrety? Czy miał on włosy gładkie, czy też kędzierzawe? Chyba że posuwał swą kokieteryę aż do fryzowania się?

Kwestia poważna, zdaniem Pecucheta, gdyż uwłosie-nie mówi o temperamencie *, temperament — o osobowości.

Bouvard sądził, że nic się nie wie o człowieku, póki nie są nam znane jego namiętności; dla wyjaśnienia tych dwóch punktów udali się do pałacu de Faverges'ów. Hrabiego nie zastali, to wywoływało zwłokę w ich pracy. Wrócili do domu źli.

Brama była otwarta na oścież, w kuchni nie było żywego ducha. Weszli na schody; i kogo zobaczyli w pokoju Bouvarda? Panią Bordin rozglądającą się dokoła.

— Proszę mi wybaczyć — rzekła usiłując się śmiać. — Od godziny szukam kucharki panów, która mi będzie potrzebna do moich konfitur.

Znaleźli ją w drwalni na krześle, pogrążoną w głębokim śnie. Potrzęsnęli nią. Otworzyła oczy.

— Co tam znowu? Jeszcze pani tu jest, by zawracać głowę swymi pytaniami!

Było jasne, że podczas ich nieobecności pani Bordin indagowała ją.

Gerwazowa ocknęła się z odrętwienia i oświadczyła, że ma niestrawność.

— Zostanę i zajmę się panią — rzekła wdowa. Wówczas zobaczyli na podwórzu wielki czepek z rozwianymi końcami. Była to pani Castillon, fermerka.

Krzyknęła:

— Gorju! Gorju!

A ze strychu głos ich małej służącej odpowiedział donośnie:

— Nie ma go tutaj!

Zeszła w pięć minut potem zaczerwieniona, niespokojna. Bouvard i Pecuchet wytknęli jej powolność. Odpięła im getry bez słowa.

Następnie poszli obejrzeć skrzynię.

1

Rozrzucone kawałki mebla pokrywały podłogą piekarni; rzeźby były uszkodzone, skrzydła drzwiczek złamane.

Na ten widok, wobec tego nowego zawodu, Bouvard powstrzymał łzy, a Pecuchet zaczął drzeć.

Gorju zjawił się prawie natychmiast, wyłożył rzecz: wyniósł właśnie skrzynię na dwór, żeby ją pokostować, gdy raptem włócząca się samopas krowa zwała ją na ziemię.

— Czyja to krowa? — rzekł Pecuchet.

— Nie wiem.

— Ech! Panowie zostawili bramę otwartą, jak przed chwilą! To wina panów!

Rezygnują zresztą ze skrzyni: od zbyt dawna ich zwodzi i rną ją doś jego osoby i jego pracy.

Wielmożni panowie nie mają racji. Szkoda nie była tak wielka. W ciągu trzech tygodni wszystko będzie skończone. I Gorju odprowadził ich aż do kuchni, gdzie Gerwazowa się przywlokła zrobić obiad.

Zauważyli na stole butelkę calvadosu w trzech czwartych opróżnioną.

— Niezawodnie przez was! — rzekł Pecuchet do Gorju.

— Ja! Nigdy. Bouvard zaoponował:

— Wyście byli jedynym mężczyzną w domu.

— No! A kobiety? — odparł robotnik robiąc oko. Gerwazowa podchwyciła to mrugnięcie:

— Może powiecie, że to ja!

— Oczywiście, że wy!

— I to może ja rozbiłam szafę! Gorju wykręcił się na pięcie.

— Widzą przecie panowie, że ona jest wstawiona. Wówczas zaczęli się klócić gwałtownie, on błąd,

drwiący, ona, czerwona jak rak, wrywała sobie kępki siwych włosów *spod* bawełnianego czepka. Pani Bordin trzymała stronę Gerwazowej, Mela — Gorju.

Stara wybuchnęła:

— Czy to nie ohyda, że wy całe dni spędzacie razem w zagajniku, nie licząc nocy! Ty paryski łobuzie, utrzy-manku, co przychodzisz do naszych panów żarty sobie z nich stroić!

8

Bouvard wytrzeszczył oczy.

— Jakie żarty?

— Powiadam, że ludzie kpią sobie z panów.

— Nie dam kpić z siebie! — zawołał Pecuchet.

I oburzony jej zuchwalstwem, rozdrażniony zawodami, wypędził ją; niech się wynosi. Bouvard nie sprzeciwił się tej decyzji i wyszli z kuchni pozostawiając szlochającą nad swoim nieszczęściem Gerwazowa, którą pani Bordin usiłowała pocieszyć.

Wieczorem, gdy się uspokoili, zrobili przegląd tych wydarzeń, zadali sobie pytanie, kto wypił calvados, w jaki sposób skrzynia została rozbita, czego żądała pani Castillon wołając Gorju i czy on zbeczczył Melę?

— Nie wiemy — rzekł Bouvard — co się dzieje w naszym domu, a chcemy wykryć, rodzaj uczesania i amory księcia d'Angouleme.

Pecuchet dodał:

— Ileż jest kwestii ważniejszych i jeszcze trudniejszych!

Z czego wywnioskowali, że fakty zewnętrzne to nie wszystko. Należy je uzupełnić psychologią.

Gdy autor nie ma wyobraźni, w historii będą zawsze braki!

— Sprowadźmy sobie kilka powieści historycznych.

V

Przeczytali naprzód Waltera Scotta.

Było to jak odkrycie nowego świata.

Ludzie przeszłości, którzy byli dla nich tylko widmami, stali się żywymi istotami, królami, książętami, czarownikami, hajdukami, łowczymi, mnichami, cyganami, kupcami i żołnierzami, którzy rozprawiają, walczą, podróżują, handlują, jedzą i piją, śpiewają i modlą się, w salach szermierskich na zamkach, na ciemnych ławach oberż, po krętych uliczkach miast, pod daszkami kramów, w czterech ścianach klasztorów¹. Krajobrazy artystycznie skomponowane tworzą ramy scen niby dekoracja teatralna. Siedzi się oczami jeźdźca cwałującego morskim wybrzeżem.

Wdycha się wśród janowców rześkość wiatru, księżyc oświetla jeziora, gdzie sunie statek, słońce odbija się w pancierzach, deszcz pada na

szałaszy z gałęzi. Nie znając modeli, uważali te malowidła za wierne i złudzenie było kompletne. W ten sposób minęła zima.

Po drugim śniadaniu zasiadali w jadalni, po obu końcach kominka, i jeden naprzeciw drugiego, z książką w ręku, czytali w milczeniu. O szarej godzinie szli na przechadzkę po trakcie, pośpiesznie jedli obiad i czytali do późnej nocy. Żeby lampa ich nie raziała, Bouvard nakładał niebieskie okulary; Pecuchet nasuwał daszek swego kaszkietu na czoło.

Gerwazowa nie odeszła, a Gorju od czasu do czasu przychodził kopać w ogrodzie, gdyż ulegli ich prośbom przez obojętność dla strat materialnych i puszczanie ich w niepamięć.

Po Walter Scocie Aleksander Dumas zabawił ich na sposób latarni magicznej. Jego postacie, zwawe jak mały, silne jak woły, wesołe jak zięby, wchodzą i mówią gwałtownie, skaczą z dachu na bruk, otrzymują okropne rany, z których się wylizują, uchodzą za zabitych, a pojawiają się znowu. Są tu ukryte schody pod podłogami, odtrutki, przebrania, i wszystko się miesza, pędzi i rozplątuje, bez jednej chwili na zastanowienie. Miłość zachowuje przyzwoitość, fanatyzm jest wesoły, rzezie wywołują śmiech.

Stali się wymagający dzięki tym dwóm mistrzom i nie mogli znieść pustej gadaniny Belizariusza, głupoty Numpy Pompiliusza w utworach Ludwika Marchan-gy * i wicehrabiego d'Arlincourt *. Koloryt lokalny Fryderyka Soulie* (jak również bibliofila Jacoba*) wydał im się nie dość barwny, a pan-Villemain zgorszył ich pokazując na stronicy osiemdziesiątej piątej swego *Lascarisa* * Hiszpankę palącą fajkę, „długą fajkę arabską”, w połowie XV wieku.

Pecuchet zaglądał do Biografii Powszechnej* i przedsięwziął zrewidowanie Dumasa z punktu widzenia wiedzy historycznej.

Autor w *Dwóch Dianach* myli się co do lat. Ślub delfina Franciszka odbył się października 48, a nie marca 49 r. Skąd on wie (patrz *Paź księcia Sabaudii*), że Katarzyna Medycejska, po śmierci małżonka, chciała wznowić wojnę? Jest mało prawdopodobne, żeby koronowano księcia d'Anjou nocą w kościele — (epizod

0

upiększający *Damą z Montsoreau*. W *Królowej Margot* w szczególności roi się od błędów. Książę de Nevers nie był nieobecny. Wypowiedział się on na naradzie przed Nocą Świętego Bartłomieja, a Henryk Nawarski nie szedł w procesji w cztery dni potem. Henryk III nie powrócił z Polski tak prędko. Zresztą, ileż oklepanek. Cud z głogiem, balkon Karola IX, zatrute rękawiczki Joanny d'Albert. Pecuchet nie miał już zaufania do Dumasa.

Stracił nawet wszelki szacunek dla Waltera Scotta z powodu bąków, jakie strzelił w swoim *Quentin Durward*. Zamordowanie biskupa w Liege jest przyśpieszone o piętnaście lat. Żoną Roberta de Lamarck była Joanna d'Arschel, a nie Hamelina de Groy. Bynajmniej nie był zabity przez żołnierza, ale zgłodzony przez Maksymiliana, a postać Karola Śmiałego, gdy znaleziono jego trupa, nie wyrażała żadnej groźby, skoro wilki na wół ją pożarły.

Niemniej Bouvard czytał dalej Waltera Scotta, ale wreszcie znudziło go powtarzanie tych samych efektów. Bohaterka zazwyczaj żyje na wsi z ojcem, a kochanek, skradzione dziecko, po odzyskaniu swych praw triumfuje nad rywalami. Jest tam zawsze filozofujący żebrak, gderliwy pan domu, niewinne dziewczęta, krotochwilni słudzy i niekończące się dialogi, głupia pruderia, zupełny brak pogłębienia. Obrzydliwszy sobie to nagromadzenie starych efektów, wziął się do George Sand *.

Zapalił się do pięknych cudzołżnic i szlachetnych amantów, rad byłby być Jakubem, Szymonem, Benedyktem, Leliem * i mieszkać w Wenecji! Wzdychał, nie wiedział, co mu dolega, czuł, że zachodzą w nim jakieś zmiany.

Pecuchet, zajmując się literaturą historyczną, studiował sztuki teatralne.

Pochłonął dwóch Faramondów *, trzech Klodoweu-szów *, czterech Karolów Wielkich, kilku Filipów Augustów *, mnóstwo Joann d'Arc i dużo markiz Pompa-dour * oraz spisków Cellamare *.

Prawie wszystkie te sztuki wydały mu się jeszcze głupsze niż powieści. Gdyż istnieje dla teatru historia umowna, której nic nie może obalić. Ludwik XI * nie omieszka klękać przed figurynkami

ze swego kapelusza,

1

Henryk IV będzie stale jowialny, Maria Stuart* zapłakana, Richelieu* okrutny, wreszcie wszystkie charaktery wydają się zrobione z jednej bryły, z upodobania do pojęć prostych i z szacunku dla nieuctwa, tak iż dramaturg daleki od tego, aby podnosić, obniża; zamiast uczyć, oglupia.

Bouvard wychwalał mu George Sand, więc Pecuchet wziął się do czytania powieści *Consuelo*, *Horace*, *Mau-prat*, był oczarowany obroną uciśnionych, stroną socjalną i republikańską, tezami. Zdaniem Bouvarda psuły one fikcję i zażądał w czytelni powieści miłosnych.

Na głos i jeden po drugim przeczytali *Nową Heloizę* *, *Delfina* *, *Adolfa* *, *Ourikę* *. Ale ziewanie tego, który słuchał, udzielało się towarzyszowi, którego ręce niebawem upuszczają książkę na ziemię.

Zarzucał tym wszystkim powieściom, że nic nie mówią o środowisku, epoce, stroju osób działających. Traktują one tylko o sercu, wciąż uczucie! Jak gdyby świat nie zawierał nic innego. Następnie wzięli się do powieści humorystycznych, takich jak *Podróż po moim pokoju* Xavier de Mai-stre'a *, *Poci lipami* Alfonsa Karra *. W tego rodzaju książkach trzeba przerywać opowiadanie, żeby mówić o swoim psie, o swych pantoflach lub o swej kochance. Taka bezceremonialność z początku ich zachwyciła, potem wydała im się głupia, bo autor zaciera swoje dzieło rozpościerając swoją osobę.

Z upodobania do elementu dramatycznego pograżyli się w powieściach z przygodami; im bardziej intryga była zawiła, niezwykła i niemożliwa, tym więcej ich interesowała. Wysiłali się, żeby przewidzieć rozwiązania, stali się w tym bardzo mocni i znużyli się zabawką niegodną ludzi poważnie myślących.

Dzieło Balzaka wzbudziło w nich podziw jak ogrom Babilonu i jak drobiny pyłu pod mikroskopem. W najbanalniejszych rzeczach wyłoniły się nowe aspekty. Nie podejrzewali w życiu nowoczesnym takiej głębi.

— Co za obserwator! — wołał Bouvard.

— Ja tam go uważam za pisarza chimerycznego — powiedział w końcu Pecuchet. — Wierzy on w wiedzę tajemną, w monarchie, w szlachtę, olśniewają go szuje,

2

\

operuje przed czytelnikami milionami jak groszami, a jego burzuje to nie burzuje, lecz kolosy. Po co wy dymać to, co jest płaskie, i opisywać tyle głupstw! Zrobił powieść o chemii, inną o banku, jeszcze inną o maszynach drukarskich, jak niejaki Ricard* zrobił „dorożkarza”, „nosiwodę”, „handlarza orzechów kokosowych”. Mielibyśmy w ten sposób powieści o wszystkich zawodach i o wszystkich prowincjach, potem o wszystkich miastach i piętrach wszystkich domów i o każdym osobniku, co nie byłoby już literaturą, lecz statystyką lub etnografią.

Małe miała dla Bouvarda znaczenie metoda pisarska. Chciał się kształcić, posunąć się naprzód w znajomości obyczajów. Przeczytał powtórnie Paul de Kocka *, przejrzał starych *Pustelników z Chaussee d'Antin* *.

— Jak można tracić czas na podobne brednie — mówił Pecuchet.

— Ale później to będzie bardzo ciekawe jako dokumenty.

— Idź do diabła ze swymi dokumentami! Żądam czegoś, co mnie podnieca, co mnie odrywa od nędzy tego świata!

I Pecuchet, nastrojony idealistycznie, zwrócił Bouvarda, niepostrzeżenie, ku tragedii.

Odległe czasy, w których się dzieje, sprawy, o które w niej chodzi, i kondycja bohaterów budziły w nich poczucie wielkości.

Pewnego dnia Bouvard wziął do ręki *Athalie* * i recytował słynny *Sen* tak dobrze, iż Pecuchet zechciał z kolei spróbować sam. Od pierwszego zdania głos jego zgubił się w jakimś burczeniu.

Był monotony i choć silny, niewyraźny.

Bouvard, już doświadczony, poradził mu, dla nadania głosowi giętkości, rozwijać go od najniższego tonu do najwyższego i związać, emitując dwie gamy, jedną w górę, drugą w dół; i sam

wykonywał to ćwiczenie, rano w łóżku, leżąc na wznak, wedle przepisu Greków. Pecuchet przez ten czas pracował w ten sam sposób: drzwi między ich pokojami były zamknięte i darli się oddzielnie.

W tragedii podobała im się emfaza, rozprawianie o polityce, maksymy przewrotności.

3

Nauczyli się na pamięć najslawniejszych dialogów Racine'a i Woltera i deklamowali je w korytarzu. Bouvard, jak na scenie Theatre Frangais *, kroczył z ręką na ramieniu Pecucheta zatrzymując się co pewien czas i wywracając oczami rozwierał ramiona, oskarżał losy. Miał piękne krzyki bólu w *Filoktecie* Laharpe'a*, ładną czkawkę w *Gabrieli de Vergy* *, a gdy odgrywał Dionizego, tyrana Syrakuz*, sposób przyglądania się synowi przy słowach: „Potworze, godny mnie”, był naprawdę straszliwy. Pecuchet z wrażenia zapominał swej roli. Brak mu było środków wyrazu, nie dobrych chęci.

Pewnego razu w *Kleopatrze* Marmontela przyszło mu do głowy odtworzyć syk żmii taki, jaki musiał wydawać automat specjalnie wynaleziony przez Vaucansona *. Ten chybiony efekt sprawił, że zaśmiewali się do wieczora. Tragedia wydała im się już mniej wzniosła.

Bouvard pierwszy miał jej dosyć i z całą szczerością wykazał, jak jest sztuczna i podagryczna, ujawnił naiwność jej środków wyrazu, niedorzeczność ról powierników.

Wzięli się do komedii, która jest szkołą odcieni. Trzeba rozdzielać zdania, podkreślać słowa, ważyć sylaby. Pecuchet nie mógł dać sobie z tym rady i utknął kompletnie w roli Celimeny *.

Zresztą uważał, że zakochani są bardzo zimni, rezo-nerzy śmiertelnie nudni, służący nie do zniesienia. Klitander i Sganarelle równie fałszywi jak Egist i jak Agamemnon *.

Pozostawała poważna komedia lub tragedia mieszczańska, ta, gdzie widzi się strapionych ojców rodziny, sługi ratujące swych panów, bogaczy oddających swój majątek, niewinne szwaczuchny i bezecnych uwodzicieli, rodzaj ciągnący się od Diderota aż do Pixerecourta*. Wszystkie te sztuki głoszące cnotę raziły ich jako trywialne.

Dramat z roku * zachwyił ich swym ruchem, barwą, młodością.

Niewielką widzieli różnicę między Wiktorem Hugo, Dumasem lub Bouchardy'm *, a dykcja nie miała już być pompatyczna lub subtelną, lecz liryczna, bezładna.

Pewnego dnia, gdy Bouvard usiłował wytłumaczyć Pecuchetowi grę Fryderyka Lemaitre'a *, pani Bordin

4

raptem się zjawiała w swym zielonym szalu, z tonieńl Pigault-Lebruna *, który odnosiła, gdyż sąsiedzi byli łaskawi pożyczać jej czasami powieści.

— Ależ niech panowie sobie nie przerywają! Była tani już chwilę i z przyjemnością ich słuchała. Przeprosili ją. Ona nalegała.

— Boże drogi! — rzekł Bouvard — Nic nam nie stoi na przeszkodzie!...

Pecuchet zaznaczył, przez fałszywy wstyd, że nie mogą grać nieprzygotowani, bez kostiumu.

— Istotnie! Musielibyśmy się przebrać!

I Bouvard poszukał jakiejś odpowiedniej rzeczy, znalazł tylko czapkę frygijską * i wziął ją.

Ponieważ korytarz był za wąski, zeszli do salonu.

Pająki biegały po ścianach, a okazy geologiczne, zalegające podłogę, kurzem swym ubieliły aksamit foteli. Rozpostarli na najmniej brudnym ścierkę, żeby pani Bordin mogła usiąść.

Trzeba było pokazać jej coś dobrego, Bouvard był zwolennikiem *Tour de Nesle* *. Ale Pecuchet bał się ról wymagających żywej akcji.

— Ona będzie wolała coś klasycznego; *Fedre* * na przykład.

— Zgoda.

Bouvard opowiedział temat tragedii.

— To jest królowa, której mąż ma z inną kobietą syna. Fedra zakochała się na zabój w tym młodzieńcu, uważa pani? Zaczynamy!

Tak, władco, płonę, tęsknię do Tezeusza, Kocham go!

I mówiąc do profilu Pecucheta podziwiał jego postawę, jego twarz, „tę głowę czarującą”, rozpaczał, że nie spotkał go na okrętach greckich, pragnąłby zagubić się wraz z nim w labiryncie. Chwaścik czapki frygijskiej nachylał się miłośnie i jego drżący głos i dobra twarz zaklinały

okrutnego, by ulitował się jej żądzy. Pecuchet odwraca ją i dyszał szybko, żeby zaznaczyć wzruszenie.

Pani Bordin, nieruchoma, wytrzeszczała oczy, jakby patrzyła na kuglarzy, Mela słuchała za drzwiami. Gorju, bez marynarki, przypatrywał im się przez okno.

5

Bouvard rozpoczął drugą tyradę. Gra jego wyrażała szal zmysłów, wyrzuty sumienia, rozpacz i rzucił się na wyobrażony miecz Pecucheta z taką gwałtownością, że potykając się o kamienie ledwie nie runął na ziemię.

— Niech pani nie zwraca na to uwagi. Potem Tezeusz przybywa i ona się truje.

— Biedna kobieta! — rzekła pani Bordin. Następnie poprosili ją, żeby im wskazała jakiś wyjątek.

Wybór sprawił jej kłopot. Widziała w teatrze tylko trzy sztuki: *Roberta Diabła* * w stolicy, *Młodego małż* * w Rouen i jeszcze jedną w Falaise, bardzo zabawną, która nosiła tytuł *Wózek handlarza octu* *.

Wreszcie Bouvard zaproponował jej wielką scenę Tartufe'a * w trzecim akcie.

Pecuchet uznał za niezbędne wyjaśnienie:

— Trzeba wiedzieć, że Tartufe... Pani Bordin przerwała mu:

— Wiadomo, co to jest Tartufe!

Bouvard potrzebował sukni do pewnego fragmentu.

— Nie widzę nic innego jak habit — rzekł Pecuchet.

— Mniejsza z tym, włóż go! Wrócił z habitem i z tomem Moliera.

Początek był taki sobie. Ale gdy Tartufe zaczął głaszczyć kolana Elmiry, Pecuchet przybrał ton żandarma.

— Co pan tu z tą ręką? ¹

Bouvard szybko zareplikował słodszym głosem: — Jaka miękka materia tej sukni. ⁸

I przeszywał go wzrokiem, nastawiał usta, sapał, miał minę nader lubieżną, wreszcie zwrócił się nawet do pani Bordin.

Spojrzenia tego mężczyzny krępowały ją i gdy się zatrzymał, • pokorny i wzruszony, prawie szukała odpowiedzi.

Pecuchet uciekł się do książki:

— Oświadczenie w istocie pochlebne niemało. *

¹ W przekładzie Żeleńskiego (Boya).

² W przekładzie Żeleńskiego (Boya).

³ W przekładzie Żeleńskiego (Boya).

6

— Ach, tak — zawołała — to wielki bałamut.

— Prawda? — podjął dumnie Bouvard. — Ale oto inne oświadczyzny, w guście bardziej nowoczesnym.

I rozpiąwszy surdut kucnął na ciosanym kamieniu i zadeklamował z odrzuconą w tył głową: Płomienie twoich oczu palą mi powieki, Zaśpiewaj mi pieśń jaką, jak czasem o zmroku Śpiewałaś mi, ze łzami w czarnym twoim oku. *

— To do mnie pasuje — pomyślała sobie.

Bądźmy szczęśliwi! Pijmy! Czara pełna czeka, Bo ta chwila jest nasza — reszta w mrok ucieka!

— Jaki pan jest zabawny!

I śmiała się drobnym śmiechem, podnoszącym jej pierś i odsłaniającym zęby.

Rzecz słodka, nie płocha,

Kochać i wiedzieć, że ktoś na kolanach kocha. *

Ukląkł.

— Niechże pan skończy!

O! Daj mi spać i marzyć na twym białym łonie, Dona Soi, cudo, moje ukochanie!

— Tutaj słyhać dzwony, jakiś góral im przeszkadza.

— Całe szczęście! Bo inaczej...!

I pani Bordin uśmiechnęła się zamiast skończyć zdanie. Dzień miał się ku schyłkowi. Podniosła się.

Padło dopiero co i że droga przez aleję bukową nie była łatwa, lepiej było wracać polami.

Bouvard odprowadził ją przez ogród, żeby otworzyć jej furtkę. Z początku szli obok drzewek owocowych nic nie mówiąc. On był jeszcze przejęty swą deklamacją, a ona doznawała w głębi duszy jakby niespodzianki, uroku płynącego z literatury. Sztuka, w pewnych okolicznościach, wyprowadza z równowagi umysły mierne i całe światy mogą im być objawione przez najbardziej nawet niezdarnych interpretatorów sztuki. Słońce znowu się ukazało, połyskiwało na liściach, rzucało świetliste plamy tu i ówdzie, w gąszczu. Trzy wróble ćwierkając skakały po pniu starej powalonej lipy. Kwitnący krzak cierni rozpościerał swój różowy bukiet, ciężkie kiście bzu zwisały na krzewach.

7

— Ach! To dobrze robi! — rzekł Bouvard wdychając powietrze pełną piersią.

— Bo też pan zadaje sobie tyle trudu!

— Nie mówię, żebym miał talent, ale jeśli idzie

o ogień, posiadam go.

— Widać... — rzekła robiąc przerwy między słowami — ...że pan... kochał... niegdyś.

— Tylko niegdyś, sądzi pani! Przystanęła.

— Nie wiem nic o tym!

„Co ona chce przez to powiedzieć?” I Bouvard czuł, jak mu serce bije. Kałuża, zmuszając do obejścia jej, zawiadła ich do szpaleru. Tam rozmawiali o przedstawieniu.

— Jak się nazywa pana ostatni kawałek?

— To jest wzięte z dramatu *Hernani*.

— A!

Potem powoli i mówiąc do siebie:

— To musi być bardzo przyjemne, gdy jakiś pan mówi komuś takie rzeczy serio.

— Jestem do usług pani — odparł Bouvard.

— Pan?

— Tak! ja!

— Żarty!

— Nigdy w życiu!

I, rzuciwszy okiem dokoła, ujął ją w pasie, z tyłu,

1 pocałował mocno w kark.

Zbladła tak, jakby miała zemdleć, i oparła się jedną ręką o drzewo, potem otworzyła powieki i wstrząsnęła głową.

— Już przeszło.

On patrzył na nią w osłupieniu.

Po otwarciu furtki stanęła w jej progu. Zebrała wszystkie fałdy spódnicy i stanęła na brzegu niezdecydowanie.

— Pomóc pani?

— Nie trzeba.

— Dlaczegoż to?

— O! Pan jest zbyt niebezpieczny!

I w skoku, jaki wykonała, ukazała się jej biała pończocha.

Bouvard wymyślał sobie, że przepuścił okazję. Ba!

8

Znajdzie się ona znowu, a poza tym nie wszystkie kobiety są jednakowe. Do jednych trzeba się brać obce-sowo, z innymi śmiałość was gubi. Razem wzięwszy, był z siebie zadowolony i jeżeli nie zwierzył się ze swymi nadziejami Pecuchetowi, uczynił to z obawy wymówek, a bynajmniej nie przez delikatność.

Od tego dnia deklamowali przed Melą i Górą, żalując, że nie mają teatru amatorskiego.

Dziewczyna bawiła się, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, zaskoczona taką mową, oczarowana mručeniami wierszy, Gorju oklaskiwał tyrady filozoficzne tragedii i wszystko, co było na rzecz ludu w melodramatach, tak iż zachwyceni jego zamiłowaniem myśleli o dawaniu mu lekcji, żeby później zrobić z niego aktora. Ta perspektywa olśniewała robotnika.

Słuch o ich pracach rozszedł się. Vaucorbeil mówił im o tym w sposób drwiący. Powszechnie ich lekceważono. To sprawiło, że mieli dla samych siebie wzmógłony szacunek. Uznali się za artystów. Pecuchet zapuścił wąsy, a Bouvard nie znalazł nic lepszego, ze swą okrągłą twarzą i łysiną, jak to, by upodobnić się z wyglądu do Berangera *.

Wreszcie postanowili skomponować sztukę.

Trudną sprawą był temat.

Szukali go podczas śniadania i pili kawę, płyn niezbędny dla mózgu, potem dwa lub trzy kieliszki wódki. Kładli się spać do łóżek, następnie wychodzili do sadu, spacerowali tani, wreszcie wyruszali w pole, żeby znaleźć poza domem natchnienie, kroczyli tuż obok siebie

I wracali wyczerpani.

Albo zamykali się na dwa spusty. Bouvard wycierał stół, kładł przed sobą papier, maczał pióro i sterczał tak/ z oczami w suficie, podczas gdy Pecuchet, w fotelu, me\ dytował z wyciągniętymi przed siebie nogami i opuszczoną głową.

Czasami czuli dreszcz i jakby technienie jakiegoś pomysłu; w chwili gdy chcieli go schwytać, znikał. Ale istnieją metody znajdowania tematów. Bierze się jakiś tytuł na chybił trafił i wypływa z niego jakiś fakt: rozwija się jakieś przysłowie, łączy kilka przygód w jedną. Żaden z tych środków nie poskutkował. Daremnie

9

wertowali zbiory anegdot, szereg tomów z opisami słynnych procesów, całą masą historyjek. I marzyli o tym, żeby ich sztukę grano w Odeonie *, myśleli o przedstawieniach, żalowali Paryża. — Byłem stworzony, żeby zostać autorem dramatycznym, a nie zakopać się na wsi! — mówił Bouvard.

— Ja również — odpowiadał Pecuchet.

Naszło nań objawienie: tak się męczą, gdyż nie znają reguł.

Przestudowali je w *Praktyce teatru* d'Aubignaca * i w kilku pracach mniej przestarzałych. Roztrząsa się tam ważne zagadnienia: Czy komedię można pisać wierszem; czy tragedia nie przekracza swych granic czerpiąc fabułę z dziejów nowożytnych; czy bohaterowie winni być cnotliwi; jaki rodzaj zbrodniarzy dopuszcza tragedia; w jakiej mierze dozwolone są w niej okropności; żeby szczegóły współdziałały w osiągnięciu jednego celu; żeby koniec odpowiadał początkowi niezawodnie!

Wynajdźcie środki, co by mnie przykuły — mówi Boileau *.

W jaki sposób znaleźć środki?

Niech w każdej waszej mowie namiętność, co wzruszy, Potrafi znaleźć serce, rozgrzać i poruszyć.

Jak rozgrzać serce?

A więc prawidła nie wystarczają, trzeba mieć ponadto talent.

Ale i talent nie wystarcza. Corneille, według Akademii Francuskiej, pojęcia nie ma o teatrze*. Geoffroy* nie zostawił suchej nitki na Wolterze. Subligny * szydził z Racine'a. Laharpe ryczał słysząc imię Szekspira.

Ponieważ stara krytyka mierzila ich, chcieli poznać współczesną i sprowadzili sobie recenzje teatralne w prasie.

Co za tupet! Co za upór! Jaka nieuczciwość! Obelgi rzucane na arcydzieła, ukłony przed miernotą; brednie tych, co uchodzą za uczonych, i głupota innych, których się uważa za dowcipnych!

Być może, należy się powoływać na publiczność, gdy idzie o krytykę.

Ale dzieła oklaskiwane czasami nie podobały się im, a w¹ wygwizdanych było dla nich coś ładnego.

Tak więc opinia ludzi ze smakiem jest zawodna, a sąd tłumu nie do zrozumienia.

Bouvard przedstawił ten dylemat do rozstrzygnięcia Barberou; Pecuchet, ze swej strony, napisał do Durnou-chela.

Były komiwojażer był zdziwiony zidioceniem wywołanym przez życie na prowincji, jego stary Bouvard zaczął w piętkę gonić, słowem „zupełnie się na tym nie znał”.

Teatr jest przedmiotem spożycia jak każdy inny artykuł spożywczy. To wchodzi w dziedzinę

*article de Paris**. Idzie się do teatru, żeby się rozerwać. To jest dobre, co bawi.

— Ależ, głupcze ~ wykrzyknął Pecuchet — to, co ciebie bawi, nie bawi mnie, a inni i ty sam zmęczycie się tym później. Jeżeli sztuki są pisane wyłącznie po to, żeby były grane, jak to się dzieje, że najlepsze są zawsze czytane? — I czekał na odpowiedź Dumouchela.

Według profesora pierwsze powodzenie czy niepowodzenie sztuki teatralnej niczego nie dowodzi. *Mizan-trop** i *Athalie* padły. *Zaira** jest już niezrozumiała. Kto mówi dzisiaj o takich autorach jak Ducange* i Pi-card*? I przypominał wszystkie wielkie sukcesy współczesne, od *Fanchon dudziarki** do *Rybaka Gaspardo**, ubolewał nad upadkiem naszej sceny. Przyczyną jego jest pogarda dla literatury lub raczej dla stylu.

Wówczas zadali sobie pytanie, na czym właściwie polega styl? I dzięki autorom wskazanym przez Dumouchela, poznali sekret wszystkich jego rodzajów.

Jak otrzymuje się styl majestatyczny, umiarkowany, naiwny, jakie zwroty są szlachetne, jakie słowa są trywialne. Słowo „psy” uwypukla się słowem „pożerające”. „Wymiotować” używa się tylko w znaczeniu przenośnym. „Gorączka” stosuje się do namiętności. „Męstwo” jest piękne w wierszach.

— A gdybyśmy tak robili wiersze? — rzekł Pecuchet.

— Później! Zajmijmy się naprzód prozą.

Zaleca się stanowczo wybrać sobie jakiegoś klasyka, żeby się wzorować, a w każdym jest jakieś niebezpie-

0

1

czeństwo, i grzeszyli nie tylko stylem, lecz jeszcze i językiem.

Takie twierdzenie zbiło z pantałyku Bouvarda i Pe-cucheta i wzięli się do studiowania gramatyki. Littré* dobił ich twierdząc, że nigdy nie było orto-grafii pozytywnej i nie może jej być.

Wywnioskowali z tego, że składnia jest fantazją, a gramatyka złudzeniem.

W owym czasie zresztą nowa retoryka głosiła, że należy pisać tak, jak się mówi, i że wszystko będzie w porządku, o ile się ma wrażliwość i dar obserwacji.

Ponieważ byli wrażliwi i uważali siebie za dobrych obserwatorów, uznali, że potrafią pisać: sztuka teatralna krępuje ciasnotą ram, ale powieść daje więcej swobody. Żeby ją napisać, poszukali tematu w swych wspomnieniach.

Pecuchet przypomniał sobie jednego ze swych szefów biurowych, jegomościa o podłym charakterze, i pragnął zemścić się na nim książką.

Bouvard poznał w knajpie starego kancelistę, pijaka i nędzarza. Była to bardzo zabawna figura. Po tygodniu umyślili połączyć te dwa typy w jeden, ustalili to i przeszli do następnych postaci: kobieta, która powoduje nieszczęście całej rodziny; kobieta, jej mąż i jej kochanek; kobieta cnotliwa z powodu wady organicznej; karierowicz, zły kapłan.

Usiłowali związać z tymi niewyraźnymi koncepcjami rzeczy dostarczone im przez pamięć, wykreślali, dodawali.

Pecuchet był za uczuciem i myślą, Bouvard za obrazem i kolorytem; i zaczęli nie zgadzać się ze sobą, każdy przy tym dziwił się, że drugi jest taki ograniczony.

Nauka, zwana estetyką, być może, rozstrzygnie ich różnice zdań. Znajomy Dumouchela, profesor filozofii, przysłał im wykaz dzieł w tej materii. Pracowali osobno i dzielili się swymi rozważaniami.

Przede wszystkim, co to jest Piękno?

Dla Schellinga* jest to nieskończoność wyrażająca się przez skończoność; dla Reida* właściwość tajemna; dla

Jouffroy* zjawisko nie dające się rozłożyć na pierwiastki; dla De Maistre'a to, co podoba się cnocie; dla ojca Andre* to, co przystoi rozumowi.

Istnieją różne gatunki Piękna: Piękno w naukach; geometria jest piękna. Piękno w obyczajach: nie można zaprzeczyć, że śmierć Sokratesa była piękna. Piękno w świecie zwierzęcym: piękno psa polega na jego węchu. Świnia nie może być piękna ze względu na swą niechlujność, wąż również, gdyż budzi w nas niskie myśli.

Kwiaty, motyle, ptaki mogą być piękne. Wreszcie pierwszym warunkiem piękna jest jedność w różnorodności, oto zasada.

— A przecie — rzekł Bouvard — para oczów zezowatych różni się od siebie bardziej niż para oczów normalnych i zazwyczaj wywołuje mniej dobre wrażenie.

Przeszli do kwestii Wzniosłości.

Niektóre *rzeczy* są same z siebie wzniosłe, łoskot rwącego potoku, głębokie ciemności, drzewo zwalone przez burzę. Charakter jest piękny, gdy triumfuje, a wzniosły, gdy walczy.

— Rozumiem — rzekł Bouvard. — Piękno to jest Piękno, a Wzniosłość to jest Arcypiękno, Jak je rozróżnić?

— Za pomocą wyczucia — odparł Pecuchet.

— A wyczucie, skąd ono się bierze?

— Ze smaku.

— Co to jest smak?

Określa się go tak: specjalny dar rozróżniania, szybkie wydawanie sądu, dar rozpoznawania pewnych stosunków.

— Koniec końców, smak to jest smak, a to wszystko nie mówi, w jaki sposób można go nabyć. Trzeba zachowywać to, co przystoi, ale te wymagania się zmieniają; i jakieś dzieło, bez względu na swą doskonałość, nie będzie nigdy bez skazy. Istnieje jednak Piękno niezniszczalne, którego praw nie znamy, gdyż jego pochodzenie jest tajemnicze.

Skoro idea nie może być wyrażona przez wszystkie formy, musimy uznać granice między gałęziami sztuki, i w każdej z nich szereg rodzajów; ale powstają kom-

2

3

binacje, gdzie styl jednej wejdzie w drugą, bo inaczej odchyliłby się od celu, przestał być prawdziwym.

Zbyt ściśle stosowanie Prawdy szkodzi Pięknu, a wyłączne zaprzątanie umysłu Pięknem przeszkadza ujawnieniu się Prawdy; jednakże bez ideału nie ma Prawdy; dlatego to typy mają w sobie rzeczywistość trwalszą niż portrety. Sztuka zresztą zajmuje się tylko prawdopodobieństwem, ale prawdopodobieństwo zależy od tego, kto je postrzega, jest rzeczą względną, przemijającą.

Gubili się w ten sposób w rozumowaniach. Bouvard coraz mniej wierzył w estetykę.

— Jeżeli to nie jest blaga, jej ścisłość okażą przykłady. Więc słuchaj.

I przeczytał notatkę, która kosztowała go dużo poszukiwań.

„Bouhours * oskarża Tacyty, że nie ma on prostoty, której wymaga Historia.

Pewien profesor, Dróż*, gani Szekspira za jego mieszaninę powagi z błazeństwem. Nisard*, inny profesor, uważa, że Andre Chenier* stoi jako poeta poniżej XVII wieku. Blair*, Anglik, ubolewa nad obrazem Harpij u Wirgiliusza. Marmontel załamuje ręce nad licencjami Homera. Lamotte* nie uznaje wielkości jego bohaterów. Vida* oburza się jego porównaniami. Słowem, wszyscy fabrykanci retoryk, poetyk i estetyk wydają mi się durniami!"

— Przesadzasz! — rzekł Pecuchet.

Wątpliwości nękały go, gdyż jeśli umysły mierne (jak to zauważył Longin*) są niezdolne do popełniania błędów, błędy należą do mistrzów i trzeba będzie je podziwiać. To już za wiele. A jednak mistrzowie są mistrzami. Pragnąłby pogodzić doktryny z dziełami, krytyków z poetami, podchwycić istotę Piękna; i te zagadnienia tak go dręczyły, że wpłynęło to na stan jego zdrowia. Dostał żółtaczkę.

Była ona w kulminacyjnym punkcie, gdy Marianna, kucharka pani Bordin, przyszła powiedzieć, że jej pani pragnie zobaczyć się z Bouvardem w jego domu.

Wdowa nie pokazywała się od czasu seansu dramatycznego. Czyżby to był pierwszy krok? Ale po co

4

pośrednictwo Marianny? I przez całą noc gubił się w domysłach.

Nazajutrz, około drugiej, spacerował po korytarzu i patrzył od czasu do czasu przez okno; rozległ

się dzwonek. Był to notariusz.

Przeszedł przez dziedziniec, wszedł na schody, siadł na fotelu i po wymianie wstępnych grzeczności rzekł, iż znudzony czekaniem u siebie na panią Bordin przyszedł pierwszy. Chciała ona kupić od Bouvarda les Ecalles.

Bouvard poczuł jakby oziębinie się atmosfery i poszedł do pokoju Pecucheta.

Pecuchet nie wiedział, co odpowiedzieć. Był strapiony, bo pan Vaucorbeil miał nadejść lada chwila.

Wreszcie pani Bordin przyszła. Opóźnienie jej tłumaczyło się uroczystym strojem: kaszmirowy szal, kapelusz, glansowane rękawiczki, toaleta stosowana w okolicznościach poważnych.

Po wielu kołowaniach zapytała, czy tysiąc talarów nie byłoby sumą wystarczającą.

— Akrr! Tysiąc talarów? Nigdy w życiu. Zmrużyła oczy:

— No.! Dla mnie.

I wszyscy troje milczeli. Wszedł pan de Faverges. Trzymał pod pachą, jak adwokat, skórzaną teczkę i kładąc ją na stół:

— To są broszury. Dotyczą zmian politycznych. Sprawa pałaca. Ale oto rzecz, która niewątpliwie jest pańską własnością.

I podał Bouvardowi drugi tom *Pamiętników Diabła*.

Mela przed chwilą czytała go w kuchni; a że należy czuwać nad obyczajnością służby, uznał, że robi dobrze, konfiskując tę książkę.

Bouvard pożyczył ją swej służącej. Zaczęto rozmawiać o powieściach.

Pani Bordin lubiła je, gdy nie były ponure.

— Pisarze — rzekł pan de Faverges — malują nam życie w kolorach pochlebnych.

— Trzeba je tak malować — zaoponował Bouvard.

— W takim razie nie pozostaje nic innego, jak iść za przykładem....

— Nie idzie o przykład.

5

— Bądź co bądź, zgodzi się pan, że mogą one wpaść w ręce młodej dziewczyny. Mam córkę.

— Uroczą! — rzekł notariusz, przybierając wyraz, jaki miał w dniach spisywania intercyzy.

— Otóż, ze względu na nią lub raczej na osoby z jej otoczenia, zakazuję trzymania takich książek w moim domu, gdyż lud, drogi panie...

— Co zrobił lud? — rzekł Vaucorbeil pojawiając się raptem na progu.

Pecuchet, usłyszawszy jego głos, przyłączył się do towarzystwa.

— Twierdzą — podjął hrabia — że należy odsuwać od niego pewną lekturę.

Vaucorbeil zareplikował:

— Wiec pan nie jest za oświatą?

— Owszem, proszę pana.

— I to — rzekł Marescot — gdy codziennie atakuje się rząd!

— Co to ma do rzeczy?

I szlachcic wraz z lekarzem zaczęli ostro krytykować Ludwika Filipa, przypominając sprawę Pritcharda*, ustawy wrześnieowe* przeciw wolności prasy.

— I teatru! — dorzucił Pecuchet. Marescot nie mógł już wytrzymać.

— Za daleko się posuwa ten wasz teatr!

— Co do tego, jestem z panem w zgodzie! — rzekł hrabia. — Sztuki, które wysławiają samobójstwo!

— Samobójstwo jest piękne. Dowodem Katon — zaoponował Pecuchet.

Nie odpowiadając na ten argument pan de Faverges. napiętnował te dzieła, gdzie szydzi się ze świętości, z rodziny, z własności, z małżeństwa.

! — No, a Molier? — rzekł Bouvard.

Marescot, człowiek ze smakiem, odparł, że Molier dziś już nie pójdzie, a zresztą był nieco przeceniony.

— Koniec końców — rzekł hrabia — Yictor Hugo był bez litości, tak, bez litości dla Marii Antoniny, zohydzając typ królowej w postaci Marii Tudor*.

— Co! — zawołał Bouvard. — Ja, autor, nie marn prawa...

— Nie, panie, nie ma pan prawa pokazywać nam

6

zbrodni bez żadnej przeciwwagi dobrego przykładu, bez dania nam morału.

Vaucorbeil również uważał, że sztuka winna mieć cel: zmierzać do podniesienia poziomu moralnego mas.

— Opiewajcie nam wiedzę, nasze odkrycia, patriotyzm.

I podziwiał Kazimierza Delavigne*. Pani Bordin wychwala markiza de Foudras*. Notariusz podjął:

— Ale jego język, czy pani się zastanowiła?

— Język? Jak to?

— Mówią pani o stylu! — krzyknął Pecuchet. — Uważa pani, że jego utwory są dobrze napisane?

— Bez wątpienia, są bardzo interesujące! Wzruszył ramionami, a ona poczerwieniała na tę impertynencję.

Kilkakrotnie próbowała powrócić do swej sprawy. Było za późno na załatwienie jej. Wyszła pod rękę z Marescotem.

Hrabia rozdawał swe pamflety zalecając rozpowszechnienie ich.

Vaucorbeil miał wyjść, gdy Pecuchet go zatrzymał.

— Zapomina pan o mnie, doktorze.

Jego żółta twarz wyglądała żałośnie z czarnymi wąsami i włosami zwisającymi pod źle zawiązaną chustką fularową.

— Weź pan na przeczyszczenie — rzekł lekarz. Dał mu dwa klapsy jak dziecku:

— Za dużo nerwów, za dużo artysty!

Ta poufałość była mu przyjemna. Uspokajała go i gdy zostali sami:

— Myślisz, że to nic poważnego?

— Nie! Z pewnością.

Streścili to, co niedawno usłyszeli. Morał sztuki zawiera się dla każdego w tym, co w sztuce schlebia jego interesom. Nie lubią ludzie literatury.

Następnie przejrzelili druki hrabiego. Wszystkie żądały głosowania powszechnego.

— Zdaje się — rzekł Pecuchet — że niebawem będziemy mieli kłótnię.

Gdyż wszystko widział w czarnych kolorach, być może z powodu swej żółtaczki.

7

VI

Rankiem lutego 48 dowiedziano się w Chavi-gnolles przez osobnika przybyłego z Falaise, że Paryż jest pokryty barykadami, a nazajutrz plakat z proklamacją Republiki został nalepiony na merostwie.

To wielkie wydarzenie w osłupienie wprawiło mieszczuchów.

Ale gdy się dowiedziano, że Sąd Kasacyjny, Sąd Apelacyjny, Izba obrachunkowa, Trybunał Handlowy, Izba Notariuszów, Izba Adwokacka, Rada Stanu, Uniwersytet, generałowie i sam pan de La Rochejaquelein * uznali rząd tymczasowy*, piersi się odprężyły; a że w Paryżu sadzono drzewa wolności*, rada miejska uchwaliła zrobić to samo w Chavignolles.

Bouvard ofiarował drzewko uradowany jako patriota triumfem ludu; co do Pecucheta, upadek monarchii zbyt potwierdzał jego przewidywania, by mógł nie być zadowolony.

Gór j u, gorliwie im posłuszny, wykopał jedną z topól, którymi była obsadzona łąka pod Górką i przewiózł ją aż do Pas de la Vaque, przy wejściu do miasteczka, na miejsce wyznaczone.

Przed godziną, o której miała się odbyć uroczystość, wszyscy trzej czekali ha orszak.

Zawarczał bęben, ukazał się srebrny krzyż, potem pojawiły się dwie pochodnie trzymane przez śpiewaków kościelnych i proboszcz w komży, stulę, kapie i birecie. Czterech ministrantów eskortowało go, piąty niósł naczynie z wodą święconą, a zakrystian szedł za nim.

Ksiądz wstąpił na kupę ziemi obok dołu, gdzie wznosiła się topola przystrojona trójbarwnymi wstążeczkami. Naprzeciw widać było mera i jego dwóch adiunktów, Beljambe'a i Marescota, następnie notablów: pana de Faverges, Vaucorbeila, Coulona, sędziego pokoju, jegomościa o

zaspanej twarzy; Heurtaux nałożył czapkę policyjną, a Alexander Petit, nowy nauczyciel, włożył surdut, skromny surdut zielony, odświętny. Strażacy, pod komendą Girbala, z pałaszem w garści, stali w jednym szeregu; z drugiej strony połyskiwały białe blachy kilku starych czak z czasów Lafayette'a*, pięciu czy sześciu, nie więcej, gdyż gwardia narodowa wyszła z użycia

8

w Chavignolles. Chłopi z żonami, robotnicy z sąsiednich fabryk, wyrostki tłoczyli się z tyłu; a Placquevent, polowy, mierzący pięć stóp osiem cali, trzymał ich w ryzach wzrokiem, spacerując ze skrzyżowanymi ramionami.

Przemówienie proboszcza było jak mowa innych księży przy takiej okazji.

Piorunował na królów, a potem wysławiał republikę. Czyż nie mówi się: republika nauki, republika chrześcijańska? Cóż jest bardziej niewinnego od pierwszej, piękniejszego od drugiej? Jezus Chrystus jasno określił naszą wzniosłą dewizę; drzewo ludu to było drzewo krzyża. Żeby religia wydawała owoce, potrzeba jej miłosierdzia, i w imię miłosierdzia kapłan zaklinał swych braci, by nie wywoływali żadnego nieporządku, spokojnie wrócili do domu.

Potem pokropił drzewko wzywając błogosławieństwa bożego.

— Niech się rozwija i przypomina nam wyzwolenie z wszelkiej niewoli i to braterstwo bardziej dobroczynne niż cień jego gałęzi! Amen!

Głosy powtórzyły „Amen!” i po werblu bębna kler, intonując *Te Deum*, ruszył w stronę kościoła. Ten występ sprawił doskonale wrażenie. Prostaczkowie widzieli w tym obietnicę szczęścia, patrioci uległość, hołd oddany ich zasadom.

Bouvard i Pecuchet uważali, że należało im podziękować za ich dar, co najmniej napomknąć o tym, i zwierzyli się w tej sprawie hrabiemu i doktorowi.

Co miały za znaczenie takie drobnostki. Vaucorbeil był zachwycony Rewolucją. Faverges również. Nie cierpiał Orleanów. Nie zobaczy się ich więcej: szczęśliwej podróży. Wszystko odtąd dla ludu.

I razem ze swym totumfackim Hurelem, który szedł za nim, udał się do proboszcza.

Foureau kroczył z opuszczoną głową między notariuszem a oberżystą, podrażniony ceremonią sadzenia drzewa, bał się rozruchów i instynktownie oglądał się za polowym, który wraz z kapitanem ubolewał nad nieudolnością Girbala i zaniedbanym wyglądem jego ludzi.

Robotnicy przeszli drogę śpiewając *Marsylianke*,

9

Gorju między nimi wymachiwał kijem; Petit eskortował ich z błyszczącymi oczami.

— Tego to nie lubię! — rzekł Marescot. — Wrzeszczą, podniecają się!

— Ee, Boże drogi — odezwał się Coulon — młodość musi się zabawić.

Foureau westchnął:

— Ładna mi zabawa. Kończy się gilotyną!

W wyobraźni widział już szafoty, spodziewał się okropności.

Burzliwe nastroje Paryża miały swój oddźwięk w Chavignolles. Mieszczuchy zaczęli prenumerować dzienniki. Rano pełno było ludzi na pocztce i kierowniczką nie dałaby sobie rady z interesantami bez kapitana, który jej czasami pomagał. Potem pozostawano na miejscu, żeby pogadać.

Pierwszy gwałtowny spór miał za przedmiot Polskę.

Heurtaux i Bouvard żądali wyzwolenia jej.

Pan de Faverges myślał inaczej:

— Z jakiej racji mielibyśmy tam iść? To rozpętałoby burzę w Europie przeciw nam! Żadnych nierozważnych kroków! — I że wszyscy przytakiwali mu, dwaj „Polacy” zamilkli.

Innym razem Vaucorbeil bronił cyrkularzy Ledru-Rollina*.

Foureau odciął się żywo i dosadnie.

— Ale rząd — rzekł Pecuchet — zniósł niewolnictwo.

— Co mnie obchodzi niewolnictwo?

— Dobrze, a zniesienie kary śmierci w sprawach politycznych?

Dalibóg! Chcieliby wszystko skasować. I kto wie? Już lokatorzy zaczynają mieć wymagania niesłychane!

— Tym lepiej i — Właściciele domów, zdaniem Pecucheta, byli faworyzowani. — Ten, kto posiada nieruchomość...

Foureau i Marescot przerwali mu krzycząc, że jest komunistą.

— Ja! Komunistą!

I wszyscy mówili jednocześnie. Gdy Pecuchet zaproponował założenie klubu politycznego.

Foureau odważył się powiedzieć, że nigdy tego nie zobaczy w Chayig-nolles.

0

Potem Gorju zażądał karabinów dla gwardii narodowej, bo wyznaczono go na instruktora.

Jedynie strzelby, jakie tu się znajdowały, to były karabiny strażaków. Girbalowi na nich zależało.

Foureau nie troszczył się o dostarczenie ich gwardzistom.

Gorju spojrział mu w oczy:

— Jednakże powiadają, że umiem się z bronią obchodzić.

Gdyż do wszystkich swych procederów dołączał kłusownictwo i nieraz pan mer i oberżysta kupowali u niego zajaca lub .dzikiego królika.

— Pal sześć. Bierz je pan — rzekł Foureau. Tegoż jeszcze popołudnia rozpoczęto ćwiczenia.

Odbywało się to na murawie, przed kościołem. Gorju

w niebieskiej bluzie robotniczej, z szarfą dookoła lędźwi wykonywał ruchy w sposób automatyczny. Gdy komenderował, miał głos brutalny.

— Wciągnąć brzuchy!

I natychmiast Bouvard, wstrzymując dech, wciągał brzuch, wypinał zad.

— Nie mówię, żeby pan robił z siebie łuk, do jasnej cholery!

Pecuchet płatał szeregi z rzędami, półobrót w prawo z półobrotem w lewo, ale największą ofermą był nauczyciel: wątki i wąski w piersiach, z otokiem blond brody, chwiał się pod ciężarem swego karabinu, zawadzał bagnietem o sąsiadów.

Spodnie mieli we wszystkich kolorach, pendenty wy-brudzone, stare, przykrótkie mundury, spod których wyzierała po bokach koszula; i każdy twierdził, że „nie stać go na nic innego”. Otwarto listę składek, żeby umundurować najbiedniejszych. Foureau poskąpił na to pieniędzy, tymczasem kobiety wyróżniły się. Pani Bor-din ofiarowała pięć franków pomimo swej nienawiści do republiki. Pan de Fayerges wyekwipował dwunastu ludzi i stawiał się na ćwiczenia. Potem zasiadał u kupca i fundował wódkę pierwszemu lepszemu.

Możni podlizywali się wówczas niższej sferze. Robotnicy byli na pierwszym miejscu. Ubiegano się o korzyść należenia do nich. Oni stawali się szlachtą.

Większość robotników w powiecie to byli tkacze, inni

U — Bouvard i Pecuchet

1

pracowali w fabrykach cygu lub w nowozałożonej piapierni.

Gór j u czarował ich swym pyskowaniem, uczył zadawania ciosów nogą, prowadził przyjaciół od serca na wódkę do pani Castillion.

Ale chłopów było więcej i w dni targowe pan de Fayerges przechadzając się po rynku zbierał informacje o ich potrzebach, próbował nawrócić ich na swe *credo* polityczne. Słuchali nie odpowiadając, jak fermer Gouy gotów apróbować każdy rząd, byle jeno zmniejszono podatki. Swą gadaniną Gór j u zdobył sobie popularność. Być może, wybiorą go do Zgromadzenia Narodowego.

Pan de Fayerges myślał tak samo o sobie, usiłując jednocześnie nie skompromitować się.

Konserwatyści wahali się w wyborze kandydata na listę między Fou-reau a Marescotem. Że notariusz dbał przede wszystkim

0 swoją kancelarię, wybór padł na Foureau: gburą, kretyną. Doktor był tym oburzony.

Przepadłszy w swoim czasie na konkursowych egzaminach lekarzy, żałował Paryża i świadomość zmarnowanego życia była powodem jego cierpkiego usposobienia. Szersza kariera miała się teraz przed nim otworzyć; co za odwet! Zredagował swe polityczne wyznanie wiary

1 przyszedł odczytać je panom Bouvardowi i Pecuche-towi.

Gratulowali mu; ich poglądy były jednakowe. Jednakże oni pisali lepiej, znali historię, mogli równie dobrze jak on figurować w Izbie. Czemu nie? Ale który miał zgłosić swą kandydaturę? I

wywiązał się pojedynek delikatności.

Pecuchet dawał pierwszeństwo swemu przyjacielowi.

— Nie, tobie się to należy! Ty masz lepszą prezencję.

— Być może — odpowiadał Bouvard — ale ty masz więcej tupetu!

I nie rozwiązawszy tej trudności ułożyli plan działania. Ta żądza zdobycia godności poselskiej opanowała i innych. Kapitan marzył o tym pod swą czapką policyjną, paląc faję, nauczyciel również w swej szkole i proboszcz też, między dwiema modlitwami, tak iż czasami łapał siebie na tym, że mówił z oczami utkwionymi w niebo:

2

— Spraw, dobry Boże, żebym został deputowanym!

Doktor, otrzymawszy zachętę Bouvarda i Pecucheta, udał się do Heurtaux i wyłożył mu swoje szansę.

Kapitan nie obwijał sprawy w bawelnę. Vaucorbeil był znany, owszem, ale mało lubiany przez kolegów, a szczególnie przez aptekarzy. Wszyscy ujadaliby na niego; lud nie chciał żadnego Monsieur; najlepsi pacjenci opuściliby go; *zważyw*szy *te* argumenty, lekarz pożałował swej słabości.

Zaraz po jego wyjściu Heurtaux odwiedził Plaque-venta. Byli wojskowi wyświadczać sobie przysługi. Ale polowy, oddany całkowicie Foureau, kategorycznie odmówił kapitanowi poparcia. Proboszcz dowiedział panu de Faverges, że nie nadeszła jeszcze na niego pora. Trzeba republice dać czas się zużyć.

Bouvard i Pecuchet przedstawili Gorju, że nigdy nie będzie dość silny, by pokonać koalicję chłopów i mieszczan, napełnili go niepewnością, odjęli mu wszelką wiarę w siebie. Ambicja nie dała Petitowi ukryć swego pragnienia. Beljambe uprzedził go, że w razie przegranej dymisja jego będzie pewna.

Wreszcie biskup nakazał proboszczowi siedzieć cicho.

Tym trybem pozostał z przeciwników tylko Foureau.

Bouvard i Pecuchet zwalczały go, przypominając jego złą wolę w sprawie strzelb, sprzeciwianie się założeniu klubu, jego reakcyjne poglądy, skąpstwo, i nawet przekonali Gouy'a, że chciał przywrócić *ancien regime*.

Mimo że ta rzecz była dla chłopów czymś całkiem niejasnym, czuł do tego wstręt nagromadzony w duszy jego przodków przez dziesięć stuleci i zwrócił przeciw Foureau wszystkich swych krewnych i krewnych żony, szwagrów, kuzynów, wnuków stryjecznych i ciotecznych, całą horde. Gorju, Vaucorbeil i Petit wykańczali pana mera; i gdy teren został w ten sposób oczyszczony, Bouvard i Pecuchet, czego nikt by się nie domyślił, mogli zwyciężyć.

Ciągnęli losy, żeby y^hiedziec, który z nich ma zgłosić kandydaturę. Nie dało to rozstrzygnięcia i poszli poradzić się w tej sprawie doktora.

Dowiedzieli się od niego nowiny: Flacardoux, redak-

3

tor gazety „Calvados”, zgłosił swą kandydaturę. Zawód dwóch przyjaciół był wielki: każdy z nich, prócz własnego, odczuwał zawód druha. Ale do polityki palili się. W dzień wyborów pilnowali urn. Flacardoux zwyciężył.

Hrabia rzucił się na stanowisko w gwardii narodowej, ale nie zdobył epoletów komendanta.

Ludność Chavi-gnolles umyśliła mianować Beljambe'a.

Ten fawor publiczny, dziwaczny i nieprzewidziany, wprawił w osłupienie Heurtaux. Zaniedbał swe obowiązki, ograniczając się do inspekcji ćwiczeń od czasu do czasu i robienia uwag. Pal diabli musztrę. Uważał za rzecz potworną, iż oberżyscie dano pierwszeństwo przed byłym kapitanem armii cesarskiej, i powiedział po zajściach maja w Izbie *:

— Jeżeli szarże wojskowe w ten sposób się daje w stolicy, nie dziwię się temu, co tutaj się dzieje! Zaczynała się reakcja.

Wierzono, że Louis Blanc* objada się ananasami, że Flocon * sypia w złotym łożu, a Ledru-Rollin wyprawia królewskie orgie, a że prowincja uważa, iż wie o wszystkim, co się dzieje w Paryżu, mieszczuchy w Chavi-gnolles nie wąpili o zamiarach tych członków rządu tymczasowego i dawali wiarę różnym bzdurcom.

Pan de Fayerges odwiedził pewnego wieczoru proboszcza, żeby mu donieść o przybyciu do Normandii hrabiego de Chambord.

Joinville *, według Foureau, gotował się ze swymi marynarzami zmiażdżyć socjalistów. Heurtaux twierdził, że niebawem Ludwik Bonaparte zostanie konsulem.

Fabryki były nieczynne. Biedacy gromadnie snuli się po wsiach.

Pewnej niedzieli (było to w pierwszych dniach czerwca) jakiś żandarm nagle pojechał w stronę Falaise. Robotnicy z Aequerville, Liffard, Pierre-Pont i Saint-Remy ciągnęli na Chayignolles.

Sklepy zostały zamknięte, rada miejska zebrała się i postanowiła, żeby zapobiec nieszczęściom, nie stawiać żadnego oporu. Żandarmeria została nawet skonsygnowana w koszarach z nakazem niepokazywania się.

Niebawem usłyszano jakby pomruk burzy. Potem od pieśni żyrondistów zadrżały szyby; i wyłonili się drogą z Caen idący pod rękę mężczyźni, zakurzeni, spoceni,

4

rozmamrani. Zapełniali plac. Podniosła się wielka wrzawa.

Gorju z dwoma towarzyszami weszli do sali. Jeden, chudy, o minie niepoczesnej, a chytrej, był w trykotowej rozpiętej kamizelce. Drugi, czarny od pyłu węglowego, zapewne maszynista, miał włosy na jeża, grube brwi i papucie z krajki. Gorju, jak huzar dolman, trzymał marynarkę na ramieniu.

Wszyscy trzej stali i radni, siedzący dokoła stołu pokrytego szafirowym suknem, patrzyli na nich bladzi z trwogi.

— Obywatele! — rzekł Gorju — potrzeba nam pracy! Mer trząśł się; nie mógł wydobyć głosu.

Marescot odpowiedział zamiast niego, że rada natychmiast o tym pomyśli; gdy towarzysze wyszli, przedyskutowano szereg projektów.

Pierwszym było zbieranie kamieni z pól.

Dla zużytkowania kamieni Girbal zaproponował zrobienie drogi z Angleville do Tournebu.

Droga z Bayeux w zupełności odpowiadała już tej potrzebie.

Można było wyszlamować sadzawkę. To nie była robota wystarczająca; albo wykopać drugą sadzawkę. Ale w jakim miejscu?

Langlois był za zbudowaniem wału ochronnego wzdłuż Mortins, na wypadek powodzi; lepiej było, zdaniem Beljambe'a wykarczować wrzosowiska. Niesposób dojść do jakiejś decyzji... Dla uspokojenia tłumu Coulon zeszedł do perystylu i oznajmił, że przygotowuje się warsztaty dobroczynne.

— Dobroczynność? Dziękujemy! — krzyknął Gorju. — Precz z arystokracją! Żądamy prawa do pracy.

Było to zagadnienie epoki, robił sobie za pomocą niego reklamę. Oklaskiwano go.

Odwracając się potracił łokciem Bouvarda, którego Pecuchet zaciągnął tutaj, i zaczęli rozmawiać.

Nie było się do czego śpieszyć; merostwo było otoczone; rada nie zdoła się wymknąć.

— Gdzie znaleźć pieniądze? — mówił Bouvard.

— U bogatych! Zresztą rząd nakaże roboty publiczne.

— A jeżeli roboty nie są potrzebne?

— Wykona się je na zapas!

5

— Ale zarobki spadną — odparł Pecuchet. — Gdy zaczyna brakować pracy, to znaczy, że za dużo wyprodukowano! A wy żądacie podwyższenia płac!

Gór j u gryzł wąsa.

— Jednakże... przy organizacji pracy...

— A więc rząd będzie panem! Kilku dokoła nich mruknęło:

— Nie! Nie! Żadnych panów więcej! Gorju zirytował się.

— Mniejsza z tym! Trzeba dostarczyć pracownikom jakiegoś kapitału albo otworzyć kredyt!

— W jaki sposób?

— Ach! Ja tam nie wiem, ale muszą otworzyć kredyt!

— No, dosyć tego — rzekł maszynista — zwracają nam głowę ci kawalarze.

I wszedł do przedsionka merostwa oświadczając, że wyważy drzwi.

Przyjął go tam Placquevent ze zgiętym prawym kolaniem, z zaciśniętymi pięściami:

— Ani kroku dalej! Maszynista cofnął się.

Krzyk oburzenia tłumu doszedł do sali. Wszyscy wstali mając ochotę wiać. Odsiecz z Falaise nie nadchodziła! Ubolewano nad nieobecnością hrabiego. Mares-cot kręcił w palcach pióro, stary Coulon jęczał. Heur-taux żądał gwałtownie sprowadzenia żandarmów.

— Niech pan obejmie nad nimi dowództwo! — rzekł Foureau.

— Nie mam rozkazu!

Hałas tymczasem wzrastał się. Plac roił się od ludzi; wszyscy spoglądali na pierwsze piętro merostwa, gdy w środkowym oknie pod zegarem pojawił się Pecuchet.

Wśliznął się tylnymi schodami i chcąc postąpić jak Lamartine * *zaczał* przemawiać do ludu:

— Obywatele!

Ale jego kaszkiet, nos, surdut, cała jego postać nie miała w sobie powagi.

Człowiek w trykocie zwrócił się doń:

— Czy pan jest robociarz?

— Nie.

— Więc pracodawca?

— Też nie.

6

— No, to wynoś się pan! - — Dlaczego? — dumnie odparł Pecuchet.

I zaraz zniknął we framudze, ujęty przez maszynistę. Gorju pośpieszył mu z pomocą.

— Puść go! To porządny chłop! Wzięli się za bary.

Drzwi się rozwarły i Marescot na progu obwieścił decyzję rady miejskiej. Hurel podsunął tę myśl.

Droga do Tournebu będzie mieć odnogę na AngleVille, wiodącą do majątku de Faverges'a.

Jest to ofiara, którą obciążyła siebie gmina w interesie pracujących.

Rozeszli się.

Gdy Bouvard i Pecuchet wracali do domu, o uszy ich obły się głosy kobiece. Służące pani Bordin i ona sama wykrzykiwały, wdowa najgłośniej, a na ich widok:

— Ach! Całe szczęście! Od trzech godzin czekam na panów. Mój biedny ogród stracił wszystkie tulipany! Świństwa wszędzie na trawnikach! Nie ma sposobu pozbyć go się!

— Kogo?

— Gouy!

— Gouy zjawił się z wózkiem nawozu i wyrzucił całą kupę na trawnik. Teraz go kopie!

Pośpieszcie się, panowie, żeby przestał!

— Idę z panią! — rzekł Bouvard.

Koło schodów domu koń, w hołoblach wózka, gryzł kępkę liści oleandru. Koła zawadzając o klomby pogniotły na ich obrzeżach bukszpany, złamały rododendron, powaliły dalie, a kupki czarnego nawozu, niczym kretowiska, tworzyły guzy na trawniku. Gouy z zapałem kopał go rydlem.

Pewnego dnia pani Bordin powiedziała mimochodem, że chciałyby przekopać trawnik. Zabrał się do roboty i mimo jej zakazu robił dalej. W ten sposób rozumiał prawo do pracy, gdy agitacja Gorju zawróciła mu głowę.

Odjechał dopiero na skutek ostrych gróźb Bouvarda.

Pani_Bordm, jako odszkodowanie, nie zapłaciła mu za robociznę i zatrzymała nawóz. Była rozsądna: małżonka lekarza, a nawet notariusza, choć należące do wyższej sfery, szanowały ją.

7

Warsztaty dobroczynne istniały wszystkiego tydzień. Nie było żadnych zaburzeń. Gorju opuścił te strony.

Jednakże gwardia narodowa była wciąż w stanie pogotowia: w niedzielą rewia, czasami capstrzyki i co noc ronty. Niepokoiły one mieszkańców.

Gwardziści pociągali za dzwonki domów, dla kawału, wchodzili do pokoi, gdzie małżonkowie chrapali na jednej pościeli, pozwalali sobie wtedy na sprośne żarty i mąż wstawał i szukał

kieliszków. Potem wracano do kordegardy grać w domino, pić jabłecznik, jeść ser i wartownik nudzący się za drzwiami uchylał je co chwila. Panował brak dyscypliny wskutek pobłażliwości Beljambe'a.

Gdy w czerwcu wybuchły w stolicy rozruchy, wszyscy zgodnie chcieli „lecieć na pomoc Paryżowi”; ale Foureau nie mógł opuścić merostwa, Marescot swej kancelarii, doktor swych pacjentów, Girbal swych strażaków, pan de Faverges był w Cherbourgu. Beljambe położył się do łóżka. Kapitan pomrukiwał:

— Nie chcieli mnie, teraz mają za swoje!

A Bouvard był tak rozumny, że zatrzymał w domu Pecucheta.

Obchody nocne po wsi zostały rozszerzone na okolicę.

Powstawała panika z powodu cienia sterty lub kształtów gałęzi: pewnego razu wszyscy gwardziści narodowi uciekli. W świetle księżycy zauważyli w konarach jabłoni człowieka z karabinem wycelowanym w nich.

Innym razem, w ciemną noc, patrol zatrzymując się w alei bukowej usłyszał, że ktoś idzie przed nim.

— Kto tam? Żadnej odpowiedzi.

Pozwoliwszy temu osobnikowi iść dalej swoją drogą, sami szli za nim w przyzwoitej odległości, gdyż mógł mieć pistolet lub kastet; ale gdy znaleźli się we wsi, gdzie pod ręką mogła być pomoc, dwunastu ludzi plutonu rzuciło się nań hurmem, krzyząc:

— Dokumenty!

Szarpali go, lżyli. Wyszli ludzie z odwachu. Zawleczono go tam i, przy świecy palącej się na piecu, rozpoznano wreszcie w aresztowanym Gorju.

Nędzna paltocina z lastingu pękała mu na ramionach.

8

Duże palce wylażyły z dziur w butach. Z zadraśnięć na posiniaczonej twarzy szła krew. Schudł niesłychanie i toczył oczami jak wilk.

Foureau przybiegł szybko, zapytał go, w jaki sposób znalazł się pod bukami, po co wracał do Chayignolles, co robił przez ostatnie sześć tygodni. To nie ich rzecz. Jest wolnym człowiekiem. Placquevent zrewidował go szukając naboju. Miano go prowizorycznie zamknąć.

Bouvard wstawił się za nim.

— Nic z tego! — przeciął mer. — Pańskie poglądy są znane.

— Jednakże?

— O! Proszę się pilnować, uprzedzam pana. Proszę się pilnować.

Bouvard nie nalegał więcej. Gorju zwrócił się wówczas do Pecucheta:

— A pan, mój chlebodawca, pan nic nie mówi? Pecuchet opuścił głowę, jak gdyby wątpił o jego niewinności.

Biedak gorzko się uśmiechnął.

— A przecież broniłem pana!

Wczesnym rankiem dwóch żandarmów zabrało go do Falaise.

Nie został oddany pod sąd wojenny, lecz skazany przez sąd policji poprawczej na trzy miesiące więzienia za wygłaszanie przemówień o charakterze wywrotowym.

Z Falaise napisał do swych dawnych pracodawców, żeby mu wkrótce przesłali świadectwo dobrych obyczajów, a że ich podpisy musiały być zalegalizowane przez mera lub adiunkta, woleli poprosić o tę drobną przysługę Marescota.

Wprowadzono ich do jadalni ozdobionej starymi fajansami, zegar Boulle'a* stał przy najwyższej ścianie. Na mahoniowym stole, bez obrusa, leżały dwie serwetki, stał imbryk i czarki. Pani Marescot przeszła przez pokój w peniuarze z błękitnego kaszmiru. Była to paryżanka, która nudziła się na wsi. Potem wszedł notariusz z beretem w ręce, z gazetą w drugiej i zaraz z uprzejmą miną przyłożył pieczęć, chociaż ich protegowany był człowiekiem niebezpiecznym.

— Doprawdy — rzekł Bouvard — za kilka słów!...

9

— Gdy słowa wywołują zbrodnie, pan wybaczy, drogi panie!

— Jednak — podjął Pecuchet — jaką można ustalić granicę między słowami niewinnymi a karygodnymi? To, co dzisiaj jest zabronione, jutro może być oklaskiwane.

I ganił okrutne obchodzenie się z powstańcami. Marescot powłął się oczywiście na obronę społeczeństwa, ocalenie publiczne, najwyższe prawo.

— Za pozwoleniem — rzekł Pecuchet — prawo jednostki jest równie godne poszanowania jak prawo ogółu i pan nic nie może mu zarzucić prócz siły, jeśli ono obróci aksjomat przeciw panu. Marescot zamiast odpowiedzieć uniósł pogardliwie brwi. Byleby mógł dalej sporządzać akta i żyć wśród swoich talerzy, w swym wygodnym mieszkaniu, wszelkie niesprawiedliwości mogły się przed nim ujawniać nie wzruszając go. Wzywały go sprawy zawodowe. Przeprosił, że nie zatrzymuje Bouvarda i Pecucheta.

Jego doktryna ocalenia publicznego oburzyła ich. Konserwatyści mówili teraz jak Robespierre. Inny przedmiot zdziwienia: papiery Cavaignaca spadały*. Gwardia ruchoma stała się podejrzana*. Ledru-Rollin zgubił siebie nawet w oczach Vaucorbeila. Debaty nad konstytucją nie zainteresowały nikogo i 10 grudnia wszyscy mieszkańcy Chayignolles oddali głosy na Bonapartego*.

Sześć milionów głosów ochłodziło stosunek Pecucheta do ludu i wraz z Bouvardem zaczął studiować kwestię głosowania powszechnego.

Dostępne dla wszystkich, nie może być ono kierowane rozumem... Karierowicz zawsze je poprowadzi tam, dokąd sam zmierza, reszta pójdzie za nim posłusznie jak stado, skoro wyborcy nie są nawet obowiązani umieć czytać: Dlatego to, zdaniem Pecucheta, było tyle nadużyć przy wyborze prezydenta.

— Żadnego nadużycia nie było — odparł Bouvard — wierzę raczej w głupotę ludu. Pomyśl o tych wszystkich, co kupują la Reyalescieri*, pomadę Dupuytreny*, wodę kasztelanek itd. Ci durnie tworzą masę wyborczą i my podlegamy ich woli. Dlaczego z hodowli królików nie można sobie zapewnić trzech tysięcy franków renty?

0

Dlatego, że zbyt duże ich nagromadzenie jest przyczyną pomoru. Tak samo przez sam fakt istnienia tłumu zarodki głupoty, jakie on zawiera, rozwijają się i wynikają z tego skutki nieobliczalne.

— Twój sceptycyzm mnie przeraża! — rzekł Pecuchet.

Później, na wiosnę, spotkali pana de Fayerges, który ich poinformował o wyprawie na Rzym*. Nie będzie się atakowało Włochów, lecz potrzebne nam są gwarancje. Inaczej nasze wpływy zostaną zaprzepaszczone. Nie ma nic bardziej słusznego jak ta interwencja.

Bouvard wytrzeszczył oczy.

— Gdy szło o Polskę, podtrzymywał pan tezę wręcz przeciwną.

— To jest całkiem inna sprawa! Teraz chodziło o papieża.

I pan de Fayerges mówiąc: „My chcemy, my zrobimy, my liczymy”, reprezentował pewną grupę. Bouvarda i Pecucheta zmierzała zarówno mała liczba, jak wielka. Plebs, wszystko razem wzięwszy, wart był arystokracji.

Prawo do interwencji wydawało im się podejrzane. Uzasadnień tego prawa poszukali u takich autorów, jak Calvo*, Martens*, Yattel*, i Bouvard wyprowadził wniosek:

— Interweniuje się, żeby przywrócić jakiemuś władcy tron, żeby wyzwolić jakiś naród, lub przewencyjnie, wobec grożącego niebezpieczeństwa. W obu wypadkach jest to zamach na cudze prawo, przemoc, obłudny gwałt!

— Jednak zdarza się — rzekł Pecuchet — że narody, zarówno jak ludzie, są solidarne.

— Być może.

I Bouvard pogrążył się w zadumie.

Niebawem rozpoczęła się wyprawa na Rzym.

Wewnątrz kraju, z nienawiści do idei wywrotowych, elita burżuazji paryskiej zdemolowała dwie drukarnie. Tworzyła się wielka partia ładu.

Przywódcami jej w powiecie byli hrabia, Foureau, Marescot, proboszcz. Codziennie około czwartej po południu spacerowali po placu i rozmawiali o wydarzeniach. Główną sprawą było

rozdawanie broszur. Tytuły

1

ich były wymowne: „Bóg tak chce”, „Komunista”, „Wyjdźmy z zamętu”, „Dokąd zmierzamy?” Najpiękniejsze w nich były dialogi w stylu wiejskim z przekleństwami i błędami językowymi, mające podnieść chłopów na duchu. Na mocy nowej ustawy kolportaż znajdował się w rękach prefektów; i Proudhona zamknięto w więzieniu Sainte-Pelagie: olbrzymie zwycięstwo.

Drzewa wolności powszechnie zostały wycięte. Cha-vignolles usłuchało nakazu. Bouvard widział na własne oczy swą porzniętą topolę na wózku ręcznym. Polana z niej poszły na opał dla żandarmów, a pień подарowano proboszczowi, który przecież ją pobłogosławił! Co za ironia! Nauczyciel nie ukrył swego sposobu myślenia.

Bouvard i Pecuchet powinszowali mu tej postawy pewnego dnia, przechodząc koło jego domu. Nazajutrz zjawił się u nich. W końcu tygodnia rewizytowali go. Dzień miał się ku schyłkowi, smarkacze poszli do domu i nauczyciel z zakasnymi rękawami zamiatał podwórze. Jego żona, w chustce z madrasu na głowie, karmiła piersią dziecko. Mała dziewczynka schowała się za matczyną spódnicę, szkaradny dzieciak bawił się na ziemi u jej nóg; mydliny z prania w kuchni płynęły koło domu.

— Widzicie, panowie — rzekł nauczyciel — jak nas rząd traktuje.

I zaraz zaatakował bezecny kapitał. Należało go zdemokratyzować, wyzwolić złoto.

— Pragnę tego samego! — rzekł Pecuchet.

Co najmniej powinno się uznać prawo opieki publicznej.

— Jeszcze jedno prawo! — rzekł Bouvard. Mniejsza z tym! Rząd tymczasowy okazał się słamazarą nie nakazując braterstwa.

— Niech je pan spróbuje wprowadzić!

Ponieważ już zrobiło się ciemno, Petit w szorstki sposób kazał żonie zanieść świecę do jego gabinetu.

Na tynkowanych ścianach widać było przymocowane gwoździkami litograficzne podobizny mówców lewicy. Półka z książkami wisiała nad sosnowym biurkiem. Do siedzenia było krzesło, stołek i stara skrzynia od

2

mydła, gospodarz udawał, że śmieje się z tego. Ale nędza znaczyła mu policzki, a wąskie skronie zdradzały ttpór tryka, twardą dumę. Ten człowiek nigdy nie ustąpi.

— Zresztą, oto co mnie podtrzymuje.

Była to kupa gazet na desce. Wskazał ją i wyłożył w gorączkowych słowach artykuły swej wiary: rozbrojenie, zniesienie sądownictwa, równość płac, przeciętny poziom niezbędny do osiągnięcia złotego wieku w postaci republiki z dyktatorem na czele, zuchem, który to wszystko zrealizuje bez ceregieli!

Potem sięgnął po butelkę anyżówki i trzy szklanki, żeby wznieść toast na cześć bohatera, nieśmiertelnej ofiary, wielkiego Maksymiliana*!

Na progu ukazała się czarna suknia proboszcza.

Żywo powitawszy towarzystwo zbliżył się do nauczyciela i rzekł prawie szeptem:

— Jak z naszą sprawą świętego Józefa?

— Nic nie dali — odparł kierownik szkoły.

— To pańska wina!

— Robiłem, co mogłem!

— Ach, tak! Czyżby?

Bouvard i Pecuchet dyskretnie wstali. Petit posadził ich z powrotem i zwrócił się do proboszcza.

— Czy to wszystko?

Ksiądz Jeufroy zawahał się; potem z uśmiechem łagodzącym jego burę:

— Ludzie uważają, że pan trochę zaniedbuje historię świętą.

— O! Historia święta! — odezwał się Bouvard.

— Co ma pan jej do zarzucenia?

— Ja nic. Tylko są może *rzeczy* pożyteczniejsze od anegdoty o Jonaszu i od królów izraelskich!

— Niech pan sobie tak sądzi! — sucho odparł ksiądz. I nie krępując się obcymi lub właśnie z

powodu ich
obecności:

— Lekcja katechizmu jest zbyt krótka! Petit wzruszył ramionami.

— Niech pan uważa. Straci pan swych pensjonarzy! Dziesięć franków miesięcznie od tych uczniów było

najlepszą jego lekcją. Ale sutanna rozdrażniała go:

— Trudno, mścijcie się!

3

— Człowiek z moim charakterem nie mści się — rzekł ksiądz z całym spokojem. — Tylko przypominam panu, że ustawa z marca przyznaje nam nadzór nad szkołą powszechną.

— O! Wiem o tym dobrze! — zawołał nauczyciel. — Należy on nawet do pułkowników żandarmerii! Dlaczego nie do polowego! Byłby komplet!

I opuścił się na stołek, gryząc pięść, hamując gniew, dławiąc się poczuciem swej bezsilności. Duchowny dotknął z lekka jego ramienia.

— Nie chciałem cię, kochany panie, martwić! Proszę się uspokoić! Trochę rozsądku! Oto Wielkanoc za pasem: spodziewam się, że da pan dobry przykład przystępując do komunii wraz z innymi.

— A! Tego to już za wiele! Ja! Ja! Poddawać się takim głupstwom!

Na to bluźnierstwo proboszcz zbladł. Żrenice jego ciskały błyskawice. Szczeka mu się trzęsła.

— Zamilcz, nieszczęsny! Zamilcz pan!... I to jego żona ma pieczę nad bielizną kościelną!

— No więc cóż? Cóż ona zrobiła?

— Zawsze opuszcza mszę! Jak i pan zresztą!

— Nie daje się kierownikowi szkoły dymisji z tego powodu!

— Można go przenieść!

Ksiądz nic już więcej nie powiedział. Był w głębi pokoju, w cieniu. Petit z głową na piersiach "dumał.

Przybyliby na drugi koniec Francji po wydaniu na podróż ostatniego grosza i znaleźliby tam, pod innymi imionami, takiego samego proboszcza, takiego samego kuratora, takiego samego prefekta; wszyscy, do ministra włącznie, byli ogniwnami przytłaczającego łańcucha! Dostał już jedno ostrzeżenie, przyjdą inne. A potem? I jakby w halucynacji ujrzał siebie idącego traktem z workiem na plecach, z najbliższymi obok siebie, z ręką wyciągniętą do karetki pocztowej.

W tej samej chwili żonę w kuchni chwycił atak kaszlu; noworodek zaczął kwilić, a brzdąc płakał.

— Biedne dzieci — rzekł ksiądz słodkim głosem.

Wówczas ojciec wybuchnął łkaniem:

— Dobrze! Dobrze! Zrobię wszystko, co chcecie!

— Liczę na to — rzekł proboszcz.

4

I z ukłonem:

— Panowie, życzę dobrej nocy!

Nauczyciel siedział z twarzą w dłoniach. Odsunął Bou-yarda.

— Nie! Dajcie mi spokój! Mam ochotę zdechnąć! Jestem nędznikiem!

Dwaj przyjaciele wrócili do domu winszując sobie niezależności. Władza kleru przerażała ich. Stosowano ją teraz do wzmocnienia ładu społecznego. Republika miała niebawem zniknąć.

Trzy miliony wyborców zostało wyłączonych z głosowania powszechnego. Kaucję dzienników podwyższono, cenzurę przywrócono. Czepiano się odcinkowych powieści. Filozofia klasyczna była uważana za niebezpieczną. Burżuazja głosiła dogmat interesów materialnych i lud miejski wydawał się zadowolony.

Wiejski stawał po stronie swych dawnych panów.

Pan de Faverges, który miał posiadłości w departamencie Eure, został wysunięty do

Zgromadzenia Ustawodawczego i jego ponowny wybór do rady generalnej Calvadosu był z góry zapewniony.

Uznał za wskazane wydać śniadanie dla miejscowych notablów.

Sień, gdzie trzech służących zdejmowało z gości płaszcze, bilard i dwa salony w amfiladzie, rosimy w chińskich wazach, brązy na kominkach, złożone listewki przy lamperkach, sute firanki, szerokie fotele, ten zbytek natychmiast uderzył ich jako wyświadczana im grzeczność; a gdy wchodzili do jadalni, na widok stołu zastawionego mięsami na srebrnych półmiskach, z szeregiem kieliszków przed każdym nakryciem, przekąskami tu i ówdzie i łososiem pośrodku, wszystkie twarze rozpromieniły się.

Gości było siedemnastu, łącznie z dwoma zamożnymi rolnikami, podprefektem z Bayeux i jakimś jegomościem z Cherbourg. Pan de Faverges poprosił zebranych o wybaczenie nieobecności przy stole hrabiny z powodu migreny; po wychwalaniu gruszek i winogron, zapelniających cztery koszyki po rogach, była mowa o wielkiej nowinie: projekcie desantu w Anglii przez Changarniera*.

Heurtaux pragnął tej akcji jako żołnierz, proboszcz

5

z nienawiści do protestantów, Foureau w interesie handlu.

— Wyrażacie .panowie — rzekł Pecuchet — uczucia średniowiecza!

— Średniowiecze miało dobre strony! — odparł Ma-rescot. — Choćby nasze katedry!

— Jednakże, proszę pana, nadużycia władzy!...

— To nic. Rewolucja by nie przyszła!...

— Ach! Rewolucja, oto nieszczęście! — rzekł duchowny wdychając.

— Ale wszyscy się do niej przyczynili! I (pan hrabia mi wybaczy) sama szlachta swym sojuszem z filozofami!

— Cóż pan chce! Ludwik XVIII zalegalizował rabunek! Od tej pory ustroj parlamentarny podkopuje podwaliny!...

Pojawił się rostbef i przez kilka minut słychać było tylko głośnie jedzenie, kroki służby po posadzce i te dwa powtarzane słowa: *Madere! Sauterne!*

Rozmowa została wznowiona przez pana z Cherbourg-ga. Jak zatrzymać się na pochyłości wiodącej w przepaść?

— U Ateńczyków — rzekł Marescot — u Ateńczyków, z którymi mamy coś wspólnego, Solon pokroił demokratów podnosząc cenzus wyborczy.

— Lepiej byłoby — rzekł Hurel — znieść Izbę Deputowanych; cały nieporządek idzie z Paryża.

— Decentralizujmy! — rzekł notariusz.

— W szerokim zakresie! — poparł hrabia.

Według Foureau, gmina winna mieć władzę nieograniczoną, aż do zakazywania użycia swych dróg podróżnym, jeżeli uważa to za wskazane.

I w miarę jak następowały po sobie dania, pulardy w sosie, raki, grzyby, sałata z jarzyn, pieczone ze skowronków, poruszano rozliczne tematy: najlepszy system podatkowy, korzyści uprawy roli na dużych obszarach, zniesienie kary śmierci; podprefekt nie omieszkał za cytować tego świetnego powiedzonka pewnego dowcipnego człowieka: „Niech panowie mordercy zaczną!”

Bouvard był zdumiony kontrastem między tym, co tutaj widział, a tym, co tu mówiono, gdyż zawsze się wydaje, że słowa winny odpowiadać środowisku i że

6

wysokie komnaty są stworzone do wielkich myśli. Niemniej jednak był czerwony przy deserze i widział kom-pottery jak przez mgłę.

Pito wina bordoskie, burgundzkie i malagę... Pan de Faverges, który wiedział, z kim ma do czynienia, kazał odkorkować szampana. Goście trącając się wypili za pomyślny dla gospodarza wynik wyborów i było po trzeciej, gdy przeszli do palarni na kawę.

Karykatura z „Charivari” * leżała na konsoli między numerami „L'Univers” *, przedstawiała ona obywatela, któremu między połami surduta wystawał ogon kończący się okiem. Marescot. dał wyjaśnienie tego rysunku. Uśmieli się.

Wlewali w siebie likiery i popiół z cygar spadał w pikowania wyściełanych mebli. Ksiądz chcąc przekonać Girbala zaatakował Woltera. Coulon usnął. Pan de Faverges oświadczył, że jest gorącym zwolennikiem Cham-borda.

— **Pszczoly oznaczają monarchię.**

— **Ale mrowiska — republikę!**

Zresztą doktorowi już na tym nie zależało.

— **Ma pan rację! — rzekł podprefekt. — Forma rządu nie ma wielkiego znaczenia!**

— Ale przy całkowitej wolności! — zastrzegł się Pecuchet.

— Porządny człowiek jej nie potrzebuje — zarepli-kował Foureau. — Ja tam nie wygłaszam mów! Nie jestem dziennikarzem! I zaręczam panom, że Francja chce być rządzona żelazną ręką! Wszyscy domagali się zbawcy.

Wychodząc Bouvard i Pecuchet usłyszeli, jak pan de Faverges mówił do księdza Jeufroy:

— Trzeba przywrócić posłuszeństwo. Autorytet zamiera, gdy się o nim dyskutuje! Prawo boskie — i koniec!

— Tak jest, panie hrabio!

Blade promienie październikowego słońca wydłużały się za lasami, dął wilgotny wiatr; idąc po zwiędłych liściach Bouvard i Pecuchet oddychali jak ludzie wreszcie

Wszystko, czego nie mogli tam powiedzieć, wydarło się z nich w wykrzykach.

— Cóż za idioci! Co za poziom! Jak sobie wyobrazić tyle tępego uporu! Przede wszystkim, co to znaczy prawo boskie?

Przyjaciel Dumouchela, ten profesor, który ich oświecił w sprawach estetyki, odpowiedział na ich pytanie uczonym listem.

Teoria prawa boskiego została sformułowana za Karola II * przez Anglika Filmęra *.

Brzmi tak:

„Stwórca dał pierwszemu człowiekowi suwerenną władzę nad światem. Została ona przekazana jego potomkom i władza królewska pochodzi od Boga: «Król jest jego obrazem* — pisze Bossuet. Władza ojcowska przyzwyczają do panowania jednego człowieka. Uczyniono królów według wzoru ojców.

Locke * zwalczał tę doktrynę. Władza ojcowska różni się od monarszej, skoro każdy poddany ma taką samą władzę nad swymi dziećmi, jaką monarcha ma nad swoimi. Władza królewska istnieje jeno z wyboru ludu i nawet akt elekcji był przypominany w ceremonii koronacji, kiedy dwaj biskupi wskazując króla zapytywali szlachtę i przedstawicieli gminu, czy przyjmują go za monarchę.

A więc władza pochodzi od ludu. Lud ma prawo «ro-bić wszystko, co chce» — mówi Helvetius*, «zmienić swą konstytucję* — mówi Yatel*, «zbuntować się przeciw bezprawiu* —••• twierdzą Glafey *, Hotman *, Ma-bly * i inni, a święty Tomasz z Akwinu * pozwala mu na pozbycie się tyrana. «Lud — mówi Jurieu* jest nawet zwolniony od tego, żeby mieć słusność»."

Zdumieni tym aksjomatem wzięli do ręki *Umową społeczną* * Rousseau.

Pecuchet przeczytał ją od deski do deski; potem, zamykając oczy i odrzucając w tył głowę, dokonał analizy tego dzieła.

Przypuszcza się układ, którego mocą jednostka odstąpiła swą wolność.

Lud jednocześnie zobowiązywał się bronić jednostki przeciw nierównościom natury i czynił ją właścicielem rzeczy, które są w jej posiadaniu.

Gdzie jest dowód umowy?

Nigdzie! I zbiorowość nie daje rękojmi. Obywatele będą się zajmowali wyłącznie polityką. Ale że potrzebne są rzemiosła, Rousseau doradza niewolnictwo. Wiedza zgubiła rodzaj ludzki. Teatr to demoralizator, pieniądź jest zgubny, a państwo powinno narzucić jakąś religię pod karą śmierci.

„Jak to! Powiedzieli sobie, to tak wygląda arcykapłan demokracji!"

Wszyscy reformatorzy kopiowali go; i Bouvard, i Pecuchet wystarali się o *Rozważania o socjalizmie* Mo-ranta.

Rozdział pierwszy zawiera wykład doktryny Saint-Simona *.

Na szczycie Ojciec, wraz papież i cesarz. Zniesienie dziedziczenia, gdyż wszystkie dobra, ruchome i nieruchome, tworzą fundusz społeczny, który będzie wykorzystany hierarchicznie. Przemysłowcy będą zarządzali majątkiem publicznym. Ale nie ma się czego obawiać; głową państwa będzie „ten, który najbardziej kocha".

Brak jednego, kobiety. Od przybycia kobiety zależy zbawienie świata.

— Nie rozumiem.

— Ani ja!

I wzięli się do fourieryzmu*.

Wszystkie nieszczęścia pochodzą z przymusu. Niech ludzie się swobodnie łączą, a harmonia sama zapanuje.

Dusza nasza zawiera dwanaście namiętności głównych: pięć samolubnych, cztery duchowe, trzy rozdzielcze. Zdążają one: pierwsze do jednostki, następne do grup, ostatnie do zgrupowanych grup, czyli serii, których zespół tworzy falangę, zrzeszenie tysiąca ośmiuset osób zamieszkujących pałac. Co dzień raniem wozy wiozą pracowników w pole i przywożą ich z powrotem

leczorem. Nosi się tu sztandary, urządza obchody, zajada słodycze. Każda kobieta, o ile jej na tym zależy, ma trzech mężczyzn: męża, kochanka i rozplodowca. Dla bezżennych jest wprowadzony bajaderyzm*.

— To mi się podoba! — rzekł Bouvard.

I zatonął w marzeniach o świecie zharmonizowanym. Przez poprawienie klimatu ziemia stanie się piękniejsza; przez krzyżowanie ras życie ludzkie dłuższe. Będzie się kierowało chmurami, jak się to czyni teraz z pioru-

9

nami, deszcz będzie padał nocą na miasta, żeby je oczyścić. Okręty będą przepływały morza polarne zwolnione od lodów pod działaniem zórz północnych. Bowiemy wszystko powstaje z połączenia dwóch fluidów: samczego i samiczego, tryskających z biegunów, i zorze północne są objawem rui planety, promieniowaniem zapładniającym.

— Tego nie pojmuję — rzekł Pecuchet.

Po Saint-Simonie i Fourierre problem sprowadził się do sprawy zarobków.

Louis Blanc chce w interesie robotników, żeby został zniesiony handel zagraniczny; Lafarelle*, żeby narzucono używanie maszyn; ktoś inny, żeby znizowano podatek od napojów lub zdeformowano urząd starszych w cechach, albo wprowadzono rozdawnictwo zupy. Proud-hon* wymyśla jednakowy cennik na artykuły pierwszej potrzeby i żąda dla państwa monopolu na cukier.

— Ci socjaliści — mówi Bouvard — domagają się zawsze tyranii.

— Nic podobnego!

— Nie inaczej.

— Mówisz głupstwa!

— A ty mnie oburzasz!

Sprowadzili sobie dzieła, które znali tylko ze streszczeń. Bouvard wynotował sobie szereg ustępów i pokazał je Pecuchetowi:

— Czytaj sam. Proponuję nam jako wzór Esseńczyków*, Braci Morawskich*, jezuitów z Paragwaju*, a nawet regulamin więzienny. U Ikaryjeżyków* obiad przygotowuje się w dwadzieścia minut, kobiety odbywają poród w szpitalu; co się tyczy książek, nie wolno ich drukować bez pozwolenia republiki.

— Ale Cabet* to idiota.

— Teraz coś z Saint-Simona: publicyści będą przedstawiali swe prace do aprobaty komitetowi przemysłowców; z Piotra Leroux*: prawo zmusi obywateli do słuchania mówcy; a z Augusta Comte'a*: kler będzie wychowywał młodzież, będzie kierował wszelką pracą umysłową i wezwie rząd do regulowania przyrostu naturalnego ludności.

Te dokumenty zasmuciły Pecucheta. Wieczorem przy obiedzie wystąpił z repliką:

0

— Przyznaję, że są u utopistów rzeczy śmieszne;

mimo to zasługują oni na naszą miłość. Ohyda świata mierzyła ich i żeby go uczynić piękniejszym, znieśli wszystko. Przypomnij sobie Morusa* świętego, Campa-nellę* siedem razy wydanego na męki, Buonarrotiego* z łańcuchem na szyi, Saint-Simona ginącego z nędzy i wielu

innych. Mogli byli żyć spokojnie, ale nie! Kroczyli swoją drogą, z głową wysoko wzniesioną jak bohaterowie.

— Sądysz — odparł Bouvard — że świat się zmieni dzięki teoriom jakiegoś jegomościa?

— Cóż z tego! — rzekł Pecuchet. — Nie można już dłużej gnuśnieć w egoizmie! Sztikajmy najlepszemu ustroju społecznego!

•— Więc ty spodziewasz się znaleźć go? —• Oczywiście!

— Ty?

I Bouvardowi trzęsły się zgodnie ramiona i brzuch w napadzie serdecznego śmiechu.

Czerwieńczy od konfitur, które jadł na deser, z końcem serwetki pod pachą wykrzykiwał:

— Ha! Ha! Ha! — w sposób irytujący.

Pecuchet wyszedł z pokoju trzaskając drzwiami.

Gerwazowa wołała go do stołu po całym domu i znaleziono go w kącie jego pokoju; siedział w berzerce, po ciemku, w zimnicy, czapkę miał nasuniętą na oczy. Nie był chory, tylko oddawał się rozmyślaniom.

Gdy gniewy minęły, przyjaciele uznali, że brak im w ich studiach ważnej podstawy: ekonomii politycznej.

Zapoznali się z zagadnieniami podaży i popytu, kapitału i płacy, importu i prohibicji*.

Pewnej nocy Pecucheta zbudziło skrzywienie buta w korytarzu. Wieczorem, jak zwykle, sam zarygłował wszystkie drzwi i teraz zawołał Bouvarda śpiącego głębokim snem.

Leżeli bez ruchu pod kołdrami. Hałas nie powtórzył się.

Służące zapytywane nic nie słyszały.

Ale spacerując po ogrodzie zauważyli na jednym z klombów koło sztachet odcisk buta i dwie żerdki ogrodzenia były złamane. Najwyraźniej ktoś tędy przeleżał.

Należało dać znać polowemu.

1

Ponieważ nie było go w merostwie, Pecuchet poszedł do kupca kolonialnego.

Kogo ujrzał w izbie za sklepem obok Placqueventa, wśród pijących? Gorju! Gorju! wystrojony jak mieszczuch, fundował całej kompanii.

To spotkanie było bez znaczenia.

Niebawem doszli do zagadnienia Postępu.

Bouvard nie wątpił o nim w dziedzinie nauki. Ale w literaturze postęp jest mniej wyraźny; i wprawdzie dobrobyt się wzmaga, lecz świetność życia zniknęła.

Pecuchet, żeby go przekonać, wziął kawałek papieru:

— Rysuję ukośnie linię falistą. Ci, którzy mogliby ją przebyć, nie widzieliby horyzontu, ilekroć linia się zniża. Jednakże ona się wznosi i pomimo jej obniżen oni osiągną szczytu. Taki jest obraz Postępu.

Weszła pani Bordin.

Było to 3 grudnia 51*. Przyniosła gazetę.

Przeczytali bardzo szybko, stojąc tuż obok siebie, odezwę do narodu, o rozwiązaniu Izby, uwięzieniu deputowanych.

Pecuchet zbladł. Bouvard patrzył na wdowę.

— No i co? Pani nic nie mówi!

— Cóż mogę na to poradzić? Zapomnieli podać jej krzesło.

— A ja przyszłam sądząc, że sprawię panom przyjemność. O, nie są panowie mili dzisiaj.

I wyszła urażona ich nieuprzejmością.

Niespodzianka odebrała im mowę. Potem poszli na wieś wyładować swe oburzenie. Marecot, który ich przyjął przy sporządzaniu aktów notarialnych, myślał inaczej niż oni. Gadulstwo parlamentu skończyło się, chwała Bogu. Teraz będziemy mieli politykę interesów.

Beljambe nic nie wiedział o wydarzeniach i zresztą kpił sobie z tego.

W halach zatrzymali Vaucorbeila.

Lekarz już ochłonał po tych wiadomościach.

— Nie ma czym się tak przejmować! Foureau przeszedł koło nich mówiąc szyderczo:

— Dostało się demokratom!

A kapitan idąc pod pachę z Girbałem krzyknął z daleka:

— Niech żyje cesarz!

2

Ale Petit ich zrozumie i gdy Bouvard zapukał w szybę, nauczyciel wyszedł ze szkoły.

Uważał on za bardzo zabawne, że Thiers jest w więzieniu. To było zadośćuczynieniem dla ludu.

— Aha! Panowie deputowani, na was przyszła kolej! Strzelanina na bulwarach* zyskała aprobatę Chavi-

gnolles. Żadnej łaski dla zwyciężonych, żadnej litości dla ofiar! Kto się buntuje, jest zbrodniarzem.

— Złóżmy dzięki Opatrzności! — mówił proboszcz — a po niej Ludwikowi Bonaparte. Otacza on siebie najwybitniejszymi mężami! Hrabia de Faverges zostanie senatorem.

Nazajutrz Bouvarda i Pecucheta odwiedził Placque-vent. Za dużo gadali. Zalecał im siedzieć cicho.

— Chcesz wiedzieć, co ja o tym sędzę? — rzekł Pecuchet. — Skoro burżuazja jest okrutna, robotnicy zawistni, kler służalczy, a lud ostatecznie uznaje każdego tyrana, byleby mu postawić miskę przy gębie, Napoleon dobrze zrobił! Niech knebluje ludowi usta, niech go depcze i niszczy! Tego nigdy nie będzie dość za jego nie-poszanowanie prawa, jego tchórzostwo, nieudolność, jego zaślepienie!

Bouvard myślał głośno:

— Hm, postęp, cóż za błaga! Dodał:

— A polityka, ładne świństwo!

— To nie jest wiedza — rzekł Pecuchet. — Sztuka wojenna jest więcej warta, przewiduje się to, co nastąpi, powinni byśmy wziąć się do tego, co?

— A, dziękuję! — odparł Bouvard. — Wszystko mi obrzydło. Sprzedajmy raczej naszą budę i wynieśmy się, Dod inne niebo, żyć między dzikusami!

— Jak chcesz!

Na podwórzu Mela czerpała wodę.

Przy drewnianej studni był długi żuraw. Żeby go opuścić, dziewczyna zginała się głęboko i widać było wtedy jej niebieskie pończochy aż do podkolania. Potem szybkim ruchem podnosiła prawe ramię obracając przy tym nieco głowę, i Pecuchet patrząc na nią doznawał czegoś całkiem nowego, czarującego, nieskończenie przyjemnego.

3

VII

Zaczęły się smutne dni.

Nie studiowali już więcej z obawy rozczarowań; mieszkańcy Chavignolles odsuwali się od nich, z prasy prorządowej nic nie można było się dowiedzieć i samotność ich była głęboka, ich bezczynność zupełna.

Czasami otwierali jakąś książkę i zamykali ją; po co czytać? Kiedy indziej przychodziło im do głowy uporządkować ogród, po kwadransie czuli się znużeni; albo zobaczyć, co się dzieje na ich fermie; wracali stamtąd z obrzydzeniem, to znów brali się do gospodarstwa domowego, Gerwazowa lamentowała; wyrzekli się tego.

Bouvard chciał ułożyć katalog muzeum i uznał te graty za idiotyczne.

Pecuchet pożyczył sobie od Langlois dubeltówkę na kaczki, by strzelać do skowronków; broń, rozrywając się przy pierwszym strzale, omal go nie zabiła.

Żyli więc w tej nudzie wiejskiej tak ciężkiej, gdy białe niebo pieści swą monotonią serce próżne nadziei. Słucha się kroku człowieka w sabatach idącego wzdłuż ściany lub kropel deszczu spadających z dachu na ziemię. Od czasu do czasu zeschny liść muśnię szybę, potem zakręci się i odleci. Wiatr przynosi niewyraźne dźwięki pogrzebowego dzwonu. W głębi obory ryczy krowa. Ziewali jeden naprzeciw drugiego, zaglądali do kalendarza; patrzyli na zegar ścienny, czekali na posiłki, a widnokraj był wciąż ten sam: na wprost pola, na prawo kościół, na lewo szereg topoli; ich wierzchołki kołysały się we mgle bezustannie, żałośnie.

Nawyknienia, które dotąd wzajemnie tolerowali, teraz drażniły ich. Pecuchet stawał się nieznośny

ze swą manią kładzenia na obrusie chustki do nosa. Bouvard nie wypuszczał z ust fajki i rozmawiał kołysząc się. Powstawały sprzeczki z powodu dań lub jakości masła. W swych sam na sam myśleli każdy o czym innym.

Pewne wydarzenie wstrząsnęło Pecuchetem.

W dwa dni po rozruchach w Chayignolles, gdy przeżuwał na przechadzce swe polityczne rozgoryczenie, wszedł na drogę osłoniętą gęstwiną wiązów i usłyszał za sobą krzyk:

— Stój!

4

Była to pani Castillon. Biegła po drugiej stronie nie widząc go. Idący przed nią człowiek obrócił się. Był to Gór j u. Zetknęli się o sążen od Pecucheta odgradzonego od nich rzędem drzew.

— Czy to prawda? — rzekła. — Będziesz się bił?

Pecuchet stoczył się do rowu, żeby słyszeć.

— No, tak — odparł Gór j u — będę się bił. Co ci do tego?

— On się jeszcze pyta! — zawołała załamując ręce. — Przecie możesz być zabity, mój najdroższy. Och, zostań!

I jej niebieskie oczy bardziej jeszcze niż słowa błagały go.

— Daj mi spokój! Muszę iść! Roześmiała się szydlerczo.

— Tamta ci pozwoliła, co?

— Nie twoja rzecz. Podniósł zaciśnięty kułak.

— Nie, mój drogi, nie! Ja milczę, ja nic nie mówię. I grube łyzy zsuwały się po jej policzkach w marszczoną krezę.

Było południe. Słońce świeciło nad polami pokrytymi żółtym zbożem. Gdzieś w dali posuwała się wolno buda jakiegoś wehikułu. Odrętwienie rozpościerało się w powietrzu; ani krzyku ptaka, ani brzęczenia owada. Gorju uciął sobie kijek i zeskrobywał z niego korę. Pani Castillon nie podnosiła głowy.

Myślała, biedna kobieta, o daremności swych poświęceń, o długach, które uregulowała za niego, o swych zobowiązaniach na przyszłość, o swej straconej reputacji. Zamiast się skarżyć, przypomniła mu pierwszy okres ich miłości, gdy co noc przychodziła do niego do stodoły; tak że pewnego razu jej mąż sądząc, że to złodziej, strzelił przez okno z pistoletu. Kula tkwiła jeszcze w ścianie.

••• Od chwili gdym ciebie poznała, wydałeś mi się piękny jak książę. Kocham twe oczy, twój głos, twój chód, twój zapach!

Dodała ciszej:

— Szaleję za tobą!

Uśmiechnął się pod tym głaskaniem jego miłości własnej.

5

Wzięła go oburącz za boki, głowę miała odrzuconą w tył jakby w adoracji.

— Najdroższy! Ukochany! Duszo moja! Moje życie! No powiedz, czego chcesz? Czy pieniędzy?

Znajdą się. Nie miałam racji! Nudziłam cię! Daruj! I zamów sobie ubranie u krawca, pij szampana, hulaj, pozwalam ci na wszystko, na wszystko.

Wyszeptała z najwyższym wysiłkiem:

— Nawet na nią... byłeś powrócił do mnie. Nachylił się nad jej ustami obejmując ramieniem łądzwie, żeby nie upadła, a ona wybełkotała:

— Najdroższy! Ukochany! Jakiś ty piękny! Boże, jakiś ty piękny!

Pecuchet, nieruchomy, z krawędzią rowu na wysokości podbródka, patrzył na nich ciężko dysząc.

— Precz ze słabością! — rzekł Gorju. — Jeszczem gotów spóźnić się na dylizans! Szykuje się bycza chryja; jestem tam potrzebny. Daj mi pół franka na szklankę glorii dla konduktora.

Wyjęła z sakiewki pięć franków.

— Zwrócisz mi je wkrótce. Miej trochę cierpliwości. Skoro jest sparalizowany! Pomyśl przecie!

A gdybyś chciał, pojechalibyśmy do kaplicy w Croix-Janval i tam, kochanie, przysięgnę przed Matką Boską, że poślubię cię, jak tylko on umrze!

— E! Nigdy on nie umrze, twój mąż!

Gorju zaczął uciekać. Dogoniła go i czepiając się jego barków:

— Daj mi pojechać z tobą! Będę twoja służącą! Ty musisz mieć kogoś koło siebie. Ale nie odchodź! Nie porzucaj mnie! Raczej śmierć! Zabij mnie!

Czołgała mu się u kolan, usiłując schwycić jego ręce i ucałować; spadł jej czepek, potem grzebień i rozsypały się krótkie włosy. Białe były pod uszami i gdy patrzyła na niego z dołu, cała rozszlochana, z czerwonymi powiekami i obrzmiałymi wargami, rozzłościło go to i odepchnął ją.

— Odczep się, starucho! Żegnam!

Gdy podniosła się z ziemi, zerwała złoty krzyżyk wiszący na szyi i cisnęła go za nim:

— Masz! Draniu!

Gorju oddalał się bijąc kijkiem po liściach drzew,

6

Pani Castillon nie płakała. Z rozwartą szczęką i ze zgasłymi źrenicami trwała bez ruchu, skamieniała w swej rozpaczce; nie była już ludzką istotą, lecz rzeczą w ruinie...

To, co podpatrzył, stało się dla Pecucheta niby odkrycie świata, całego nowego świata, o olśniewających blaskach, bezładnej, bujnej roślinności, oceanach, burzach, skarbach i przepaściach niezmiernych; choć budził strach, pociągał! Pecuchet marzył o miłości, pragnął odczuwać ją tak, jak ta kobieta, wzniecać ją jak tamten.

Jednakże czuł wstręt do Gorju i w kordegardzie z trudem powstrzymał się od tego, żeby go nie zdradzić.

Kochanek pani Castillon upokarzał Pecucheta swą szczupłą talią, równymi, zakręconymi na skroni loczkami, swym bujnym zarostem, miną zdobywcy; gdy tymczasem jego włosy... były przyklejone do czaszki jak zmoczona peruka; tors w opończy przypominał podłużną poduszkę, brakowało mu dwóch kłów i fizjonomia jego była surowa. Uważał, że los obszedł się z nim po macoszemu, czuł się jak wydziedziczony, a jego druh już go nie kochał.

Bouvard co wieczór pozostawiał go samego. Po śmierci żony nic by mu nie przeszkadzało wziąć sobie inną, która teraz opiekowałaby się nim czule, dbała o jego dom. Obecnie był za stary, żeby o tym myśleć.

Ale Bouvard przyjrzał się sobie w lustrze. Policzki zachowały kolory, włosy były kędzierzawe jak dawniej, ani jeden ząb nie był naruszony i na myśl, że może się podobać, wracała mu młodość. Z pamięci jego wynurzyła się pani Bordin. Okazała mu swe wyraźne zainteresowanie: pierwszy raz podczas pożaru stert; drugi na proszonym obiedzie u nich; potem w muzeum, podczas deklamacji, a ostatnio przyszła bez urazy w trzy kolejne niedziele. Poszedł więc do niej i powtarzał wizyty obiecując sobie, że ją uwiedzie.

Od dnia kiedy Pecuchet patrzył na Melę przy studni, częściej się do niej odzywał i czy zamiatała korytarz, czy rozwieszała bieliznę lub przestawiała rondle na kominie, nie mógł się na nią dość napatrzeć, sam zaskoczony swymi emocjami, jak w wieku chłopięcym. To

7

wywołało w nim stany gorączkowe i osłabienie i prześladowało go wspomnienie pani Castillon ściskającej Gór j u.

Zapytał Bouvarda, w jaki sposób rozpustnicy biorą się do zdobywania kobiet.

— Daje się im prezenty, podejmuje w restauracjach.

— Doskonale! Ale potem?

— Są takie, które udają zemdlenie, żeby je zanieść na kanapę; inne upuszczają na ziemię chusteczkę do nosa. Najlepsze wyznaczają schadzkę otwarcie.

I Bouvard zaczął się rozwodzić nad opisami, które jak sprośne ryciny rozpały wyobraźnię Pecucheta.

— Pierwszą zasadą jest nie wierzyć temu, co one mówią. Znałem takie, które pod pozorami świętych były prawdziwymi Messalinami*! Przede wszystkim należy być śmiałym!

Ale śmiałość nie zjawia się na zamówienie. Pecuchet codziennie odraczał swą decyzję, onieśmielała go zresztą obecność Gerwazowej.

W nadziei, że podziękuje za służbę, wymagał od niej dodatkowej pracy, notował, ilekroć była wstawiona, głośno wyrzucał jej niechlujstwo, lenistwo, i doprowadził wreszcie do tego, że odeszła.

Teraz Pecuchet był wolny!

Z jaką niecierpliwością oczekiwał wyjścia Bouvarda! Jak mu biło serce, z chwilą gdy zamykały się za przyjacielem drzwi!

Mela pracowała przy stolicku koło okna, przy świetle świecy; co pewien czas przecinała nitkę zębami, potem mrużyła oczy, by nawlec igłę.

Naprzód chciał wiedzieć, jacy mężczyźni jej się podobają. Czy na przykład w rodzaju Bouvarda? Wcale nie: wołała chudych.

Ośmielił się zapytać ją, czy miała kochanków.

— Nigdy!

Potem, przysuwając się bliżej, patrzył na jej delikatny nos, wąskie usta, kibić. Powiedział jej kilka komplementów i namawiał do zachowania cnoty.

Schylając się nad dziewczyną widział w rozcięciu staniczka białe kształty, z których dobywał się ciepły zapach grzejący mu policzek. Pewnego wieczora dotknął wargami kędziorków na jej karku i doznał wstrząsu

8

aż do szpiku kości. Innym razem pocałował ją w brodę powstrzymując się, żeby jej nie ugryźć, tak była apetyczna. Oddała mu pocałunek. Pokój zawirował. Zamroczyło go.

Podarował Meli parę buczków i częstował ją nieraz kieliszkiem anyżówki...

Żeby jej oszczędzić trudu, wstawał wcześniej, rąbał drzewo, rozniecał •• ogień, posuwał swe względy aż do czyszczenia butów Bouvarda.

Mela nie zemdląła, nie upuściła chustki do nosa i Pecuchet nie wiedział, na co się zdecydować; obawa zaspokożenia pożądania potęgowała je.

Bouvard zalecał się gorliwie do pani Bordin.

Przyjmowała go, nieco ściśnięta w jedwabnej sukni mieniącego się koloru, skrzypiącej jak rząd na konia, a dla kontenansu bawiła się swym długim, złotym łańcuszkiem.

Ich dialogi toczyły się na temat mieszkańców w Cha-yignolles lub „nieboszczyka męża”, ongiś komornika w Liyarot*.

Potem wypytywała o przeszłość Bouvarda, ciekawa jego „przygód młodego człowieka”, ubocznie o jego majątek i o to, jakie interesy wiązały go z Pecuchetem.

On podziwiał prowadzenie domu przez nią, a gdy był u niej na obiedzie, czystość zastawy, wyborną kuchnię. Szereg wyśmienicie przyrządzonych potraw, przerywanych w równych odstępach starym burgundem, wiódł ich do deseru, przy którym długo pili czarną kawę; pani Bordin poruszając nozdrzami maczała w filiżance mięsistą wargę, lekko ocienioną czarnym meszkiem.

Pewnego dnia ukazała się w sukni dekolowanej. Jej ramiona oczarowały Bouvarda. Siedząc przed nią na ta-burecie, zaczął ją głaskać dłońmi po ramionach. Wdowa rozgniewała się. Przestał, ale wyobrażał sobie okrągłości czarownie bujne i jędrne.

Któregoś wieczora, gdy pitraszenie Meli obmierzło mu, doznał radości wchodząc do salonu pani Bordin. Tutaj należałoby żyć!

Klosz lampy, okryty różowym papierem, rozlewał spokojne światło. Siedziała przy kominku; stopa jej wystawała spod sukni. Zaraz po pierwszych słowach rozmowa się urwała.

9

Ona patrzyła na niego z opuszczonymi rzęsami, wzrokiem rozmarzonym, uporczywie.

Bouvard nie wytrzymał! I klękając na posadzce, wy-bąkał:

— Kocham panią! Pobierzmy się!

Pani Bordin odetchnęła z mocą, po czym z naiwną miną rzekła, że on żartuje; bez wątpienia ludzie będą drwili, to nie było rozsądne. Te oświadczenia oszołamiały ją.

Bouvard odparł, że oboje nie potrzebują niczyjej zgody na swój związek.

— Co panią powstrzymuje? Wyprawa? Nasza bielizna ma taką samą cyfrę, B! Połączymy pierwsze litery na- .-^ych nazwisk.

Ten argument trafił jej do przekonania. Ale pewna sprawa większej wagi nie pozwalała jej zdecydować się przed .. ^ńcem miesiąca. I Bouvard jęknął.

Była t_ subtelną, że go odprowadziła do domu, eskortowana ra.t.ez Mariannę, która niosła latarnię.

Dwaj przyjaciele ukryli jeden przed drugim swą żądzę.

Pecuchet zamierzał maskować wciąż swą miłośćkę ze służącą. Gdyby Bouvard sprzeciwił się tej sprawie, zabierze ze sobą Melę w inne strony, choćby do Algeru, gdzie życie nie jest drogie! Ale rzadko budował takie hipotezy pochłonięty swą miłością, nie myślał o następstwach.

Bouvard projektował urządzić sypialnię małżeńską w muzeum, chyba że Pecuchet na to się nie zgodzi; w takim razie zamieszkałby w domu swej małżonki.

Pewnego popołudnia w następnym tygodniu, gdy w jej ogrodzie pąki na drzewach zaczynały się rozwijać i między chmurami były splechcie błękitu, pani Bordin nachyliła się, żeby zerwać fiołki, i rzekła podając je:

— Niech pan powita panią Bouvard!

— Co! Czyż to prawda?

— Zupełna prawda.

Chciał porwać ją w ramiona, odepchnęła go.

— Co za człowiek!

Potem z powagą uprzedziła Bouvarda, że niebawem poprosi go o pewną przysługę.

— Z góry zapewniam, że ją wyświadczę!

0

Wyznaczyli podpisanie intercyzy przedślubnej na przyszły czwartek. Nikt, aż do ostatniej chwili, nie miał nic wiedzieć

0 ich małżeństwie. — Zrobione!

I wyszedł wniebowzięty, lekki jak sarna. Pecuchet, rankiem tego samego dnia, przyrzekł sobie umrzeć, jeśli nie uzyska względów swej służącej,

1 towarzyszył jej do piwnicy spodziewając się, że ciemności dodadzą mu śmiałości.

Kilka razy Mela chciała pójść sobie, ale zatrzymywał ją, żeby rachować butelki, wybrać łaty dachowe lub obejrzyć dno beczek; to trwało długo. ..

Stała na wprost niego, pod światłem okienka, wyprostowana, z opuszczonymi powiekami, z nieco podniesionym kącikiem ust. ^j

— Kochasz mnie? — rzekł raptem Pecuchet-.

— Tak! Kocham pana.

— No, to daj mi tego dowód!

I obejmując ją lewym ramieniem, zaczął prawą ręką rozpinać jej stanik.

— Pan mi narobi bólu?

— Nie, aniołeczku! Nie bój się!

— Jeśli pan Bouvard...

— Nic mu nie powiem! Bądź spokojna!

Za Melą leżała kupa chrustu. Dziewczyna opadła na nią wysunawszy piersi z koszuli, odrzuciwszy w tył głowę; potem zasłoniła twarz ramieniem; kto inny na miejscu Pecucheta zrozumiałby, że nie brak jej było doświadczenia.

Bouvard niebawem wrócił na obiad.

Posiłek odbywał się w milczeniu, gdyż każdy z nich bał się zdradzić przed drugim; Mela usługiwała, jak zwykle, z niewzruszonym spokojem; Pecuchet odwracał oczy, żeby nie spotkać się z jej wzrokiem, a Bouvard, patrząc na ściany, myślał o urządzeniu domu.

W tydzień potem, we czwartek, wrócił do domu wściekły.

— A to dziwka!

— Któż taki? —• Pani Bordin.

I opowiedział, że oszalał do tego stopnia, iż chciał ją

1

mieć za żonę; ale wszystko skończone po kwadransie spędzonym z nią u notariusza.

Chciała otrzymać w posagu les Ecalles, którymi on nie mógł dysponować, ponieważ nabył je, tak samo jak fermę, częściowo za cudze pieniądze.

— Istotnie — rzekł Pecuchet.

— A ja byłem tak głupi, że jej obiecał wyświadczyć przysługę według jej wyboru! To o tę

przysługę chodziło! Uparłem się, żeby nie ustąpić; bo gdyby mnie kochała, ona by mi ustąpiła! Wdowa, zamiast tego, obrzuciła go obelgami, ośmieszyła jego powierzchowność, jego brzuch.

— Mój brzuch! Widział kto coś podobnego! Pecuchet podczas tego kilka razy wychodził, szedł rozstawiając nogi.

— Cierpisz? — rzekł Bouvard.

— Tak! Tak! Cierpię!

I, zamknawszy drzwi, Pecuchet po wielu wahaniach wyznał, że odkrył u siebie sekretną chorobę.

— Ty? .

— Ja we własnej-osobie!

— A, mój biedaku! Któż cię tak urządził? Pecuchet poczerwieniał jeszcze bardziej i rzekł jeszcze ciszej:

— To może być tylko Mela. Bouvard osłupiał.

Pierwszą rzeczą było odprawienie dziewczyny.

Prostodusznie zapewniała o swej niewinności.

Przypadek Pecucheta był jednak poważny; lecz wstydząc się choroby, którą uważał za coś haniebnego, nie śmiał udać się do lekarza.

Bouvard umyślił zwrócić się do Barberou.

Opisali mu szczegóły choroby z prośbą, żeby je podał doktorowi, który będzie ją leczył listownie.

Barberou wziął się do sprawy gorliwie, przekonany, że tu idzie o Bouvarda, i nazwał go starym wygą winszując mu jednocześnie, że mogła mu się jeszcze taka rzecz zdarzyć.

— W moim wieku — mówił Pecuchet. — Czyż to nie wygląda ponuro! Ale czemuż mi ona to .zrobiła?

— Podobalesz się jej.

— Powinna była mnie uprzedzić.

2

— Czyż namiętność rozumuje?

I Bouvard skarżył się na panią Bordin.

Nieraz spotykał ją niespodzianie, gdy stała przed les ficalles w towarzystwie Marescota, konferując z Ger-wazową; tyle chytrych zabiegów o kawałek gruntu!

— Jest chciwa! Oto wytłumaczenie.

Przeżuwali w ten sposób swe zawody w saloniku przy kominku, Pecuchet połykając lekarstwa, Bouvard paląc jedną po drugiej fajki, i rozprawiali o kobietach.

— Dziwna potrzeba i czy to w ogóle jest potrzeba? Kobiety pchają do zbrodni, do bohaterstwa i do ogłupienia. Piekło pod spódnicą, raj w pocałunku; gruchanie turkawki, faliste ruchy węża, koci pazur, zdradzieckość morza, zmienność księżycy.

Wypowiedzieli wszystkie komunały, które zostały rozpowszechnione dzięki kobietom.

Ta żądza posiadania kobiet sprawiła, że ich przyjaźń była czas pewien w zawieszeniu. Poczuli wyrzut.

— Żadnych kobiet więcej, prawda? Żyjmy bez nich! I uściskali się czule.

Trzeba było przeciwdziałać pożądaniu; i Bouvard, po wyzdrowieniu Pecucheta, uznał, że wodolecznictwo dobrze im zrobi.

Gerwazowa, która powróciła na dawne miejsce zaraz po odejściu tamtej, co dzień rano wtaczała wannę do korytarza.

Dwaj jegomoście, nadzy jak dzikusy, leli wzajem na siebie duże wiadra wody, potem biegli do swych pokoi. Widziano ich przez sztachety; ludzie byli zgorszeni.

VIII

Z adowoleni ze swego trybu życia, zechcieli jeszcze poprawić sobie samopoczucie gimnastyką. I wzięwszy podręcznik Amorosa * przejrżeli w nim atlas.

Wszyscy ci chłopcy, siedzący w kucki, przewróceni na wznak, stojący, zginający kolana, rozwierający ramiona, podnoszący ciężary, siedzący okrakiem na balach, wdrapujący się na drabiny, fikający kozły na trapezach — taki pokaz siły i zręczności wzbudził w nich zazdrość.

— Bouvard i Pecuchet

3

Jednak zasmuciły ich wspaniałości antycznego gimnasia zsum opisane w przedmowie. Gdyż nigdy nie mogliby sobie pozwolić na przedsionek dla zapaśników, na liipodrom do wyścigów, na basen do pływania ani na „góre chwały”, sztuczne wzgórze wysokości trzydziestu dwóch metrów. Drewniany koziół do wołtyżowania z wypchaniem byłby kosztowny, wyrzekli go się, zwałona w ogrodzie lipa posłużyła im za słup poziomy; i gdy już potrafili przejść po nim od jednego końca do drugiego, żeby mieć pionowy, wkopali z powrotem belkę ze szpalerów do rozpinania drzew owocowych. Pecuchet wdrapał się na samą górę, Bouvard ześlizgiwał się, spadał wciąż, wreszcie zrezygnował.

Więcej mu się podobały „kije ortosometryczne”, to jest dwa kije od szczotki do zamiatania połączone dwoma sznurami, z których pierwszy umieszcza się pod pachami, drugi na przegubach rąk; i całymi godzinami stał z tym przyrządem, podniósłszy w górę brodę, z wypiętą piersią, z łokciami przyciśniętymi do boków.

W braku hantli stelmach obtoczył cztery kawałki jesionu, które przypominały głowy cukru, kończące się szyjką butelki. Stojąc w miejscu należy te maczugi przenosić w powietrzu «prawy» w lewo, na przód i w tył; lecz, zbyt ciężkie, wślizgiwały im się z palców grożąc zmięgnięciem nóg. To nic, ćwiczyli się w tym zaciekle, a nawet obawiając się, żeby nie popękały, co wieczór nacierali je woskiem i sukienną szmatą.

Następnie zaczęli szukać rowów. Gdy znaleźli odpowiedni, opierali w środku rowu długą tyczkę, skakali lewą stopą, dosięgali drugiego brzegu, potem zaczynali na nowo. Wieś leżała na równinie, więc widać ich było z daleka i wieśniacy zachodzili w głowę, co to za dziwne dwa stwory tak skaczą na widnokręgu.

Z nadejściem jesieni wzięli się do gimnastyki pokojowej; znudziła ich. Czemuż nie mieli bujaka, czyli fotela na biegunach wymyślonego za Ludwika XIV przez księdza de Saint-Pierre *? Jak to było zbudowane, gdzie się dowiedzieć? Bumouchei nie raczył im nawet odpowiedzieć.

Wobec tego urządzili sobie w piekarni huśtawkę ramienną. Przez dwa bloki wkręcone w sufit przechodziła

4

linka mająca na każdym końcu drewnianą poprzeczkę. Skoro tylko ujęli je w ręce, jeden odbijał się palcami nóg od podłogi, drugi opuszczał ramiona do ziemi; pierwszy swym ciężarem wciągał drugiego, który zwalniając nieco napięcie sznura wznosił się z kolei; w niecałe pięć minut z obydwóch kapał pot.

Trzymając się przepisów podręcznika, spróbowali włączyć jednakowo obu rękami aż do wyzbycia się prawej ręki, czasowo. Dokonali więcej: Amoros wskazuje wierszyki, które należy śpiewać podczas ćwiczeń, i Bouvard i Pecuchet maszerując powtarzali hymn nr 9: Król, król sprawiedliwy szczęściem jest na ziemi.

Gdy bili się w klatkę piersiową:

Druhowie, berło i chwała itd.

Podczas biegu:

Bywajcie, chybkie stworzenia! Gońmy rączego jelenia! Tak! My zwyciężymy! Pędźmy! Pędźmy! Pędźmy!

I, zdyszani gorzej od psów, podniecali się dźwiękiem własnych głosów.

Do pewnej użyteczności gimnastyki szczególnie się zapalali: do stosowania jej przy pomocy w nagłych wypadkach.

Ale trzeba było mieć dzieci, żeby się nauczyć nosić je w workach, i poprosili kierownika szkoły, by im dostarczył kilkoro. Petit miał zastrzeżenia: rodzice gniewaliby się o to. Musieli kontentować się ratowaniem rannych. Jeden udawał zemdlonego, drugi woził go na taczce, z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

Co się tyczy wdrapywania się na mury w wojsku, autor zaleca drabinę Bois-Rose, tak nazwaną od imienia kapitana, który ongiś po takiej drabinie wdrapał się niespodzianie do Fecamp od strony urwiska.

Według ryciny w książce, zaopatrzyli w pałeczki-szczeble linę i uwiązali ją pod szopą.

Usiadłszy okrakiem na pierwszym kijku i uchwyciwszy się rakami trzeciego, wyrzuca się nogi na zewnątrz, żeby drugi, który przed chwilą był przy piersi, znalazł się akurat pod udami. Człowiek się prostuje,

chwyta za czwarty i tak posuwa się coraz wyżej. Mimo przedziwnego kręcenia biodrami, nie byli w stanie dostać się na drugi szczebel.

Być może łatwiej jest wdrapać się czepiając się kamieni rękami, jak to robili żołnierze Bonapartego przy szturmie na Fort-Chambrey? I żeby umożliwić takie ćwiczenie, Amoros posiada w swym zakładzie basztę.

Zrujnowany mur w ogrodzie mógł ją zastąpić! Spróbowali zdobyć go.

Ale Bouvard, wyciągnąwszy za prędko stopę z jakiejś dziury, zląkł się i dostał zawrotu głowy. Pecuchet winę przypisał ich wadliwej metodzie: zaniedbali wygimnastykowania palców, tak iż muszą wrócić do ćwiczeń podstawowych.

Jego namowy były daremne, więc w swej pysze i zarozumiałości Pecuchet wziął się do szcudeł. Sama natura zdawała się do tego go przeznaczać, gdyż od razu użył największego modelu, gdzie stopnie były na dwa łokcie od ziemi, i utrzymując się na tych oparciach w równowadze, kroczył po ogrodzie podobny do olbrzymiego bociana na przechadzce.

Bouvard ujrzał przez okno, jak Pecuchet zachwiał się i runął jak długi na fasolę, której tyczki łamiąc się osłabiły upadek. Podniesiono go; był powalany ziemią, siny, szła mu krew z nosa i sądził, że z nadmiernego wysiłku mięśni dostał ruptury.

Stanowczo gimnastyka była nieodpowiednia dla ludzi w ich wieku; zarzucili ją, nie śmieli ćwiczyć się z obawy jakiegoś wypadku i po całych dniach siedzieli w muzeum marząc o innych zajęciach.

Ta zmiana przyzwyczajzeń wpłynęła na zdrowie Bouvarda. Zrobił się ociężały, sapał po jedzeniu jak olbro-towiec, chciał schudnąć, jadł mniej i osłabił się.

Pecuchet również czuł się „podkopany”, miał swędzenia skóry i plamy w gardle.

— Niedobrze coś — mówił — niedobrze.

Bouvardowi przyszło do głowy wybrać sobie w oberży kilka butelek wina hiszpańskiego, żeby znowu nabrać energii.

Gdy wychodził stamtąd, kancelista Marescota i trzech ludzi wnosili do Beljambé'a duży orzechowy stół: „Pan” bardzo zań dziękował. Stół sprawiał się doskonale.

Bouvard poznał w ten sposób nową modę stolików wirujących. Kpił sobie na ten temat z kancelisty.

Jednakże w całej Europie, w Ameryce, w Australii i Indiach miliony śmiertelników spędzały życie na wprowadzaniu w ruch stolików i odkrywano sposoby robienia z durniów proroków, dawania koncertów bez instrumentów, korespondowania za pośrednictwem włóczących się po świecie duchów. Prasa, z powagą podając te bujdy publiczności, podtrzymywała jej łatwowierność.

Duchy stukające wylądowały w pałacu Favergesów, stamtąd rozeszły się po wsi i zadawał im pytania przeważnie notariusz.

Urażony sceptycyzmem Bouvarda, zaprosił obu przyjaciół na seans wirujących stolików.

Czy to była zasadzka? Pani Bordin ma tam być. Pecuchet poszedł sam.

Byli tam zebrani mer, poborca podatkowy, kapitan, inne mieszczuchy z małżonkami, pani Vaucorbeil i rzeczywiście pani Bordin; poza tym pewna dawna pomocnica w gospodarstwie pani Marescot, panna Laveriere, osoba nieco zezowata, ze szpakowatymi włosami opadającymi w spiralach według mody z roku. W fotelu sterczał kuzyn z Paryża w niebieskim fraku i z impertynencką miną.

Dwie brązowe lampy, etażerka z osobliwościami, nuty romansów z winietami na fortepianie i malutkie akwarele w ogromnych ramach wywoływały zawsze podziw mieszkańców Chavignolles. Ale tego wieczora oczy kierowały się ku mahoniowemu stołowi. Za chwilę wypróbuje go się; miał urok rzeczy kryjących tajemnicę.

Dwanaście zaproszonych osób obsiadło stół dokoła, wyciągnąwszy ręce stykające się ze sobą małymi palcami. Słyszał tylko tykanie zegara ściennego. Twarze wyrażały głębokie skupienie.

Po dziesięciu minutach kilkoro z obecnych skarżyło się na mrówki w ramionach. Pécuchet czuł się niewyraźnie.

— Pan popycha! — rzekł kapitan do Foureau.

— Niepodobnego!

— Owszem!

7

— Wypraszam sobie, panie!

Notariusz uspokoił ich.

Wytężając wciąż słuch, doznali wreszcie wrażenia, że drzewo stołu trzeszczy. Złudzenie! Nic się nie poruszało.

Niedawno, gdy rodziny Aubert i Lormeau przybyły z Lisieux i gdy wypożyczono umyślnie stół Beljambé'a, wszystko szło tak dobrze! Ale ten stół dzisiaj zawiał się... Dlaczego?

Zapewne przeszkadzał mu dywan i towarzystwo przeszło do jadalni.

Wybrano jako odpowiedni mebel szeroki stolik, przy którym zasiedli Pécuchet, Girbal, pani.

Marescot i jej kuzyn, pan Alfred.

Stolik na kółkach potoczył się w prawo; operatorzy, nie odrywając od siebie palców, poszli za jego ruchem, a on samorzutnie wykonał jeszcze dwie tury. Wywołało to osłupienie.

Wówczas pan Alfred wyrzekł wyraźnie i głośno:

— Duchu, jak ci się podoba moja kuzynka? Stolik, kołysząc się powoli, stuknęła dziewięć razy.

Według karty, gdzie liczba uderzeń tłumaczyła się literami, znaczyło to „czarująca”. Rozległy się brawa.

Potem Marescot dokuczając pani Bordin wezwał ducha, żeby podał dokładnie jej wiek. Noga stolika opadała pięć razy.

— Co? Pięć lat! — zawołał Girbal.

— Dziesiątki się nie liczą — rzekł Foureau.

Wdowa uśmiechem pokryła rozdrażnienie.

Odpowiedzi na inne pytania brak było, tak dalece alfabet był skomplikowany. Lepsza jest ekierka, sposób szybki, którym panna Layeriere sama się posługiwała do notowania w albumie bezpośrednich oświadczeń Ludwika XII, Klemencji Isaure*, Franklina, Jana Jakuba Rousseau itd. Te ekierki sprzedają w Paryżu na ulicy d'Aumale; pan Alfred obiecał przesłać jedną, po czym zwrócił się do pomocnicy pani domu:

— Ale przez kwadransik troszkę muzyki, dobrze? Mazurka!

Zabrzmiały dwa wyrąbane akordy. Objął kuzynkę w pól, zniknął z nią, powrócił. Orzeźwiono się wiaterką, sprawianą przez suknię muskającą w przelocie

8

drzwi. Ona odrzucała w tył głowę, on zaokrąglął ramię, podziwiano jej wdzięk, jego dziarskość, i nie czekając na herbatniki Pécuchet wycofał się oszołomiony tym wieczorem.

Na próżno powtarzał:

—• Ależ ja widziałem! Widziałem!

Bouvard przeczył faktom, niemniej jednak zgodził się osobiście przeprowadzić doświadczenia. Przez dwa tygodnie spędzali popołudnia siedząc naprzeciw siebie z rękami na stole, potem na kapeluszu, na koszyku, na talerzach. Żaden z tych przedmiotów nie poruszył się.

Zjawisko stolików wirujących tym niemniej jest pewne. Pospólstwo przypisuje ten fenomen duchom, Fara-dav* przedłużeniu czynności nerwowej, Cheyreul* nieświadomości wysiłków, a być może, jak przypuszcza Se-gouin*, z połączonej grupy osób wydziela się impuls, • prąd magnetyczny.

Nad tą hipotezą zadłamał się Pécuchet. Wziął w swej bibliotece *Podręcznik magnetyzera* Montacabere'a, przeczytał go ponownie i wtajemniczył Bouvarda w teorię.

Wszystkie ciała żyjące otrzymują i przekazują innym wpływ gwiazd. Cecha analogiczna do właściwości ma-snesu. Kierując tą siłą można leczyć chorych, oto zasa-, da. Wiedza od czasów Mesmera*. rozwinęła się, ale ważne jest zawsze przelać fluid i robić ruchy magnetyzer-skie, które przede wszystkim winny uśpić.

— A wiec uśpij mnie! — rzekł Bouvard.

— Niemożliwe — odparł Pecuchet. — Żeby ulec działaniu magnetycznemu i przekazywać je, niezbędna jest wiara.

Po czym, przyglądając się Bouvardowi:

— Ach, jaka szkoda!

— O co chodzi?

— Tak, gdybyś chciał, mając trochę praktyki, byłbyś niezrównanym magnetyzerem!

Gdyż posiadał on wszystko, czego potrzeba; przede wszystkim — był ujmujący w obejściu, krzepkiej budowy i solidnej moralności.

— Ta właściwość, którą teraz w nim odkryto, pochlebiła Bouvardowi. Po kryjomu zatopił się w Montacaberze.

109

Potem, że Gerwazowa miała szum w uszach, który ją oszalał, rzekł pewnego wieczora tonem niedbałym:

— A gdyby tak spróbować magnetyzmu?

Nie odmówiła. Usiadł przed Gerwazowa, wziął oba jej kciuki w swe dłonie i patrzył na nią uporczywie, jak gdyby nic innego nie robił przez całe życie.

Babina, z grząką pod piętami, stopniowo zgięła szyję, oczy jej się zamknęły i powolutku zaczęła chrapać. Po godzinie wpatrywania się w nią przez obydwóch, Pecuchet rzekł cicho:

— Co czujecie? Obudziła się.

Później niewątpliwie zda sobie sprawę z tego, co czuła.

Ten sukces ośmielił ich i z całą pewnością siebie powracając do uprawiania medycyny leczyli Chamberla-na, kościelnego, na jego bóle międzybrowe, Migraines, murarza, cierpiącego na nerwicę żołądka; starą Yarin, której nowotwór rdzeniowy pod obojczykiem rosł wyżerał płaty mięśni; podagryka Lemoine, szwendającego się koło szynków, gruźlika, połowicznego paralytyka, wielu innych. Leczyli również katary i odmrożenia.

Po zbadaniu choroby porozumiewali się wzrokiem, jakie ruchy magnetyzerskie zastosować, czy powinny być szybkie, czy powolne, czy mają być wznoszące się, czy opadające, długościowe, poprzeczne, dwupalcowe, trzy-palcowe lub nawet pięciopalcowe. Gdy jeden się zmęczył, drugi go zastępował. Potem, wróciwszy do domu, notowali swe obserwacje w dzienniku leczenia. Ich pełne namaszczenia zachowanie się przyciągało ludzi. Pacjenci woleli jednak Bouvarda i jego rozgłos dotarł aż do Falaise, kiedy wyleczył Barbejkę, córkę starego Barbeya, byłego kapitana dalekich rejsów.

Czuła ona jakby gwóźdź w potylicy, mówiła głosem chrapliwym, często po kilka dni nie przyjmowała pokarmów, po czym pożerała gips lub węgiel. Jej ataki nerwowe zaczynające się od łkań kończyły się strumieniem łez; stosowano wszelkie środki, od naparów z ziół do przypieczek, tak iż zrezygnowana zgodziła się na propozycję Bouvarda.

Po wyprawieniu służącej i zaryglowaniu drzwi zaczął

0

jej nacierać podbrzusze przyciskając miejsca jajników. Uczucie błogości ujawniło się westchnieniami i ziewaniem. Położył jej palec między brwiami u nasady nosa; raptem stała się bezwładna. Jeżeli podnoszono jej ramiona, opadały; głowa zachowywała takie położenie, jakie chciał jej nadać; przymknięte powieki, drgając ruchem kurczowym, pozwalały dostrzec gałki oczne wywracające się powoli, potem znieruchomiały konwulsyjnie w kątach oczodołów.

Bouvard zapytał jej, czy cierpi; odpowiedziała, że nie; czego doznaje teraz — widzi wnętrze swego ciała.

— Co pani tam widzi?

— Robaka.

— Co trzeba zrobić, żeby go zabić? Zmarszczyła czoło:

— Szukam... Nie mogę, nie mogę.

Na drugim seansie sama przepisała sobie odwar z pokrzywy; na trzecim z kociego ziela. Ataki zmniejszyły się, zniknęły. To był doprawdy jakby cud.

Naciskanie palcem nosa nie powiodło się z innymi pacjentami i żeby sprowadzić sen hipnotyczny zaprojektowali zbudowanie cebrzyka mesmerycznego. Już Pe-cuchet przygotował nawet opiłki i wymyśl ze dwadzieścia butelek, gdy zatrzymał go pewien skrupuł. Wśród chorych będą osoby odmiennej płci.

— A co zrobimy, jeżeli dostaną napadu szału erotycznego?

To nie powstrzymałoby Bouvarda; ale z racji plotek i być może, szantażu lepiej było nie próbować. Zadowolili się szklaną harmonijką i nosili ją ze sobą do domów, ku uciechu dzieci. Tego dnia, gdy Migraine czuł się gorzej, uciekli się dc* tego przyrzędu. Krystaliczne dźwięki rozdrażniły go; ale Deleuze* nakazuje nie przejmować się skargami; muzyka trwała dalej.

— Dosyć! Dosyć! — krzyczał.

— Trochę cierpliwości! — powtarzał Bouvard.

Pecuchet uderzał szybciej w szklane płytki i instrument wibrował, a biedny człowiek wył, gdy zjawił się lekarz zwabiony hałasem:

— Co, jeszcze wy? — zawołał, wściekły, że zastaje ich zawsze u swych pacjentów.

1

Wy tłumaczyli mu swój środek magnetyczny. Wówczas zaczął piorunować na magnetyzm, kupę kuglarstw, których skutki wynikają z imaginacji.

Jednakże magnetyzuje się zwierzęta, Montacabere to potwierdza, i Fontaine zdołał zamagnetyzować lwice. Oni nie mieli lwicy, ale przypadek podsunął im inne zwierzę.

Gdyż nazajutrz o szóstej rano przyszedł fornał powiedzieć, że wzywają ich na folwark do krowy w stanik beznadziejnym.

Pobiegli tam.

• Jabłonie były w kwiecie i trawa na podwórzu dymiła we wschodzącym słońcu. Na brzegu sadzawki, na wpół przykryta płachtą, ryczała krowa dygocząca pod kubłami wody, które na nią lano, i wzdęta okropnie, przypominała hipopotama.

Niezawodnie „struła się” v; koniczynie. Oboje Gouy'-owie byli w rozpaczy, gdyż weterynarz nie mógł przybyć, a stelmach znający się na zamawianiach wzdęcia nie chciał się fatygować, ale wielmożni panowie, których biblioteka była sławna na całą okolicę, muszą znać jakiś stosób. Zakasawszy rękawy umieścili się jeden przed rogami, drugi przy zadzie i z wielkimi wewnętrznymi wysiłkami i szaloną gestykulacją rozwierali palce, by rozlać po zwierzęciu strumienie fluidu, podczas czego dzierżawca, jego żona, ich parobek i sąsiedzi patrzyli na nich prawie z przerażeniem.

Bulgoty, które było słycać w brzuchu krowy, wywoływały burczenie w głębi wnętrzości.

Wypuściła wiatr. Pecuchet rzekł wówczas:

— To drzwi otwarte dla nadziei, może odkorkowa-nie.

Odkorkowanie dokonało się, nadzieja trysnęła w żółtej masie wybuchającej z siłą pocisku. Skóra skurczyła się. krowa otęchła; w godzinę potem nie było śladu wzdęcia.

Na pewno to nie był skutek imaginacji. A więc fluid zawiera pewną właściwość szczególną.

Pozwala się ona zamknąć w przedmiotach, do których sięgnie się po nią i znajdzie się ją nieosłabioną. Taka możliwość oszczędza ruszania się z domu. Przyjęli ten sposób leczenia i po-

2

syłali swym pacjentom namagnetyzowane liczmany, chustki do nosa, namagnetyzowaną wodę, namagnety-zowany chleb.

Potem, prowadząc dalej swe studia, zarzucili ruchy magnetyzerskie dla systemu Puysegura*, zastępującego magnetyzera starym drzewem, którego pień owija się sznurem.

Grusza w ich okólniku zdawała się specjalnie w tym celu stworzona. Przygotowali ją, wielokrotnie ściskając mocno ramionami. Pod drzewem ustawiono ławę. Ich pacjenci siadali tam rzędem i uzyskano tak wspaniałe rezultaty, że Bouvard i Pecuchet, by pogrążyć Vaucor-beila, zaprosili go na jeden seans wraz z miejscowymi notablami.

Nie zabrakło ani jednego.

Gerwazowa przyjęła ich w saloniku prosząc, „by zechcieli wybaczyć”, jej panowie niebawem przyjdą.

Od czasu do czasu słycać było dzwonek. To byli chorzy, których wprowadzała gdzie indziej.

Goście trącąc się łokciami pokazywali sobie zakurzone okna, plamy na lamperii, łuszczącą się farbę; i ogród wyglądał żałośnie. Pełno uschłych drzew! Duże żerdzie, przed wyłomem w murze, zagradzały wejście do sadu.

Zjawił się Pecuchet.

— Do usług panów!

I ujrzano w głębi pod gruszą kilka siedzących osób.

Charnberlan, wygolony jak ksiądz, w krótkiej sutannie z lastingu i w skórzanej kalotce na głowie, poddawał się dreszczom wywołanym jego bólem międzybrowym; Migraine, wciąż cierpiący na żołądek, wykrzywił się obok niego; stara Varin, by ukryć swój nowotwór, nosiła szal kilka razy owinięty; Lemoine, z bosymi nogami w znoszonych trzewikach, trzymał swe kule pod kolanami, a Barbejka, w sukni odświętnej, była niezwykle blada.

Z drugiej strony drzewa zobaczono jeszcze inne osoby: kobieta o wyglądzie albinoski wycierała ropiejące gruczoły na szyi; twarz małej dziewczynki do połowy zasłaniały niebieskie okulary; starzec, któremu porażenie zniekształcało kręgosłup, potrzącał mimowolnymi ruchami Marcellego, półdiotę w obszarpanej bluzie i połatanych portkach. Jego zajęcza wargą, źle zeszyta, odsła-

niała siekacze, a gałgany opatulały mu policzek rozdęty przez ogromną fluksję.

Każdy trzymał w ręce sznurek zwisający z drzewa i śpiewały ptaki; woń ostygłej murawy unosiła się w powietrzu. Słońce przeglądało przez gałęzie. Szło się po mchu.

Tymczasem pacjenci, zamiast spać, wytrzeszczali oczy.

— Dotychczas to nie jest zabawne — rzekł Fou-reau. — Zaczynajcie, panowie, ja na chwilę odejdę.

I wrócił pałac w Abd-el-Kaderze, ostatnim szczątku bramy z fajkami.

Pecuchet przypomniał sobie wyborny sposób magne-tyzowania. Kolejno wsadzał sobie w usta wszystkie nosy chorych i wdychał ich oddech, żeby przyciągać do siebie elektryczność, a jednocześnie Bcuyard trzymał w uścisku drzewo w celu wzmocnienia fluidu.

Murarz przerwał swą czkawkę, kościelny był spokojniejszy, człowiek porażony już się nie ruszał. Można było teraz podejść do nich, poddać ich wszelkim próbom.

Lekarz wziął swój lancet i ukłuł nim pod uchem Chamberlana; ten drgnął lekko. Czucie w nich było oczywiste; podagryk wrzasnął. Co do Barbejki, uśmiechała się jak we śnie i pasemko krwi ciekło jej pod szczęką. Foureau, by wypróbować sam, chciał wziąć do ręki lancet, a że doktor się temu sprzeciwił, mocno chorą uszczypał. Kapitan łaskotał jej nozdrza piórkami, poborca podatków chciał wbić jej szpilkę pod skórę.

— Niechże ją pan zostawi w spokoju — rzekł Vau-corbeil. — Nic szczególnego w gruncie rzeczy! Histe-ryczka! Sam diabeł nic tu nie wskóra!

— Ta — rzekł Pecuchet wskazując Wiktorie, kobietę skrofuliczną — jest lekarzem! Rozpoznaje dolegliwości

• j wskazuje lekarstwa.

Langlois palił się do tego, żeby jej się poradzić na swój niezyt; nie śmiał; ale Coulon, odważniejszy, prosił o coś na reumatyzm.

Pecuchet włożył jego prawą dłoń w lewą dłoń Wiktorii i lunatyczka, wciąż z zamkniętymi oczami, z lekko zaróżowionymi policzkami, z drżącymi wargami, zaczęła od bredzenia, a skończyła zaordynowaniem *valum becum*.

4

Służyła ona w Bayeux u aptekarza. Vaucorbeil wywnioskował z tego, że chciała powiedzieć *album grae-cum* *, słowo zauważone, być może, w aptece.

Potem podszedł do Lemoine'a, który według Bouvarda widział przedmioty poprzez ciała nieprzezroczyście.

Był to dawny nauczyciel wykolejony przez pijaństwo. Siwe włosy rozsypywały mu się dokoła twarzy i oparty plecami o drzewo, trzymając ręce dłońmi na zewnątrz, spał majestatycznie w pełnym słońcu.

Lekarz założył mu na oczy podwójną opaskę i Bou-vard trzymając przed jego twarzą gazetę rzekł rozkazująco:

— Proszę czytać!

Tamten schylił czoło, poruszył mięśniami twarzy, potem odrzucił w tył głowę i wreszcie wy sylabizował:

— „Cons-ti-tu-tion-nel” *

— Przy pewnej wprawie każdą opaskę można zsunąć!

Te zaprzeczenia lekarza oburzały Pecucheta. Zagalopował się tak daleko, że twierdził, iż Barbejka mogła opisać, co działo się w tej chwili w jego własnym domu.

— Dobrze — odparł doktor. I wyciągnąwszy zegarek:

— Czym zajmuje się teraz moja żona? Barbejka długo się namyślała; potem, zła:

— Hm! Co? A! już wiem! Przyszywa wstążki do słomkowego kapelusza.

Vaucorbeil wyrwał kartkę z notesu i napisał kilka słów, które kancelista Marescota natychmiast zaniósł.

Seans był skończony. Chorzy poszli sobie.

Bouvardowi i Pecuchetowi właściwie pokazywać nie powiódł się. Należało to przypisać temperaturze czy też zapachowi tytoniu, lub parasolowi księdza Jeufroy o prętach z mosiądzu, metalu hamującego emanację fluidu.

Vaucorbeil wzruszył ramionami.

Jednakże nie mógł kwestionować dobrej wiary takich mistrzów jak: Deleuze, Bertrand *, Morin *, Jules Cło-quet *. Otóż twierdzą oni, że somnambulicy przewidzieli pewne wydarzenia, znieśli bez bólu ciężkie operacje.

Ksiądz opowiedział historie jeszcze bardziej zdumiewające. Pewien misjonarz widział braminów *, jak prze-

5 /'''^•!pi''''''~

byli jakąś drogą idąc do góry nogami; Wielki Lama * w Tybecie przebija sobie jelita, żeby głosić wyrocznie.

— Ksiądz sobie żarty stroi? — rzekł lekarz.

— Bynajmniej!

— No, no! Co za kawały!

I że sprawa zesła z właściwego toru, każdy popisywał się anegdotami.

— Ja — rzekł sklepikarz —• miałem psa, który zawsze był chory, gdy miesiąc rozpoczynał się w piątek.

— Nas było czternaścioro dzieci — odezwał się sędzia pokoju. — Urodziłem się czternastego, mój ślub był czternastego i dzień moich imienin przypada czternastego. Proszę mi to wytłumaczyć.

Beljambe'owi nieraz śniła się liczba podróżnych, których będzie miał nazajutrz w swej oberży, a Petit opowiedział o kolacji Cazotte'a*.

Proboszcz wystąpił wówczas z taką refleksją:

— Dlaczego nie widzieć w tym po prostu...

— Diabelskiej sprawy, czyż nie tak? — rzekł Vau-corbeil.

Ksiądz, zamiast odpowiedzieć, skinął potakująco głową. Marescot wspomniął o Pytii delfickiej.

— Nie ma żadnej wątpliwości, miazmaty.

— A! Teraz miazmaty.

— Co do mnie, dopuszczam działanie fluidu — rzekł Bouvard.

— Nerwowo-gwiazdowego — dorzucił Pecuchet.

— Ale dowiedźcie go! Pokażcie go! Wasz fluid! Zresztą, fluidy już wyszły z mody, wierzcie mi.

Vaucorbeil poszedł dalej, gdzie był cień. Mieszczuchy ruszyli za nim.

— Jeżeli mówicie dziecku: „Jestem wilkiem, pożrę cię”, ono sobie wyobraża, że jesteście wilkiem i boi się; jest to więc urojenie wywołane słowami. Tak samo osobnik pogrążony w śnie hipnotycznym przyjmuje fantazje, jakie chce się mu narzucić. On przypomina sobie i nic nie wymyśla, jest zawsze posłuszny; gdy sądzi, że myśli, doznaje tylko wrażeń. Tą drogą sugeruje się zbrodnie, ludzie szlachetni mogą zachować się jak dzikie bestie i stać się niechcący

ludożercami.

Popatrzano na Bouvarda i Pecucheta. Ich wiedza niosła w sobie niebezpieczeństwo społeczne. Kancelista Marescota zjawiał się z powrotem w ogrodzie wymachując listem od pani Vaucorbeil. Doktor odpieczętował go, zbladł i wreszcie przeczytał te słowa:

Przyszywam wstążki do słomkowego kapelusza.

Ośłupienie nie pozwoliło śmiać się.

— Zbieg okoliczności, dalibóg. To niczego nie dowodzi.

A że dwaj magnetyzerzy mieli miny triumfujące, odwrócił się przy bramie, by im powiedzieć:

— Rzućcie to! To są igraszki niebezpieczne! Proboszcz zabierając swego kościelnego zgromił go ostro.

— Czyś ty oszalał! Bez mego pozwolenia. Machinacje zabronione przez Kościół.

Wszyscy się rozeszli; Bouvard i Pecuchet rozmawiali w altanie na kopcu z nauczycielem, gdy raptem Marceli wyłonił się z sadu z rozwiązanym opatrunkiem twarzy i belkotał:

— Wyleczony! Wyleczony! Dobrzy panowie!

— Dosyć! Dostyć! Zostaw nas w spokoju!

— Ach! Dobrzy panowie, kocham was! Sługa! Petit, człowiek postępowy, uznał tłumaczenie lekarza za płaskie, mieszczańskie. Wiedza jest monopolem w rękach bogaczy. Wyłącza lud: czas już, żeby stara analiza średniowieczna ustąpiła przed szeroką, impulsywną syntezą. Prawdę należy zdobywać sercem; i oświadczając, że jest spirytystą, wskazał szereg prac, które niewątpliwie posiadały wady, lecz były zapowiedzią jutrzeńki.

Sprowadzili je sobie.

Spirytyzm czyni dogmat z ostatecznego osiągnięcia doskonałości przez rodzaj ludzki. Ziemia kiedyś stanie się niebem i dlatego to ta doktryna tak pociągała nauczyciela. Nie będąc katolicką powołuje się na świętego Augustyna i świętego Ludwika. Allan-Kardec * publikuje nawet fragmenty podyktowane przez nich, a są one na poziomie poglądów współczesnych. Jest ona praktyczna, dobroczynna i objawia nani, jak teleskop, górne światy.

Duchy przenoszone są tam po śmierci człowieka, w ekstazie. Niekiedy jednak schodzą na ziemię, gdzie wywołują trzaski w meblach, mieszają się do naszych rozrywek, delektują się pięknem przyrody i sztuki.

Ale niektórzy z nas posiadają rodzaj ryjka zapachowego owadów; jest to długa rurka za czaszką, idąca od włosów aż do planet i pozwalająca nam rozmawiać z duchami Saturna; rzeczy niedotykalne tym niemniej są realne i z ziemi do gwiazd i z powrotem trwa ruch, transmisja, nieustanna wymiana.

Wówczas w sercu Pecucheta wezbrały bezładne pragnienia i kiedy noc zapadła, Bouvard przylapywał go przy oknie wpatzonego w ten przestwór świetlisty, zaludniony przez duchy. Swedenborg* odbył wielkie podróże w te regiony, gdyż w niecały rok zbadał Wenerę, Marsa, Saturna i dwadzieścia trzy razy Jowisza. Ponadto widział w Londynie Jezusa Chrystusa, widział świętego Pawła, widział świętego Jona, widział Mojżesza, a w widział nawet sąd ostateczny. Toteż daje nam opisy nieba.

Są tam kwiaty, pałace, rynki i kościoły, absolutnie tak samo jak na ziemi.

Aniołowie, niegdyś ludzie, zapisują swe myśli na kartach papieru, gawędzą o sprawach gospodarskich lub na tematy duchowe, a funkcje kościelne należą do tych, którzy w życiu ziemskim studiowali Pismo święte.

Co się tyczy piekła, jest ono pełne smrodu, są tam lepianki, kupy nieczystości, kałuże i osoby źle ubrane.

I Pecuchet łamał sobie głowę, żeby pojąć, co jest pięknego w tych rewelacjach. Bouvardowi wydały się one bredzeniem durnia. Wszystko to przekracza granice natury! Ale któż je zna? I dzielili się takimi refleksjami:

Kuglarze mogą otumanić tłum. Człowiek o gwałtownych namiętnościach poruszy nimi innych; ale w jaki sposób sama wola będzie działać na bezwładną materię? Pewien Bawar, powiadają, przyspiesza dojrzewanie winogron; Gervais* przywrócił świeżość zwiędłemu helio-tropowi; ktoś

jeszcze silniejszy, w Tuluzie, rozpędza chmury.

8

Czy należy dopuścić istnienie substancji, znajdującej się między światem a nami? Od *, nowe ciało nieważkie, rodzaj energii elektrycznej, być może, nie jest niczym innym? Jego emisje tłumaczą światło, które magnety-zowani sądzą, że widzą, tłumaczą błędne ognie na cmentarzach, kształt ?jaw.

Te obrazy nie byłyby więc złudą i nadzwyczajne właściwości opętanych, podobne do właściwości lunatyków, miałyby przyczynę fizyczną?

Jakiegokolwiek byłoby jej pochodzenie, jest jakaś istota rzeczy, czynnik tajemniczy i wszechobecny. Gdybyśmy mogli nim władać, niepotrzebna byłaby nam siła, trwanie. To, co wymaga wieków, rozwinęłoby się w jednej chwili; każdy cud byłby wykonalny i wszechświat byłby do naszej dyspozycji.

Magia zrodziła się z tego odwiecznego pragnienia ducha ludzkiego. Niewątpliwie, wartość jej oceniono przesadnie, ale nie jest ona kłamstwem. Ludzie Wschodu, którzy ją znają, wykonywują rzeczy niesłychane. Wszyscy podróżnicy to oświadczają, w Palais-Royal pan Dupotet*, zbliżając do busoli palec, porusza w niej igłę magnesową.

Jak zostać magikiem! Ta myśl wydała im się z początku szalona, ale powróciła, dręczyła ich i ulegli jej, choć wciąż udawali, że się z tego śmieją.

Pewien przygotowawczy tryb życia jest niezbędny.

Żeby dojść do stanu egzaltacji, żyli nocą, pościli, a chcąc zrobić z Gerwazowej subtelnie j sze medium, racjonowali jej posiłki. Odbijała sobie to ograniczenie jedzenia na trunkach i piła tyle wódki, że w krótkim czasie rozpiła się na dobre. Ich spacer po korytarzu budziły ją. Odgłos ich kroków zlewał jej się z szumem w uszach i urojonymi głosami, które słyszała, jak wychodziły ze ścian. Pewnego ranka, gdy zaniosta do piwnicy cedzidło, zlekła się widząc na nim płomienie, od tej pory gorzej się czuła i doszło do tego, że wierzyła, . iż Bouvard i Pecuchet urzekli ją.

W nadziei osiągnięcia ta drogą wizji, ściskali sobie nawzajem karki, porobili sobie woreczki z belladoną *, wreszcie zaczęli używać puszek magicznej: pudełeczka, z którego wystaje grzybek najeżony gwoździami i które trzyma się na sercu za pomocą wstążki przewiązanej na piersiach. Nic się nie udało; ale mogli jeszcze zastosować krąg Dupoteta.

Pecuchet nagryzł węglem na ziemi czarne koło, aby w nim zamknąć duchy zwierzęce, którym miały pomagać duchy krążące w pobliżu, i rad, że panuje nad Bouvardem, rzekł doń tonem uroczystym:

— Wzywani do przekroczenia go!

Bouvard wpatrzył się w to okrągłe miejsce. Niebawem serce mu zabiło, ćmiło się w oczach.

— Ach! Kończmy!

I przeskoczył przez krąg uciekając przed uczuciem dziwnego niepokoju.

Pecuchetowi, wpadającemu w coraz większą egzaltację, zachciało się wywołać ducha zmarłego.

Za Dyrektoriatu * pewien człowiek, na ulicy de l'Echi-quier, pokazywał ofiary Terroru. Przykłady zjawiania się upiórów są niezliczone. Cóż z tego, że to jest zjawia! Idzie o to, żeby ją wywołać.

Im bliższy nam jest zmarły, tym łatwiej przybywa na nasze wezwanie; ale Pecuchet nie miał żadnej relikwi .rodzinnej ani pierścionka, ani miniatury, nawet jednego włosa, tymczasem Bouvard był w warunkach sprzyjających wywołaniu ducha ojca; a że okazywał odrazę do .tego, Pecuchet zapytał:

— Czego się lękasz?

— Ja? O! Ani trochę! Rób, co chcesz! , Przekupili Chamberlana i kościelny dostarczył im po kryjomu starą trupa czaszkę. Krawiec uszył im dwie czarne opończe z kapturem jak przy habicie. Furgon .pocztowy z Falaise przywiózł im długi, opakowany rulon. Potem wzięli się do dzieła, jeden ciekaw, co z tego wyjdzie, drugi bojąc się w to uwierzyć.

Muzeum obwieszono kirem. Trzy świece paliły się na brzegu stołu przysuniętego do ściany pod portret ojca Bouvarda. Nad portretem umieścili trupa głowę. Wsadzili nawet świeczkę wewnątrz czaszki i promienie wychodziły przez oczodoły.

Pośród pokoju, na grzejce, dymiło kadzidło. Bouvard trzymał się z tyłu, a Pecuchet, obrócony do niego plecami, rzucał do paleniska kominka garści siarki.

Przed wezwaniem zmarłego trzeba mieć zezwolenie demonów. Otóż było to w piątek, dzień należący do Beszeta: należało zająć się przede wszystkim Beszetem, Bouvard, złożywszy pokłon na prawo i na lewo, opuścił podbródek, podniósł ramiona i zaczął:

— W imię Ethaniela, Anazina, Ischyrosa... Resztę zapomniał.

Pecuchet szybko odpowiedział słowa zanotowane na kartce:

— Ischyrosa, Athanatosa, Adonai, S.adai, Eloy, Mes-siasosa (litania była długa) zaklinam cię, śledzę cię, rozkazuję ci, Beszecie!

Po czym, zniżając głos:

— Gdzie jesteś, Beszecie? Beszet! Beszet! Beszet! Bouvard osunął się na fotel i był bardzo rad, że nie

widzi Beszeta, gdyż instynkt wyrzucał mu jego próbę jako świętokradztwo. Gdzie była dusza jego ojca? Czy mogła go usłyszeć? A jeżeli raptem zjawi się?

Firanki poruszały się powoli od wiatru wchodzącego przez pękniętą szybę, a świece kolebały cieniami na trupiej czaszce i malowanej twarzy. Ziemisty kolor przyciemniał obydwie. Pleśń zżerała kości policzkowe na portrecie, oczy nie miały już blasku, ale płomień świecił nad nimi w dziurach pustej głowy. Chwilami zdawała się zajmować miejsce tamtej, spoczywać na kołnierzu surduta, mieć jej bokobrody; a płótno, na wół oderwane od ramy, chwiało się, drgało.

Po jakimś czasie poczuli jakby muśnięcie czyjś oddechu, zbliżenie się jakiejś nieuchwytniej istoty. Krople potu zwilżyły czoło Pecucheta i oto Bouvard *zaczał* dzwonić zębami, kurcz ścisnął mu podbrzusze; podłoga jak fala uciekała mu spod nóg: dym z siarki płonącej na kominku opadł gęstymi kłębami; zaczęły krążyć nietoperze; rozległ się krzyk; co to było?

Twarze pod kapturami mieli tak zmienione, że to wzmagало ich strach i nie śmieli zrobić żadnego gestu, nawet odezwać się. gdy za 'drzwiami usłyszeli jęki jakby pokutującej duszy.

Wreszcie odważyli się.

Była to ich stara służąca, która, szpiegując ich przez szparę w przepierzeniu, sądziła, że ujrzała diabła, i klęcząc na korytarzu żegnała się co chwila.

Wszelkie przemawianie jej do rozsądku było daremne.

2

Odeszła od nich tego samego wieczora, nie chcąc dłużej służyć u takich ludzi.

Gerwazowa rozpaplała całe wydarzenie, Chamberlan stracił miejsce i utworzyła się przeciw nim głucha koalicja podtrzymywana przez księdza Jeufroy, panią Bordin i Foureau.

Ich sposób życia, nie taki jak innych ludzi, nie podobał się. Stali się osobnikami podejrzanymi, a nawet wzbudzali jakiś niejasny strach.

Zwłaszcza pograżył ich w opinii współobywateli wybór służącego. Z braku innego wzięli Marcelego.

Zajęcza wargą, odrażający wygląd i szwargot odsuwały ludzi od jego osoby. Był podrzutkiem, wyrósł tułając się po polach i pozostało mu z jego długiej poniewierki ciągle nienasycenie. Mięso bydła padłych na jakąś chorobę, zjełczała słonina, przejechany pies, wszystko mu było dobre, byle porcja była duża; był łagodny jak baranek, ale niesłuchanie głupi.

Wdzięczność popchnęła go do zgłoszenia się na służbę u panów Bouvarda i Pecucheta; poza tym uważając ich za czarowników spodziewał się nadzwyczajnych zarobków.

Zaraz w pierwszych dniach powierzył im pewną tajemnicę. Na wrzosowisku w Poligny ongi jakiś człowiek znalazł sztabkę złota. O tym wydarzeniu wspominają kronikarze Falaise; lecz nie znali dalszych szczegółów: dwunastu braci przed udaniem się w podróż schowało dwanaście takich sztabek wzdłuż drogi od Chayignolles ,do Bretteville i Marceli błagał swych panów, żeby rozpoczęli poszukiwania. Te sztabki — mówili sobie — zostały pewnie zakopane przed samym wyruszeniem w drogę.

Był to wypadek, w którym należało zastosować różdżkę czarodziejską. Jej skuteczność jest wątpliwa. Jednakże przestudowali tę sprawę i dowiedzieli się, że niejaki Piotr Garnier podaje w jej obronie argumenty naukowe: źródła i metale mają wydzielać atomy spowinowaczone z drzewem.

Jest to mało prawdopodobne. Jednak, kto wie? Spróbujmy!

Wycięli sobie widełki z leszczyny i pewnego ranka wyruszyli na poszukiwanie skarbu.

2

— Trzeba będzie go oddać — rzekł Bouvard.

— O! Co to, to nie!

Po trzech godzinach marszu zatrzymała ich pewna refleksja: droga z Chavignolles do Bretteville! Ale dawna czy nowa?

To musi być dawna!

Zawrócili i przeszukali okolice, na chybił trafił, bo trasę dawnej drogi niełatwo było rozpoznać. Marceli biegł w prawo i w lewo niczym wyżeł na polowaniu. Co pięć minut Bouvard musiał go przywoływać; Pecuchet posuwał się krok na krokiem, trzymając różdżkę za widelki, szpicem do góry. Często zdawało mu się, że jakaś siła, jakby kluba, ciągnęła ją ku ziemi, i Marceli szybko robił nacięcia na sąsiednich drzewach, żeby odnaleźć to miejsce później.

Pecuchet jednak szedł coraz wolniej. Usta mu się rozwarły, źrenice zwężyły. Bouvard zawołał nań, potrząsnął go za ramiona; nie poruszył się i był bezwładny, zupełnie tak jak Barbejka. Potem opowiedział, że uczył wokół serca rodzaj^rozdarcia, dziwny stan, pochodzący niezawodnie od różdżki, i nie chciał jej więcej dotykać.

Nazajutrz powrócili do miejsc, gdzie były zrobione znaki na drzewach. Marceli kopał rydłem doły; poszukiwania nie dawały żadnego wyniku i za każdym razem byli bardzo zakłopotani. Pecuchet siadł na brzegu rowu; gdy marzył z podniesioną głową, usiłując usłyszeć głosy duchów swym rykiem zapachowym i zadając sobie pytanie, czy go posiada, wlepił wzrok w daszek swej czapki; ekstaza poprzedniego dnia powtórzyła się.

Trwała długo, stawała się niepokojąca.

Ponad owsami, na ścieżce, ukazał się filcowy kapelusz: to pan Vaucorbeil jechał trucheikiem na swej klaczy. Bouvard i Marceli przywołali go.

Gdy nadszedł lekarz, atak miał się ku końcowi. Żeby lepiej zbadać Pecucheta, podniósł mu kaszkiet i widząc czoło pokryte plamami miedzianego koloru, zawołał:

— Ha! Ha! *Fructus belli* *! Tp jest wysypka syfilitycz-na, jegomościu! Lecz się pan, do diabła! Nie igrajmy z miłością.

Pecuchet, zawstydzony, włożył kaszkiet z powrotem,

2

rodzaj beretu fałdującego się na daszku w kształcie półksiężyca, którego model wziął z atlasu Amorosa.

Słowa doktora wprawiły go w osłupienie. Myślał o nich patrząc w przestrzeń i raptem przyszedł do siebie.

Vaucorbeil obserwował go, po czym prztykiem zrzucił mu kaszkiet.

Pecuchet odzyskał władze umysłowe.

— Domyśliłem się tego — rzekł — Lakierowany daszek hipnotyzuje pana jak lustro i to zjawisko nie jest rzadkie u osób wpatrujących się w błyszczący przedmiot ze zbytnim natężeniem. Wskazał, w jaki sposób robić to doświadczenie na kt-rach, dosiadł swego konika i zniknął powoli. O pół mili dalej zauważyli na widnokręgu piramidalny przedmiot stojący na podwórzu fermy. Można by rzec, grono czarnych winogron potwornych rozmiarów, upstrzone tu i ówdzie czerwonymi punktami.

Był to, zwyczajem normandzkim. wysoki słup z poprzeczkami, gdzie siedziały indyczki puszące się na słońcu.

— Wejdźmy!

1 Pecuchet zwrócił się do fermera, który zgodził się na ich prośbę.

Narysowali hiszpańską kredą linię pośrodku tłoczni, związali nogi indyczce, po czym położyli ją na brzuchu, dziobem na tej kresie. Ptak zamknął oczy i niebawem wydał się martwy. To samo stało się z innymi. Bouvard podawał je żywo Pecuchetowi, który je układał na boku, skoro tylko były zdrętwiałe. Mieszkańcy fermy zaniepokoiili się. Gospodyni zaczęła krzyczeć, mała dziewczynka płakała.

Bouvard rozwiązał wszystkie drób. Indyczki przychodziły do siebie stopniowo, ale następstwa tego doświadczenia nie były wiadome. Na jakąś nieco szorstką odpowiedź Pecucheta fermer

chwycił za widły.

— Precz stąd, do jasnej cholery! Bo przebiję kałdun! Wzięli nogi za pas.

Mniejsza z tym! Problem był rozstrzygnięty; ekstaza zależy od przyczyny materialnej.

A więc cóż to jest materiał? Cóż to jest duch? Skąd bierze się wzajemny wpływ jednego na drugie?

2

Żeby zdać sobie z tego sprawę, poszukali odpowiedzi u Woltera, u Bessueta, u Fenelona, a nawet wznowili abonament w czytelni.

Dawni mnistrze byli niedostępni wskutek długości dzieł lub trudności idiomu, ale Jouffroy i Damiron * wtajemniczyli ich w filozofię nowożytną, a Bouvard i Pecuchet mieli u siebie autorów, traktujących o filozofii ubiegłego wieku.

Bouvard czerpał swe argumenty z dzieł de Lamet-trle *, Locke'a, Helvetiusa. — Pecuchet z Cousina *, Tomasza Reida i Gerando *. Pierwszy przywiązywał wagę do doświadczenia, teoria była wszystkim dla drugiego. Było coś z Arystotelesa w Bouvardzie, z Platona w Pecuchecie, i dyskutowali ze sobą.

— Dusza jest niematerialna! — mówił jeden.

— Nic podobnego! — mówił drugi. — Obłąd, chloroform, upływ krwi wywołują w niej głębokie wstrząsy, a skoro nie myśli zawsze, nie jest substancją, która tylko myśli.

— Jednakże — zaoponował Pecuchet — mam w sobie coś wyższego od mojego ciała i to coś niekiedy przeczy mu.

— Istota w istocie? *Homo duplecc* *! Daj spokój! Różne dążności ujawniają sprzeczne pobudki. To wszystko.

— Ale to coś, ta dusza pozostaje taka sama pod zewnętrznymi zmianami. Przeto jest prosta, niepodzielna, a więc duchowa!

— Gdyby dusza była prosta — zareplikował Bouvard — noworodek przypominałby sobie, wyobrażał jak dorosły. Myśl, przeciwnie, idzie drogą rozwoju mózgu. Co do istoty niepodzielnej, zapach róży lub apetyt wilka nie dzieli się na dwoje, tak samo jak chcenie lub stwierdzenie.

— To niczego nie dowodzi! — rzekł Pecuchet — dusza jest wolna od cech materii.

— Uznajesz siłę ciężenia? — odparł Bouvard. — Otóż jeżeli materia może spadać, może również myśleć. Ponieważ miała początek, dusza nasza musi mieć i koniec, i będąc zależna od organów, zniknąć wraz z nimi.

— Ja twierdze, że jest nieśmiertelna! Bóg nie może chcieć, żeby...

— Lecz jeżeli Bóg nie istnieje?

2

— Jak to?

I Pecuchet wyrecytował trzy dowody kartezjańskie:

— Po pierwsze, Bóg zawarty jest w pojęciu, jakie o nim mamy; po drugie, istnienie jego jest możliwe; po trzecie, jako istota skończona, w jaki sposób miałbym pojęcie nieskończoności? A skoro mamy to pojęcie, mamy je od Boga, więc Bóg istnieje!

Przeszedł do świadectwa sumienia, do tradycji ludów, do potrzeby stwórcy.

— Gdy widzę zegar...

— Tak! Tak! Znane porównanie! Tylko gdzie jest ojciec zegarmistrza?

Wszelako potrzebna jest przyczyna! Bouvard nie wierzył w przyczyny.

— Z tego, że zjawisko następuje po zjawisku, wnioskuje się, że od niego pochodzi. Proszę tego dowieść.

— Przecie widok wszechświata wskazuje na istnienie pewnej intencji, pewnego planu!

— Dlaczego? Zło jest zorganizowane w równie doskonały sposób jak dobro. Robak, rozwijający się w głowie owcy i powodujący jej śmierć, jako organizm znaczący tyleż co sama owca.

Potworności przewyższają funkcje normalne. Ciało ludzkie mogło być lepiej zbudowane.

Kula ziemiska w trzech czwartych jest bezpłodna. Księżyc, ten świecznik, nie zawsze się

pokazuje! Czy sądzisz, że ocean jest przeznaczony do krążenia po nim okrętów, a drewno drzew

— do ogrzewania naszych domów?

Pecuchet odpowiedział:

— A jednak żołądek jest stworzony do trawienia, noga do chodzenia, oko do widzenia, mimo że mamy niestrawności, złamania i katarakty. Nie ma urządzeń bez celu! Skutki następują zaraz lub później. Wszystkim rządzą prawa. A więc są przyczyny finalne.

Bouvard wyobraził sobie, że być może Spinoza * dostarczy mu argumentów, i napisał do Dumouchela w sprawie wystarania się o przekład Saisseta*.

Dumouchel posłał mu egzemplarz należący do jego przyjaciela, profesora Yarelof. wygnanego z kraju w związku z wypadkami z drugiego grudnia.

Etyka przeraziła ich swymi aksjomatami, korolaria-

2

mi*. Przeczytali tylko miejsca zaznaczone ołówkiem i dowiedzieli się, że:

„Substancją jest to, co jest samo z siebie, przez siebie, bez przyczyny, bez początku. Ta substancja jest Bogiem.

On tylko jest rozciągłością, a rozciągłość nie ma granic. Czym go ograniczyć?

Ale choć jest nieskończony, nie jest nieskończonością absolutną, gdyż zawiera w sobie tylko jeden rodzaj doskonałości, absolut zaś zawiera wszystkie jej rodzaje.”

Często zatrzymywali się, żeby się lepiej zastanowić. Pecuchet wciągał niuchy tabaki, a Bouvard był czerwony z napięcia uwagi.

— Czy ciebie to bawi?

— Tak! Naturalnie! Rznij dalej!

„Bóg rozwija się w nieskończoność atrybutów, które wyrażają, każdy na swój sposób, nieskończoność Jego istoty. My znamy tylko dwa z nich: rozciągłość i myśl.

Z myśli i z rozciągłości wypływają niezliczone modusy, które zawierają w sobie inne modusy.

Ten, kto by ogarnął jednocześnie całą rozciągłość i całą myśl, nie ujrzałby tam żadnej przypadkowości, lecz geometryczny ciąg przyczyn połączonych ze sobą koniecznymi prawami.”

— Ach! To byłoby piękne! — rzekł Pecuchet. „Więc nie ma wolności u człowieka ani u Boga.”

— Rozumiesz! — zawołał Bouvard.

„Gdyby Bóg miał jakąś wole, jakiś cel, gdyby działał dla jakiegoś celu, znaczyłoby to, że ma jakąś potrzebą, że brak mu jakiejś doskonałości. Nie byłby Bogiem.

Tak oto nasz świat jest tylko punktem w całości rzeczy, a wszechświat, nieprzenikalny dla naszego poznania, tylko częścią nieskończoności wszechświatów wysyłających z siebie obok naszego niezliczone modyfikacje. Rozciągłość ogarnia nasz wszechświat, lecz sama jest ogarnięta przez Boga, który zawiera w swej myśli wszystkie możliwe wszechświaty, a sama jego myśl jest ogarnięta jego substancją.”

Wydawało im się, że są w balonie, w mroźną noc, porwani pędem bez końca ku jakiejś otchłani bez dna, i nie mają nic dokoła siebie prócz tego, co nieuchwytnie, nieruchome, wiekuiste. Nie wytrzymywali tego. Zrezygnowali ze Spinozy.

2

I pragnąc czegoś mniej surowego, kupili sobie *Kurs filozofii do użytku szkolnego* Guesniera.

Autor zastanawia się, która metoda będzie metodą właściwą — ontologiczna czy psychologiczna*?

Pierwsza była odpowiednia dla epoki niemowlęstwa społeczeństw, gdy człowiek kierował swą uwagę na świat zewnętrzny. Ale teraz, gdy wchodzi w siebie, „uważamy drugą metodę za bardziej naukową”, i Bouvard i Pecuchet zdecydowali się na nią.

Celem psychologii jest badać fakty odbywające się „w naszym ja”; wykrywa się je obserwując.

— Obserwujmy!

I przez dwa tygodnie, zazwyczaj po śniadaniu, szukali tych faktów w swej świadomości, na chybił trafił, spodziewając się porobić tam wielkie odkrycia, i nie zrobili żadnego, co ich bardzo zdziwiło.

Pewne zjawisko zajmuje to j a. mianowicie wyobrażenie. Jakiego ono jest rodzaju?

Przypuszczano, że przedmioty odbijają się w mózgu, a mózg posyła te obrazy naszemu umysłowi, który daje nam ich świadomość.

Ale jeżeli wyobrażenie jest charakteru duchowego, w jaki sposób przedstawić materię? Stąd sceptycyzm co do postrzeżeń zewnętrznych. Jeżeli jest materialne, przedmioty duchowe nie będą przedstawiane? Stąd sceptycyzm co do pojęć wewnętrznych.

Zresztą, strzeżmy się! Ta hipoteza doprowadziłaby nas do ateizmu.

Skoro obraz jest rzeczą skończoną, nie może on przedstawiać nieskończoności.

— Jednakże — zastrzegał się Bouvard — kiedy myślę o jakimś lesie, o jakiejś osobie, o jakimś psie, widzę las, tę osobę, tego psa. Więc wyobrażenia przedstawiają je.

I wzięli się do źródeł wyobrażeń.

Według Locke'a * są dwa źródła, wrażenie i refleksja, a Condillac * sprowadza wszystko do wrażenia.

Ale w takim razie refleksja nie będzie miała podstawy. Potrzebuje ona podmiotu czującej istoty i jest niezdolna do dostarczenia nam wielkich prawd podstawowych jak: Bóg, zasługa i wina, sprawiedliwość, piękno itp.. pojęć nazywanych wrodzonymi, to jest wcześniejszymi od faktów, od doświadczenia, i powszechnych.

— Gdyby one były powszechne, mielibyśmy je w sobie od urodzenia.

— Chcą przez to słowo powiedzieć, że mamy w sobie dyspozycje do przyjmowania tych pojęć, i Descartes...

— Twój Descartes nie może z tego wybrnąć! Bo twierdzi, że płód w łonie matki je posiada, a przyznaje w innym miejscu, że posiada je tylko jako możliwość ich posiadania.

Pecuchet był zdumiony.

— Gdzie to się znajduje?

— W pracach Gerando!

I Bouvard klepnął go po brzuchu.

— Przestań! — rzekł Pecuchet.

Po czym przechodząc do Condillaca:

— Nasze myśli nie są przemianami wrażenia! Ono je wywołuje, wprowadza w grę. Żeby je wprowadzić w grę, potrzeba do tego motoru. Gdyż materia, sama przez się, nie może wywołać ruchu... I znalazłem to w twoim Wolterze — dodał Pecuchet, nisko się kłaniając przyjacielowi. Wałkowali w ten sposób te same argumenty, każdy z nich lekceważąc opinię drugiego, a nie przekonując go o słuszności własnej.

Ale filozofia podnosiła ich we własnych oczach. Przypominali sobie z politowaniem swe zajmowanie się rolnictwem, polityką.

Teraz muzeum mierziło ich. Najchętniej sprzedaliby nagromadzone tam okazy. Przeszli więc do rozdziału drugiego podręcznika filozofii: o władzach duszy.

Jest ich trzy, nie więcej: czucie, poznawanie, chcenie,

We władzy czucia odróżniamy wrażliwość fizyczną od wrażliwości moralnej.

Wrażenia fizyczne dzielą się oczywiście na pięć gatunków, jako wywołane przez organy zmysłów¹.

Fakty z zakresu wrażliwości moralnej, przeciwnie, nic nie zawdzięczają ciału. „Co jest wspólnego między radością Archimedesza, znajdującego prawa ciężenia, a niechlujną rozkoszą Apiciusa*, pożerającego łeb dzika!”

Ta wrażliwość moralna ma cztery rodzaje i jej drugi rodzaj, „pragnienia moralne”, dzieli się na pięć gatunków, zaś zjawiska czwartego rodzaju, „uczucie”, dzieli się na dwa inne gatunki, wśród nich miłość własna, „dyspozycja godziwa, niewątpliwie, lecz która, gdy stanie się przesadna, przybiera miano egoizmu”.

We władzy poznawania znajduje się postrzeganie pojęciowe, gdzie znajdujemy dwa typy zasadnicze i cztery stopnie.

Abstrakcja może następczą szkopyły umysłem dziwacznym.

Pamięć każe komunikować się z przeszłością jak przewidywanie z przyszłością.

Wyobrażenia jest raczej władzą szczególną, *sui generis*.

Tyle kramu dla dowodzenia banałów, pedantyczny ton autora, monotonia zwrotów: „Jesteśmy gotowi uznać to”, „Jesteśmy dalecy od myśli”, „Zapytajmy naszej świadomości”, wieczne

wychwalanie Dugald-Ste-warta*, wreszcie całe to gadulstwo wzbudziło w nich taki wstręt, że przeskakując władzę chcenia weszli w logikę.

Nauczyła ich ona, co to jest analiza, synteza, indukcja, dedukcja i główne przyczyny naszych błędów.

Prawie wszystkie pochodzą ze złego użycia słów.

„Słońce zachodzi”, „niebo się chmurzy”, „zima się zbliża” — wyrażenia wadliwe, nasuwające myśli o istotach osobowych, gdy tymczasem idzie tylko o wydarzenia bardzo proste!

„Przypominam sobie taki a taki przedmiot, taki a taki pewnik, taką a taką prawdę” — złudzenie! To pojęcia, a bynajmniej nie rzeczy, pozostają w moim ja, i ścisłość językowa każe powiedzieć:

„Przypominam sobie taki a taki akt mego umysłu, przez który poznałem ten przedmiot, przez który wydedukowa-łem ten pewnik, przez który przyjąłem tę prawdę.”

Ponieważ wyraz oznaczający pewne wydarzenie nie obejmuje go w całości, starali się używać tylko słów oderwanych, tak iż zamiast powiedzieć: „Przejdźmy się trochę”, „pora zjeść obiad”, „mam kolkę”, mówili: „Przechadzka byłaby zbawienna”, „oto czas wchłaniania pokarmów”, „czuję potrzebę uwolnienia się od ciężaru”.

Gdy już opanowali logikę, zrobili przegląd różnych sprawdzianów, przede wszystkim sprawdzianu zdrowego rozumu.

'2

Jeżeli jednostka nie może nic wiedzieć, czemu wszystkie jednostki miałyby wiedzieć więcej?

Błąd, choćby liczył sobie sto tysięcy lat, dlatego tylko, że jest stary, nie stanowi prawdy! Tłum niezmiennie idzie drogą rutyny. Przeciwnie, mała liczba przewodzi postępowi.

Czy nie lepiej polegać na świadectwie zmysłów? *Zawodzą* one niekiedy i zawsze informują tylko o pozorach. Istota rzeczy wymyka im się.

Rozum daje więcej rękojmi, gdyż jest niezmienny i nieosobowy; ale żeby działać, musi się wcielić. Wówczas rozum staje się moim rozumem i reguła niewiele znaczy, jeżeli jest błędna. A nie można udowodnić, że inna jest słuszna.

Zaleca się kontrolować ją zmysłami; ale mogą one zgęścić mroki. Z mętnego wrażenia zostanie wyprowadzone mylne prawo, które później przeszkodzi w jasnym widzeniu rzeczy.

Pozostaje moralność. To jest sprowadzenie Boga na poziom użyteczności, jak gdyby nasze potrzeby były miarą absolutu!

Co do oczywistości, do której jedni odnoszą się negatywnie, a inni pozytywnie, jest ona sama dla siebie sprawdzianem. Dowiódł tego Cousin.

— Nie widzę już nic więcej prócz objawienia — rzekł Bouvard. — Ale żeby w nie wierzyć, trzeba dopuścić dwa uprzednie sposoby poznania: zmysłami, które odczuwają, rozumem, który pojmuje; dopuścić zmysły i rozum, świadectwa ludzkie przeto niepewne.

Pecuchet zastanowił się, skrzyżował na piersiach ramiona.

— Lecz w ten sposób runiemy w przerażającą otchłań sceptycyzmu.

Przerażała ona, zdaniem Bouvarda, tylko ubogie mózgi.

— Dziękuję za komplement — odparł Pecuchet. — Jednakże są fakty bezsprzeczne. Można osiągnąć prawdę w pewnych granicach.

— W jakich? Czy dwa i dwa jest zawsze cztery? Czy zawartość jest pod pewnym względem mniejsza od tego, co ją zawiera? Co ma znaczyć coś, co nie jest jeszcze pełną prawdą, ułamek Boga, część rzeczy niepodzielnej?

— Ach! Jesteś tylko sofistą*!

2

I Pecuchet zirytowany dąsał się przez trzy dni.

Zużyli je na przeglądanie spisu *rzeczy* wielu tomów. Bouvard uśmiechał się od czasu do czasu i nawiązywał rozmowę:

— Trudno jest nie wątpić. Na przykład, co do Boga, dowody Kartezjusza, Kanta i Leibniza* nie są jednakowe i wzajemnie się obalają. Powstanie świata z atomów czy stworzenie go przez ducha pozostaje czymś nie do pojęcia.

Czuję się wraz materią i myślą, chociaż nie wiem, co jest jedno i drugie:

Nieprzenikalność, trwałość, ciężkość wydają mi się tajemnicami, zarówno jak moja dusza, tym

bardziej związek duszy z ciałem.

Żeby go wytłumaczyć, Leibniz wymyślił harmonię, Malebranche * oddziaływanie Boga na świat stworzony, Cudworth * pośrednika, a Bossuet widzi w tym nieustanny cud, co jest bzdurą: nieustanny cud nie byłby już cudem.

•— Istotnie! — rzekł Pecuchet.

I obaj przyznali się, że zmęczeni ich filozofowie. Tyle systemów wprowadza zamęt w głowie. Metafizyka nie służy do niczego. Można żyć bez niej.

Zresztą ich kłopoty pieniężne zwiększały się. Byli winni Beljambé'owi za trzy baryłki wina, Langlois za dwanaście kilogramów cukru, sto dwadzieścia franków krawcowi, sześćdziesiąt szewcowi. Wydatki szły bez przerwy, a farmer Gouy nie płacił.

Udali się do Marescota, żeby im znalazł pieniądze bądź przez sprzedaż Ecalles, bądź przez pożyczkę na hipotekę ich fermy, albo sprzedanie ich domu, przy czym nabywca płaciłby im rentę dożywotnią, a oni zachowaliby prawo użytkowania. Transakcja niepraktykowana, powiedział Marescot, ale nastęcza się lepszy interes, o którym będą powiadomieni.

Następnie pomyśleli o swym biednym ogrodzie. Bouvard podjął się obcięcie zbędnych gałęzi w szpalerze grabowym, Pecuchet przystrzyżenia drzew owocowych rozpiętych na szpalerach.

Marceli miał przekopać klomby.

Po kwadransie zatrzymali się, jeden zamknął swój nóż ogrodowy, drugi położył nożyce, i zaczęli powoli

2

spacerować: Bouvard w cieniu lip, bez kamizelki, z wypiętą piersią i nagimi ramionami; Pecuchet wzdłuż muru, z pochyloną głową, z rękami z tyłu, obróciwszy dla ostrożności daszek kaszkietu na kark; i szli tak równolegle, nawet nie widząc Marceliego, który odpoczywając na progu chatki, jadł kawałek chleba.

W tej medytacji wyłaniały się myśli; podchodzili do siebie bojąc się, że je zgubią; metafizyka powracała.

Powracała z powodu deszczu i słońca, kamyka w trzewiku, kwiatu na trawniku, z byle jakiego powodu.

Patrząc, jak pali się świeca, zadawali sobie pytanie, czy światło jest w przedmiocie, czy w naszym oku. Skoro gwiazdy mogły być zniknąć, zanim ich blask do nas doszedł, podziwiamy, być może, rzeczy nie istniejące.

Znalazłszy w kieszonce kamizelki pałeczkę od bólu głowy rozkruszyli ją na wodzie i kamfora kręciła się.

Oto ruch w materii! Wyższy stopień ruchu sprowadziłby życie.

Ale gdyby materia w ruchu wystarczała do stwarzania istot, nie byłyby one tak rozmaite. Gdyż nie było na początku ani łądów, ani wód, ani ludzi, ani roślin. Cóż to więc jest owa materia pierwotna, której nigdy nie widziano, która nie jest żadną z rzeczy świata, a która je wszystkie wytworzyła.

Czasami potrzebowali jakiejś książki. Dumouchel, zmęczony usługiwaniem im, przestał odpowiadać na listy, a oni roznamiętniali się jakąś kwestią, głównie Pecuchet.

Jego potrzeba prawdy stawała się namiętnym pragnieniem.

Przejęty tym, co mówił Bouvard, porzucił spirytualizm, niebawem powracał doń, żeby znów go się wyrzec, i wołał chwytając się za głowę:

— Och! Wątpienie! Wątpienie! Wołałbym nicość!

Bouvard dostrzegał braki materializmu, usiłował jednak trzymać go się, oświadczając zresztą, że traci od tego głowę.

Rozpoczynali rozumowania na mocnej podstawie; podstawa waliła się i raptem myśl zniknęła, jak odlatuje mucha, gdy chce ją schwytać.

W zimowe wieczory rozmawiali w muzeum, przy kominie, patrząc na węgle. Od wiatru, świszczącego w korytarzu, drżały szyby, czarne masy drzew kołysały się i smutek nocy wzmacniał powagę ich myśli.

Bouvard od czasu do czasu szedł do końca pokoju, po czym wracał. Lichtarze i pawie na ścianach

rzucały na podłogę ukośne cienie, a święty Piotr, widziany z profilu, kładł na suficie sylwetkę swego nosa podobnego do rogu myśliwskiego potwornych rozmiarów. Z trudem można było poruszać się między eksponatami i nieraz Boiward przez nieuwagę uderzał się o posąg. Jego wybałuszone oczy, opadająca gruba dolna warga i mina pijaka przeszkadzały również Pecuche-towi. Od dawna chcieli się go pozbyć, lecz przez opieszałość odkładali to z dnia na dzień.

Pewnego wieczora, w czasie dysputy na temat mo-nady, Bouvard uderzył się w ucho o kciuk świętego Piotra i zwracając przeciw niemu swe rozdrażnienie zawołał:

— Uprzykrzył mi się ten facet: wyrzucimy go na dwór!

Trudno to było zrobić przez schody. Otworzyli okno i łagodnie przechylili figurę na parapet. Pecuchet na klęczkach próbował unieść jej pięty, podczas gdy Bou-ward napierał na jej barki. Kamienny jegomość nie poruszył się; musieli uciec się do halabardy jako lewara i wreszcie udało im się położyć go równo. Wówczas za-kołysawszy się runął w próżnię, tiarą naprzód, rozległ się głuchy łoskot i nazajutrz znaleźli go, rozbitego w kawałki w dawnym dole na kompost.

W godzinę potem wszedł notariusz przynosząc im dobrą wiadomość. Jedna z osób miejscowych dałaby tysiąc talarów na hipotekę ich fermy; a gdy się zaczęli cieszyć, przerwał:

— Przepraszam! Stawia pewien warunek: sprzedacie jej, panowie, Ecalles za 00 franków.

Pożyczka zostanie wplacona dziś jeszcze. Pieniądze są u mnie w kancelarii.

Obaj mieli ochotę zgodzić się. Bouvard wreszcie odpowiedział:

— No cóż... niech i tak będzie!

— Trzymam za słowo! — rzekł Marescot.

4

I powiedział im nazwisko tej osoby; była nią pani Bordin.

— Domyślałem się! — zawołał Pecuchet. Bouvard upokorzony milczał.

Ona czy kto inny, co to miało za znaczenie, skoro główną rzeczą było wydobyć się z kłopotów. Po podjęciu pożyczki (pieniądze za Ecalles dostaną później) popłacili natychmiast wszystkie rachunki i wracali do domu, gdy na zakręcie przy halach targowych zatrzymał ich Gouy.

Szedł do nich z wieścią o nieszczęściu. Wicher przewrócił ubiegłej nocy dwadzieścia jabłoni, obalił gorzelnię, zerwał dach ze stodoły. Resztę popołudnia spędzili ria stwierdzaniu szkód, a następny dzień z cieślą, murarzem i dekarzem. Reparacje wyniosą 00 franków co najmniej.

Wieczorem znowu zjawił się Gouy. Marianna dopiero co powiedziała mu o sprzedaży Ecalles. Działka o wspaniałej wydajności, bardzo mu odpowiadająca, która prawie nie potrzebowała uprawy, najlepszy kawałek z całej fermy sprzedany! Zażądał zmniejszenia tenuty dzierżawnej. Wielmożni panowie odmówili, sprawę poddano prywatnemu orzeczeniu sędziego pokoju i ten wypowiedział się na korzyść dzierżawcy. Wskutek straty Ecalles, oceniając akr na 00 franków, miał rocznie o 70 franków mniej dochodu i w sądzie wygrałby z pewnością.

Ich' majątek skurczył się. Co robić? I niebawem z czego żyć?

Siedli obaj do stołu w wielkim zniechęceniu. Marceli nie miał żadnego pojęcia o gotowaniu; jego obiad tym razem przeszedł wszystko, co dotąd spitrasiał. Zupa była podobna do pomyj, królik śmierdział, fasola była nie-dogotowana, talerze brudne, i przy deserze Bouvard wybuchnął grożąc, że mu to v/szystko rozbije na łbie.

— Bądźmy filozofami — rzekł Pecuchet. — Trochę mniej pieniędzy, intrygi kobiety, niezręczność służącego, cóż to wszystko znaczy? Jesteś zbyt pogrążony w materii.

—• Ale jeśli mi ona dokucza — rzekł Bouvard.

— Ja tam nie dopuszczani do tego! •— odparł Pecuchet.

Bouvard i Pecuchet

5

Przeczytał ostatnio analizę Berkeleya * i dodał:

— Przeczę istnieniu rozciągłości, czasu, przestrzeni, ba! nawet substancji! gdyż prawdziwą substancją jest umysł postrzegający właściwości.

— Doskonale — rzekł Bouvard — lecz po odrzuceniu świata zabraknie dowodów istnienia Boga. Pecuchet zaprotestował i długo krzyczał, choć miał katar wywołany używaniem jodku

potasowego, a stałe podniesienie temperatury przyczyniało się do jego egzaltacji. Zaniepokojony tym Bouvard sprowadził lekarza.

Vaucorbeil zapisał syrop pomarańczowy z jodkiem, a na później kąpiele z siarczkiem rtęci.

— Po co? — odezwał się Pecuchet. —• Któregoś dnia forma odpadnie. Istota nie ginie!

— Niewątpliwie — rzekł lekarz — materia jest niezniszczalna! Jednakże...

— Ależ nie! Ależ nie! Niezniszczalny jest tylko duch. To ciało, które jest przede mną, pańskie ciało, doktorze, nie pozwala mi poznać pańskiej osoby, jest, że tak powiem, tylko szatą lub raczej maską.

Vaucorbeil pomyślał sobie, że pacjent zwariował:

— Dobranoc! Niech pan leczy swoją maskę! Pecuchet nie zaprzestał swych dociekań. Wystarał się

o wstęp do filozofii hegeliańskiej * i chciał wyłożyć ją Bouvardowi.

— Wszystko, co jest racjonalne, jest realne. Nawet tylko idea jest realna. Prawa umysłu są prawami wszechświata, rozum ludzki jest taki sam jak rozum Boga.

Bouvard udawał, że rozumie.

— Więc absolut jest to wraz podmiot i przedmiot, jedność, w której jednoczy się cała wielorakość. W ten sposób znikają sprzeczności. Cień zezwala na światło, chłód zmieszany z ciepłem wytwarza temperaturę, organizm utrzymuje się przy życiu tylko kosztem zniszczenia innego organizmu, wszędzie zasada, która dzieli, zasada, która łączy.

Byli w altance na kopcu i proboszcz przechodził drogą wzdłuż sztachet, z brewiarzem w ręce. Pecuchet poprosił go, żeby do nich wstąpił, chcąc do-

6

kończyć wobec niego wyjaśniania Hegla i zobaczyć, co też on na to powie.

Kapłan siadł przy nich i Pecuchet poruszył temat chrystianizmu.

Żadna religia nie ustaliła równie dobrze tej prawdy: „Przyroda jest tylko chwilowym stanem idei!”

— Chwilowym stanem idei! — mruknął proboszcz osłupiały.

— No tak! Bóg przybierając widzialną powłokę dowiódł swej spójności z nią.

— Z przyrodą? O! O!

—• Swym zgonem dał świadectwo istocie śmierci; a więc śmierć była w nim, stanowi część Boga. Duchowny zmarszczył czoło.

— Bez bluźnierstw! Zniósł męki dla zbawienia rodzaju ludzkiego.

— Błąd! Bierze się pod uwagę śmierć w życiu jednostki, gdzie jest ona bez wątpienia złem, ale odnośnie do *rzeczy* to wygląda inaczej. Niech ksiądz nie oddziela ducha od materii!

— Jednakże, proszę pana, przed stworzeniem...

— Nie było stworzenia. Śmierć istniała zawsze. W przeciwnym razie byłoby to coś nowego, dodanego do myśli boskiej, co jest absurdem.

Ksiądz wstał, rniął do załatwienia różnych spraw.

— Pochlebiam sobie, że go w kozi róg zapędziłem! — rzekł Pecuchet.— Jeszcze słówko! Skoro istnienie świata jest tylko ustawicznym przejściem od życia do śmierci i od śmierci do życia, wbrew mniemaniu, że wszystko jest, nie ma nic. Ale wszystko się staje, rozumiesz?

— Owszem! Rozumiem lub raczej nie! Idealizm, koniec końców, rozjątrzał Bouvarda.

— Mam go dosyć; sławetne cogito * nudzi mnie. Bierze się pojęcia rzeczy za same rzeczy.

Tłumaczy się to, co się rozumie bardzo słabo, za pomocą słów, których się wcale nie rozumie.

Substancja, rozciągłość, siła, materia i dusza. Same abstrakcje, twory wyobraźni. Co do Boga, nie podobna wiedzieć, jaki jest i czy w ogóle jest! Ongiś powodował wiatr, piorun, zaburzenia atmosfery. Teraz zmniejsza się. Zresztą, nie widzę zeń pożytku.

— A moralność w tym wszystkim?

— Ha! Trudno!

7

B I

S

— Istotnie, brak jej podstawy — rzekł do siebie Pe-

cuchet.

I milczał wpędzony w ślepią uliczkę, następstwo przesłanek przez samego siebie postawionych. To była niespodzianka miazdząca.

Bouvard nie wierzył już nawet w materię.

Pewność, że nic nie istnieje (choć tak opłakana), niemniej jest pewnością. Mało ludzi potrafi ją mieć. Ta wyższość napelniła ich dumą i radzi byli popisać się nią; okazja się nadarzyła.

Pewnego ranka idąc po tytoń ujrzeni zbiegowisko przed sklepem Langlois. Ludzie otaczali dyliżans pocztowy z Falaise i była mowa o Touache'u, galerniku włóczącym się po okolicy.

Konduktor spotkał go w Croix-Verte między dwoma żandarmami i mieszkańcy Cha-yignolles wydali westchnienie ulgi.

Girbal i kapitan zostali na placu; potem przybył sędzia pokoju ciekaw informacji i pan Marescot w aksamitnej czapeczce i pantoflach z baraniej skóry.

Langlois poprosił ich, żeby zaszczyteli swą obecnością jego sklep. Będzie im tam wygodniej; i pomimo ruchu klientów i hałasu dzwonnika przy drzwiach, wielmożni panowie w dalszym ciągu dyskutowali o przestępstwach Touache'a.

— Boże drogi! — rzekł Bouvard — miał złe instynkty, to wszystko!

— Pokonywa się je cnotą — zareplikował notariusz.

— Ale jeśli się nie ma cnoty?

I Bouvard bezwzględnie zaprzeczył istnieniu wolnej woli.

— Jednak — rzekł kapitan — mogę robić, co chcę! Wolno mi, na przykład, ruszać nogą.

— Nie, panie, gdyż ma pan powód, żeby nią ruszać! Kapitan szukał odpowiedzi, nie znalazł jej.

Ale Girbal

wypuścił taką strzałę:

— Republikanin powstający przeciw wolności! To zabawne!

— Śmieszna historia! — rzekł Langlois. Bouvard zwrócił się wprost do niego:

— Jak to się dzieje, że pan nie rozdaje swego majątku biednym?

8

Kupiec kolonialny przesunął niespokojny wzrok po całym swoim sklepie.

— Też! Nie ma głupich! Zachowuję go dla siebie!

— Gdyby pan był świętym Wincentym a Paulo, postępowałby pan inaczej, ponieważ miałby pan jego charakter. Jest pan posłuszny swemu charakterowi! A więc nie jest pan wolny!

— To są tylko kruczki — chórem odpowiedzieli zebrani.

Bouvard ani drgnął i wskazał wagę na ladzie:

— Będzie nieruchoma, dopóki czegoś nie położymy na szali. To samo jest z wolą: i wahanie się wagi między dwoma ciężarami, które wydają się równe, wyobraża pracę naszego umysłu, gdy zastanawia się nad motywami, aż do chwili kiedy silniejszy weźmie górę i wywoła decyzję.

— Wszystko to — rzekł Girbal — nie ma nic wspólnego z Touache'em i nie przeszkadza mu być drabem występny aż miło.

Pścuchet zabrał głos:

— Występki są właściwościami natury, jak powódzie, burze.

Notariusz zatrzymał go i podnosząc się przy każdym słowie na palcach, wyrecytował:

— Uważam pański system za kompletnie amoralny. Toruje on drogę wszelkiemu rozprzężeniu, usprawiedliwia zbrodnie, uniewinnia winnych.

— Tak jest — rzekł Bouvard. — Nieszczęśnik, który idzie za głosem swych pożądań, jest w swoim prawie jak uczciwy człowiek, który słucha rozumu.

••• Niech pan nie broni potworów!

— Dlaczego potworów? Gdy rodzi się ślepiec, idiota, zabójca, to wydaje nam się czymś nie w porządku, jak gdyby porządek był nam znany, jak gdyby natura działała w jakimś celu!

— W takim razie kwestionuje pan Opatrzność?

— Tak, kwestionuję ją.

— Niech panowie lepiej spojrzą na dzieje! — zawołał Pecuchet. — Przypomnijcie sobie morderstwa królów, rzezie ludów, waśnie w rodzinach, zmartwienia jednostek.

— A jednocześnie — dodał Bouvard, gdyż wzajemnie

9

się podniecali — ta Opatrzność troszczy się o ptaszki i sprawia, że rakom odrastają stracone łapy. Ach! Jeżeli przez Opatrzność rozumie pan prawo, które reguluje wszystko, proszę bardzo, i to *zarazi*

— Wszelako, panie — rzekł notariusz — są zasady!

— Co mi pan tu będzie gadał! Wiedza, według Con-dillaca jest tym lepsza, im mniej ich potrzebuje! Zasady tylko streszczają nabyte wiadomości i odsyłają nas do tych pojęć, które właśnie są sporne.

— Czyście, tak jak my — ciągnął Pecuchet — zbadali, zrewidowali arkana metafizyki?

— To prawda, panowie, to prawda! I towarzystwo się rozeszło.

Ale Coulon, odciągając ich na stronę, powiedział im ojcowskim tonem, że nie jest bigotem, bez wątplenia, a nawet nie znosi jezuitów. Jednakże nie posuwa się tak daleko jak oni! O nie! Z pewnością; i na rogu placu przeszli przed kapitanem, który zapalał wygasłą fajkę mrucząc:

— A jednak ja robię to, co chcę, do jasnej cholery! Bouvard i Pecuchet wygłosili przy innych okazjach

swe okropne paradoksy. Podawali w wątpliwość prawość mężczyzn, czystość kobiet, inteligencję rządu, zdrowy rozum ludu, słowem, podkopywali fundamenty ładu społecznego.

Foureau, zaniepokojony tym, zagroził im więzieniem, jeżeli będą dalej prowadzić tego rodzaju rozmowy.

Oczywistość ich umysłowej wyższości obrażała. Skoro bronili tez niemoralnych, musieli być sami niemoralni; zostały wymyślone oszczerstwa.

Wówczas rozwinęła się w ich umysłach nieszczęsna właściwość: widzieli głupotę i nie mogli już jej znosić.

Rzeczy nieważne zasmucały ich: reklamy w dziennikach, profil jakiegoś mieszczaucha, głupia uwaga przypadkiem usłyszana.

Myśląc o tym, co mówią w ich wsi, i że nawet u antypodów są tacy Coulonowie, tacy Marescotowie, tacy Foureau, czuli na sobie jakby ciężar całej Ziemi.

Nie wychodzili już z domu, nie przyjmowali nikogo.

Pewnego popołudnia wywiązał się ostry dialog w podwórzu między Marcelim a jakimś panem w kapeluszu z szerokim rondem i w czarnych okularach. Był to aka-

0

demłk Larsonneur. Zauważył on uchyloną firankę, zamykanie drzwi. Jego wizyta była próbą pogodzenia się i odszedł wściekły, polecając służącemu powiedzieć swym panom, że uważa ich za chamów.

Bouvard i Pecuchet wcale się tym nie przejęli. Świat miał dla nich coraz mniejsze znaczenie; widzieli go jak przez mgłę, opadła im z mózgow na oczy.

Czyż nie jest to zresztą złudzenie, zły sen? Być może, razem wzięwszy, powodzenia i niepowodzenia równoważą się. Ale dobro gatunku nie pociesza jednostki.

•— I co mnie obchodzą inni! — mówił Pecuchet.

Jego rozpacz trapiła Bouvarda. To on doprowadził przyjaciela do takiego stanu, a opłakany wygląd domu podsycił ich zmartwienie codzienną irytacją.

Żeby wrócić do równowagi, przemawiali sobie wzajemnie do rozumu, wyznaczali prace i rychło wpadali w jeszcze większe lenistwo, w głębokie zniechęcenie.

Po skończonych posiłkach siedzieli z łokciami na stole, jęcząc z grobową miną. Marceli wytrzeszczał oczy i wracał do kuchni, gdzie obżerał się w samotności.

W połowie lata otrzymali drukowane zawiadomienie o ślubie Dumouchela z wdową, panią Olimpią-Zulmą Poulet.

— Niech Bóg ma go w swej opiece!

I przypomnieli sobie czasy, gdy byli szczęśliwi.

Dlaczego nie chodzili już za żeńcami? Gdzie podziały się te dni, kiedy wchodzili do domów na folwarkach szukając wszędzie starożytności? Nic teraz nie przywróciłoby tych godzin tak miłych,

które wypełniały zajęcia w destylarni lub literatura. Byli od nich oddzieleni przepaścią. Nad', szło coś nieodwołalnego.

Chcieli, jak niegdyś, zrobić duży spacer w pola, poszli bardzo daleko, zblądzili. Białe obłoczki-baranki kędzierzawiły się na niebie, wiatr kołysał dzwoneczkami owsa, szemrał strumyk wzdłuż łąki, gdy raptem zatrzymał ich smród i ujrzeni na kamieniach między cierniami padlinę psa.

Cztery kończyny były wyschnięte. Wykrzywiony pysk odsłaniał pod sinymi, obwisłymi wargami kły barwy kości słoniowej, na miejscu brzucha była ziemistego koloru kupa, która zdawała się żywa, tyle w niej roilo się robactwa. Ruszało się w słońcu pod rojem brzęczących

2

much w tej nieznośnej woni, woni okrutnej i jakby pożerającej.

Bouvard marszczył czoło i lży zwilżyły mu oczy. Pe-cuchet rzekł ze stoicyzmem:

— Pewnego dnia my będziemy tacy!

Przejęła ich myśl o śmierci. Rozmawiali na ten temat powracając.

Ostatecznie, śmierć nie istnieje. Odchodzi się ze świata w rosę, w wietrzyk, w gwiazdy. Stajemy się jakąś cząstką soku drzew, blasku drogich kamieni, upierzenia ptaków. Oddajemy z powrotem Naturze to, co ona nam pożycza, i Nicość, która jest przed nami, nie ma w; sobie nic straszniejszego od Nicości, znajdującej się za nami.

Usiłowali wyobrazić sobie śmierć pod postacią intensywnej nocy, jamy bez dna, nieustającego zemdlenia; byle co lepsze było od tej egzystencji jednostajnej, niedorzecznej i beznadziejnej.

Zrobili przegląd swych nieziszczonych pragnień. Bouvard zawsze marzył o koniach, ekwipażach, starych winach burgundzkich i pięknych a łatwych do zdobycia kobietach we wspaniałych apartamentach. Ambicja Pe-cucheta była wiedza filozoficzna. Otóż najrozleglejszy problem, ten, który zawiera w sobie inne, może być rozwiązany w jednej chwili. Kiedyż ona nadejdzie?

— Najlepiej od razu z tym skończyć.

— Jak chcesz — rzekł Bouvard. I zbadali kwestię samobójstwa.

Co może być złego w zrzuconiu z siebie brzemienia, które człowieka nieznośnie gniecie? W popełnieniu czynu nie szkodzącego nikomu? Gdyby on obrażał Boga. czy mielibyśmy możliwość to zrobić? To bynajmniej nie jest tchórzostwo, choć tak się zwykło mówić, a piękne jest zuchwalstwo szydzenia, nawet na własną szkodę, z tego, co ludzie cenią najwyżej.

Zastanowili się nad rodzajem śmierci.

Trucizna powoduje cierpienie. Żeby sobie poderznąć gardło, na to trzeba wielkiej odwagi. Z zaccadzeniem często się nie udaje.

Wreszcie Pecuchet zaniósł na strych dwie linki od gimnastyki. Potem, uwiązawszy je do tej samej belki w wiązaniu dachowym, porobił pętle i postawił pod nimi dwa krzesła, żeby sięgnąć do sznurów.

2

Ten sposób został postanowiony.

Zadawali sobie pytanie, jakie to zrobi wrażenie w całym okręgu, dokąd pójdzie potem ich biblioteka, papiery, zbiory. Myśl o śmierci sprawiła, że rozczulali się nad sobą. Mimo to nie porzucali swego projektu i rozmawiając wciąż o nim, przywykli doń.

Wieczorem grudnia, między dziesiątą a jedenastą, rozmyślali w muzeum, ubrani różnie. Bouvard miał na sobie bluzę na trykotowej kamizelce; a Pecuchet od trzech miesięcy nie rozstawał się z habitem, dla oszczędności.

Że byli bardzo głodni (Marceli wyszedł o świcie i nie wrócił), Bouvard uznał za higieniczne wypić karafkę wódki, a Pecuchet napić się herbaty.

Podnosząc imbryk rozlał wodę na posadzkę.

— Gapa! — zawołał Bouvard.

Potem uważając, że napar jest kiepski, chciał go wzmocnić dosypując dwie łyżeczki.

— To będzie obrzydliwe — rzekł Pecuchet. •—• Nic podobnego!

I gdy zaczęli ciągnąć, każdy do siebie, puszkę z herbatą, taca spadła na ziemię; jedna filiżanka rozbiła się, ostatnia z pięknego serwisu.

Bouvard zbladł.

— Niszcz dalej! Tłucz! Nie krępuj się!

— Wielkie mi nieszczęście, rzeczywiście!

— Tak! Nieszczęście! Miałem ją po moim ojcu!

— Naturalnym — dodał Pecuchet śmiejąc się szyderczo.

— Aa! Znieważasz mnie!

— Nie, ale ciebie męczę! Widzę to dobrze! Przyznaj się!

I Pecucheta porwał gniew, a raczej szał. Bouvarda również. Krzyczeli obaj razem, jeden rozdrażniony głodem, drugi alkoholem. Z gardła Pecucheta dobywał się już tylko charkot.

— To piekło, podobne życie; wołę śmierć. Żegnaj! Wziął świecę, odwrócił się, trzasnął drzwiami. Bouvard po ciemku z trudem je otworzył, pobiegł za nim, wszedł na strych.

Świeca była na ziemi, a Pecuchet stał na krześle ze sznurem w ręce.

2

Zmysł naśladownictwa poniósł Bouvarda:

— Czekaj na mnie!

I wchodził już na drugie krzesło, gdy raptem zatrzymał się.

— Ale... myśmy nie zrobili testamentu.

— Hm! Rzeczywiście.

Łkania rozpieły im piersi. Stanęli przy okienku w dachu, żeby złapać tchu.

Było zimno i dużo gwiazd błyszczało na niebie czarnym jak atrament.

Biel śniegu pokrywającego ziemię gubiła się we mgłach widnokręgu.

Zauważyli światełka tuż nad ziemią, które rosnąc i przybliżając się szły wszystkie w stronę kościoła.

Ciekawość popchnęła ich tam.

Odprawiano Pasterkę. Te światła pochodziły z latarek pasterzy. Niektórzy w kruchcie otrzepywali płaszcze.

Chrapał serpent *, dymiło kadzidło. Szkiełka rozmieszczone wzdłuż nawy tworzyły trzy wieńce różnobarwnych świateł, a na końcu perspektywy, z dwóch stron tabernakulum, olbrzymie świece woskowe wznosiły czerwone płomienie. Ponad głowami tłumu, kapotkami kobiet i śpiewakami, widać było księdza w złotym ornacie; na jego krzykliwy głos odpowiadały niskie głosy mężczyzn wypełniających chór i drewniane sklepienie drżało na małych łukach z kamienia. Obrazy przedstawiające drogę krzyżową zdobiły ściany. Pośrodku prezbiterium, przed ołtarzem, leżało jagnię z łapkami pod brzuchem, z wyprostowanymi uszami.

Ciepło panujące w kościele wywołało w nich szczególną błogość i myśli ich, niedawno burzliwe, stawały się łagodne jak fale, które się uspokajają. ' Wysłuchali Ewangelii i *Credo*, obserwowali gesty księdza. A starzy i młodzi, nędzarki w łachmanach, fer-merki w wysokich czepcach, tędzy parobcy z blond zarostem — wszyscy modlili się pochłonięci tą samą głęboką radością i widzieli na słomie stajenki promieniejące jak słońce ciało Dzieciątka-Boga. Ta wiara innych wzruszała Bouvarda wbrew jego rozumowi, a Pecucheta mimo oschłości jego serca.

Zrobiła się cisza; wszystkie grzbiety pochylały się i na brzęk dzwonka baranek zabezczał.

2

Ksiądz w wyciągniętych jak najwyżej rękach wznosił hostię. Wówczas wybuchł śpiew radości wzywający świat do stóp Króla Aniołów. Bouvard i Pecuchet mimo woli przyłączyli doń swe głosy i czuli, jakby jutrzienka wstawała w ich duszy.

IX

Marceli zjawił się z powrotem nazajutrz o trzeciej, z zieloną twarzą, z czerwonymi oczami, z guzem na czole, w rozdartych portkach, cuchnący wódką, ohydny.

Był swym dorocznym zwyczajem o sześć mil stąd, koło Iqueville, na Wigilii u przyjaciela, i bełkocząc bardziej niż zwykle, płacząc, chcąc siebie bić, błagał o przebaczenie, jak gdyby popełnił jakąś zbrodnię. Panowie przebaczyli mu. Szczególny spokój w duszy skłaniał ich do pobłażliwości.

Śnieg nagle stopniał i chodzili po ogrodzie wdychając ciepłe powietrze, szczęśliwi, że żyją.

Czy to tylko przypadek odciągnął ich od śmierci? Bouvard czuł się rozrzewniony. Pecuchet przypomniał sobie swą pierwszą komunię i pełni wdzięczności dla Siły, Przyczyny, od której byli zależni, postanowili wziąć się do lektury nabożnej.

Ewangelia wprowadzała w podniosły stan ich dusze, olśniła ich jak słońce. Widzieli Jezusa stojącego na górze z podniesioną ręką, niżej słuchający go tłum; albo też na brzegu jeziora, między apostołami ciągnącymi sieci; potem na oślicy, wśród okrzyków „Alleluja”, z włosami wachlowanymi ruchem drżących palm; wreszcie wysoko na krzyżu, z pochyloną głową, skąd wiecznie spływa rosa na świat. Czułość dla prostaczków, obrona biednych, wywyższanie uciskanych pociągały ich, znajdowali w tym upodobanie. I w tej księdze, gdzie niebo się rozpościera, nie teologii wśród tylu wskazań; ani jednego dogmatu, żadnych wymagań prócz czystości serca. Co do cudów, rozum Bouvarda i Pecucheta nie był nimi zaskoczony, znali je od dzieciństwa. Głębia świętego Jana zachwyciła Pecucheta i usposobiła do lepszego zrozumienia *Naśladowania**.

Tutaj nie ma już przypowieści, kwiatów, ptaków, ale

2

skargi, wnikanie duszy w samą siebie. Bouvard zasmucił się czytając te karty, które zdają się być pisane w mglistej porze roku, w głębi klasztoru, między dzwonnica a grobowcem. Nasze życie doczesne jawi się tam tak żalosne, że należy zapominając o nim zwrócić się do Boga; i dwaj jegomoście po wszystkich swych zawodach chcieli być prości, coś kochać, nie niepokoić umysłu. Wzięli się do Eklezjasty, Izajasza, Jeremiasza.

Ale Biblia przerażała ich swymi prorokami o głosie lwa, łoskotem piorunów w niebiosach, wszystkimi szlochami Gehenny* i swym Bogiem rozprasającym państwa jak wiatr chmury. Czytali to w niedziele, w porze niesporów, podczas dzwonienia sygnaturki.

Pewnego dnia poszli na msze, potem stale chodzili do kościoła. Była to rozrywka w końcu tygodnia. Hrabia i hrabina de Faverges ukłonili im się pierwsi z daleka, co zostało zauważone.

Sędzia pokoju powiedział do nich przymrużając oko:

— Doskonale! Pochwalam panów.

Wszystkie mieszczki teraz posyłały im poświęcane opłatki.

Ksiądz Jeufroy złożył im wizytę; oddali mu ją, zaczęli u siebie bywać; kapłan nie mówił o religii. Byli zdziwieni tą powściągliwością, tak iż Pecuchet z obojętną miną zapytał go, jak się wziąć do tego, żeby mieć wiarę.

— Przede wszystkim trzeba praktykować.

Zaczęli praktykować, jeden z nadzieją, drugi tytułem wyzwania, gdyż Bouvard był przekonany, że nigdy nie będzie bigotem. Przez miesiąc bywał regularnie na wszystkich nabożeństwach, ale, w przeciwieństwie do Pecucheta, nie chciał zmusić się do zachowania postu.

Czyż to był zabieg higieniczny? Wiadomo, co jest warta higiena! Sprawa konwenansów? Precz z konwenansami! Oznaka uległości wobec Kościoła? Na to również gwizdał! Słowem, uważał ten przepis za niedorzeczny, faryzeuszowski i niezgodny z duchem Ewangelii.

W Wielki Piątek poprzednich lat jedli to, co Gerwa-zowa im podawała.

Ale Bouvard tym razem zamówił sobie befsztyk. Zasiadł do stołu, pokrajał mięso; i Marceli patrzył na niego

2

zgorzony, podczas gdy Pecuchet z powagą zdierał skórę z kawałka dorsza.

Bouvard trzymał jakiś czas widelec w jednej, nóż w drugiej ręce. Wreszcie, decydując się, podniósł kęs do ust. Raptem ręce mu zadrżały, jego gęsta mina zrzędła, głowa przechylała się w tył.

— Niedobrze ci?

— Nie! Tylko...

I przyznał się. Wskutek swego wychowania (to było silniejsze od niego) nie mógł jeść tego dnia mięsa z obawy, że umrze.

Pecuchet, nie nadużywając swego zwyczajstwa, skorzystał z niego, aby prowadzić takie życie, jakie mu odpowiadało.

Pewnego wieczora Pecuchet wrócił do domu z twarzą nacechowaną poważną radością i wyznał,

że dopiero co był u spowiedzi.

Zaczęli więc dyskutować na temat ważności tego aktu.

Bouvard uznawał spowiedź pierwszych chrześcijan, która odbywała się publicznie: nowoczesna zbyt jest łatwa. Jednakże nie przeczył, że to śledztwo przeciw samemu sobie jest czynnikiem postępu, drożdżami moralności.

Pecuchet, spragniony doskonalenia się, poszukał swych wad. Napady pychy od dawna ustały.

Zamiłowanie do pracy zabezpieczało go od lenistwa. Co do łakomstwa, był wzorem umiarkowania. Niekiedy porywał go gniew.

Poprzysiął sobie, że więcej tego nie będzie.

Następnie należałoby nabyć cnoty, przede wszystkim cnotę pokory; to jest uważać siebie za niezdolnego do jakiegokolwiek zasługi, niegodnego najmniejszej nagrody, złożyć ofiarę ze swego umysłu i postawić się tak nisko, żeby dać się zdeptać jak błoto na drodze. Był jeszcze daleki od takiej gotowości.

Innej jeszcze cnoty brakowało mu: czystości. Bowiem w głębi duszy żałował, że nie ma Meli, a pastel damy w stroju z czasów Ludwika XV drażnił go swym dekoltem.

Zamknął go do szafy, spotęgował wstydlivość do tego

stopnia, że bał się kierować spojrzenia na swe ciało i spał w kałesonach.

Tyle zabiegów dokoła zmysłowości rozwinęło ją. Głównie rano musiał staczać ciężkie boje, jak je staczali święty Paweł, święty Benedykt i święty Hieronim, w bardzo późnym wieku; po czym uciekali się do zaciekłych praktyk pokutnych. Ból fizyczny jest ekspiacją, lekarstwem i ratunkiem, hołdem składanym Jezusowi Chrystusowi. Wszelka miłość wymaga ofiar, a czyż jest cięższa niż ofiara z naszego ciała.

Dla umartwienia Pecuchet skasował kieliszek alkoholu po jedzeniu, ograniczył zażywanie tabaki do czterech niuchów dziennie, w największe chłody nie nosił już czapki.

Pewnego dnia Bouvard, który przywiązywał na szpalerze winorośl, przystawił drabinę do ściany tarasu przy domu i niechcący zajrzał do pokoju Pecucheta.

Jego druh, nagi do pasa, trzepaczką do ubrań bił się lekko po barkach; potem wpadając w ferwor ściągnął spodnie, smagał pośladki i padł na krzesło zdyszany.

Bouvard był tym przejęty jak przy wykryciu tajemnicy, której nie należy odsłaniać.

Od pewnego czasu zauważył, że szyby są czystsze, mniej jest dziur w ręcznikach, jedzenie się poprawiło; zmiany te zawdzięczano Reginie, gospodyni proboszcza.

Łącząc sprawy kościoła ze sprawami swej kuchni, silna jak fernal i oddana, aczkolwiek nie znająca respektu, wtrącała się do cudzych gospodarstw, stawała się w nich panią, dawała rady. Pecuchet polegał całkowicie na jej doświadczeniu.

Pewnego razu przyprowadziła mu otyłego osobnika ze skośnymi oczkami i krogulczym nosem.

Był to pan Gutman handlujący dewocjonaliami; część ich wypakował z pudeł pod szopą: krzyże, medaliki i różańce, wszelkich rozmiarów, świeczniki do kaplic domowych, przenośne ołtarzyki, pęki szychu i poświęcane serca z niebieskiej tektury, figurki świętego Józefa z rudą brodą, porcelanowe kalwarie. Pecuchet pożywał tych rzeczy. Powstrzymywała go od kupna jedynie cena. Gutman nie żądał pieniędzy. Wolał zamianę i wszedłszy do muzeum ofiarował za stare żelastwo i wszystkie ołów przywieziony towar.

8

Te przedmioty wydały się Bouvardowi ohydne. Ale oko Pecucheta. nalegania Reginy i gadanina handlarza wreszcie przekonały go. Gutman zobaczywszy, że tak łatwo z nim pos^o, zechciał prócz tego dostać halabardę; Bauvard, znudzony pokazywaniem, jak się nią włada, dołożył ją. Po obrachunku okazało się, że wielmożni panowie są jeszcze winni sto franków. Załatwiono to wystawieniem czterech weksli, płatnych co kwartał, i obaj byli zadowoleni z taniego kupna. Zakupione rzeczy zostały rozmieszczone we wszystkich pokojach. Żłobek napelniony sianem i katedra z korka ozdobiły muzeum.

Na kominku Pecucheta stał święty Jan Chrzciciel z wosku; w korytarzu wisiały portrety sławnych biskupów, a na dole przy schodach, pod lampą na łańcuszkach, ustawiono Matkę Boską w lazurowym płaszczu i gwiazdzistej koronie.

Marceli okurzał te wspaniałości nie wyobrażając sobie nic piękniejszego w raju.

Ja"ka szkoda, że święty Piotr został rozbity, i jakby dobrze wyglądał w przedśionku! Pecuchet zatrzymywał się czasami nad dawnym dołem na kompost, gdzie można było rozpoznać tiarę, jeden sandał, kawałek ucha; wzdychał, po czym dalej pracował w ogrodzie, gdyż teraz łączył pracę ręczną z ćwiczeniami religijnymi i kopał ziemię odziany w habit, przyrównywując siebie do świętego Brunona*. To przebranie mogło być świętokradztwem; wyrzekł go się.

Ale nabierał księżyich manier, niezawodnie wskutek bywania u proboszcza. Miał jego uśmiech, głos i z miną zmarzlucha wsuwał jak on obie ręce w rękawy aż do przegubu. Nadszedł dzień, gdy pianie koguta naprzykrzyło mu się, róże budziły wstręt; nie wychodził już z domu i rzucał na pola dzikie spojrzenia.

Bouvard dał się prowadzić na majowe nabożeństwa. Dzieci śpiewające litanie, pęki bzu, girlandy zieleni dawały mu poczucie jakby niezniszczalnej młodości. Bóg objawiał się jego sercu w kształtach ptasich gniazd, w przejrzystości źródeł, -w dobroczynności słońca i dewocją przyjaciela wydawała mu się czymś dziwnym, obmierzłym. — Czemu ty przy jedzeniu stękasz?

9

— Winniśmy jeść stękając — odpowiedział Pecuchet — gdyż człowiek tą drogą utracił swą niewinność.

Zdanie to wyczytał w *Podręczniku Seminarzysty*, dwa tomy *in "*, pożyczone od księdza Jeufroy; pił wodę z la Salette*, odmawiał przy zamkniętych drzwiach akty strzeliste, miał nadzieję dostać się do bractwa św. Franciszka.

By nabyć dar wytrwałości, postanowił odbyć pielgrzymkę do Matki Boskiej.

Wybór miejscowości sprawił mu kłopot. Czy do No-tre-Dame de Fourvieres, do Chartres, do Embrun, do Marsylii czy Auray? Matka Boska w Delivrande*, bliżej, równie dobrze mu odpowiadała.

— Będziesz mi towarzyszył?

— Wyglądałbym jak cymbał! — rzekł Bouvard.

Ostatecznie mógł powrócić z tej pielgrzymki jako wierzący, nie miał nic przeciw temu, żeby nim zostać, i ustąpił przez grzeczność.

Pielgrzymki należy odbywać pieszo. Ale czterdzieści trzy kilometry to byłoby trochę ciężko; a że dyliżanse nie są odpowiednie do medytacji, wynajęli stary kabriolet, który po dwunastu godzinach drogi wysadził ich przed oberżą.

Dostali izbę o dwóch łózkach, z dwiema komodami dźwigającymi dwa dzbanki z wodą w małych owalnych miednicach; hotelarz powiadomił ich, że to był „pokój kapucynów” w czasach Terroru. Schowano tutaj Matkę Boską de la Delivrande tak dobrze, iż zacni Ojcowie mogli po kryjomu odprawiać mszę w tej izbie.

Sprawiło to przyjemność Pecuchetowi i przeczytał na głos notatkę o kaplicy, przyniesioną z kuchni na dole.

Została ona ufundowana w początkach II wieku przez św. Regnoberta, pierwszego biskupa Lisieux, albo przez św. Ragneberta, który żył w wieku VII, bądź przez Roberta Wspaniałego, w połowie XI.

Duńczycy, Normandowie, a zwłaszcza protestanci palili ją i niszczyli w różnych czasach.

Około roku pierwotny posąg został odkryty przez barana, który bijąc nogą na pastwisku wskazał miejsce, gdzie statua się znajdowała, i na tym miejscu hrabia Baldwin wzniósł świątynię.

Cuda spowodowane przez Matkę Boską są nieprzeliczone.

Pewien kupiec z Bayeux, będąc w jasyrze u Śa-racénów, wezwał ją na ratunek: łańcuchy jego spadają, a on ucieka. Pewien skąpiec wykrywa w swym spichrzu gniazdo szczurów, woła ją na pomoc i szczury wynoszą się. Dotknięcie medalika potartego o jej wizerunek wywołuje na łożu śmierci skrucę pewnego starego materialisty z Wersalu. Przywraca on mowę imię panu Adeline, który ją utracił wskutek tego, że bluźnił; dzięki jej opiece państwo de Becqueville mieli dość siły, by żyć w czystości w stanie małżeńskim.

Wymienieni są wśród tych, których wyleczyła z chorób nieuleczalnych, panna de Paliresne, Anna Lirieux, Maria Duchemin, Franciszek Dufoi i pani de Jumillac z domu d'Osseville.

Wybitne osobistości złożyły jej hołd: Ludwik XI, Ludwik XIII, dwie córki Gastona Orleańskiego, kardynał Wisemaii, Samirri, patriarcha Antiochii, Monseigneur Yeroles, wikariusz apostołski Mandzurii, a arcybiskup paryski de Quelen przybył podziękować jej za nawrócenie się księcia Talleyranda,

— Ona będzie mogła — rzekł Pecuchet — nawrócić i ciebie!

Bouvard, już w łóżku, coś tam mruknął i zasnął na dobre.

Nazajutrz o szóstej weszli do kaplicy.

Przebudowywano ją; płachty i deski tarasowały nawę i budowla w stylu rokoko nie podobała się Bouvardowi, zwłaszcza ołtarz z czerwonego marmuru z korynckimi pilastrami.

Cudowny posąg w niszy, na lewo od prezbiterium, ma na sobie suknię z pajetek; zjawił się zakrystian z woskową świecą dla każdego z nich. Osadził je na kolcach na balustradzie, zażądał trzech franków, uklonił się i zniknął.

Następnie obejrzeni wota.

Napisy na tabliczkach świadczą o wdzięczności wiernych. Można podziwiać dwie szpady na krzyż złożone, ofiarowane przez dawnego ucznia Szkoły Politechnicznej, bukiety panny młodej, medale wojskowe, srebrne serca, a w kącie, na poziomie podłogi, cały las kuł kalek.

Z zakrystii wyszedł ksiądz niosący cyborium.

0

— Bouvard i Pecuchet

1

Postał parę minut u stóp ołtarza, po czym wszedł po trzech stopniach, odmówił *Oremus, Introit i Kyrie*, które ministrant na klęczkach wyrecytował jednym tchem.

Pobożnych było mało, z kilkanaście starych kobiet. Słyszało się szelest różańców i stuk młota walącego w kamienie. Pecuchet, schylony na klęczniku, odpowiadał na *Amen*. Podczas podniesienia błagał Najświętszą Pannę o udzielenie mu wiary stałej i niezłomnej.

Bouvard, siedząc obok w fotelu, wziął od niego modlitewnik i zatrzymał się na litaniach do Dziewicy Marii.

„Najświętsza, najczystsza, czcigodna, można, łaskawa, wieża z kości słoniowej, dom złoty, brama niebieska.” Te słowa adoracji, te hiperbole poniosły go ku tej, którą słąwią tylu hołdami.

Widział ją w marzeniu taką, jaką ją przedstawiają obrazy kościelne, na zwale obłoków, z cherubinami u swych stóp, z Dzieciątkiem Jezus przy piersi; matkę tkliwości, wzywaną przez wszystkie ziemskie utrapienia; ideał kobiety przeniesionej do nieba; gdyż, wyszedłszy z jej łona, człowiek wysławia jej miłość i pragnie tylko spocząć na jej sercu.

Po skończonej mszy obeszli bramy przy ścianie świątyni od strony placu. Widać tam było obrazy, chrzcielnice, urny ze złotym szlakiem, pasyjki wykonane z orzecha kokosowego, różańce z kości słoniowej; słońce nadające na szkło ram raziło oczy, wydobywało brutalność kolorów, ohydę rysunku. Bouvard, uważający w domu takie rzeczy za obrzydliwe, tutaj był dla nich pobłażliwy. Kupił figurkę Panny Marii z niebieskiej masy. Pecuchet, jako pamiątkę, zadowolił się różańcem. Kramarze krzyczeli:

— Do świętości! Do świętości! Za pięć franków, za trzy franki, za sześćdziesiąt centymów, za dwa soldy, nie odrzucajcie Matki Boskiej!

Dwaj pielgrzymi włóczyli się nic nie wybierając. Rozległy się niegrzeczne uwagi.

— Czego chcą te ptaszki?

— Może to są Turcy!

— Prędeż protestanci!

Rosła dziewczyna pociągnęła Pecucheta za surdut; starzec w okularach położył mu rękę na ramieniu;

2

wszyscy darli się jednocześnie; potem, wyszedłszy ze swych bud, otoczyli ich, coraz natarczywiej nalegając i wymyślając.

Bouvard nie wytrzymał.

— Odczepcie się, do pioruna! Zgraja odsunęła się.

Ale jakaś gruba baba szła za nimi przez pewien czas po placu i krzyczała, że pożałują tego.

Wracając do oberży znaleźli w kawiarni Gutmana. Sprawy handlowe sprowadzały go w te strony i rozmawiał z jakimś osobnikiem sprawdzającym wykazy rozłożone na stole przed nimi. Ten osobnik miał skórzaną czapkę, bardzo szerokie spodnie, czerwoną cerę i smukłą figurę mimo siwych włosów; wyglądał wraz na emerytowanego oficera i starego kabotyna.

Od czasu do czasu kłął, po czym, gdy Gutman coś do niego mówił ciszej, zaraz się uspokajał i przechodził do innego papieru.

Bouvard, który go obserwował, po kwadransie podszedł doń.

— Barberou, zdaje mi się?

— Bouvard! — zawołał człowiek w kaszkiecie.

I uściskali się.

Barberou od dwudziestu lat przechodził różne koleje. Był administratorem gazety, agentem ubezpieczeń, dyrektorem parku ostrygowego.

— Opowiem wam to.

Wreszcie, powracając do swego pierwszego fachu, podróżował jako akwizytor pewnej firmy w Bordeaux, i Gutman, który handlował dewocjonaliami w diecezji, umieszczał mu wina u księży.

— Ale pozwolicie; za chwilę będę wam służył!

I wrócił do swoich rachunków, gdy raptem podskoczył na ławie:

— Jak to, dwa tysiące?

— Oczywiście!

— Ha! A to dobre!

— Pan powiada?

— Powiadam, że sam widziałem się z Heramber-tem — wybuchnął Barberou. — Faktura opiewa na cztery tysiące; bez kawałów!

3

Handlarz bynajmniej nie stracił tupetu.

— Więc: uwalnia pana od długu! Co jeszcze?

Barberou wstał i z jego twarzy, naprzód bladej, potem fioletowej, Bouvard i Pecuchet sądzili, że zadusi Gutmana.

Usiadł znowu, *złożył* ręce na krzyż.

— Z pana zdrowa kanalia, przyznaj pan!

— Bez obelg, panie Barberou, są świadkowie; strzeż się pan!

— Ja panu wlepię proces!

— Ta! ta! ta!

Po czym, zamknąwszy swoją teczkę, Gutman uchylił brzegu kapelusza:

— Wszystkiego dobrego! I wyszedł.

Barberou wyłożył, o co chodzi: za wierzytelność w wysokości tysiąca franków, podwojoną przez lichwiarskie machlojki, dostarczył Gutmanowi win na trzy tysiące franków, co spłaci jego dług wraz z tysiącem zarobionej prowizji; ale za to jest winien firmie trzy tysiące za towar, chlebowawcy wyrzuca go, gdy im wpłaci tylko dwa, podadzą go do sądu!

— Łajdak! Bandyta! Parszywiec! I to bywa na obiadach u proboszczów! Zresztą, wszystko, co dotyczy klechów...!

Naurągał księżom i walił w stół tak gwałtownie, że statuetka o mało nie spadła.

— Ostrożnie! — rzekł Bouvard.

— Hm! Co to takiego?

I Barberou rozpakował figurkę Panny Marii:

— Cacko z pielgrzymki! Pana?

Bouvard, zamiast odpowiedzieć, uśmiechnął się niewyraźnie.

— To jest moje! — rzekł Pecuchet.

— Martwi mnie pan — odezwał się Barberou — lecz ja pana wyedukuję pod tym względem, niech się pan nie boi!

I że trzeba być filozofem, a smutek na nic się nie przyda, zaprosił ich na śniadanie.

We trzech zasiedli do stołu.

Barberou był miły, przypominał dawne czasy, objął służącą wespół, chciał zmierzyć brzuch Bouvarda. Nieza-

4

długo przyjedzie do nich i przywiezie im zabawną książkę.

Myśl o jego odwiedzinach ucieszyła ich umiarkowanie. Rozmawiali o tym w powoziku przez godzinę przy wtórze truchcika jednego konia. Następnie Pecuchet zamknął powieki. Bouvard też milczał. Wewnętrznie skłaniał się ku religii.

Pan Marescot zjawił się u nich poprzedniego dnia, żeby im zakomunikować ważną wiadomość. Marceli nic więcej nie wiedział.

Notariusz mógł ich przyjąć dopiero za trzy dni i od razu wyłożył im całą sprawę. Za dożywotnią rentę roczną w kwocie siedmiu tysięcy pięciuset franków pani Bordin proponowała panu Bouvardowi kupno jego fermy.

Miała na nią chrapkę od młodości, znając jej przy-ległości, wady i zalety, i to pragnienie toczyło ją jak rak. Bo zacna dama, jako prawdziwa Normandka, ceniła nade wszystko majątek ziemski, nie tyle dla zabezpieczenia kapitału, ile dla szczęścia chodzenia po ziemi do niej należącej. W nadziei posiadania tej właśnie robiła wywiady, sprawowała nad nią codzienny nadzór, przez długi czas składała oszczędności i czekała z niecierpliwością odpowiedzi Bouvarda.

Był w kłopotach, gdyż nie chciał, żeby Pecuchet pewnego dnia znalazł się bez majątku; ale należało skorzystać z okazji, która była skutkiem pielgrzymki: Opatrzność po raz drugi okazywała im swą przychylność.

— Zaproponowali warunki następujące: renta, nie w wysokości siedmiu tysięcy pięciuset franków, lecz sześciu tysięcy, przypadnie w spadku temu z nich, który przeżyje drugiego. Marescot wykazał swej klientce, że jeden był słabego zdrowia. Kompleksja drugiego czyniła go skłonny do apopleksji; i pani Bordin podpisała kontrakt, porwana żądzą posiadania. Bouvarda usposobiło to melancholijnie. Ktoś pragnął jego śmierci i ta refleksja nasunęła mu poważne myśli, idee Boga i wieczności.

W trzy dni potem 'ksiądz Jeufroy zaprosił ich na uroczyste przyjęcie, jakie wydawał raz do roku dla kolegów.

5

Obiad zaczął się około drugiej po południu i przeciągnął się do jedenastej wieczór.

Pito wino gruszkowe, opowiadano sobie kalambury. Ksiądz Pruneau skomponował na miejscu akrostych*, ksiądz Bougon pokazywał sztuki z kartami, a Cerpet, młody wikary, zaśpiewał krótką romancę tracącą zalotami. Takie środowisko było rozrywką, dla Bouvarda. Był mniej pochmurny nazajutrz.

Proboszcz odwiedzał go często. Przedstawiał religię we wdzięcznych barwach. Co się zresztą ryzykuje? I Bouvard zgodził się niebawem na przystąpienie do stołu Pańskiego. Pecuchet razem z nim przystąpi do sakramentu.

Nadszedł wielki dzień.

Kościół, z racji pierwszej komunii, był pełen ludzi. Mieszczanie i mieszczeni tłoczyli się w ławkach, a prostaczkowie stali z tyłu lub nad kruchtą, na chórze.

To, co za chwilę miało się stać, było niewytłumaczalne, myślał Bouvard, lecz rozum nie wystarcza do pojęcia pewnych rzeczy. Bardzo wielcy ludzie godzili się na tę rzecz. Należy robić to, co oni, i w jakimś odrętwieniu wpatrywał się w ołtarz, kadzielnicę, w światła, z głową trochę pustą, gdyż był na czczo i odczuwał dziwną słabość.

Pecuchet rozmyślając nad Męką Jezusa Chrystusa wzbudzał w sobie akty miłości. Pragnąłby ofiarować mu swą duszę, dusze bliźnich i zachwycenia, uniesienia, natchnienia boskie świętych, wszystkie istoty, wszechświat cały. Chociaż modlił się żarliwie, różne części mszy wydały mu się przydługie.

Wreszcie mali chłopcy uklękli na pierwszym stopniu ołtarza, tworząc swymi ubrankami czarną wstęgę ze wznoszącymi się nierówno nad nią jasnymi lub ciemnymi czuprykami. Miejsca ich

zajęły potem dziewczynki mające pod wiankami długie welony; z daleka, rzekłbyś, szereg białych obłoków w głębi prezbiterium.

Następnie przyszła kolej na dorosłych.

Pierwszą osobą od strony Ewangelii był Pecuchet, lecz widocznie z nadmiernego wzruszenia kołysał głową w obie strony. Proboszcz z trudem włożył mu hostie w usta i Pecuchet przyjął ją przewracając oczy.

Bouvard, przeciwnie, rozwarł szczękę tak szeroko, że

6

język zwisał mu na wardze jak sztandar. Wstając potracił łokciem panią Bordin. Oczy ich spotkały się. Uśmiechała się; nie wiedząc dlaczego, zaczerwienił się.

Po pani Bordin przystąpili do komunii razem: panna de Faverges, hrabina, ich dama do towarzystwa i jakiś pan, którego nie znano w Chayignolles.

Dwaj ostatni byli to Placquevent i Petit, nauczyciel, gdy nagle ujrzano Gorju.

Nie nosił już bródki i wrócił na swe miejsce ze złożonymi na piersiach rękami, w sposób wielce budujący.

Proboszcz miał przemowę do chłopczków. Żeby w przyszłości wystrzegali się postępowania tak jak Judasz, który zdradził swego Boga, i żeby zachowali na zawsze swą sukienkę niewinności.

Pecuchet żałował swojej. Ale odsuwano krzesła, matkom było pilno uściskać swe dzieci.

Parafianie przy wyjściu składali sobie nawzajem życzenia. Niektórzy płakali. Pani de Faverges, czekając na swój powóz, obróciła się do Bouvarda i Pecuche-ta i przedstawiła swego przyszłego zięcia.

— Baron de Mahurot, inżynier.

Hrabia skarżył się, że się z nimi nie widuje. Powróci w przyszłym tygodniu.

— Proszą panów zanotować to sobie!

Powóz podjechał, damy z pałacu odjechały i tłum się rozszedł.

Po powrocie znaleźli u siebie na podwórzu paczkę w trawie. Listonosz, że dom był zamknięty, przerzucił ją przez mur. Było to dzieło, które obiecał przysłać Barberou: *Badania nad chrystianizmem* Ludwika Her-vieu*, byłego ucznia Szkoły Normalnej*. Pecuchet je odepchnął.

Bouvard nie pragnął go poznać.

Powtarzano mu, że sakrament go przeobrazi: przez szereg dni oczekiwał rozkwitania swojej świadomości. Był wciąż taki sam i ogarnęło go bolesne zdumienie.

Jakże to! Ciało Boga łączy się z naszym ciałem i nie wywołuje żadnych skutków! Myśl rządząca światami nie oświeca naszego umysłu! Najwyższa władza porzuca nas na pastwę bezsilności!

Ksiądz Jeufroy uspokajając go zaordynował mu *Ka-techizm* księdza Gaume*.

7

Dewocja Pecucheta, przeciwnie, rozwinęła się. Rad byłby przyjmować komunię pod dwoma postaciami, śpiewał psalmy spacerując po korytarzu, zaczepiał chavignolleczyków, żeby dyskutować i nawracać ich. Vaucorbeil roześmiał mu się w nos, Girbal wzruszył ramionami, a kapitan nazwał go świętoszkiem. Uważano teraz, że Bouvard i Pecuchet poszli za daleko.

Doskonały to zwyczaj patrzeć na *rzeczy* jako na symbole. Jeżeli grzmi, wyobrażajcie sobie sąd ostateczny; patrząc na niebo bez chmur, myślcie o miejscu pobytu błogosławionych; mówcie sobie na przechadzkach, że każdy rok przybliży was do śmierci. Pecuchet stosował tę metodę. Gdy kładł na siebie ubranie, myślał o powłoce cielesnej, którą przyjęła na siebie druga osoba Trójcy, tykanie ściennego zegara przypominało mu bicie własnego serca, ukłucie szpilką — gwoździe krzyża; ale daremnie klęczał godzinami i mnożył posty, i żyłował wyobraźnię, oderwania się od samego siebie nie było; niesposób osiągnąć doskonałą kontemplację.

Zwrócił się o pomoc do autorów-mystyków: świętej Teresy, Jana od Krzyża, Ludwika z Grenady, Simpo-liego i z bardziej nowoczesnych, biskupa Chaillot. Zamiast oczekiwanych wzniosłości spotkał tylko popospolitość, niechlujny styl, zimne obrazy i moc porównań wziętych z jubilerskiego sklepu.

Wszelako dowiedział się z tych pism, że jest oczyszczenie czynne i oczyszczenie bierne, wizja wewnętrzna i wizja zewnętrzna, cztery rodzaje modlitw, dziewięć doskonałości w miłości, sześć

stopni pokory, i że rana duszy nie różni się zbytnio od duchowego wzlotu.

Niektóre punkty sprawiały mu kłopot.

Skoro ciało jest przeklęte, jakże to się dzieje, że należy dziękować Bogu za dobrodziejstwo istnienia? Jaką zachować miarę między bo jaźnią niezbędną do zbawienia a nadzieją niemniej niezbędną? W czym jest znak łaski itp.

Odpowiedzi księdza Jeufroy były proste:

— Niech pana o to głowa nie boli: gdy się chce wszystko zgłębić, wchodzi się na pochyłość niebezpieczną.

Katechizm wytrwałości Gaume'a tak obmierzył Bou-yąrdowi, że sięgnął po tom Ludwika Hervieu.

Był to za-

8

rys egzegezy* nowoczesnej, zakazany przez rząd. Bar-berou jako republikanin kupił tę książkę. Obudziła ona wątpliwości w umyśle Bouvarda, przede wszystkim w sprawie grzechu pierwородnego.

— Jeżeli Bóg stworzył człowieka grzesznym, nie powinien go karać, a zło jest wcześniejsze od' upadku, skoro były już przedtem wulkany, drapieżne zwierzęta. Wreszcie ten dogmat wywraca moje pojęcie sprawiedliwości.

— Cóż pan chce? — mówił proboszcz. — To 'jest jedna z tych -prawd, co do których wszyscy są w zgodzie, choć nie można dostarczyć dowodów tej prawdy; my sami sprawiamy, że zbrodnie ojców spadają na dzieci. Tak więc obyczaje i prawa usprawiedliwiają ten dekret Opatrzności, który odnajdujemy w przyrodzie.

Bouvard pokręcił głową. Wątpił również w piekło.

— Gdyż wszelka kara winna zmierzać do poprawy winnego, co staje się niemożliwe, jeżeli weźmiemy potępienie wieczne; a iluż je znosi! Niech tylko ksiądz pomyśli, wszyscy starożytni, Żydzi, muzułmanie, bałwochwalcy, kacerze i dzieci zmarłe bez chrztu, te dzieci stworzone przez Boga — i w jakim celu? Żeby je ukarać za winę, której nie popełnili!

— Taka jest opinia świętego Augustyna — dodał proboszcz — a święty Fulgencjusz włącza do potępienia nawet płód. Prawda, że kościół nic nie zadecydował w tym względzie. Jedna uwaga jednakże: to nie Bóg, lecz sam grzesznik skazuje siebie na potępienie, a skoro zniewaga jest nieskończona, ponieważ Bóg jest nieskończony, to i kara winna być nieskończona. Czy to wszystko, proszę pana?

— Proszę mi wyjaśnić Trójcę — rzekł Bouvard.

— Z przyjemnością. Weźmy porównanie: trzy boki trójkąta lub raczej nasza dusza, która zawiera trzy elementy: być, znać i chcieć; to, co u człowieka nazywamy właściwością, jest osobą w Bogu. Oto cała tajemnica.

— Ale trzy boki trójkąta nie stanowią trzech trójkątów, te trzy właściwości duszy nie tworzą trzech dusz, a pańskie osoby Trójcy, to trzech Bogów.

— Błżnierstwo!

49

— W takim razie jest tylko jedna osoba, jeden Bóg, jedna substancja, przedstawiana w trojaki sposób.

— Czcijmy nie rozumiejąc — rzekł proboszcz.

— Niech i tak będzie — rzekł Bouvard. Obawiał się, że będzie uchodził za bezbożnika, że będzie źle widziany w pałacu.

Teraz przychodzili tam trzy razy na tydzień, około piątej, zimą, a filiżanka herbaty rozgrzewała ich. Hrabia swym sposobem zachowania się „przypominał szyk dawnego dworu królewskiego”; hrabina, spokojna i tłusta, wykazywała we wszystkich sprawach dużo orientacji. Panna Jolanta, ich córka, „była typem młodej osoby”, aniołem angielskich keepsaków*, a pani de No-ares, ich dama do towarzystwa, przypominała Pecu-cheta swym spiczastym nosem.

Gdy pierwszy raz weszli do salonu, kogoś broniła.

— Zapewniam państwa, że on się zmienił! Dowodzi tego jego prezent.

Tym kimś był Gór j u. Ofiarował właśnie przysłym małżonkom gotycki klęcznik. Przyniesiono sprzęt. Herby obu rodzin widniały na nim jako kolorowana płaskorzeźba. Pan Mahurot wydał się

z tego daru zadowolony i pani Noares powiedziała mu:

— Będzie pan pamiętał o moim protegowanym?

Następnie przyprowadziła dwoje dzieci, dwunastoletniego chłopca i jego siostrę, która miała może dziesięć lat. Przez dziury w łachmanach przeglądało czerwone z zimna ciało. Jedno z nich było w starych pantoflach, drugie miało tylko jeden sabot. Czoła ginęły im pod czuprynami i rozglądali się płonącymi źrenicami jak wystraszone wilczęta.

Pani de Noares opowiedziała, że spotkała ich rankiem na trakcie. Placquevent nie mógł podać żadnych szczegółów o tych małych włóczęgach.

Zapytano ich, jak się nazywają.

— Wiktor, Wiktoryna.

— Gdzie jest ich ojciec?

— W więzieniu.

— A przedtem co robił?

— Nic.

— Miejsce urodzenia?

— Saint-Pierre.

0

— Ale które Saint-Pierre?

Dzieciaki za całą odpowiedź mówiły pociągając nosem:

— Nie wiem, nie wie'm. Matka ich umarła i żebrali.

Pani de Noares wyluszczyła, jak niebezpiecznie byłoby nie zająć się nimi; rozczuliła hrabinę, wbiła hrabiego w ambicję, została poparta przez panienkę, uparła się i postawiła na swoim. Żona gajowego opiekuje się nimi. Pracę znajdzie im się później, a ponieważ nie umieli czytać ani pisać, pani de Noares osobiście będzie im dawała lekcje, żeby ich przygotować do nauki katechizmu.

Gdy ksiądz Jeufroy przychodził do pałacu, posyłano po dzieciaki: zadawał im pytania, po czym miał prelekcję, pretensjonalną z racji audytorium.

Pewnego razu, gdy rozprawiał o patriarchach, Bou-var, powracając z pałacu z księdzem i z Pecuchetem, mocno ich skrytykował.

Jakub odznaczył się szachrajstwem, Dawid morderstwami, Salomon rozpustą.

Ksiądz odparł mu, że trzeba patrzeć dalej. Ofiara Abrahama jest figurą Męki Pańskiej; Jakub inną figurą Mesjasza, tak samo jak Józef, jak wąż spiżowy, jak Mojżesz.

— Czy ksiądz sądzi — rzekł Bouvard — że to on skomponował Pięcioksiąg?

— Oczywiście, że tak!

— A tymczasem opowiada się tam o jego śmierci; ta sama uwaga dotyczy Jozuego, a co do Sędziów, autor uprzedza nas, że w epoce, której dzieje opisuje, Izrael nie miał jeszcze królów. Dzieło to było więc napisane za czasów królewskich. Prorocy też dziwią mnie.

— Teraz będzie przeczył istnieniu proroków — rzekł ksiądz.

— Bynajmniej! Lecz ich podniecona wyobraźnia widziała Jehowę pod rozmaitymi postaciami, pod postacią ognia, krzaka, starca, gołębiczy, i nie byli oni pewni objawienia, skoro domagają się zawsze znaku.

— Ha! I pan odkrył te piękne rzeczy?...

— U Spinozy.

Na to słowo proboszcz aż skoczył.

1

— Czy ksiądz go czytał?

— Niech Bóg broni!

— Jednakże, wiedza...

— Panie, nie jest się uczonym, jeśli się nie jest chrześcijaninem.

Wiedza wzbudzała w nim sarkazm. • — Czy sprawi ona, że z ziarna wyrośnie kłos, ta wasza wiedza? Co my wiemy? ~ mówił.

Ale wiedział on, że świat został stworzony dla nas, wiedział, że archaniołowie są ponad aniołami;

wiedział, że ciało ludzkie zmartwychwstanie takim, jakie było, gdy zmarły osobnik miał koło trzydziestki.

Jego kapłańska pewność siebie drażniła Bouvarda, który, nie ufając Ludwikowi Heryieu, napisał do Var-lota, a Pecuchet, lepiej poinformowany, poprosił księdza Jeufroy o wyjaśnienie tekstu Pisma ś w.

Sześć dni w Księdze Rodzaju oznacza sześć wielkich epok. Zrabowanie przez Żydów kosztownych naczyń u Egipcjan należy rozumieć jako przywłaszczenie sobie bogactw umysłowych i umiejętności, których tajemnicę wydarli Egipcjowi. Izajasz nie rozebrał się do naga, *nudus* po łacinie znaczy obnażony do pasa; tak oto Wer-giliusz radzi być „nagim” przy orce, a ten pisarz nie dałby zalecenia przeciwnego wstydlivosti! Ezechiel pożerający księgę nie ma w sobie nic nadzwyczajnego; czyż nie mówi się: pożerać broszurę, gazetę?

Ale jeżeli wszędzie widzi się przenośnię, co stanie się z faktami? Ksiądz twierdził jednakże, iż są one rzeczywiste.

Ten sposób rozumienia ich wydał się Pecuchetowi nielojalny. Posunął dalej swe poszukiwania i przyniósł notatkę o sprzecznościach w Biblii.

Exodus* mówi nam, że przez czterdzieści lat składano *otiary* na pustyni, nie złożono żadnej według Amosa * i Jeremiasza*. Paralipomena* i księga Iezdrasza zgoła nie są w zgodzie co do obliczenia ludu izraelskiego, W Deuteronomium* Mojżesz widzi Pana twarzą w twarz; według Exodus nigdy go nie mógł widzieć. Gdzież jest więc natchnienie?

— Jeden powód więcej, aby je dopuścić — zarepli-kował z uśmiechem ksiądz Jeufroy. — Szalbierze potrzebują zmywy, ludzie szczerzy nie dbają o to! W kło-

3

potliwych momentach zwracajmy się do Kościoła. On jest zawsze nieomylny.

— Od kogo jest zależna ta nieomyślność?

Sobory w Bazylei i w Konstancji przypisują ją soborom. A często sobory różnią się w opiniach, dowodem to, co stało się w sprawie Atanazego i Ariusza*; florencki i laterański przyznały nieomyślność papieżowi. Lecz Adrian VI oświadcza, że papież, jak każdy inny człowiek, może się mylić.

— Szykany! Wszystko to nie jest w stanie zachwiać trwałości dogmatu.

Praca Ludwika Heryieu zaznacza jego wariacje: chrzest niegdyś był zastrzeżony tylko dla dorosłych. Ostatnie namaszczenie stało się sakramentem dopiero w IX wieku; obecność rzeczywista* została zadekretowana w VIII, czyściec uznany w XV, Niepokalane Poczęcie jest najświeższej daty*.

I Pecuchet doszedł tą drogą do tego, że już nie wiedział, co myśleć o Jezusie. Trzy Ewangelie czynią zeń człowieka. W jednym ustępie Ewangelii św. Jana zdaje się być równy Bogu; w innym, tej samej księgi, uznawać siebie za niższego.

Ksiądz odcinał się pismem króla Abgara*, aktami Piłata i świadectwem Sybill, „których przepowiednie miały grunt prawdziwy”. Odnajdywał dziewicę u Galów, zwiastowanie odkupiciela w Chinach, Trójkę wszędzie, krzyż na kołpaku wielkiego lamy, w Egipcie w zaciśniętej dłoni bóstw; a nawet pokazał rycinę przedstawiającą nilometr*, który zdaniem Pecucheta był fallu-sem.

Ksiądz Jeufroy zasięgał po kryjomu rady swego przyjaciela, księdza Pruneau, który wyszukiwał dla niego dowody u pisarzy Kościoła. Wywiązała się walka erudycji i podniecany przez miłość własną Pecuchet stawał się umysłem wzniosłym, zdolnym odgadywać głęboki sens mitów.

Porównywał Dziewicę do Izydy*, Eucharystię do homa* starożytnych Parsów*, Bachusa do Mojżesza, arkę Noego do statku Xisuthrosa*; te podobieństwa dowodziły dla niego tożsamości różnych religii.

Ale nie może być wielu religii, skoro jest tylko jeden

3

Bóg; i mąż w sutannie, gdy wyczerpał wszystkie argumenty, wołał:

— To tajemnica!

Co znaczy to słowo? Brak wiedzy/ o czymś, zgoda. Lecz jeśli oznacza coś, co w samym brzmieniu zawiera sprzeczność, wtedy jest głupstwem, i Pecuchet nie dawał już spokoju księdzu

Jeufroy. Nagabywał go niespodzianie w ogrodzie plebanii, czekał nań przy konfesjonale, zaczepiał w zakrystii.

Kapłan chwycił się podstępów, żeby od niego uciec.

Pewnego dnia, gdy proboszcz wracał z Sassetot, gdzie dysponował kogoś na śmierć, Pecuchet wyszedł naprzeciw niego na drogę, aby rozmowę uczynić nieuniknioną.

Było to wieczorem, pod koniec sierpnia. Szkarłatne niebo pociemniało i utworzyła się duża chmura, równa w dole, kłębiasta na szczycie.

Pecuchet z początku mówił o rzeczach obojętnych; potem, zręcznie wsuwając słowo: męczennik, zapytał:

— Ilu, sądzi ksiądz, ich było?

— Ze dwadzieścia milionów co najmniej.

— Ich liczba nie jest tak wielka, mówi Orygenes*.

— Orygenes, wie pan, jest podejrzany!

Silny zryw wiatru przeszedł pochylając trawę przydrożną i dwa rzędy młodych wiązków aż po kraniec horyzontu.

Pecuchet mówił dalej:

— Zalicza się do męczenników wielu biskupów galijskich, zabitych przy stawianiu oporu barbarzyńcom, co już nie należy do rzeczy.

— Czy pan będzie bronił cesarzy? Zdaniem Pecucheta oczerniono ich.

— Historia tebańskiej legii* jest bajka. Kwestionuję również Symforozę i jej siedmiu synów*, Felicyte i jej siedem córek*, i siedem dziewic z Ancyry skazanych na zgwałcenie, choć miały po siedemdziesiąt lat, i jedenaście tysięcy dziewic świętej Urszuli*, której jedna towarzyszka nosiła imię Undecemilla*, imię wzięte za cyfrę; tym bardziej dziesięciu męczenników z Aleksandrii! Jednakże!... Jednakże znajdują się oni u autorów godnych wiary. Spadły krople deszczu.

Proboszcz otworzył parasol

4

i Pecuchet, gdy znalazł się pod nim, ośmielił się twierdzić, że katolicy więcej zrobili męczenników wśród żydów, muzułmanów, protestantów i wolnomyślicieli niż wszyscy Rzymianie ongiś. Duchowny oburzył się:

— Przecie naliczono dziesięć prześladowań chrześcijan od Nerona do cesarza Galby*!

— No to co! A rzezie albigensów*? A noc św. Bartłomieja*? A odwołanie edyktu nantejskiego*?

—• Ekscesy niewątpliwie pożałowania godne, ale nie będzie pan porównywał tych ludzi ze świętym Szczepanem, świętym Wawrzyńcem, Cyprianem, Polikar-pem, mnóstwem misjonarzy.

— Przepraszam! Przypomnę księdzu Hipatię*, Hieronima z Pragi*, Jana Husa*, Giordana Bruno*, Vani-niego*, Dubourga*.

Deszcz wzmógł się i prażył strugami tak ostro, że odskakiwały od ziemi niby małe, białe race.

Pecuchet i ksiądz Jeufroy szli powoli, przyciśnięci do siebie, i proboszcz mówił:

— Po okropnych katuszach rzucano ich do kotłów!

— Inkwizycja też używała tortur i paliła niezgorzej.

— Znakomite damy umieszczano w lupanarach!

— Sądzi ksiądz, że dragoni Ludwika XIV* byli przyzwoici?

— I niech pan weźmie pod uwagę, że chrześcijanie nie występowali wrogo przeciw państwu!

— Hugonoci również!

Wiatr pędził, wymiatał deszcz z ziemi w powietrze. Ulewa trzaskała po liściach, płynęła strumieniami po brzegach drogi, a niebo koloru błota zlewało się z nagimi polami, bo już było po żniwach. Nigdzie ani kawałka dachu. Tylko w dali szalał pasterza.

Nędzny paltot Pecucheta nie miał już suchej nitki. Woda lała mu się wzdłuż kręgosłupa, dostawała się do butów, do uszu, do oczu mimo daszku czapki Amorosa; proboszcz, podnosząc ręką dół sutanny, odsłaniał sobie nogi, a rogi trój graniastego kapelusza wypluwały mu wodę na barki, jak katedralne gargulce.

Trzeba było się zatrzymać i odwracając się tyłem do burzy stali naprzeciw siebie, brzuchem przy brzuchu, trzymając czterema rękami wydzierający się parasol.

Ksiądz Jeufroy nie przerwał swej obrony katolików.

— Czy oni krzyżowali pańskich protestantów, jak był ukrzyżowany święty Symeon, lub rzucali człowieka na pożarcie dwóm tygrysom, jak się stało ze świętym Ignacym?

— A czy ma w oczach księdza jakąś wagę tyle kobiet odłączonych od mężów, tyle dzieci wyrwanych matkom! A wygnanie biednych w śnieżycę, wśród przepaści! Trzymano ich stłoczonych w więzieniach; a ledwie skonali, włączono końmi ich trupy.

Ksiądz roześmiał się szyderczo:

— Pozwoli pan, że nic a nic temu nie wierzę! Nasi męczennicy mniejsze budzą wątpliwości. Święta Blandyzna została wydana naga w sieci na pastwę wścieklej krowy. Święta Julia zginęła pod ciosami. Świętym Tarakowi, Probusowi i Andronikowi wybito zęby młotkiem, rozdarto boki żelaznymi zgrzeblami, przebito dłonie rozpalonymi do czerwoności gwoździami, zdarto skórę z czaszki.

— Ksiądz przesadza — rzekł Pecuchet. — Śmierć męczenników była w owych czasach retoryczną przesadą.

— Jak to retoryczną?

— No tak! Tymczasem ja opowiadam księdzu fakty historyczne. Katolicy w Irlandii rozpruwali brzuchy brzemiennym kobietom, żeby wziąć ich dzieci!

— Nigdy!

— I dać je świniom!

— Co też pan gada!

— W Belgii zakopywali je do ziemi żywcem!

— Co za żarty!

— Zachowały się ich nazwiska!

— A gdyby nawet — odparł ksiądz potrząsając parasolem ze złości — nie można ich nazywać męczennikami. Nie ma męczenników poza Kościołem.

— Jeszcze słówko. Jeżeli wartość męczeństwa jest zależna od doktryny, w jaki sposób mogłoby ono służyć do wykazania doskonałości tej doktryny?

Deszcz ustawał; aż do wsi nie odzywali się już do siebie.

Ale na progu plebanii ksiądz rzekł:

— Żal mi pana! Prawdziwie żal mi pana!

Pecuchet zaraz opowiedział swój spór Bouvardowi.

Ta scysja wywołała w nim jakąś niechęć do religii i w godzinę potem, siedząc przy ogniu z chrustu, czytał książkę Proboszcz *Meslier* *. Zawarte tam tępe przeczenia zraziły go; potem wyrzucając sobie, że, być może, nie poznał się na bohaterach, przejrzał w *Żywotach Świętych* dzieje najsłynniejszych męczenników.

Jakież wrzaski ludu, gdy wchodzili na arenę cyrku! I jeżeli lwy i jaguary były zbyt łagodne, skazańcy gestem i głosem podjudzali je. Widziano ich zalanych krwią, jak stojąc uśmiechali się wpatrzni w niebo; święta Perpetua związała rozpuszczone włosy, by nie wyglądać na strapioną. Pecuchet pograżył się w rozmyślaniach. Okno było otwarte, noc spokojna, błyszczało ciużo gwiazd. Musiały w duszach tych ludzi dziać się rzeczy, o których nie mamy już wyobrażenia, radość, spazm boski! I Pecuchet, marząc uporczywie o tym, powiedział, że to rozumie, że robiłby to samo, co oni. •

-Ty?

— Na pewno.

— Nie błaguj! Wierzysz, tak czy nie?

— Nie wiem.

Zapalił świecę; potem wzrok jego padł na krucyfik w alkowie:

— Iluż nieszczęśników uciekało się do tamtego męczennika!

I po chwili milczenia:

— Skażono jego obraz! To wina Rzymu: polityka Watykanu.

Ale Bouvard podziwiał Kościół dla jego wspaniałości i pragnąłby być kardynałem w średniowieczu.

— Dobrze bym wyglądał w purpurze, chyba przyznasz!

Kaszkiot Pecucheta, postawiony przed węglami na kominku, jeszcze nie wysechł. Rozciągając go poczuł coś twardego w podszewce. Wypadł stamtąd medalik ze św. Józefem. Byli zmieszani, fakt wydawał im się niepojęty!

Pani de Noares chciała dowiedzieć się od Pecucheta, czy nie doznał jakby pewnej zmiany w sobie, uczucia szczęścia, i zdradziła się swymi pytaniami. Pewnego

— Boiryard i Pecuchet

7

razu, gdy grał w pałacu w bilard, wszyła mu medalik do czapki.

Najwidoczniej kochała się w nim; mogli byli się pobrać: była wdową, a on nie podejrzewał tej miłości, która, być może, stałaby się szczęściem jego życia.

Choć okazał się bardziej religijny niż pan Bouvard, poświęciła go świętemu Józefowi, którego pomoc przy nawracaniu się jest najpewniejsza.

Nikt tak jak ona nie znał się na wszystkich różańcach i odpustach, jakie są z nimi związane, na skutkach wywoływanych przez relikwie, na przywilejach cudownych wód. Zegarek jej wisiał na łańcuszku, który dotknął oków świętego Piotra.

Wśród jej breloków połyskiwała złota perła, imitacja tej, która zawiera, w kościele w Allouagne, łzę Pana Naszego Jezusa Chrystusa; w pierścionku na małym palcu były włosy proboszcza z Ars*, a ponieważ zbierała zioła dla chorych, pokój jej przypominał zakrystię i aptekę.

Czas spędzała na pisaniu listów, odwiedzaniu biednych, rozwiązywaniu nieślubnych małżeństw, rozpowszechnianiu obrazków Serca Jezusowego, Pewien pan miał jej przysłać „pastę męczenników”, mieszaninę wosku ze świec wielkanocnych i prochów ludzkich wziętych z katakumb, a której używa się w wypadkach beznadziejnych jako plastra lub w pigułkach. Obiecała dać to lekarstwo Pecuchetowi.

Raził go taki materializm.

Wieczorem lokaj przyniósł mu pełny kosz broszur, gdzie przytaczano pobożne słowa wielkiego Napoleona, zręczne powiedzonka proboszcza w oberżach, opowiadano o grozę budzących wypadkach śmierci bezbożników. Pani de Noares umiała to wszystko na pamięć wraz z całą masą cudów.

Cytowała cuda głupie, bezcelowe, jak gdyby Bóg je sprawił po to, żeby ludzi wprawić w osłupienie. Jej babka schowała suszone śliwki do szafy między bielizną i gdy w rok potem szafę otworzono, ujrzano na obrusie trzynaście śliwek tworzących krzyż.

— Proszę mi to wytłumaczyć.

Było to jej ulubione powiedzenie po historiach, któ-

8

rych bronila z uporem oślicy, zacna zresztą kobieta i wesoła.

Pewnego razu jednakże „wyszła ze swego charakteru”. Bouvard kwestionował jej cud w Pezilla: kompo-tierka, w której schowano hostie podczas Rewolucji, sama z siebie pozłociła się.

— Może było tam na dnie trochę żółtego koloru pochodzącego z wilgoci?

— Ależ nie! Powtarzam panu, że nie! Pozłota powstała wskutek zetknięcia się naczyń z Eucharystią.

I jako dowód podała świadectwo biskupów.

— To jest — mówią oni — jak gdyby *tarcza, pa... palladium** dla diecezji Perpignan. Niech pan zapyta księdza Jeufroy!

Bouvard nie mógł dłużej wytrzymać i ponownie przejrzawszy swego Ludwika Heryieu, zabrał ze sobą Pecucheta.

Duchowny kończył obiad. Regina podała fotele i na gest gospodarza poszła po dwa kieliszki, które napełniła rosolisem*.

Po czym Bouvard wyłożył, co go sprowadza.

Ksiądz nie odpowiedział otwarcie.

— Wszystko jest możliwe dla Boga, a cuda są dowodem dla religii.

— Jednakże są prawa.
— To nic nie znaczy. On je burzy, żeby pouczyć, naprawiać.
— Skąd ksiądz wie, czy burzy? — zareplikował Bouvard. — Póki natura idzie swoją utartą drogą, o tym się nie myśli, ale niech tylko się zdarzy zjawisko nadzwyczajne, zaraz widzimy w tym rękę Boga.
— Może w tym być ręka Boga — rzekł kapłan — i gdy jakieś wydarzenie jest potwierdzone przez świadków...
— Świadkowie dają się nabrać na wszystko, bo są fałszywe cuda! Ksiądz poczerwieniał.
— Zapewne... czasami.
— Jak je odróżnić od prawdziwych? I jeżeli prawdziwe, podawane jako dowody, same potrzebują dowodów, to po co je sprawiać?

|

Regina wtrąciła się i na kaznodziejski sposób swojego pana rzekła, że należy być posłusznym.
— Życie jest przemijające, ale śmierć jest wieczna!
— Słowem — dodał Bouvard pociągając rosolis — cuda z czasów zamierzchłych nie są lepiej dowiedzione niż cuda dzisiejsze; analogiczne racje bronią chrześcijańskich i pogańskich.
Proboszcz cisnął widelec na stół.
— Tamte były fałszywe, raz jeszcze mówią! Nie ma cudów poza Kościołem!
— Hm! — rzekł do siebie Pecuchet — ten sam argument co dla męczenników: doktryna opiera się na faktach, a fakty na doktrynie.
Ksiądz Jeufroy, wypiwszy szklanekę wody, ciągnął dalej:
— Przeczając cudom, jednocześnie wierzyć w nie. Świat nawrócony przez dwunastu rybaków, oto, zdaje mi się, piękny cud!
— Wcale nie!
Pecuchet dowodził tego w inny sposób. ^
— Monoteizm pochodzi od Hebrajczyków, Trójca od Hindusów, Logos* należy do Platona, Dziewica-Matka do Azji.
Cóż z tego! Ksiądz Jeufroy upierał się przy nadprzyrodzoności, nie chciał tłumaczyć historycznie istnienia chrześcijaństwa, choć widział u wszystkich ludów jego zapowiedzi lub zniekształcenia* Zniósłby szyderczą bezbożność XVIII wieku; ale krytyka nowoczesna, ze swą grzeczną formą, wyprowadzała go z równowagi.
— Wolę bluźniącego ateusza niż sceptyka, który sprzecza się o byle co!
Potem spojrział na nich prowokująco, jakby ich wypraszał za drzwi.
Pecuchet wrócił z tej rozmowy w nastroju melancholijnym. Spodziewał się uzgodnienia wiary z rozumem.
Bouvard dał mu do przeczytania ten ustęp z książki Ludwika Heryieu:
„Aby poznać przepaść, która je dzieli, przeciwstawcie sobie pewniki wiary i pewniki rozumu:
Rozum mówi wam: Całość zawiera w sobie część, a wiara wam odpowiada: Przez przeistoczenie Jezus,
przyjmując Komunię ze swymi apostołami, miał swe ciało w ręku, a swą głowę w ustach.
Rozum mówi wam: nie jest się odpowiedzialnym za cudze przestępstwo, a wiara wam odpowiada: przez grzech pierworodny.
Rozum mówi wam: Trzy jest trzy, a wiara oświadcza: Trzy jest jeden.”
Przestali bywać u księdza.
Były to czasy wojny włoskiej.*

Ludzie uczciwi drżeli o papieża. Piorunowano na Emanuela*.

Pani de Noares posunęła się aż do życzenia mu śmierci.

Bouvard i Pecuchet protestowali nieśmiało. Gdy drzwi salonu otwierały się przed nimi i przeglądali się w przejściu w wysokich zwierciadłach, a z okien widać było aleje parku, gdzie odcinała się wśród zieleni czerwona kamizelka służącego, robiło im to przyjemność; i luksus środowiska usposabiał ich pobłażliwie do słów tutaj wygłaszanych.

Hrabia pożyczył im wszystkie dzieła pana de Maistre. Rozwijał zawarte w nich zasady wobec zaufanego grona, do którego należeli: Hurel, proboszcz, sędzia pokoju, notariusz i baron, jego przyszyły zięć, który przyjeżdżał od czasu do czasu na dwadzieścia cztery godziny.

— Wstrętą rzeczą jest — mówił hrabia — duch 89 roku*. Przede wszystkim kwestionuje się Boga; następnie krytykuje się rząd; a potem przychodzi wolność. Wolność obelg, buntu, posiadania lub raczej grabieży, tak iż religia i władze muszą wydalić z kraju tych niezależnych, heretyków. Będzie się niewątpliwie narzekano na prześladowanie, jak gdyby kaci prześladowali, zbrodniarzy. Reasumuję: Nie ma Państwa bez Boga! Prawo może być w poszanowaniu tylko wtedy, gdy pochodzi z nieba, i obecnie nie idzie o Włochów, lecz o przekonanie się, kto weźmie górę. Rewolucja czy papież, Szatan czy Jezus Chrystus. Ksiądz Jeufroy potakiwał monosylabami, Hurel z uśmiechem, sędzia pokoju kiwając głową. Bouvard

1 Pecuchet patrzyli w sufit; pani de Noares, hrabina i Jolanta zajęte były robótkami dla biednych, a pan de Mahurot, obok narzeczonej, przeglądał gazety.

Potem były chwile ciszy, kiedy każdy zdawał się pogrążony w poszukiwaniu rozwiązania problemu. Napoleon III nie był już zbawcą, a nawet dawał fatalny przykład nie broniąc murarzem pracować w Tuileryach* w niedzielę.

„Nie należałoby pozwalać” — było to zwykłe zdanie pana hrabiego.

Czy szło o ekonomię społeczną, o sztuki piękne, literaturę, historię czy doktryny naukowe, decydował

o wszystkim w charakterze chrześcijanina i ojca rodziny; i dałby Bóg, aby rząd pod tym względem miał tę samą surowość, którą on stosował w swym domu! Tylko władza może wydawać sąd o niebezpieczeństwach wiedzy; rozpowszechniona zbyt szeroko, wywołuje u ludu zgubne ambicje. Był szczęśliwszy ten biedny lud, gdy panowie i biskupi łagodzili absolutyzm króla. Przemysłowcy teraz wyzyskują go. Popadnie w niewolę.

I wszyscy żalowali dawnego reżimu: Hurel przez swój lokajski charakter, Coulon przez nieuctwo, Mares-cot jako artysta.

Bouvard wróciwszy do domu odprężył się czytając Lamettrie, Holbacha i innych, a Pecuchet oddalił się od religii, która stała się środkiem rządzenia. Pan de Mahurot przystępował do komunii, żeby przypodobać się paniom, i jeżeli wykonywał praktyki religijne, to ze względu na służbę. Matematyk i dyletant grający walce na fortepianie, wielbiciel Topffera*, wyróżniał się sceptycyzmem w dobrym guście. To, co się opowiada o nadużyciach feudalnych, o inkwizycji lub o jezuitach, to są uprzedzenia; i wychwalał postęp, chociaż gardził każdym, kto nie pochodził ze szlachty lub nie ukończył Szkoły Politechnicznej!

Ksiądz Jeufroy w towarzystwie również im się nie podobał. Wierzył w gusła, pokpiwał sobie z bożyszcz, twierdził, że wszystkie narzecza pochodzą z hebraj-szczyzny; jego retoryce brakowało polotu; niezmiennie występowały: zaszczyty jeleń, miód i piołun, złoto

i ołów, wonności, urny i dusza chrześcijańska porównana z żołnierzem, który winien rzecz stanąwszy przed grzechem: „Nie przejdiesz!”

Żeby uniknąć jego prelekcji, przychodzili do pałacu możliwie późno.

Jednakże pewnego dnia zastali go tam.

2

Od godziny czekał na dwoje swych uczniów. Nagle weszła pani de Noares.

— Mała zniknęła. Przeprowadzani Wiktora. Ach! Nędznik!

Znalazła w jego kieszeni srebrny napastrzek zgubiony przed trzema dniami, po czym dławiąc się łkaniem:

—i To jeszcze nie wszystko! To jeszcze nie wszystko! Kiedy go łajałam, on mi pokazał tyłek! I zanim hrabia i hrabina zdążyli cośkolwiek powiedzieć, dodała:

— Zresztą to moja wina; proszę mi przebaczyć! Ukryła przed nimi, że dwoje sierot to były dzieci

Touache'a, znajdującego się obecnie w katordze.

— Co robić?

Jeżeli hrabia je przepędzi, są stracone, a jej akt miłosierdzia będzie uchodził za kaprys.

Ksiądz Jeufroy nie był zdziwiony. Ponieważ człowiek, według niego, jest z natury zepsuty, należy go karać, żeby poprawić.

Bouvard zaprotestował. Lepsza jest łagodność.

Ale hrabia jeszcze raz rozwodził się nad żelazną ręką niezbędną zarówno dla dzieci, jak i dla narodów. Ci dwoje byli pełni wad: dziewczynka była kłamczuchą, chłopak brutalem. Tę kradzież, ostatecznie, można było wybaczyć; zuchwalstwa nigdy, gdyż wychowanie winno być szkołą szacunku.

Więc Sorel, gajowy, wymierzy łobuzowi natychmiast porządną chłostę.

Pan de Mahurot, który miał gajowemu coś do powiedzenia, podjął się tej misji. Wziął strzelbę z przedpokoju i zawołał Wiktora stojącego ze spuszczoną głową na podwórzu:

— Idź za mną!

Droga do leśniczówki niewiele zbaczała od Cha-yignolles, więc ksiądz Jeufroy, Bouvard i Pecuchet towarzyszyli baronowi.

O sto kroków od pałacu poprosił ich, żeby nie rozmawiali, póki będzie szedł skrajem lasu.

Teren obniżał się aż do brzegu rzeki, gdzie wznosiły się duże grupy gładów. Zachodzące słońce kładło na wodzie złote plamy. Naprzeciw zieleń wzgórz okrywała się cieniem.

Powietrze było rześkie.

3

Dziki królik wyszły z nor i skubały trawę.

Padł strzał, za nim drugi, trzeci i króliki wywracały koziółki, zmykały. Wiktor rzucał się na nie chcąc schwytać i dyszał spocony.

— Ładnie urządzasz ubranie! — rzekł baron. Podarta kurtka była pokrwawiona.

Widok krwi był dla Bouvarda odpychający. Nie dopuszczał możliwości przelewania jej. Ksiądz Jeufroy odezwał się:

— Okoliczności niekiedy wymagają tego. Jeżeli daje swą krew nie ten, kto zawinił, potrzeba krwi innego człowieka, jest to prawda, której nas uczy Odkupienie.

Zdaniem Bouvarda nie na wiele się ona przydała, skoro prawie *wszyscy* ludzie są potępieni, pomimo ofiary Odkupiciela.

— Ale codziennie odnawia On ją w Eucharystii.

— I cud — rzekł Pecuchet — dokonywa się za pomocą słów, choćby kapłan był człowiekiem niegodnym.

— W tym właśnie jest tajemnica, proszę pana. Tymczasem Wiktor wlepił oczy w fuzję, próbował

nawet dotknąć jej.

— Precz z łapami!

I pan de Mahurot poszedł ścieżką pod lasem. Duchowny miał - Pecucheta po jednej stronie, Bouvarda po drugiej, i powiedział mu:

— Bacność, pan zna to: „A kto by zgorszył jednego...”

Bouvard zapewnił go, że korzy się przed Stwórcą, ale był oburzony, iż uczyniono zeń człowieka.

Ludzie lękają się jego zemsty, pracują na jego chwałę, posiada on wszystkie cnoty, rękę, oko, politykę, miejsce zamieszkania. „Ojcze Nasz, któryś jest w niebie” — co to ma znaczyć?

A Pecuchet dodał:

— Świat się rozszerzył, Ziemia nie stanowi już jego środka. Toczy się ona w nieskończonej mnogości, podobnych do niej ciał. Wiele z nich przewyższa ją wielkością i to zmniejszenie się naszego globu wymaga wzniesie j szego wyobrażenia Boga.

Więc religia powinna się zmienić. Raj jest czymś dzieciennym ze swymi błogosławionymi, wiecznie w coś zapatrzonymi, wiecznie śpiewającymi i patrzącymi

4

z góry na męki potępionych. Gdy się pomyśli, że chry-stianizm ma za punkt wyjścia jabłko! Proboszcz się rozgniewał.

— Zaprzeczyć objawieniu byłoby prostsze.

— Jakim sposobem Bóg mógł mówić? — rzekł Bou-vard.

— Proszę dowieść, że nie mówił! —• odcinał się Jeufroy.

— Raz jeszcze pytam, kto tak twierdzi?

— Kościół!

— To mi dowód!

Ta dyskusja nudziła pana de Mahurot i rzekł idąc:

— Proboszczu, on w tych sprawach więcej wie od pana!

Bouvard i Pecuchet porozumieli się znakami, żeby pójść inną drogą, i na rozdrożu Croix-Verte pożegnali się:

— Dobranoc panom!

— Uszanowanie! — rzekł baron.

To wszystko będzie opowiedziane panu de Fayerges i, być może, wyniknie z tego zerwanie stosunków. Trudno. Czuli, że ci szlachcice gardzą nimi. Nie zapraszano ich nigdy na obiad i mieli dosyć pani de Noares z jej ustawicznym upominaniem ich.

Nie mogli jednak zatrzymywać u siebie pożyczonego im de Maistre'a i w dwa tygodnie potem zjawili się znów w pałacu sądząc, że nie będą przyjęci.

Zostali przyjęci.

Cała rodzina znajdowała się w buduarze z Hurelem włącznie i wyjątkowo z Foureau.

Bicie nie poprawiło Wiktora. Nie chciał się uczyć katechizmu, a Wiktoryna mówiła nieprzyzwoite słowa. Krótko mówiąc, chłopak pójdzie do zakładu poprawczego, dziewczynka do klasztoru.

Foureau, jako mer, podjął się wszcząć odpowiednie kroki i odchodził, gdy hrabina zatrzymała go.

Oczekiwano księdza Jeufroy, żeby wspólnie ustalić datę ślubu, który odbędzie się w merostwie znacznie wcześniej niż w kościele, dla pokazania, że kpią sobie ze ślubu cywilnego.

Foureau usiłował go bronić. Hrabia i Hurel .zaatakowali go. Co znaczy funkcja municypalna wobec kapłań-

5

stwa! Baron nie uważałby się za żonatego, gdyby wziął ślub tylko wobec trójkolorowej szarfy *.

— Brawo! — rzekł wchodząc ksiądz Jeufroy. — Skoro małżeństwo zostało ustanowione przez Jezusa...

Pecuchet przerwał mu:

— W której Ewangelii! W czasach apostołskich było ono tak mało poważane, że Tertulian * porównywa je z cudzołóstwem.

— Ha! Coś podobnego!

— Ależ tak! I to nie jest sakrament! Do sakramentu potrzebne jest symboliczne znaczenie. Proszę mi pokazać symboliczne znaczenie małżeństwa!

Proboszcz daremnie odpowiedział, że wyobraza ono związek Boga z Kościołem.

— Ksiądz już nie rozumie chrystianizmu! A prawo...

— Nosi jego piętno — rzekł pan de Faverges — bez niego pozwalałoby na wielożeństwo!

Czyjś głos odparł:

— Cóż byłoby w tym złego?

To był Bouvard na wpół zakryty firanką.

— Można mieć kilka żon, jak patriarchowie, mormoni *, muzułmanie, i mimo to być uczciwym człowiekiem!

— Nigdy! — zawołał ksiądz. — Uczciwość polega na oddaniu tego, co się jest winnym. Winniśmy cześć Bogu. A więc kto nie jest chrześcijaninem, nie jest uczciwy!

— Równie dobrze może być uczciwy — rzekł Bou-vard.

Hrabia, widząc w tej ciętej odpowiedzi targnięcie się na religię, wysławiał ją. Ona wyzwoliła niewolników¹. Bouvard podał cytaty przeczące temu.

— Święty Paweł zaleca niewolnikom posłuszeństwo wobec panów takie jak wobec Jezusa. Święty Ambroży nazywa niewolę darem Boga.

Księga Leyiticus*, Exodus i sobory usankcjonowały ją. Bossuet zalicza ją do prawa narodów, a biskup Bou-vier aprobeuje ją.

Hrabia odpowiedział, że chrystianizm mimo to rozwinął cywilizację.

— I lenistwo, czyniąc z ubóstwa cnotę.

— Jednakże, proszę pana, moralność Ewangelii!

— No! No! Nie jest tak bardzo moralna! Robotnicy,

6

którzy przyszli do pracy w winnicy ostatni, otrzymują taką samą zapłatę jak ci, którzy przyszli pierwsi. Daje się temu, kto ma, a odbiera temu, kto nie ma. Co do zalecenia, aby dać się policzkować bez oddawania i dać się okradać, jest ono zachętą dla zuchwalców, tchórzów i łajdaków.

Skandal wzmógł się, gdy Pecuchet oświadczył, że już woli buddyzm.

Ksiądz wybuchnął śmiechem:

— Cha! Cha! Cha! Buddyzm!

Pani de Noares podniosła w górę ręce:

— Buddyzm!

— Jak to... buddyzm! — powtarzał hrabia.

— Czy ksiądz go zna? — rzekł Pecuchet do Jeufroy, który chcąc odpowiedzieć zaplątał się.

— A więc niech ksiądz się dowie! Lepiej niż chrystianizm i przed nim uznał nicość rzeczy doczesnych. Jego praktyki są surowe, wyznawców ma więcej niż jest wszystkich chrześcijan, a co do wcielenia, Wisznu * ma nie jedną inkarnację, lecz dziewięć! No, niech pan teraz rozsądzi!

— Kłamstwa podróżników — orzekła pani de Noares.

— Popierane przez masonów¹ — dodał proboszcz. I mówili jeden przez drugiego:

— No, dalej!

— Ślicznie!

— Uważam to za śmieszne!

— Niemożliwe!

Tak iż Pecuchet doprowadzony do ostateczności oświadczył, że zostanie buddystą!

— Znieważa pan chrześcijanki! — rzekł baron. Pani de Noares osunęła się w fotel. Hrabina i Jolanta

milczały. Hrabia toczył oczami. Hurel czekał na jego rozkazy. Ksiądz, by się pohamować, czytał brewiarz.

Ten widok uspokoił pana de Fayerges i uważnie przyglądając się obu nieborakom wycedził:

— Zanim się zacznie ganić Ewangelię i gdy się ma na swoim życiu plamy, są pewne zadośćuczynienia...

— Zadośćuczynienia!

— Plamy?

— Dość, panowie! Powinniście mnie rozumieć! Potem, zwracając się do Foureau:

7

— Sorel jest uprzedzony! Proszę iść do niego!

I Bouvard, i Pecuchet wyszli nie kłaniając się. Na końcu alei wszyscy trzej wyrzucili z siebie swe urazy:

— Traktuje mnie jak służącego — mruczał Foureau. A że tamci przyświadcza mu, miał dla nich, pomimo

wspomnienia o hemoroidach, pewną sympatię.

Robotnicy drogowi pracowali w polu. Człowiek, który nimi kierował, zbliżył się; był to Gorju. Zaczęła się rozmowa. Dozorował brukowania drogi bitej, uchwalonej w 48 roku, i zawdzięczał to miejsce panu de Mahurot, inżynierowi.

— Temu, który się żeni z panną de Fayerges! Panowie idą pewno stamtąd?

— Po raz ostatni! — rzekł brutalnie Pecuchet. Gorju udał naiwnego.

— Pogniewali się panowie? Hm! Hm!

I gdyby mogli widzieć jego minę, gdy odchodzili, zrozumieliby, że zwąchał przyczynę waśni. Nieco dalej zatrzymali się przed sztachetami, za którymi widać było psie budy i domek pod czerwoną dachówką.

Wiktoryna stała na progu. Rozległy się szczekania. Zjawiała się żona gajowego.

Wiedząc, po co przychodzi mer, zawołała Wiktora.

Wszystko już było przygotowane i ich wyprawa zmieściła się w dwóch chustkach spiętych agrafkami.

— Szczęśliwej drogi — powiedziała im — bardzo rada, że już nie będę miała u siebie tego plugastwa!

Czy to ich wina, że urodzili się z ojca bandyty? Przeciwnie, wydawali się bardzo łagodni, nie troszczyli się nawet o to, dokąd ich prowadzą.

Bouvard i Pecuchet patrzyli na nich, gdy szli przodem.

Wiktoryna coś sobie nucila trzymając w ręku swe zawiniątko jak modystka niosąca pudło.

Czasami odwracała się i Pecuchet patrząc na jej blond kędziorki i zgrabną figurkę żałował, że nie ma podobnej dziewczuszki. Wychowana w innych warunkach, byłaby później urocza. Co za szczęście widzieć ją, jak rośnie, słyszeć codziennie jej szczebiot, ucałować ją, gdy miałby

8
ochotę, i rozczulenie, idące mu z serca na wargi, zwilżyło jego powieki, ścisnęło mu serce.

Wiktor jak żołnierz włożył sobie swój bagaż na plecy. Gwizdał, ciskał kamieniami we wrony na miedzach, szedł pod drzewa wyciąć sobie kijek. Foureau go przywołał i Bouvardowi, gdy go trzymał za rękę, przyjemnie było czuć w swojej palce chłopca silne i sprężyste. Biedaczysko chciał tylko rozwijać się swobodnie, jak kwiat na wolnym powietrzu, a zgnije między murami, z lekcyjami, z karami, furą głupstw! Bouvard odczuł w sobie zbuntowaną litość, oburzenie na los, wściekłość, w której pragnie się zniszczyć rząd.

— Hasaj! — rzekł — baw się! Ciesz się tym, co ci zostało!

Chłopak poskoczył.

Jego siostra i on mieli zanocować w oberży, a nazajutrz, skoro świt, dylizans pocztowy z Falaise zabierze Wiktora, żeby go wysadzić w domu poprawy w Beau-bourg; zakonnica z sierocińca w Grand-Camp weźmie ze sobą Wiktorynę.

Foureau po udzieleniu tych szczegółów pogrążył się z powrotem w swych myślach. Ale Bouvard chciał wiedzieć, ile mogło kosztować utrzymanie dwojga dzieciaków.

— Ba... To kwestia jakich trzystu franków! Hrabia wręczył mi dwadzieścia pięć na pierwsze koszt! Co za kutwa!

I mając na wątrobie lekceważenie jego szarfy, Foureau w milczeniu przyśpieszał kroku. Bouvard mruknął:

— Żal mi ich. Chętnie bym się nimi zaopiekował!

— Ja również — rzekł Pecuchet, gdyż przyszła im do głowy ta sama myśl.

Są zapewne jakieś przeszkody?

— Nie ma żadnej! — odparł Foureau.

Zresztą, jako mer, miał prawo powierzyć bezdomne dzieci, komu uzna za stosowne. I po długim wahaniu:

— No więc dobrze! Weźcie je! Szlag go trafi. Bouvard i Pecuchet zabrali dzieci.

Wracając do domu znaleźli na dole przy schodach, pod madonną. Marcelego na klęczkach, modlącego się żarliwie. Z odrzuconą w tył głową, z przymkniętymi

9

L

oczami, rozszerzając swą zajęczą wargę wyglądał na fakira w ekstazie.

— Co za bydlę! — rzekł Bouvard.

— Dlaczego? Być może, widzi on coś, czego zazdrościłbyś mu, gdybyś mógł to widzieć: Czyż nie ma dwóch światów całkiem odmiennych? Przedmiot jakiegoś rozumowania mniejszą ma wartość niż sposób rozumowania. Co znaczy samo wierzenie! Najważniejsze to wierzyć.

Takie były zarzuty Pecucheta w odpowiedzi na uwagę Bouvarda.

Sprowadzili szereg prac traktujących o wychowaniu i wybrali sobie system. Należało odrzucić wszelką ideę metafizyczną i stosując metodę eksperymentalną iść drogą rozwoju naturalnego. Nic nie nagliło, dwoje uczniów musiało najpierw zapomnieć to, czego się nauczyli.

Chociaż oboje byli zdrowi i silni, Pecuchet chciał, jak Spartańczyk, jeszcze ich zahartować, przyzwyczać do głodu, do pragnienia, do niepogody, a nawet, żeby nosili trzewiki dziurawe dla zabezpieczenia od katarów. Bouvard sprzeciwił się temu.

Ciemna izdebka w głębi korytarza została ich sypialnią. Umebłowanie składało się z dwóch łóżek polowych, dwóch prycz, konewki; owalne okienko otwierało się nad ich głowami, a po ścianach biegały pająki.

Często przypominali sobie wewnątrz lepianki, gdzie wrzały kłótnie.

Ojciec ich wrócił pewnej nocy z zakrwawionymi rękami. W jakiś czas potem przyszli po niego żandarmi. Następnie mieszkali w lesie. Mężczyźni wyrabiający sa-boty ściskali ich matkę.

Umarła, dzieci zabrano wózkiem. Bito ich dużo, błakali się. Potem przypominał im się polowy, pani de Noares, Sorel, i nie zadając sobie pytania, dlaczego są w tym nowym domu, czuli się tu szczęśliwi. Toteż przykre było ich zdziwienie, gdy po ośmiu miesiącach znowu zaczęły się lekcje. Bouvard zajął się małą, Pecuchet chłopcem.

Wiktor rozróżniał litery, ale nie potrafił składać sylab. Bełkotał przy tym, zatrzymywał się raptem i miał minę idioty. Wiktoryna zadawała pytania. Dlaczego to *ch*

o

w słowie *orchestre* ma dźwięk *q*, a wymawia się *k* w *ar-cheologique*? Czasami trzeba łączyć dwie samogłoski, kiedy indziej rozdzielać je. To wszystko jest niesłuszne. Oburzała się.

Nauczyciele wykładali o tej samej porze w swych pokojach, a że przepierzenie było cienkie, to cztery głosy, jeden cienki, jeden niski i dwa krzykliwe, tworzyły okropną kocią muzykę. Żeby z tym skończyć i dodać dzieciakom bodźca współzawodnictwem, przyszło im do głowy posadzić je do pracy razem, w muzeum. Zabrano się do pisania.

Dwoje uczniów na dwóch końcach stołu przepisywało jakieś zdanie, ale pozycja ciała była zła.

Trzeba było ich prostować, kartki im spadały, pióra się rozszczepiały, kałamarz się przewracał.

Wiktoryna w niektóre dni pisała dobrze przez trzy minuty, potem bazgrała i zniechęcona siedziała z oczami wlepionymi w sufit. Wiktor nie omieszkał zasypiać rozwalony na stole.

Być może, dzieci cierpiały? Zbyt silne napięcie szkodzi młodym mózgom.

— Zatrzymajmy się — rzekł Bouvard.

Nie ma nic głupszego, jak kazać się uczyć na pamięć; jednakże, jeżeli się nie ćwiczy pamięci, zaniknie ona, więc wkuwali w nich pierwsze bajki La Fontaine'a. Dzieci pochwalały mrówkę, która gromadzi zapasy, wilka pożerającego jagnię, lwa, który bierze dla siebie wszystkie części zdobyczy.

Gdy stały się śmielsze, zaczęły niszczyć ogród. Ale jaką im dać rozrywkę?

Jan Jakub w *Emilu** radzi guwernerowi, żeby kazał uczniowi robić swe zabawki samemu przy nieznacznej jego pomocy i tak, żeby uczeń nie domyślał się jej. Bouvard nie potrafił sfabrykować sersa, Pecuchet uszyć piłki. Przeszli do gier pouczających, takich jak wycinanki; Pecuchet pokazał im swój mikroskop. Przy zapalanej świecy Bouvard rysował cieniem palców na ścianie profil zająca lub świni. Widzów to znużyło.

Autorzy dzieł pedagogicznych gorąco zalecają jako przyjemność majówkę, przejażdżkę łodzią; czy to było wykonalne, szczerze mówiąc? A Fenelon poleca od

1

i

czasu do czasu „niewinną rozmowę”. Nie podobna wyobrazić sobie bodaj jednej! Powrócili do lekcji i objaśnianie szlifowania szkła, gwintów, druku, wszystko zawiodło, aż wreszcie wpadli na myśl użycia fortelu.

Ponieważ Wiktor miał pociąg do łakomstwa, pokazywano mu w książce nazwę jakiejś potrawy; niebawem czytał płynnie *Kucharza francuskiego*, Wiktoryna była kokietką, więc powiedziano jej, że dostanie sukienkę, jeżeli żeby ją otrzymać, sama napisze do krawcowej, W niecałe trzy tygodnie dokonała tego cudu. Było to schlebianie ich wadom, środek szkodliwy, ale się powiódł. Teraz, kiedy umieli czytać i pisać, czego ich uczyć? Nowy kłopot.

Dziewczęta nie potrzebują mieć tyle wiedzy co chłopcy. Mniejsza o to, ale wychowuje się je zazwyczaj na idiotki dając im za cały bagaż umysłowy mistyczne brednie.

Czy należy uczyć je języków? „Hiszpański i włoski — twierdził Łabędź z Cambrai* — służą tylko do czytania dzieł niebezpiecznych.” Taki motyw wy dał im się głupi. Jednakże Wiktor y nie na nic by się nie przydały te języki, gdy tymczasem angielski jest bardziej używany. Pecuchet przestudiował jego reguły, z powagą pokazywał sposób wymawiania *th*.

— Uważaj, tak, *the, the, the!*

Ale zanim się zacznie uczyć dziecko, należy poznać jego uzdolnienia. Odgaduje się je za pomocą frenologii*. Pograżyli się w nią; potem chcieli sprawdzić jej twierdzenia na sobie. Bouvard wykazywał guz życzliwości, wyobraźni, poważania i energii miłosnej *vulgo* * erotyzmu.

Na kościach skroniowych Pecucheta wyczuwało się skłonność do filozofowania i zapał, połączone z chytro-ścią.

Istotnie, takie były ich charaktery. Jeszcze więcej ich zadziwiło stwierdzenie u jednego i u drugiego skłonności do przyjaźni, i zachwyceni tym odkryciem uściskali się serdecznie.

Dalsze badania prowadzili na Marcelim. Jego największą wadą, znaną im, był niesłychany apetyt. Nie-

2

mniej jednak Bouvard i Pecuchet byli przerażeni stwierdzając nad małżowiną jego ucha, na wysokości oka, oznakę alimentacyjności*. Z wiekiem ich służący stałby się może takim żarłokiem jak owa kobieta z Sal-petriere *, która zjadała dziennie osiem funtów chleba, pochłonęła pewnego razu czternaście porcji zupy, innym znów razem sześćdziesiąt kubków kawy. Nie sprostałoby kosztom takiego odżywiania.

Głowy ich uczniów nie miały w sobie nic ciekawego; niezawodnie źle się brali do badania. Bardzo prosty sposób rozszerzył ich doświadczenie.

W dni targowe wciskali się między chłopów na placu, torując sobie drogę wśród worków z owsem, koszów sera, cieląt, koni, nieczuli na popychania; i gdy znaleźli młodego chłopca z ojcem, prosili go, by im pozwolił pomagać czaszkę chłopaka w celach naukowych.

Zaczepiani przeważnie nie odpowiadali im nawet; inni, sądząc, że idzie o maść przeciw parchom, odmawiali z irytacją; niektórzy z obojętności pozwalali się zaprowadzić pod kruchtę kościelną, gdzie nikt nie będzie przeszkadzał.

Pewnego ranka, gdy Bouvard i Pecuchet zaczynali tam swoje manipulacje, zjawił się nagle proboszcz i widząc, co robią, zarzucił frenologii, że popycha do materializmu i fatalizmu. Złodziej, morderca, cudzołożnik mogą odtąd- zwałać winę swych przestępstw na wadliwą budowę czaszki.

Bouvard odparł na to, że organ usposabia do czynu, ale do niego nie zmusza. To, że jakiś człowiek ma w sobie zaródź występku, nie dowodzi, że będzie występny.

— Zresztą, podziwiam ortodoksów, uznają istnienie pojęć wrodzonych, a odrzucają skłonności. Co za sprzeczność!

Ale frenologia, według księdza Jeufroy, przeczyła wszechmocy boskiej i było rzeczą niestosowną

zajmować się nią w cieniu świętego miejsca, na wprost wielkiego ołtarza.

•—• Proszę iść sobie stąd! Proszę sobie iść!

Ulokowali się u Ganota, fryzjera. Żeby pokonać wszelkie wahania, Bouvard i Pecuchet posuwali się do fundowania rodzicom badanych osobników golenia lub uczesania.

— Bouvard i Pecuchet

3

Pewnego popołudnia przyszedł tam doktor ostrzyć się. Siadając na fotelu zobaczył, odbitych w lustrze, dwóch frenologów, przesuwających palce po łepetynach dzieci.

— Zajmujecie się, panowie, tymi głupstwami?

— Dlaczego to mają być głupstwa?

Vaucorbeil uśmiechnął się lekceważąco; potem zapewnił, że nie ma w mózgu kilku narządów.

— Weźmy pod uwagę, że dany osobnik trawi pokarm, którego nie trawi inny osobnik! Czyż należy przypuszczać, że w żołądku jest tyle żołądków, ile jest tam smaków?

Ale jedna praca daje wytchnienie od drugiej, wysiłek intelektualny nie napręża jednocześnie wszystkich władz umysłowych, każda ma odrębne siedlisko w mózgu.

— Anatomowie nie napotkali go — rzekł Vaucorbeil.

— Bo źle robili sekcje — odparł Pecuchet.

— Jak to?

— No tak. Krają płaty bez względu na łączność części — było to zdanie z książki, które zapamiętał.

— Bzdura! — zawołał lekarz. — Czaszka nie przybiera swego kształtu podług mózgu, zewnętrzne nie modeluje się na wewnętrznym. Gali myli się i zobaczymy, czy panowie zdołają wykazać słuszość jego doktryny biorąc na chybił trafił trzy osoby z obecnych tutaj.

Pierwszą była chłopka o dużych niebieskich oczach. Pecuchet rzekł badając ją:

— Ma doskonałą pamięć.

Jej mąż potwierdził to i sam zgłosił się do zbadania.

— O, wy, mój zuchu, jesteście trudni do prowadzenia!

Zdaniem pozostałych nie było na świecie podobnego uparciucha.

Trzeci egzamin odbył się na głowie chłopca, któremu towarzyszyła babka.

Pecuchet oświadczył, że powinien być miłośnikiem muzyki.

— Ja myślę — rzekła kobiecina. — Pokaż tym panom, co potrafisz.

4

Wyciągnął zza pazuchy drumlę i zaczął w nią dmuchać.

Rozległ się łoskot, to wychodził doktor trzasnąwszy z pasją drzwiami.

Teraz nie wątpili już o swych kwalifikacjach i wezwawszy dwoje uczniów wznowili analizę ich czaszek.

Czaszka Wiktryny była na ogół gładka, oznaka równowagi umysłowej; ale jej brat miał godną politowania: bardzo silna wypukłość w sutkowatym kącie kości ciemieniowych oznaczała organ destrukcji, mordu, a wzdęcie poniżej wskazywało na pożyłliwość, popęd do kradzieży. Bouvard i Pecuchet byli tym strapieni przez cały tydzień.

Ale trzeba znać ścisły sens słów; to, co nazywamy wojowniczością, mieści w sobie pogardę śmierci. Jeżeli wynikają z niej zabójstwa, może ona również wywoływać ratowanie ludzi. Popęd do nabywania obejmuje i spryt oszusta, i zabiegliwość kupca. Brak szacunku jest równoległy do zmysłu krytycznego, chytryść do przezorności. Zawsze jakiś popęd rozdwa się na części: zła i dobra. Zniszczy się pierwszą kultywując drugą i przy takiej metodzie śmiałe dziecko bynajmniej nie będzie bandytą, lecz zostanie generałem. Tchórz będzie tylko człowiekiem przezornym, skąpiec oszczędnym, rozrzut-nik szczodrym.

Wspaniałe marzenie zajęło im umysł: jeżeli powiedzie im się wychowanie ich uczniów, założą potem zakład, którego celem będzie podnosić inteligencję, ujarzmić złe skłonności, uszlachetniać serca. Już mówili o gromadzeniu funduszków i budowie gmachu.

Tryumf u Ganota przyniósł im rozgłos i przychodzili ludzie poradzić się, chcąc, aby im powiedziano, jakie mają szansę powodzenia w życiu.

Przedfilowały przed nimi wszelkie typy czaszek: okrągłe jak kula, gruszkowate, w kształcie

głowy cukru, kwadratowe, wydłużone, zwarte, spłaszczone, z byczymi szczękami, z ptasimi twarzami, z oczami świni; ale tyłu ludzi przeszkadzało fryzjerowi w pracy. Łokcie ocierały się o szafę oszkloną z perfumerią; wprowadzali nieład w rozłożonych grzebieniach, umywalnia została rozbita. Wyrzucił wszystkich amatorów za drzwi, prosząc Bouvarda i Pecucheta, żeby wyszli za nimi, ulti-

5

matum, które przyjęli bez szemrania, nieco już zmęczeni kranioskopią *.

Nazajutrz, gdy przechodzili koło ogródka kapitana, ujrzeni rozmawiającego z nim, z Girbalem i z Coulonem polowego i jego młodszego syna, Zefiryndy, w stroju ministranta. Płaszcz był nowiuteńki; spacerował sobie w nim przed oddaniem do zakrystii i mówiono mu, że ładnie wygląda.

Ciekaw, co wielmożni panowie o nim myślą, Placque-vent poprosił Bouvarda i Pecucheta, żeby pomacali głowę synalka.

Skóra na czole wyglądała jak napięta; nos cienki, bardzo na końcu chrząstkowaty, spadał ukośnie na zaciśnięte wargi; podbródek był spiczasty, spojrzenie niepewne, prawy bark za wysoki.

— Zdejmij piuskę — powiedział mu ojciec. Bouvard wsunął mu dłonie we włosy koloru słomy, potem przyszła kolej na Pecucheta. Swe obserwacje komunikowali sobie półgłosem.

— B i o f i l i a wyraźna. A! A! Uznani o-wość! Świadomościowości nie ma!

— No więc? — spytał strażnik.

Pecuchet otworzył tabakierkę i zażył szczyptę.

— Dalibóg — odparł Bouvard — nieosobliwie to wygląda.

Placquevent poczerwieniał z upokorzenia.

— Mimo to będzie on spełniał moją wolę.

— No! No!

— Toć jestem jego ojcem, do diabła! I mam prawo...

— W pewnej mierze — rzekł Pecuchet. Wtrącił się Girbal.

—• Władza rodzicielska jest bezsporna.

— Ale jeśli ojciec jest idiotą?

•— To nic — odezwał się kapitan — niemniej jego władza jest absolutna.

— W interesie dzieci — dorzucił Coulon.

Według Bouvarda. i Pecucheta nic nie są one winne sprawcom ich przyjścia na świat, a przeciwnie, rodzice winni są im utrzymanie, wykształcenie, grzeczne traktowanie, słowem, wszystko.

Mieszczuchy oburzyli się na tę niemoralną opinię. Placquevent był nią dotknięty jak zniewagą.

6

— Przy takich zasadach ładnie wyglądają te dzieci, które wy zbieracie na gościńcach. Zajdą daleko! Strzeżcie się!

— Czego? — rzekł cierpko Pecuchet.

— Och! Ja się was nie boję!

— Ja również!

Coulon wtrącił się, pohamował strażnika i kazał mu się oddalić.

Przez kilka minut panowało milczenie. Potem była mowa o daliach kapitana, który nie wypuszczał swych gości, póki nie pokazał im swych okazów.

Bouvard i Pecuchet wracali do domu, gdy o sto kroków przed sobą dojrzeliby Placqueventa; Zefiryndę, obok niego, podnosił łokieć jak tarczę zabezpieczającą przed policzkami.

To, co przed chwilą usłyszeli, wyrażało, w innej formie, poglądy pana hrabiego; lecz przykład ich wychowanków będzie świadczył, o ile swoboda lepsza jest od przymusu. Trochę dyscypliny było jednak konieczne.

Pecuchet przybił w muzeum tablicę szkolną do pokazów; będzie prowadzony dziennik, gdzie czyny dziecka, zanotowane wieczorem, będą odczytywane nazajutrz. Wszystko będzie się odbywało na dźwięk dzwonka. Jak Dupont de Nemours * będą stosowali naprzód nakaz ojcowski, potem nakaz wojskowy, a mówienie „ty” zostało wzbronione.

Bouvard spróbował uczenia Wiktoryndy rachunków. Czasami oboje się mylili i oboje się z tego

śmiali, po czym całując go w szyję, w miejscu, gdzie nie ma zarostu, prosiła, żeby ją zwolnił; pozwalała jej odejść.

Pecuchet w porze lekcji daremnie ciągnął za dzwonek i wykrzykiwał przez okno nakaz wojskowy, urwis nie przychodził. Skarpetki zawsze opadały mu na kostki; nawet przy jedzeniu dłużył palcami w nosie i nie wstrzymywał wiatrów. Broussais* w tym wypadku zabrania dawać bury, gdyż „należy ulegać instynktowi samozachowawczemu”.

Wiktor i Wiktoryna mówili okropnym językiem; ale ponieważ dzieci nie mogą zrozumieć gramatyki, a będą ją znały, jeżeli słyszą poprawną mowę, dwaj poczciwcy czuwali nad swym wysławianiem się tak, że im to przeszkadzało w swobodnej rozmowie.

7

Różnili się w zdaniach co do geografii. Bouvard sądził, że logiczniej jest zaczynać od gminy, Pecuchet, że od całości świata.

Za pomocą polewaczki i piasku chciał pokazać, co to jest rzeka, wyspa, zatoka, a nawet poświęcił trzy klomby na trzy kontynenty; ale strony świata nie wchodziły do głowy Wiktora.

W jedną styczniową noc zabrał go ze sobą w pole. Idąc wysławiał astronomię: żeglarze korzystają z niej w swych podróżach; Krzysztof Kolumb bez niej nie byłby dokonał swego odkrycia.

Winniśmy wdzięczność Kopernikowi, Galileuszowi i Newtonowi.

Był ostry mróz i na ciemnym granacie nieba iskrzyło się mnóstwo światła. Pecuchet wznosił oczy. — Co to, nie ma Wielkiej Niedźwiedzicy!

Gdy ją widział po raz ostatni, zwrócona była w inną stronę; wreszcie rozpoznał ją, potem pokazał gwiazdę polarną, zawsze na północy, i według której trzeba się orientować.

Nazajutrz postawił pośrodku salonu fotel i zaczął dokoła niego tańczyć walca.

— Wyobraź sobie, że ten fotel to słońce, a ja jestem ziemią; ona w ten sposób się porusza.

Wiktor wpatrywał się w niego zbaraniały.

Następnie Pecuchet wziął pomarańczę, wsadził w nią pałeczkę przedstawiającą bieguna, potem zrobił węglem na skórce koło dla oznaczenia równika. Zapaliwszy świecę wodził pomarańczą dokoła niej, zwracając uczniowi uwagę, że wszystkie punkty powierzchni nie były oświetlone równocześnie, co wywołuje różnicę klimatów; a co do różnicy pór roku, przechylił pomarańczę, gdyż ziemia nie trzyma się prosto, co sprowadza zrównania i przesilenia dnia z nocą.

Wiktor nic z tego wszystkiego nie zrozumiał. Myślał, że ziemia kręci się około długiej igły i równik jest obręczą ściskającą obwód tej kuli.

Za pomocą atlasu Pecuchet przedstawił mu Europę, ale w galimatiasie linii i kolorów nie mógł odnaleźć nazw. Dorzecza i łańcuchy górskie nie zgadzały się z granicami państw, Europa polityczna gmatwała Europę fizyczną. Wszystko to może wyjaśni się przy nauce historii.

8

Byłoby praktyczniej zacząć od wsi, potem przejść do gminy, powiatu, departamentu, prowincji; ale że Cha-yignolles nie miało żadnych kronik, trzeba było z konieczności trzymać się historii powszechnej. Tyle tematów¹ jest w niej natłoczone, że należy brać stamtąd tylko rzeczy piękne. Z dziejów starożytnej Grecji: „Będziemy walczyli w cieniu” *; zazdrośnika, który przyczynił się do banicji Arystydesa *, i zaufanie Aleksandra do jego lekarza. Z dziejów Rzymu: gęsi na Kapitolu, trójnóg z żarem Scewoli*, beczkę Regulusa*. Łoże z róż Guatimozina* jest ważne dla Ameryki. Co do Francji, ma ona w swych dziejach wagę z Soissons *, dąb świętego Ludwika*, śmierć Joanny d'Arc, kurę w garnku Henryka IV*: tyle tego, że wybór sprawia kłopot i to nie licząc już „A moi d'Auvergne!”* i zatonięcia „Mściciela!”*.

Wiktor mieszał ze sobą ludzi, stulecia i kraje. A przecież Pecuchet nie zamierzał wciągać go w jakieś rozważania, ale masa faktów, tworzy istny labirynt.

Ograniczył się do wymienienia królów¹ Francji. Wiktor zapominał ich z braku znajomości dat. Sposoby, jakie podaje mnemotechnika, okazały się w swoim czasie niedostateczne dla nich samych, coś dopiero dla niego! Wniosek: historii można się nauczyć, tylko czytając dużo. Jego uczeń będzie dużo czytał.

Rysunek jest pożyteczny w przeróżnych okolicznościach: Pecuchet odważył się uczyć go sam rysunku z natury, biorąc się na początek do krajobrazu.

Księgarz z Bayeux przysłał im papier, gumę, dwie teczki, ołówki i utrwalacz do ich dzieł, które

pod szkłem i w ramach ozdobią muzeum.

Wstawszy o świcie wyruszyli w drogę z kromką chleba w kieszeni; dużo czasu tracono w poszukiwaniu malowniczego miejsca. Pecuchet chciał jednocześnie odtworzyć to, co miał pod nogami, kraniec horyzontu i obłoki, ale dalsze plany dominowały zawsze nad pierwszymi; rzeka staczała się z nieba, pasterz szedł po grzbietach stada, śpiący pies wyglądał na biegnącego psa. Zrezygnował z własnych rysunków przypomniawszy sobie wyczytaną gdzieś definicję: „Rysunek składa się z trzech rzeczy: linii, groszku, cieniowania z dodatkiem silnej kreski. Ale silną kreskę daje tylko sam nauczy-

9

ciel.” Poprawiał więc linie Wiktora, pomagał mu robić groszek, pilnował cieniowania i czekał na okazję dania silnej kreski. Okazja taka nie nadarzyła się nigdy, tak dalece niezrozumiały był pejzaż ucznia.

Jego siostra, równie leniwa jak on, ziewała przy tabliczce mnożenia. Panna Regina uczyła ją szycia i gdy Wiktoryna znała bieliznę, podnosiła palce tak wdzięcznie, że Bouvard potem nie miał serca męczyć jej lekcją rachunków. W najbliższych dniach zabiorą się do tego znowu.

— Niewątpliwie arytmetyka i szycie są konieczne w małżeństwie, lecz jest rzeczą okrutną — rzekł Pecuchet — w wychowywaniu dziewcząt mieć na widoku tylko wyjście za męża. Nie wszystkie są przeznaczone do hymenu; jeśli się chce, żeby później obyły się bez mężczyzn, trzeba je nauczyć wiele rzeczy.

Można wpajać wiedzę z racji najpospolitszych przedmiotów: powiedzieć na przykład, co to jest wino; i po otrzymaniu wyjaśnienia Wiktor i Wiktoryna musieli je powtórzyć. To sarno było z towarami kolonialnymi, ze sprzętami, z oświetleniem; ale światłem była dla nich lampa i nie miała ona nic wspólnego z iskrą z krzemienia, z płomieniem świecy, z blaskiem księżyca.

Pewnego dnia Wiktoryna zapytała:

— Dlaczego drzewo się pali?

Jej opiekunowie spojrzeli na siebie z zakłopotaniem, gdyż teoria spalania się przekraczała zasób ich wiadomości.

Innym znów razem Bouvard, od zupy aż do poobiedniego sera, mówił o składnikach odżywczych i oszołomił swych pupilów włóknikiem krwi, kazeiną, tłuszczem i klejem roślinnym.

Następnie Pecuchet chciał im wytłumaczyć, jak odnawia się krew, i nie mógł wybrnąć z krążenia. Dylemat bynajmniej- nie był łatwy: jeśli za punkt wyjścia wziąć fakty, najprostszy wymaga zbyt złożonego rozumowania, a stawiając naprzód zasady, zaczyna się od absolutu, od wiary.

Jak to rozwiązać? Skomhinować dwa typy nauczania, racjonalne i empiryczne; ale dwojaki środek dążący do jednego celu to przeciwieństwo metody. Ha, trudno!

0

Żeby wtajemniczyć dzieci w historię naturalną, spróbowali odbyć kilka przechadzek naukowych.

— Widzisz — mówili pokazując osła, konia, wołu — zwierzęta o czterech nogach, nazywa się je czworonogami. Na ogół ptaki mają pióra, gady łuski, a motyle należą do gromady owadów.

Mieli siatkę do łapania motyli i Pecuchet trzymając delikatnie owada pokazywał im cztery skrzydła, sześć łapek, dwa czułki i ryjek wciągający nektar z kwiatów.

Zbierał zioła lecznicze na skarpach rowów, mówił ich nazwy, a gdy nie wiedział, zmyślał dla zachowania swego prestiżu. Zresztą nomenklatura jest w botanice najmniej ważna.

Napisał na tablicy ten pewnik: „Każda roślina ma liście, kielich i koronę zawierającą w sobie zalążnię, lub nasiennik, gdzie znajduje się nasienie.” Potem nakazał swym uczniom zbierać rośliny w polu i zrywać te, które znajdą pod ręką.

Wiktor przyniósł mu jaskry, Wiktoryna kępkę poziomek, szukał tam daremnie nasiennika.

Bouvard, nie ufający swej wiedzy, przeszukał całą bibliotekę i znalazł w „*Redoute des Dames*” * rysunek irysu, gdzie zalążnię znajdowały się nie w koronie, lecz pod płatkami, w łodydze.

W ich ogrodzie były kwitnące przytulie i konwalie, te marzanowate nie miały kielicha; w ten sposób zasada wypisana na tablicy okazywała się fałszywa.

— To wyjątek — rzekł Pecuchet.

Ale traf sprawił, że zobaczyli w trawie rolnicę, i ona miała kielich.

To dobre sobie! Jeżeli nawet wyjątki nie są prawdziwe, na czym w takim razie polegać? Pewnego dnia podczas takiej przechadzki usłyszeli krzyki pawy, rzucili okiem poza mur i w pierwszej chwili nie poznali swojej fermy. Stodoła była pokryta łupkową dachówką, ogrodzenia były nowe, drogi wybrukowane. Pokazał się Gouy:

— Czy to możliwe! To panowie?

Ileż wydarzeń w ciągu trzech lat, śmierć jego żony między innymi. Co do niego, trzymał się ciągle jak dąb. •— Niechże panowie wejdą na chwilę. Było to w początkach kwietnia i kwitnące jabłonie

1

wystawiały rzędem z poza trzech ogrodzeń swe biało-różowe korony; na niebie barwy błękitnego atłasu nie było jednej chmurki; obrusy, prześcieradła i ręczniki wisiały, pionowo umocowane drewnianymi zatyczkami na wyprężonych sznurach. Gouy podnosił je, żeby przejść, gdy nagle zetknęli się z panią Bordin, z gołą głową, w kaftanie, i z Marianną, podającą jej oburącz kupy bielizny.

— Witam panów! Zachowujcie się jak u siebie! Ja usiądę, nóg nie czuję.

Dzierżawca zaproponował całemu towarzystwu lampkę wina.

— Nie teraz — rzekła — za gorąco mi.

Pecuchet przyjął zaproszenie i zniknął w kierunku piwniczki z Gouy, Marianną i Wiktorem.

Bouvard usiadł na ziemi obok pani Bordin.

Otrzymywał punktualnie swą rentę, nie miał powodu się skarżyć, nie miał już do niej żadnej pretensji.

Mocne słońce oświetlało profil; jedno pasmo czarnych włosów opuściło się i kędziorki na karku przylepiały się do jej skóry o bursztynowym odcieniu, wilgotnej od potu. Za każdym zaczerpnięciem tchu piersi jej się podnosiły. Woń trawy mieszała się z przyjemnym zapachem jej jędrnego ciała i Bouvard doznał nawrotu pożądania, co go napełniło radością. *Zaczai* jej prawić komplementy na temat obecnego stanu fermy.

Była tym zachwycona i zwierzyła się ze swych projektów.

Dla powiększenia dziedzińców skasuje otaczający je nasyp.

Wiktoryna w owej chwili wdrapywała się na szkarpę wału i zrywała pierwiosnki, dzikie hiacynty i fiołki, nie bojąc się starego konia gryzącego trawę u stóp wału.

— Prawda, jaka ona miła? — rzekł Bouvard.

— Tak! Dziewczynka to coś miłego!

I wdowa wydała westchnienie, które zdawało się wyrażać nieustające zmartwienie całego jej życia.

— Mogła była pani mieć ją. Pochyliła głowę.

— To tylko od pana zależało.

— Co?

Spojrzał tak, że ona stała się purpurowa, jakby do-

2

znając brutalnej pieśczoży; ale zaraz potem, wachlując się chustką do r;osa:

— Przepuściłeś, mój kochany, dobrą okazję.

— Nie rozumiem.

I nie wstając przysunął się do niej. Ona długo mu się przyglądała; po czym uśmiechając się i z wilgotnymi źrenicami:

— To pańska wina.

Prześcieradła dokoła nich tworzyły jakby kotary łoża.

Pochylił się na łokciu, dotykając twarzą jej kolan.

— Dlaczego? Co? Dlaczego?

A że ona milczała, a on był w tym stanie, kiedy przysięgi nic nie kosztują, próbował się usprawiedliwić, oskarżył się o szaleństwo, o pychę:

— Proszę mi przebaczyć! Będzie tak jak niegdyś! Chce pani?

I wziął ją za rękę, a ona pozostawiła mu ją w dłoni.

Nagły zryw wiatru podniósł prześcieradła i ujrzeni dwa pawie, samca i samicę. Samica stała nieruchoma, na zgiętych nogach, z wystawionym w górę kuprem. Samiec krążył dokoła niej, rozkładał ogon w wachlarz, puszył się, gdakał, po czym skoczył na nią rozpuszczając pióra, które okryły ją jak sklepienie, i dwa wielkie ptaki zadrzały jednym wspólnym dreszczem.

Bouvard uczył go w dłoni pani Bordin. Wyrwała mu rękę szybko. Przed nimi, z otwartymi ustami i jakby skamieniał, stał młody Wiktor i patrzył; nieco dalej Wiktoryna, leżąc na wznak w pełnym słońcu, wachała wszystkie zebrane kwiaty.

Stary koń, spłoszony przez pawie, wierzgnięciem zerwał jeden ze sznurów, uwikłał sobie w nim nogi i galopując przez trzy podwórza włókł za sobą bieliznę.

Na wściekłe krzyki pani Bordin nadbiegła Marianna. Gouy beształ konia: — Podła szkapa! Szelma! Drańska chabeta! — kopał go nogą w brzuch, bił po uszach biczyskiem.

Bouvard był oburzony biciem zwierzęcia.

Chłop odparł:

— Mam do tego prawo: jest moje!

To nie była żadna racja. A Pecuchet, który wtedy

3

nadszedł, dodał, że zwierzęta mają też swoje prawa, bo mają duszę jak my, jeżeli w ogóle nasza istnieje.

— Pan jest bezbożnik! — zawołała pani Bordin.

Trzy rzeczy rozjątrzyły ją: ponowne pranie, obrażenie jej wierzeń i obawa, że zauważono ją przed chwilą w pozie podejrzaney.

— Sądziłem, że pani jest odporniejsza — rzekł Bouvard.

Odpowiedziała tonem mentorskim:

— Nie lubię łobuzerii!

A Gouy miał do nich pretensję o to, że skaleczył konia, któremu z chrapów ciekła krew.

Mamrotał pod nosem:

— Psiekrwie, tylko nieszczęście przynoszą! Miałem go właśnie spętać, gdy oni przyszli.

Bouvard i Pecuchet poszli sobie, wzruszając ramionami. Wiktor zapytał ich, dlaczego gniewali się na Gouy'a.

— On nadużywa siły, a to jest złe. — Dlaczego to jest złe?

Czyżby dzieci nie miały żadnego poczucia słuszności? Być może!

Tego jeszcze wieczora Pecuchet, mając Bouvarda po prawej ręce, pod ręką kilka notatek, a przed sobą dwoje wychowanków, rozpoczął kurs moralności.

Wiedza ta uczy nas kierować swymi czynami.

Mają one dwie pobudki: przyjemność, interes; i trzecią, najważniejszą: obowiązek.

Obowiązki dzielą się na dwa działy:

Primo: Obowiązki wobec samych siebie, które polegają na troszczeniu się o swe ciało, na zabezpieczeniu się przed wszelką krzywdą. To dzieci rozumiały doskonale.

Sekundo: Obowiązki wobec innych, to jest być zawsze uczciwym, życzliwym, a nawet braterskim, gdyż rodzaj ludzki jest jedną wielką rodziną. Często to, co nam się podoba, szkodzi naszym bliźnim; interes różni się od dobra, bo dobro jest z istoty czymś nie dającym się zmniejszyć. Dzieci nie rozumiały. Odłożył na przyszły raz sankcję obowiązków.

Z tym wszystkim, zdaniem Bouvarda, nie określił on dobra.

4

— Jakże chcesz je określić? Czuje się je.

W takim razie lekcje moralności nadają się tylko dla ludzi moralnych, wobec czego kurs Pecucheta utknął w miejscu.

Kazali swym uczniom czytać historyjki, które miały budzić w nich zamięłowanie do cnoty.

Zanudziły Wiktora.

Żeby podzielać na jego wyobraźnię, Pecuchet powiesił na ścianach swego pokoju obrazki przedstawiające życie dobrego chłopca i nicponia.

Pierwszy, Adolf, całował matkę, uczył się niemieckiego, pomagał ślepcowi i został przyjęty do Szkoły Politechnicznej.

Nicpoń, Eugeniusz, zaczynał od niesłuchania ojca, miał awanturę w kawiarni, bił żonę, upijał się do nieprzytomności, został włamywaczem, a ostatni obrazek przedstawiał go w katordze, gdzie jakiś pan, w towarzystwie młodego chłopca, mówił wskazując go:

„Widzisz, mój synu, niebezpieczeństwa złego prowadzenia się.”

Ale dla dzieci przyszłość nie istnieje. Na próżno pchali im do głowy tę maksymę: „Praca jest szanowana, a bogaci bywają nieszczęśliwi.” Wiktor i Wiktoryna znali pracowników bynajmniej nie szanowanych i przypominali sobie pałac, gdzie życie wyglądało ponętnie.

Męki wyrzutów sumienia odmalowano im z taką przesadą, że wietrzyły w tym błagę i nie ufały całemu opowiadaniu na temat wyrzutów.

Spróbowano kierować nimi za pomocą punktu honoru, pojęcia opinii publicznej i pragnienia chwały, wysławiając przed nimi wielkich mężów, zwłaszcza ludzi użytecznych, takich jak Belsunce*, Franklin, Jacquard*! Wiktor nie zdradzał najmniejszej ochoty, aby być do nich podobny.

Pewnego dnia, gdy zrobił dodawanie bez pomyłki, Bouvard przyszył mu do kurtki wstążeczkę oznaczającą order. Pysznił się nim; ale gdy zapomniał daty śmierci Henryka IV, Pecuchet nałożył mu ośle uszy. Wiktor zaczął ryczeć tak donośnie i długo, że trzeba było zdjąć te uszy z tektury.

Jego siostra, tak samo jak on, była dumna z pochwał i obojętna na strofowania.

Żeby w nich wyrobić większą czułość, dano im czar-

5

nego kota, którego mieli chować, i dwa czy trzy soldy, żeby dawali jałmużnę. Uznali to żądanie za niesprawiedliwe, te pieniądze należały do nich.

Stosując się do życzenia pedagogów nazywali Bouvarda „wujaszkiem” a Pecucheta „przyjacielem”, ale mówili im „ty” i połowa lekcji zazwyczaj schodziła na kłótniach.

Wiktoryna wyzyskiwała Marcelego, siadała mu na barana, ciągnęła go za włosy; żeby drwić z jego zajęcej wargi, mówiła jak on przez nos. Biedaczysko nie śmiał się skarżyć, tak lubił tę dziewczynkę. Pewnego wieczora jego chrapliwy głos rozległ się z niezwykłą siłą. Bouvard i Pecuchet zeszli do kuchni. Wychowańcy obserwowali komin, a Marceli składając ręce krzychał: — Wyciągnijcie go! Tego za wiele! Tego za wiele!

Pokrywa kociołka wyskoczyła jak wybuchający pocisk. Jakaś szarawa masa wystrzeliła aż pod sufit, potem kręciła się w kółko jak szalona, wydając przeraźliwe krzyki.

Poznano kota wychudzonego jak szkielet, bez sierści, z ogonem podobnym do sznura; olbrzymie oczy wychodziły mu z głowy; miały kolor mleka, były jakby puste, a jednak patrzyły.

Spotworniałe zwierzę wciąż wyło, wskoczyło w palenisko, znłknęło, po czym spadło w popiół bezwładne.

To Wiktor popełnił takie okrucieństwo i dwaj poczciwcy cofnęli się bladzi z osłupienia i grozy.

Na wyrzuty odpowiedział tak jak polowy o swym synu, a dzierżawca o swym koniu:

—• No to co! Skoro jest mój — bez zawstydzenia, naiwnie, w spokoju nasyconego instynktu.

Wrzątek z kociołka rozlał się po podłodze; rondle, szczypce i głównie leżały rozrzucone na płytach.

Marceli jakiś czas sprzątał kuchnię, potem jego panowie i on pochowali biednego kota w ogrodzie pod pa-godą.

Następnie Bouvard i Pecuchet długo rozmawiali o Wiktorze. Krew ojcowska się odzywała. Co robić? Zwrócić go panu de Faverges lub powierzyć innym osobom byłoby to przyznać się do bezsilności. Może się poprawi.

Cóż z tego! Nadzieja była słaba i serdeczności już być

6

nie mogło. A przecież jak byłoby przyjemnie mieć przy sobie młodzieńca ciekawego myśli opiekunów, śledzić jego postępy, i który później zostaje bratem; ale Wiktorowi brak było zalet umysłu, serca jeszcze bardziej, i Pecuchet westchnął, trzymając zgięte kolano w splecionych dłoniach.

— Siostra nie jest więcej warta — rzekł Bouvard.

Wyobrażał sobie dziewczynę mniej więcej piętnastoletnią, o duszy delikatnej, wesołego

usposobienia, ozdabiającą dom wdziękiem swej młodości; i jak gdyby był jej ojcem, a ona umarła, pocziwiec rozplakał się.

Potem, starając się znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Wiktora, przytoczył opinię Rousseau:

„Dziecko nie ma poczucia odpowiedzialności, nie może być ani moralne, ani niemoralne.”

Te dzieci, zdaniem Pecucheta, były już w wieku dojrzałości umysłowej, szukali więc środków poprawy. „Żeby kara była skuteczna — mówi Bentham * — musi być dostosowana do winy, jako jej naturalne następstwo. Dziecko rozbiło szybę, nie wprawi się jej: niech marznie; jeżeli nie będąc głodne domaga się jakiejś potrawy, dajcie mu: niestrawność wywoła rychło skruczę. Jest leniwe, niech siedzi bez pracy: nuda sama z siebie każe mu wrócić do roboty.”

Ale Wiktor nie marzyłby, jego organizm pozwalał mu na przejadanie się, a próżnowanie podobałoby mu się.

Przyjęli system odwrotny, karę leczniczą; wyznaczono mu zadania do odrobienia, stał się jeszcze większym leniem; nie dawano mu deseru, jego łakomstwo spotęgowało się. Może ironia poskutkuje? Pewnego razu, gdy przyszedł do stołu z brudnymi rękami, Bouvard wyśmiał go, nazywając ładnym kawalerem, elegantem, lalusiem. Wiktor słuchał z pochylonym czołem, nagle zbladł i cisnął talerz w głowę Bouvardowi; po czym wściekły, że chybił, rzucił się nań. Trzech ludzi ledwo mogłoby go obezwładnić. Tarzał się po ziemi, próbował kąsać. Pecuchet z daleka polał go karafką wody; natychmiast się uspokoił, lecz ochrypł na dwa dni. Środek nie był dobry. Zastosowali inny: przy najmniejszym objawie złości, traktując go jako chorego, kładli go do łóżka; Wiktor dobrze czuł się tam i podśpiewywał sobie. Pewnego dnia

7

znalazł w bibliotece stary orzech kokosowy i zaczynał go rozbijać, gdy nadszedł Pecuchet:

— Mój kokos!

To była pamiątka od Dumouchela! Przywiózł ją z Paryża do Chavignolles, podniósł ręce w górę z oburzenia. Wiktor zaczął się śmiać. „Przyjacieł” nie wytrzymał, dał mu w łeb tak, że chłopak potoczył się w kąt pokoju, po czym wychowawca, drżąc ze wzburzenia, poszedł poskarżyć się Bouvardowi.

Bouvard zrobił mu wyrzuty.

— Głupi jesteś z tym swoim kokosem! Bicie przytępi umysł, a strach osłabia nerwy. Sam siebie ponizasz!

Pecuchet odparł na to, że kary cielesne są niekiedy konieczne. Pestalozzi * używał ich, a słynny Melan-cton * wyznaje, że bez nich niczego by się nie nauczył. Ale karanie bezlitosne popychało dzieci do samobójstwa, czyta się tego przykłady. Wiktor zabarykadował się w swoim pokoju. Bouvard pertraktował z nim przez drzwi i żeby go skłonić do otworzenia ich, obiecał mu placek ze śliwkami.

Odtąd stał się gorszy.

Pozostał środek zalecany przez jego ekscelencję Du-panloup *: „surowe spojrzenie”. Usiłowali nadać swym twarzom wygląd straszny i nie wywołali tym żadnego wrażenia.

— Nie pozostało nam nic więcej, jak spróbować religii — rzekł Bouvard.

Pecuchet obruszył się. Usunęli ją ze swego programu.

Ale rozumowanie nie zaspokaja wszystkich potrzeb. Serce i wyobraźnia pragną czego innego. Nadprzyrodzo-ność dla wielu dusz jest niezbędna, postanowili więc posłać dzieci na naukę katechizmu.

Regina zaofiarowała się zaprowadzić je tam. Przychodziła do ich domu i dawała się lubić dzięki swemu miłemu obejściu.

Wiktoryna nagle się zmieniła, była powściągliwsza, ugrzeczniona, klękała przed Madonną, podziwiała ofiarę Abrahama, przy słowie „protestant” śmiała się drwiąco.

Oświadczyła, że ma przepisany post; poinformowali się w tej sprawie, to była nieprawda. W dzień Bożego

8

Ciała białe kwiaty zniknęły z jednego klombu dla ozdobienia ołtarza; bezczelnie zaprzeczyła, że

to ona je pościnała. Innym razem zabrała Bouvardowi dwadzieścia soldów i położyła je podczas nieszporów zakrystianowi na tacę.

Wywnioskowali z tych faktów, że moralność różni się od religii; gdy religia przestaje być podstawą dla moralności, znaczenie jej jest drugorzędne.

Pewnego wieczora, podczas obiadu, wszedł pan Ma-rescot; Wiktor uciekł natychmiast.

Notariusz, nie chcąc usiąść, powiedział, co go sprowadza: młody Touache zbił, omal nie zabił, jego syna.

Ponieważ wiadome było pochodzenie Wiktora i to, że był nieprzyjemny w obejściu, inni chłopcy nazywali go kajdaniarzem, i dopiero co sprawił panu Arnoldowi Marescot w zuchwały sposób lanie. Drogi Arnold nosi ślady tego pobicia na ciele.

— Jego matka jest bliska rozpaczy, ubranie ma poszarpane, zdrowie nadwyrężone! Do czego to dochodzi?

Notariusz żądał surowej kary i żeby Wiktor nie chodził więcej na lekcje katechizmu dla uniknięcia nowych starć.

Bouvard i Pecuchet, choć dotknięci jego aroganckim tonem, obiecali wszystko, czego chciał, ustąpili.

Czy Wiktoorem powodowało uczucie honoru, czy zemsty? Tak czy owak to nie był tchórz.

Ale jego brutalność przerażała ich; muzyka łagodziła obyczaj e., Pecuchet umyślił uczyć go solfeżu.

Wiktorowi z trudem przychodziło płynne czytanie nut i nie mieszanie ze sobą terminów¹ *adagio*, *presto* i *sjorzando*.

Jego nauczyciel wysilił się, żeby mu wyłożyć gamę, pełny akord, diatonikę, chromatykę i dwa rodzaje in-terwałów, nazywane majorowym i minorowym.

Kazał mu stanąć prosto, z wysuniętą naprzód piersią, cofnąć ramiona, szeroko otworzyć usta, i żeby to pokazać na przykładzie, sam wydał kilka fałszywych dźwięków; głos z trudem wychodził Wiktorowi z krtani, tak ją kurczył; gdy pauza rozpoczynała takt, pośpieszał się lub spóźniał.

Niemniej Pecuchet zabrał się do śpiewu na dwa głosy. Wziął do rąk pałeczkę, która miała zastępować

— Bouvard i Pecuchet

9

smyczek, i wykonywał ramieniem władcze gesty, jak gdyby stał przed orkiestrą; ale zajęty jednocześnie dwiema czynnościami mylił się w taktcie, jego błąd wywoływał inne u ucznia, i marszcząc brwi, naprężając mięśnie szyi, ciągnęli razem dalej na chybił trafił aż do końca strony. Wreszcie Pecuchet powiedział do Wiktora:

— Nie wygląda na to, żebyś się chlubnie wyróżnił w stowarzyszeniach śpiewaczych.

I porzucił naukę muzyki.

Locke zresztą może ma rację, gdy mówi: „Muzyka wciąga do towarzystw tak rozwiązanych, że lepiej zająć się czym innym.”

Bez zamiaru zrobienia z niego pisarza Bouvard i Pecuchet uznali za pożyteczne dla Wiktora, gdy będzie umiał napisać ładny list. Powstrzymała ich refleksja: stylu epistolarnego nie można się nauczyć, gdyż jest on właściwy tylko kobietom.

Myśleli następnie o wtłoczeniu mu w pamięć kilku kawałków z literatury i mając kłopot z wyborem, zajrzeli do dziełka pani Campan *. Zaleca ona scenę z Elia-cynem * chóry z *Estery* * i całego Jana-Baptystę Rous-seau *.

To jest trochę przestarzałe. Co do powieści, zabrania czytania ich, jako malujących świat w zbyt korzystnych barwach.

Jednakże robi wyjątek dla *Klaryssy Harlowe** i *Ojca rodziny* miss Opy. Kto jest miss Opy?

Nie znaleźli jej nazwiska w *Biografii Michaud*. Pozostawały jako lektura baśnie czarodziejskie.

— Będą się spodziewali diamentowych pałaców — rzekł Pecuchet. — Literatura rozwija umysł, ale podsycza żądze.

Wiktoryna została usunięta z lekcji katechizmu z powodu swoich żądz. Złapano ją na tym, że całowała syna notariusza, a z Reginą nie było żartów: jej twarz pod grubo rurkowanym czepcem była surowa.

Po takim skandalu jak trzymać dłużej młodą dziewczynę tak zepsutą?

Bouvard i Pecuchet nazwali proboszcza starym bydlęciem. Gospodyni broniła go warcząc:

— Znają tu was! Znają!

0

Ostro jej odpowiedzieli i poszła sobie tocząc wściekłymi oczami.

Wiktoryna istotnie zadurzyła się w Arnoldzie, taki był dla niej ładny w aksamitnej kurtce z haftowanym kołnierzem, włosy mu pachniały, i przynosiła chłopcu bukietki aż do chwili, gdy zadenuncjował ją Zefiryn.

Co za idiotyzm ta cała awantura, skoro to było dwoje niewinnych dzieci!

Czy należało odsłonić im tajemnicę przychodzenia na świat dzieci?

— Nie widziałbym w tym nic złego — rzekł Bouvard. — Filozof Basedow* wykladał ją swym uczniom, rozwodząc się zresztą tylko nad ciążą i rodzeniem.

Pecuchet był innego zdania. Wiktor zaczynał go niepokoić.

Podejrzewał go o złe przyzwyczajenie. Czemu nie? Poważni ludzie zachowują je przez całe życie i podobno księżę d'Angouleme do nich należał.

Pytaniami, które zadał swemu uczniowi, naprowadził go na to, czego chciał się dowiedzieć, i niebawem nie miał już żadnych wątpliwości.

Wówczas nazwał go przestępcą i chciał, żeby czytał tytułem kuracji Tissota *. To arcydzieło, zdaniem Bouvarda, było bardziej zgubne niż pożyteczne. Lepiej wzbudzić w nim uczucie poetyczne; Aime Martin * powiada, że pewna matka w podobnym wypadku pożyczyła *Nową Heloizę* swemu synowi i aby stać się godnym miłości, młodzieniec ten natychmiast wszedł na drogę cnoty.

Ale Wiktor nie był do tego zdolny.

— A gdybyśmy go raczej zaprowadzili do kobiet? Pecuchet wyraził swój wstręt do prostytutek. Bouvard uważał ten wstręt za idiotyczny i mówił nawet o tym, żeby odbyć w tym celu podróż do Hawru.

— Co ty masz w głowie? Zobaczono by nas przy wejściu!

— No to kup mu prezerwatywę!

— Ale sprzedawca mógłby pomyśleć, że to dla mnie! — rzekł Pecuchet.

Wiktorowi byłaby potrzebna rozrywka emocjonująca jak polowanie, ale to spowodowałoby wydatek na

: 1

strzelbę, psa; woleli go zmęczyć chodzeniem i przedsięwzięli wycieczki na wieś.

Chłopak wymykał się im, chociaż pilnowali go na zmianę: byli tak zmęczeni, że wieczorem nie mieli sił utrzymać w ręce gazety.

Czekając na Wiktora rozmawiali z przechodniami i — jako pedagogowie — starali się uczyć ich higieny, ubolewali nad marnotrawstwem wody, nawozu, piorunowali na zabobony: szkielet kosa w stodole, poświęcony bukszpan w oborze, worek w robakami na stopach osób leżących w gorączce.

Zaczęli odwiedzać kobiety karmiące dzieci „oddane na mamki” i oburzali się widząc, jak żywią niemowlęta; jedne poją je kleikiem z kaszy, wskutek czego giną z braku sił; inne opychają mięsem półrocze zaledwie i te umierają z niestrawności; niektóre z tych bab myją niemowlęta własną śliną, wszystkie obchodzą się z nimi brutalnie.

Gdy zauważyli na jakichś drzwiach ukrzyżowaną sowę, wchodzili do tego domu i mówili fermerom:

— Źle robicie, te stworzenia żywią się szczurami, polnymi myszami; znaleziono w żołądku puszyczka mnóstwo poczwerek gąsienic.

Chłopi znali ich, bo widywali najpierw jako lekarzy, potem w poszukiwaniu starych sprzętów, później kamieni, i odpowiadali:

— Dajcie spokój, kawalarze! Nie próbujcie nas powi-czać.

Przekonanie Bouvarda i Pecucheta zachwiało się; gdyż wróble oczyszczają ogrody warzywne, ale zjadają czereśnie. Sowy pożerają owady i jednocześnie nietoperze, które są pożyteczne, a jeżeli krety zjadają ślimaki, to zarazem ryją ziemię. Jednej rzeczy byli pewni — że należy wytepić

wszelką zwierzynę, jako zgubną dla rolnictwa.

Pewnego wieczora, przechodząc przez las Faverges'a, doszli przed dom, gdzie Sorel, na skraju drogi, gestykulował między trzema osobnikami.

Pierwszy był niejaki Dauphin, łątacz obuwia, mały, chudy, o twarzy mruka. Drugi, stary Aubain, posłaniec we wsiach okolicznych, miał na sobie znoszony żółty surdut i spodnie z niebieskiego drelichu. Trzeci, Eu-

2

geniusz, służący pana Marescota, wyróżniał się swą brodą przystrzyżoną jak broda sadownika. Sorel pokazywał im pętlę z miedzianego drutu połączoną z jedwabnym sznurkiem przytrzymywanym przez cegłę" — sidła, które zastawiał łątacz, przyłapany na tym przez gajowego.

•— Jesteście świadkami, prawda?

Eugeniusz kiwnął brodą potakująco, a stary Aubain odparł:

— Skoro tak mówicie.

Sorela doprowadzał do wściekłości tupet, z jakim łądak zastawiał sidła tuż koło leśniczówki, wyobrażając sobie, że nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać takiej *rzeczy* w tym miejscu.

Dauphin uderzył w ton płaczący:

— Wlazłem na nie, starałem się nawet zepsuć je. Zawsze go oskarżają, mają do niego pretensje, jest

bardzo nieszczęśliwy!

Sorel, nie odpowiadając mu, wyjął z kieszeni notes, pióro i atrament, żeby spisać protokół.

— Och, nie! — rzekł Pecuchet. Bouvard dodał:

— Niech pan go puści, to dzielny człowiek!

— On, kłusownik!

— No to co, gdyby nawet tak było?

I zaczęli obaj bronić kłusownictwa: przede wszystkim wiadomo, że króliki gryzą młode pędy, zające wyrządzają szkody w roślinach zbożowych, z wyjątkiem może bekasów...

— Dajcie mi święty spokój.

I gajowy pisał z zaciśniętymi zębami.

— Co za upór! — mruknął Bouvard.

— Jeszcze słówko i wezwę żandarmów!

— Pan jest grubianin! — rzekł Pecuchet.

— A wy hetki pętelki — odciął się Sorel. Bouvard unosząc się nazwał go chamem, fagasem!

A Eugeniusz powtarzał:

— Spokojnie! Spokojnie! Szanujmy prawo — podczas czego stary Aubain stękał o trzy kroki od nich na przymie kamieni.

Zaniepokojona podniesionymi głosami, cała psiarnia wyległa z bud, widać było przez sztachety gorejące śle-

3

pia, czarne pyski, i psy, rzucając się na wszystkie strony, ujadły przeraźliwie.

—• Przestańcie mi się naprzykrzać — zawołał ich pan — bo inaczej poszczuję je na wasze portki!

Dwaj przyjaciele oddalili się zadowoleni mimo wszystko, że bronili postępu, cywilizacji.

Zaraz nazajutrz przysłano im pozew do sądu pokoju w sprawie o zelżenie gajowego; dowiedzieli się, że są skazani na 100 franków odszkodowania, „o ile nie nastąpi rekurs prokuratora wobec popełnionych przez nich wykroczeń: koszt pozwu 6 franków 75 centymów. Tier-celin, woźny". Dlaczego prokurator? Zakręciło im się od tego wszystkiego w głowie, potem uspokajając się przygotowali sobie obronę.

W oznaczonym dniu Bouvard i Pecuchet udali się do merostwa o godzinę za wcześnie. Żywego ducha; krzesła i trzy fotele otaczały owalny stół pokryty suknem, w ścianie była nisza do wstawiania pieca, a biust cesarza na postumencie dominował nad całością.

Włóczyli się po całym budynku aż do strychu, gdzie była sikawka pożarna, kilka flag, a w kącie na ziemi inne gipsowe popiersia: wielki Napoleon bez korony, Ludwik XVIII z epoletami na

fraku, Karol X łatwy do poznania po obwisłej wardze, Ludwik-Filip o brwiach wygiętych w łuk i uczesaniu w kształcie piramidy; spad dachu dotykał mu karku. Wszystkie biusty były za-pstrzone przez muchy i brudne od kurzu. Ten widok zdemoralizował Bouvarda i Pecucheta. Rządy Francji wzbudzały w nich politowanie, gdy wrócili do głównej sali.

Zastali tam Sorela i polowego, jeden ze swą blachą gajowego na ramieniu, drugi w czapce wojskowej. Rozmawiało tu z tuzin osób pociągniętych do odpowiedzialności za niezamiatanie ulic, za psy bezpieczeństwa, za brak latarni przy powozikach lub za trzymanie podczas mszy otwartych szynków.

Wreszcie zjawił się Coulon w todze z lekkiej czarnej wełny i w berecie z aksamitnym otokiem. Jego sekretarz usiadł z lewej strony, mer, przepasany szarfą, z prawej, i wywołano wkrótce sprawę Sorela przeciw Bouvardowi i Pecuchetowi.

4

Ludwik Martial Eugeniusz Lenepyeur, lokaj w Chayi-gnolles (Calvados), skorzystał ze swej sytuacji świadka, żeby roztoczyć wszystko, co wiedział o mnóstwie rzeczy nie należących do sprawy.

Mikołaj Justyn Aubain, wyrobnik, obawiał się narazić Sorelowi i zaszkodzić wielmożnym panom; słyszał grube słowa, jednakże ma co do tego wątpliwości; powołał się na swą głuchotę.

Sędzia pokoju kazał mu usiąść z powrotem, po czym zwrócił się do gajowego.

— Czy podtrzymuje pan swe oświadczenia?

— Oczywiście.

Coulon następnie zapytał obu pozwanych, co mają do powiedzenia.

Bouvard twierdził, że nie znieważył Sorela, lecz biorąc stronę kłusownika bronił interesów naszych wsi! przypomniał nadużycia feudalne, rujnujące łowy wielkich panów.

— Nie o to chodzi! Wykroczenie...

— Za pozwoleniem! — zawołał Pecuchet. — Słowa: wykroczenie, przestępstwo, zbrodnia, nie są warte. Chcieć w ten sposób segregować fakty karalne, *znaczy* opierać się na podstawie arbitralnej. To tak jakby się powiedziało obywatelom: „Nie troszczcie się o wartość swoich czynów, określa ją tylko kara wymierzana przez władze”; kodeks karny zresztą wydaje im się dziełem niedorzecznym, bez zasad.

— To możliwe! — odpowiedział Coulon.

I miał już ogłosić wyrok; lecz Foureau, który reprezentował oskarżyciela publicznego, wstał. Znieważono strażnika podczas pełnienia przezeń służby. Jeżeli nie szanuje się własności, wszystko jest stracone.

— Słowem, raczy pan, sędzio pokoju, zastosować najwyższy wymiar kary.

Wyniosła ona dziesięć franków tytułem odszkodowania dla Sorela.

— Bravo! — zawołał Bouvard. Coulon nie skończył:

— Skazuję ich poza tym na pięć franków grzywny, jako winnych wykroczenia wskazanego przez prokuraturę.

Pecuchet obrócił się do audytorium:

5

— Grzywna jest drobnostką dla bogatego, ale klęską dla biedaka. Dla mnie to nic nie znaczy! Miał taką minę, jakby kpił sobie z sądu.

— Doprawdy — rzekł Coulon — dziwię się, że ludzie inteligentni...

— Prawo zwalnia pana od posiadania inteligencji! — zareplikował Pecuchet. — Sędzia pokoju pełni swe funkcje bez granicy wieku, gdy tymczasem sędzia sądu najwyższego uznany jest za zdolnego do nich do lat siedemdziesięciu pięciu, a sędzia pierwszej instancji przestaje nim być ukończywszy siedemdziesiąt.

Na gest Foureaux podszedł Placquevent. Zaprotestowali.

— Ha! Gdyby panowie byli mianowani sędziami z konkursu!

— Albo przez radę generalną.

— Bądź przez komitet rzeczoznawców, z poważnej listy!

Placquevent popychał ich ku wyjściu; wyszli, odprowadzani urągłym śmiechem reszty pozwanych, chcących się tu przypodobać tym nędznym sposobem.

Żeby wyładować swe oburzenie, poszli wieczorem do Beljambe'a; jego kawiarnia była pusta, gdyż miejscowi notable mieli zwyczaj rozchodzić się koło dziesiątej. Przykręcono lampę, ściany i lada wyglądały jak we mgle; zjawiała się kobieta. Była to Mela.

Nie zdradzała zmieszania i z uśmiechem nalała im dwa kufle piwa. Pecuchet, skrępowany, szybko opuścił zakład.

Bouvard zabawił kilku mieszczan złośliwymi uwagami o merze i od tego dnia bywał w knajpie.

W sześć tygodni potem Dauphin został uniewinniony z braku dowodów. Co za wstyd!

Podejrzewano tych samych świadków, którym wierzono, gdy zeznawali na niekorzyść Bouvarda i Pecucheta.

I gniew ich nie miał granic, gdy urząd skarbowy wezwał ich do zapłacenia grzywny. Bouvard zaatakował urząd skarbowy, jako szkodliwy dla własności ziemskiej.

— Pan się myli! — rzekł poborca.

— Daj pan spokój! Ona dźwiga na sobie trzecią część ciężarów publicznych! Chciałbym, żeby system podatkowy był mniej dokuczliwy, żeby kadaster * był lepszy,

6

żeby nastąpiły zmiany w systemie hipotecznym i żeby zniesiono Bank Francuski, który ma przywilej lichwy.

Girbal nie potrafił stawić mu czoła, stracił prestiż w opinii publicznej i nie pokazał się więcej w szynku.

A Bouvard podobał się oberżycie; przyciągał swą osobą klientów i czekając na stałych bywalców rozmawiał poufale z Melą.

Wygłaszał dziwaczne poglądy na szkolnictwo początkowe. Należałoby kończąc szkołę umieć pielęgnować chorych, rozumieć odkrycia naukowe, interesować się sztuką. Wymagania jego programu poróżniły go z Petitem, uraził kapitana twierdząc, iż żołnierze, zamiast tracić czas na ćwiczenia, lepiej, żeby uprawiali warzywa.

Gdy wypłynęło zagadnienie wolnego handlu, sprowadził Pecucheta; i w kawiarence przez całą zimę rzucano wściekle spojrzenia, przybierano pogardliwe pozy, słychać było obelgi i krzyki z waleniem pięścią w stół, aż drżały butelki.

Langlois i inni kupcy bronili handlu narodowego; Oudot, właściciel przędzalni, i Mathieu, złotnik — przemysłu narodowego; właściciele ziemscy i dzierżawcy ferm — rolnictwa narodowego; każdy przy tym domagał się dla siebie przywilejów ze szkodą większości. Przemówienia Bouvarda i Pecucheta siały niepokój.

Ponieważ oskarżano ich, że nie doceniają praktyki, że wykazują tendencje burzycielskie i niemoralne, rozwinęli trzy koncepcje: zastąpić nazwisko numerem matrykuły; zhierarchizować Francuzów, a dla zachowania swego stopnia trzeba będzie od czasu do czasu poddać się egzaminowi; żadnych kar, żadnych nagród, lecz w każdej wsi kronika indywidualna, która przejdzie do potomności.

Zlekceważono ich system. Napisali o nim artykuł do gazety w Bayeux, zredagowali notę do prefekta, petycje do Izb, memoriał do cesarza.

Gazeta nie umieściła ich artykułu.

Prefekt nie raczył odpowiedzieć.

Izby były nieme i długo czekali na odpowiedź z kancelarii cesarskiej w Tuileryach.

Czymże zajmuje się cesarz; na pewno kobietami?

Foureau w imieniu podprefekta doradził im więcej powściągliwości.

Kpili sobie z podprefekta, z prefekta, z radców prefektury, ba! nawet z Rady Państwa.

Sprawiedliwość administracyjna była czymś potwornym, gdyż administracja za pomocą faworów i gróźb rządzi niesprawiedliwie swymi urzędnikami. Słowem, stawali się niewygodni i notable surowo zakazali Beljambe'owi przyjmowania u siebie tych dwóch osobników.

Wówczas Bouvard i Pecuchet zapłonęli żądzą zwrócenia na siebie uwagi dziełem, które by olśniło ich współobywateli, i nie znaleźli nic innego jak projekty upiększenia Chayignolles.

Trzy czwarte domów zburzy się, pośrodku miasteczka zrobi się monumentalny plac, schronisko od strony Fa-laise, rzeźnię na drodze do Caen, a na Pas de la Vaque stanie kościół romański,

polichromowany.

Pecuchet skomponował rysunek tuszem nie zapominając pomalować lasów na żółto, budynków na czerwono, a łąk na zielono, gdyż widoki idealnego Chavig-nolles prześladowały go w snach; przewracał się na pościeli.

Zbudziło to pewnej nocy Bouvarda.

— 2le się czujesz? Pecuchet wybąkał:

— Haussmann * nie daje mi spać.

W owym czasie otrzymał list od Dumouchela z prośbą o podanie mu cen w kąpieliskach morskich na nor-mandzkim wybrzeżu.

— Niech się powiesi ze swymi kąpielami! Czy my mamy czas się dowiadywać?

A gdy sobie sprawili łańcuch mierniczy, kątomierz, poziomicę wodną i busołą, zaczęły się inne badania.

Wchodzili na cudze posesje; nieraz mieszkańcy byli zaskoczeni widokiem tych dwóch ludzi wbijających żerdki miernicze.

Bouvard i Pecuchet spokojnie oznajmiali swe projekty i to, co z nich wyniknie.

Mieszkańcy zaniepokoiili się, gdyż ostatecznie władze może przychylią się do zdania tych narwańców.

Czasami przepędzano ich brutalnie.

Wiktor wdrapywał się na mury i włąził na dachy,

8

żeby zawiesić tam znak, wykazywał dobrą wolę, a nawet pewną gorliwość.

Byli również bardziej niż dotąd zadowoleni z Wikto-ryny. Kiedy prasowała bieliznę, posuwała żelazko po desce nucąc przyjemnym głosem, interesowała się gospodarstwem; zrobiła myckę dla Bouvarda, a jej umiejętność pikowania zjednała sobie pochwały Romiche'a.

Był to wędrowny krawiec z tych, co chodzą po fermach naprawiać odzież. Spędził w ich domu dwa tygodnie.

Garbus o czerwonych oczach okupywał fizyczne braki błazeńskim humorem. Gdy jego chwilowi chlebobawcy byli poza domem, zabawiał Marcelego i Wikto-rynę opowiadaniem facecji.

Wyciągał język aż do brody, naśladował kukułkę, robił brzuchomówcę, a wieczorem, oszczędzając na kosztach noclegu w oberży, szedł spać do piekarni.

Otóż pewnego ranka, o bardzo wczesnej godzinie, Bouvard, któremu było zimno, zaszedł tam po drzazgi, żeby napalić sobie w kominku.

Oślupiał na widok, jaki tam ujrzał.

Za szczytkami skrzyni, na sienniku, Romiche i Wik-toryna spali razem.

On objął ją w pasie ramieniem, a drugie jego ramię, długie jak u małpy, trzymało ją za kolano, powieki miał przymknięte, twarz jeszcze skurczoną spazmem rozkoszy. Ona uśmiechała się leżąc na wznak. Rozchylenie kaftanika odsłaniało dziecięcą pierś, znaczoną czerwonymi plamami od pieszczot garbusa, włosy blond były rozrzucone; brzask rzucił na oboje bladawe światło.

Bouvard w pierwszej chwili poczuł jakby uderzenie w samą pierś. Potem jakaś wstydlliwość nie pozwoliła mu wykonać żadnego gestu; osaczyły go bolesne refleksje.

— Taka młoda! Zgubiona! Zgubiona!

Potem zbudził Pecucheta i w dwóch słowach powiadomił go o wszystkim.

— A! Nędznik!

— Nic na to nie poradzimy! Uspokój się.

I długo wzdychali jeden naprzeciw drugiego: Bouvard bez surduta i z założonymi na krzyż ramionami; Pecuchet, na brzegu swej pościeli, bosi i w bawełnianej szlafmocy.

9

Romiche miał odejść tego dnia, ukończywszy swą robotę. Zapłacili mu w sposób wyniosły, w milczeniu.

Ale Opatrzność uwzięła się na nich.

Marceli wkrótce potem zaprowadził ich do pokoju Wiktora i pokazał im w głębi jego komody złotą dwu-dziestofrankową monetę. Smarkacz polecił mu zmienić ją na drobne.

Skąd pochodziła? Z kradzieży, oczywista, i to popełnionej podczas ich inżynierskich wędrówek.

Ale żeby ją zwrócić, trzeba byłoby znać osobę, a gdyby się o nią dopytywali, wyglądaliby na współwinowajców.

Wreszcie zawołali Wiktora i kazali mu otworzyć szufladę; napoleona już tam nie było. Udał, że nie rozumie,

O co idzie.

Ale przecież przed chwilą ją widzieli, tę monetę, a Marceli był niezdolny do kłamstwa. Ta historia tak go wzburzyła, że od rana nosił w kieszeni list do Bouvarda.

Szanowny Panie

Obawiając się, czy pan Pecuchet nie jest chory, uciekam się do pańskiej uprzejmości...

— Któż tam podpisany? „Olimpia Charpeau Dumouchel.”

Ona i jej małżonek zapytywali, w jakiej miejscowości kąpielowej, w Courseulles, Langrune czy Luc, znaleźć można najlepsze towarzystwo, najmniej hałaśliwe,

1 o wszystkie środki lokomocji, o ceny prania itd., itd.

To natręctwo wprawiło ich w gniew przeciw Dumouchelowi: potem znużenie pogrzyżyło ich w głębokie zniechęcenie.

Uprzytomnili sobie wszystkie trudy, jakie sobie zadali; tyle pouczeń, zabiegów, zmartwień!

— I pomyśleć — mówili — że chcieliśmy swego czasu zrobić z niej pomocnicę gospodyni, a z niego, ostatnio, dozorcę robót budowlanych!

— Ach! Jaki zawód!

— Jeżeli ona jest rozpustna, nie zawiniła tu jej lektura.

— Ja, chcąc mu wpoić uczciwość, zapoznałem go z życiorysem Cartouche'a *.

— Może brak im było rodziny, starań matki.

— Ja byłem im matką! — odparł Bouvard.

— Niestety — rzekł Pecuchet — są natury pozbawione zmysłu moralnego i wychowanie nic na to nie może poradzić.

— Ach, tak, pięknie to brzmi, wychowanie! Ponieważ sieroty nie miały żadnego fachu, poszuka .się im dwóch miejsc, gdzie będą na służbie; a potem, Bogu dzięki, oni nie będą się więcej ich losem zajmowali.

I odtąd „Wujaszek” i „Przyjaciół” kazali im jadać w kuchni.

Ale niebawem zaczęli się nudzić, bo umysł ich potrzebował pracy, ich egzystencja celu.

Zresztą, jedno niepowodzenie niczego nie dowodzi. To, co nie powiodło się z dziećmi, mogło być mniej trudne z dorosłymi. I umyślili otworzyć kurs wychowawczy dla ludzi dojrzałych.

Potrzebny byłby odczyt dla wyłożenia ich poglądów. Duża sala oberży doskonale nadawałaby się do tego.

Beljambe, jako ławnik, obawiał się kompromitacji, odmówił z początku, potem myśląc, że może na tym zarobić, zmienił zdanie i doniósł im o tym przez służącą.

Boiward z radości ucałował ją w oba policzki.

Mer był nieobecny; drugi ławnik, pan Marescot, pochłonięty całkowicie swą kancelarią, mało zainteresuje się odczytem; w ten sposób prelekcja odbędzie się i doboz miejski obwieścił ją na najbliższą niedzielę o godzinie trzeciej.

Dopiero w przeddzień występu pomyśleli o ubraniu.

Pecuchet, na szczęście, zachował stary strój wizytowy z aksamitnym kołnierzem, dwa białe krawaty i czarne rękawiczki. Bouvard włożył swój błękitny surdut, nankinową kamizelkę, buciki z kastoru; i byli bardzo wzruszeni, gdy przeszli przez wieś i przybyli do hotelu „Pod Złotym Krzyżem”.....

Tutaj urywa się rękopis Gustawa Flauberta. Oto wyciąg z planu znalezionej w jego papierach, przedstawiającego zakończenie dzieła.

ODCZYT

Oberża „Pod Złotym Krzyżem” — dwie boczne galerie drewniane na pierwszym piętrze z

wysuniętym balkonem — w głębi skrzydło mieszkalne — kawiarnia na parterze, jadalnia, bilard, drzwi i okna są otwarte.

Tłum: notable, pospólstwo.

Bouvard: „Idzie przede wszystkim o to, żeby wykazać pożytek naszego projektu, nasze studia uprawniają nas do zabierania głosu.”

Przemówienie Pecucheta, pedantyczne.

Głupstwa rządu i administracji — za dużo podatków, oszczędności do przeprowadzenia: zniesienie budżetu wyznań religijnych i budżetu wojskowego.

Oskarżają go o bezbożność.

„Przeciwnie, lecz potrzebne jest odnowienie religijne.”

Foureau nadchodzi i chce rozwiązać zgromadzenie.

Bouvard wywołuje wesołość kosztem mera przypominając jego bezsensowne premie za sowy. — Zarzut.

„Jeżeli należy niszczyć zwierzęta szkodliwe dla roślin, należałoby również niszczyć bydło, które zjada trawę.”

Foureau wychodzi.

Przemówienie Bouvarda, poufałe.

Przesady: celibat księży, wyolbrzymianie cudzołóstwa — emancypacja kobiety: „Kolczyki jej są oznaką jej dawnej niewoli.” Stadniny zarodowe dla ludzi.

Zarzucają Bouvardowi i Pecuchetowi złe prowadzenie się ich wychowanków. — Również, dlaczego zaadoptowali dziecko katorżnika?

Teoria rehabilitacji. Oni siedliby do stołu z Toua-che'em.

Foureau, powróciwszy, czyta, żeby się zemścić na Bouvardzie, jego petycję do rady miejskiej, gdzie zwraca się o założenie w Chavignolles domu publicznego. — (Racje Robina.)

Posiedzenie zostaje zamknięte przy ogromnej wrzawie.

2

Wracając do domu Bouvard i Pecuchet widzą służącego Foureau, jak pędzi drogą do Falaise, co koń wyskoczy.

Kładą się spać bardzo zmęczeni nie domyślając się wszystkich knoń przeciwko nim — wytłumaczyć pobudki pretensji, jakie mają do nich proboszcz, lekarz, mer, Marescot, lud, wszyscy.

Nazajutrz przy śniadaniu znowu rozmawiają o odczycie.

Pecuchet widzi przyszłość ludzkości w ciemnych kolorach:

Człowiek nowoczesny jest pomniejszony i stał się maszyną.

Końcowa anarchia rodzaju ludzkiego (Buchner *, tom II).

Niemożliwość Pokoju Światowego (tamże).

Barbarzyństwo wskutek przerostu indywidualizmu i szału wiedzy.

Trzy hipotezy: primo—radykalizm panteistyczny porwie wszelkie więzy z przeszłością i wyniknie z tego nieludzki despotyzm; secundo — jeśli zatryumfuje absolutyzm teistyczny, liberalizm, którym ludzkość przejęła się od czasów Reformacji, zginie, wszystko się wywróci; tertio — jeśli wstrząsy polityczne istniejące od roku 89 będą trwałe nadal, nieustannie między dwoma rozwiązaniami, te wahania porwą nas swą siłą. Nie będzie już ani ideału, ani religii, ani moralności.

Ameryka ma zawładnąć światem.

Przyszłość literatury.

Chamstwo powszechne. Wszystko będzie już tylko rozhulaniem się mas.

Koniec świata wskutek wyczerpania się ciepła.

Bouvard widzi przyszłość ludzkości w jasnych barwach. Człowiek nowoczesny idzie naprzód.

Europa będzie odrodzona przez Azję. Bowiem prawem dziejowym jest, żeby cywilizacja szła

ze Wschodu na Zachód — rola Chin — dwie ludzkości wreszcie będą złane ze sobą.
Przyszłe wynalazki: sposoby podróżowania. Balon. Statki podwodne z szybami, w głębi jest stały spokój, bo morze bywa burzliwe tylko na powierzchni. — Będzie się widziało przesuujące się ryby i krajobrazy na dnie oceanu. — Oszwajone zwierzęta. Wszelkie hodowle. Przyszłość literatury (literatura przemysłowa). Przyszłe nauki. — O władzę siłą magnetyczną. Paryż stanie się ogrodem zimowym; szpalery owocowe na bulwarze. Sekwana filtrowana i ciepła, obfitość sztucznych drogich kamieni, rozrzutność w złoceniach, oświetlenie domów — zmagazynuje się światło, gdyż są ciała posiadające tę własność, jak cukier, mięso pewnych mięczaków i fosfor boloński. Właściciele domów będą obowiązani smarować fasady substancją fosforyzującą i ich promieniowanie oświetli ulice.
Zniknięcie zła wskutek zniknięcia niedostatku. Filozofia będzie religią.
Zjednoczenie wszystkich ludów. Zabawy ludowe.
Zdobędzie się gwiazdy — i gdy ziemia zostanie zużyta, ludzkość przeniesie się na gwiazdy.
Zaledwie skończył, zjawiają się żandarmi. — Wejście żandarmów.
Na ich widok przestraszają dzieci wskutek ich niejasnych wspomnień.
Rozpacz Marcelgo.
Niepokój Bouvarda i Pecucheta, — Chcą aresztować Wiktora?
Żandarmi pokazują nakaz aresztowania.
Idzie o prelekcję. Są oskarżeni o zamach na religię, ład publiczny, o podburzanie do buntu itd.
Nagle przybycie państwa Dumouchel z bagażem; przyjechali na kąpiele morskie. Dumouchel nie zmienił się, pani nosi okulary i pisze bajki. — Ich osłupienie.
Mer wiedząc, że żandarmi są u Bouvarda i Pecucheta, przybywa zachęcony ich obecnością.
Gorju widząc, że władze i opinia publiczna są przeciw nim, chciał z tego skorzystać i eskortuje Foureaux. Przypuszczając, że Bouvard jest bogatszy od Pecucheta, oskarża go, że niegdyś zbałamucił Melę.
„Ja, nigdy!”
A Pecuchet drży.
„A nawet ją zaraził.”
Bouvard oburza się.
„Niech przynajmniej płaci jej alimenty dla dziecka, które ma się urodzić, bo ona jest w ciąży.”
To drugie oskarżenie oparte jest na poufałym zachowaniu się Bouvarda w kawiarence.
Publiczność stopniowo zapełnia dom.
Barberou, wezwany w te strony w swych sprawach handlowych, przed chwilą dowiedział się w oberży, co się dzieje, i nadchodzi.
Sadzi, że Bouvard jest winien, bierze go na stronę i namawia do ustąpienia, do płacenia alimentów.
Przybywają lekarz, hrabia, Regina, pani Bordin, pani Marescot pod parasolką i inni notable.
Dzieci miejskie za sztachetami krzyczą, ciskają kamienie do ogrodu. (Teraz jest dobrze utrzymany i ludność go zazdrości).
Foureaux chce zawlec Bouvarda i Pecucheta do więzienia.
Wstawia się za nimi Barberou i, jak on, wstawiają się Marescot, lekarz i hrabia ze znieważającą litością.
Wyjaśnić nakaz aresztowania. Podprefekt po otrzymaniu listu Foureaux wysłał do nich nakaz aresztowania, aby ich nastraszyć, z listem do Marescota i Favergesa, gdzie mówi, żeby ich zostawić w spokoju, jeżeli okażą skruchę.
Vaucorbeil również stara się ich bronić.
„Raczej do domu wariatów należałoby ich zaprowadzić; to są maniacy. Napiszę w tej sprawie do prefekta.”
Wszystko się uspokaja.
Bouvard będzie płacił Meli alimenty.
Nie można im zostawić opieki nad dziećmi. — Stawiają się hardo; ale ponieważ nie zaadoptowali

prawnie sierot, mer je zabiera z powrotem.

Wiktor i Wiktoryna wykazują oburzającą nieczułość. Bouvard i Pecuchet płaczą z tego powodu. Państwo Dumouchel odjeżdżają.

Tak oto wszystko rozpadło im się w rękach.

Życie nie ma już dla nich żadnego uroku.

Dobra myśl żywiona w sekrecie przez obu. Wzajemnie ją ukrywają. Od czasu do czasu uśmiechają się, gdy ich nachodzi, wreszcie obaj zwierzają się z niej jednocześnie.

Kopiować jak niegdyś.

Sporządzenie biurka o dwu pulpitych. (Zwracają się o to do pewnego stolarza. Gorju, który słyszał o tym ich wynalazku, proponuje im wykonać je. — Przypomnieć skrzynię.)

Kupno książek i przyborów, sandaraku, skrobaczek itp.

Zasiadają do biurka.

KONIEC

PRZYPISY

Louis Adolphe T h i e r s (97—77) — francuski burżuazyjny historyk i polityk, orleanista, wróg klasy robotniczej i rewolucji lutowej, kat Komuny Paryskiej. Napisał dziesięciotomową *Historię rewolucji*, o której tu mowa, i *Historię konsulatu i cesarstwa*.

str.

Encyclopedie Roret — tytuł kolekcji popularnych encyklopedycznych podręczników z różnych dziedzin nauki, sztuki i rzemiosł, której publikację zapoczątkował w roku paryski wydawca Nicolas-Edme Roret (97—60). Manuel du magnetiseur — pełny tytuł: *Manuel de l'etudiant magnetiseur* (Podręcznik studiującego magnetyzm). Książka fanatycznego badacza magnetyzmu zwierzęcego, barona Jean. Dupotet (96—81).

Francois de Salignac de la Mothe Fśnelon (51—) — słynny francuski pisarz z końcowego okresu monarchii Ludwika XIV, wybitny krytyk absolutyzmu, autor Przygód *Telemaka*.

str.

Dagerotyp — obraz otrzymywany pierwotną metodą fotograficzną, wynalezioną przez Louis Daguerre'a w pierwszej połowie XIX wieku.

str.

Mnemotechnika — reguły uczenia się na pamięć.

Afera naszyjnika — afera dworska, która wywołała wielki skandal na kilka lat przed wybuchem francuskiej rewolucji burżuazyjnej. Kardynał de Rohan, pragnąc pozyskać względy królowej, ofiarował jej za pośrednictwem intrygantki i oszustki hrabiny de La Motte drogocenny naszyjnik. Hrabina nie doręczyła naszyjnika królowej i gdy kardynał, który nie był w stanie zapłacić należnej jubilerom olbrzymiej sumy, dostał się do więzienia, wszystko wyszło na jaw. Kardynał popadł w niełaskę, hrabinę wtrącono do Bastylii, a królowa, słynąca z rozrzutności i lekkomyślności, stała się celem licznych paszkwilów i anegdotek, w których imię jej łączono z nazwiskiem kardynała de Rohan.

Proces Fualdesa — Proces w sprawie zabójstwa Fualdesa pasjonował opinię publiczną Francji w latach —. An-toine-Bernardin Fualdes, prokurator cesarski w mieście Rodez za czasów Napoleona I, zdymisjonowany po powrocie Burbonów na tron Francji, został marca roku zamordowany przez urzędnika giełdowego Jausiona i jego współnika Bastide'a — zagorzałych rojalistów. Morderstwa dokonano w domu publicznym. Jak się okazało, Jausion został w 09 roku oskarżony o dzieciobójstwo, ale Fualdes, będący wówczas jego przyjacielem, ocalił mu życie. Jausion obawiał się, że Fualdes posiada obciążające go dokumenty, i chciał go się pozbyć. W wyniku procesu wydano wyrok śmierci na morderców, wyrok ten jednak wykonany został ze znacznym opóźnieniem, gdyż wykryto błędy proceduralne, co dało powód do zacieklej dyskusji prasowych i zwiększyło sensację.

Saint-Denis — miasto położone o 8 km na północ od Paryża. Znajduje się w nim słynne opactwo mieszczące groby królów Francji.

str.

Quai aux Fleurs — Wybrzeże Desaix, na którym znajdował się jeden z czterech wielkich paryskich targów kwiatowych.

Meudon, Bellevue, Suresnes, Auteuil — miejscowości położone w okolicach Paryża (Auteuil jest włączone w obszar samego miasta).

str. 40

Barometr „system Gay-Lussac” — Joseph Louis Gay-Lussac (1783—1846) był fizykiem i chemikiem francuskim, odkrywcą praw mieszaniania¹ i rozszerzalności gazów (prawo Gay-Lussaca).

T u r n i p — odmiana rzepy.

str. 51

Dom wiejski — tytuł traktatu z zakresu rolnictwa, napisanego w roku przez Jakuba Aleksandra Bixio (1788—1865). Kurs Gasparina — Adrien de Gasparin (1783—1862), ekonomista i znawca agronomii, minister spraw wewnętrznych w rządzie Ludwika Filipa w roku, wydał szereg prac z zakresu rolnictwa i hodowli, i weterynarii, a w latach 1843—1849 opublikował wspomniane tu *Wykłady agronomii*.

str. 53

Brokuły — odmiana kapusty, zbliżona do kalafiorów.

str. 55

Sophora japonica — drzewo z rodziny motylkowatych, pochodzące z Chin i Japonii, hodowane w parkach. Margiel — rodzaj ilastej skały wapiennej, służącej do wyrobu cementu i nawozów sztucznych. Marc-Antoine P u v i s (1776—1851) — francuski agronom, deputowany, projektodawca różnych ustaw dotyczących rolnictwa. Napisał szereg prac agronomicznych, m. in. *Szkic o marglu* (), *Traktat o melioracji* itp.

Podręcznik Roreta — patrz wyżej, przypis do Encyclo-pedie Roret.

...mimo przykładu Franklina — Benjamin Franklin (1706—1790), wybitny amerykański publicysta, polityk (współtwórca Deklaracji Niepodległości) i fizyk (wynałazca piorunochronu), postanowił w roku 1765 spopularyzować w Ameryce, za przykładem Niemców, gips jako środek odkwaszania gleby. W tym celu rozsiał go pod Waszyngtonem na łanie koniczyny w ten sposób, że koniczyna, która wyrosła bujniej w miejscach posypanych, utworzyła napis: „To było gipsowane.” Jules Rieffel (1806—1851) — agronom francuski, współpracownik pism rolniczych, redaktor przeglądu „Rolnictwo Francji zachodniej”.

Louis-Michel de Rigaud l'Isle (1761—) — agronom francuski, autor m. in. *Memoriału o nawozach*.

Oscar Leclerc-Thonin (1798—1845) — agronom, profe-

9

sor w Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł w Paryżu, autor trzy-tomowego dzieła *Kurs uprawy i aklimatyzacji roślin*. Jethro Tuli (1708—1780) — agronom angielski, przeprowadzał w swym majątku koło Oxfordu doświadczenia, które w końcu doprowadziły go do ruiny. Napisał *Szkic o gospodarstwie domowym*.

Howard Lukę (1722—1784) — meteorolog angielski, autor Studium o przekształceniach *chmur* i *Siedmiu lekcji meteorologii*. Turenna — nazwa dawnej prowincji francuskiej, położonej w dorzeczu Loary, na południowy zachód od Paryża.

str. 56

Płyn belgijski — stosowany wówczas sztuczny nawóz azotowy w płynie.

Gnojówka szwajcarska — lizier, gnojówka z dołów krytych, nie zawierająca wody deszczowej. *Guanano* — naturalny nawóz ptasi, którego pokłady znajdują się w Ameryce południowej i na sąsiednich wyspach. Mathieu de Dombasle (1777—1843) — znany agronom francuski, autor *Teorii działania pługa* () i *Kalendarza dobrego rolnika*. Udoskonalił i wynalazł wiele narzędzi rolniczych.

str. 57

Tragant — pochodząca z Ameryki środkowej roślina strączkowa, której ziarnami próbowano zastąpić kawę. *Ozanka* — *tuecnum chamaedris*, roślina rosnąca w Europie południowej i środkowej, używana w lecznictwie przeciw bólom żołądka.

str. 58

...jak strzelcy w Vincennes — w Vincennes, miasteczku leżącym w okolicach Paryża, znajduje się szkoła artyleryjska.

str. 61

Strzały — w ogrodnictwie: gałęzie rosnące pionowo, równoległe do pnia.

Podciągi — małe gałązki, zakończone pękiem kwiatowym. Diuszesy — odmiana grusz.

str. 64

Pierre Boitard (1789—1859) — przyrodnik i agronom frau-

0

cuski. napisał cieszącą się w owych czasach dużą popularnością książkę pt. *Sztuka zakładania i ozdabiania ogrodów*. Ermenonville — wioska w departamencie Oise, w której markiz de Girardin założył w 1763 roku olbrzymi park angielski i wybudował w nim, między innymi, „świątynię filozofii”, poświęconą

Montaigne'owi. W parku tym znajduje się także grobowiec Jana Jakuba Rousseau, który zmarł w Ermenonville w roku 78.

str. C5

Most Rialto — słynny most, przecinający łukiem długości 48 m Wielki Kanał w Wenecji.

Omułki — rodzaj jadalnych mięczaków, żyjących na brzegach kanału La Manche.

str. 66

Abd-el-Kader (08—83) — emir Maskary, wódz narodu algerskiego w walkach przeciwko kolonizatorom francuskim. Odniósł szereg zwycięstw nad wojskami francuskimi; w 47 roku dostał się do niewoli francuskiej, w której przebywał przez sześć lat.

str. 67 i . •

L i s i e u x — miasteczko w departamencie Calvados w Normandii.

Gorge-de-pigeon — kolor gołąbkowy, mieniający się jak szyja gołębia.

str. 68

Opera Włoska (Opera Italien) — Opera w Paryżu, zatrudniająca śpiewaków włoskich; istniała od 89 do 78 roku. Wodewil — teatr paryski, założony w 92 roku.

str. 69

Accent drcfnilexe — w pisowni francuskiej znak, w kształcie daszka, nad długimi samogłoskami (a).

str. 72

Amfitrioni — Amfitrion to postać z mitologii greckiej, król Tyryntu, małżonek uwiedzionej przez Jowisza Alkmeny, matki Heraklesa. Od komedii Moliera *Amfitrion* (68), zawierającej przysłowiowe zdanie:

„Prawdziwym Amfitrionem jest Amfitrion,

1

u którego się biesiaduje", epitet ten stosuje się do gościnnego gospodarza, wydającego wystawną ucztą.

str. 73

Nicolas Appert (50—41) — przemysłowiec francuski. Wpadł na pomysł konserwowania produktów żywnościowych przez podgrzewanie ich w zamkniętych naczyniach. Napisał dzieło pt. *Sztuka konserwowania na wiele lat substancji zwierzęcych i roślinnych*.

J u j u b a — krzew z rodziny szakłakowatych, rosnący w Syrii i Europie południowej, którego owoce wielkości śliwki miały zastosowanie przeciwkataralne i przeczyszczające w lecznictwie.

str. 74

Diafragma — tu: przepuszczalna przegroda. Kukurbita — część aparatu destylacyjnego (alembika), mieszcząca ciecz przeznaczoną do destylacji, bania. Kolender — roślina z rodziny baldaszkowatych, używana jako przyprawa.

Maraskino — likier z wiśni dalmatyńskich. Hyzop — pobudzający trawienie napar z liści krzewu południowego o tej samej nazwie. *Chartreuse* — słynny likier francuski. *Vesperto* — likier z anyżu, koperku i dzięgielu. Krambambuli albo krampampula — rodzaj słodkiej wódki.

Rozdział III str. 76

Kurs Regnaulta — Henri-Yictor Regnault (10—78) był profesorem chemii w Szkole Politechnicznej, a potem w College de France. Tu aluzja do jego książki *Pierwsze elementy chemii*.

Podręcznik Girardina — Jean-Pierre-Louis Girardin (03—84) — był profesorem chemii w Rouen i Lilie. W roku opublikował *Elementy mineralogii w zastosowaniu do nauk chemicznych*.

...z e ziemia jako element nie istnieje — w starożytnej nauce rozróżniano cztery elementy, tj. ciała proste, wchodzące w skład ciał złożonych, a mianowicie: ogień, ziemię, powietrze i wodę.

3

str. 78

Podręcznik Aleksandra Lautha — *Podręcznik anatomia* wydany w roku. Ernest-Alexandre Lauth (03—) był profesorem fizjologii na uniwersytecie w Strass-burgu.

Louis A u z o u x (97—80) — anatom francuski, założył w swej rodzinnej wiosce, Saint-Aubin d'Ecroville w Normandii, warsztat, w którym produkowano rozkładane modele anatomiczne ze specjalnej masy.

str. 80

Dictionnaire des Sciences Medicales— (Słownik nauk medycznych) olbrzymie dzieło zbiorowe liczące 60 tomów, opublikowane w latach — w Paryżu. Angoulême — miasto w departamencie Charente, w południowo-zachodniej Francji.

str. 81

Balthasar-Anthelme Richerand (79—40) — pierwszy chirurg szpitala Sw. Ludwika w Paryżu, autor trzytomowego traktatu *Nowe elementy fizjologii*, długo uważanego za dzieło klasyczne w tej dziedzinie.

Nicolas-Philbert A dęło n (82—62) — profesor fizjologii i medycyny sądowej w Paryżu, autor *Traktatu o*

fizjologii człowieka.

Antoine-François Montegre (79—) — lekarz wojskowy, autor książki *DoŚwiadczenia nad trawieniem u człowieka* ().

Kenri-Albert G o s s e (53—) — chemik i przyrodnik szwajcarski, rozwijający działalność w różnych dziedzinach wiedzy (założyciel Genewskiego Towarzystwa Fizycznego, wynalazca sztucznych wód mineralnych, twórca ulepszonych metod garbowania skóry, produkowania garnków, świec itp.). ...brat B e r r a r d a — Joseph-Frederic Bérard (89—), lekarz francuski, był jednym z najznakomitszych przedstawicieli szkoły Montpellier, broniącej teorii witalistycznych i spirytualistycznych przeciw materialistycznej szkole paryskiej.

str. 82

Sanctorius albo Santorio (61—) — znakomity medyk włoski, wykładał w Padwie i prowadził wytrwałę bada-

3

nią fizjologiczne, w szczególności nad zjawiskiem transpiracji. Napisał m.in. *Traktat o medycynie statycznej*. Perspiracja — oddychanie skórne (absorbowanie tlenu i wydzielanie dwutlenku węgla przez skórę).

str. 83

Olbrotowiec — ssak morski z rzędu waleni, dochodzący do m długości (do tego samego rzędu należą wieloryby).

str. 84

...rn iała okostną zupełnie białą — korzenie marzanny barwierskiej (*Rubia tinctoria*), rosnącej w Europie południowej i na Wschodzie, służą do wyrobu czerwonej farby. Zapewne Bouvard i Pšcuchet mniemali, że okostną gęsi karmionej marzanną zabarwi się na czerwono. Louis-Nicolas Vauquelin (63—) — chemik francuski, profesor Szkoły Górniczej i Szkoły Medycznej oraz wykładowca w College de France.

Zajmował się badaniami w zakresie chemii organicznej.

str. 85

Giacomo Borelli (08—79) — lekarz włoski, autor prac z dziedziny chirurgii oraz z pogranicza fizjologii i fizyki. James Keill (73—) — lekarz szkocki, jeden z przywódców szkoły jatromatematycznej, stosującej zasady mechaniki i hydrauliki do fizjologii i medycyny.

Francois Raspail (94—78) — wybitny przyrodnik i działacz polityczny, radykalny liberał. W roku 41 wydał *Lekarza rodzin*, a w dwa lata później wymieniony tu *Podręcznik zdrowia*. Te popularne poradniki medyczne, oparte na własnej metodzie terapeutycznej autora, nie były wolne od fałszywych pomysłów i ryzykownych wskazań, co naraziło Raspaila na proces o nielegalne uprawianie zawodu lekarskiego.

...n a j większe dzieło tego autora — tj. trzy-tomowa *Historia naturalna zdrowia i chorób roślin i zwierząt w ogólności, a człowieka w szczególności*, wydana w 43 roku. Diachyl — plaster albo maść ołowiana, stosowana przeciw wrzodom.

Glistnica (*Oxyuris uermicularis*) — pasożyt długości od 4 do 8 mm, żyjący w kiszce stolcowej.

str. 86

Kalomel — chlorek rtęciawy, mający właściwości przeczyszczające i moczopędne.

4

Klasyfikacja Linneusza — Karl von Linne, zwany Linneuszem (07—78), przyrodnik szwedzki, którego system klasyfikacji roślin i zwierząt był jednym z wielkich osiągnięć nauk przyrodniczych XVII wieku.

Archeus van Helmonta — Jan Baptysta van Hel-mont (77—44) był wybitnym fizjologiem i chemikiem flamandzkim, ale zarazem twórcą mistycznej teorii życia, opartej na wierze w magicznego „archeusa”.

Funkcjonowaniem poszczególnych organów ciała ludzkiego kierują, według tej teorii, pomniejsze archeusy, podległe głównemu archeusowi, który jest zasadniczą siłą duchową (od gr. *arche* — początek).

Zakłócenie harmonii między archeusami powoduje chorobę. Witalizm — idealistyczny kierunek w biologii, usiłujący przedstawić wszelkie procesy zachodzące w organizmie jako wynik działania niematerialnej siły życiowej (*vis vitalis*). Brownizm — mechanistyczna teoria szkockiego lekarza Johna Browna (—88), wyłożona w jego *Elementach medycyny* (79). Według Browna, życie jest rezultatem działających na materię organiczną bodźców zewnętrznych i wewnętrznych. Zdrowie zależy od równowagi tych bodźców i medycyna sprowadza się do higieny.

Organicyzm — materialistyczna koncepcja organizmu, powstała w początku XIX wieku; odrzucała ona istnienie niematerialnych pierwiastków życia, tłumacząc stany chorobowe uszkodzeniem lub wadliwym funkcjonowaniem organów. Miazmat zakaźny — aż do czasów odkryć Pasteura i jego szkoły medycyna przyjmowała w zasadzie, że przyczynami chorób zakaźnych są tzw. miazmaty (od gr. *miasma* — nieczystość, brud), pochodzące z rozkładu tkanek, z kału, płwocin, potu itp.

str. 88

Hermann Boerhave (68—38) — profesor uniwersytetu w Lejdzie, autor słynnych *Aforyzmów*. W swych poglądach naukowych, przerastających znacznie epokę Van Helmonta, oddzielił ściśle metafizykę od fizjologii i patologii, odrzucając wszelkie spirytualistyczne interpretacje życia i chorób. W leczeniu zdawał się głównie na działanie natury.

François-Joseph-Yictor Broussais (72—38) — lekarz francuski, twórca systemu fizjologicznego opartego na założeniu, że jedyną właściwością materii żywej jest kurczliwość. We wszystkich chorobach dopatrywał się podrażnienia tkanek przez nadmiar krwi i ograniczał leczenie do jej odciążania.

5

str. 90

i •

Wezykatoria — plaster leczniczy pobudzający krążenie krwi i powodujący szybsze wchłanianie wysięków zapalnych. Lodoyico Cornaro (62—66) — patrycjusz wenecki; zrujnowawszy sobie zdrowie hulawczym trybem życia przerzucił się po czterdziestce na bardzo surową dietę i umarł jako starzec przeszło stuletni. Ważył się codziennie i prowadził skrupulatnie dziennik zdrowia, który wydano w Padwie w 58 roku pt. *Dyskurs o życiu wstrzemięźliwym*.

str. 91

Louis Morin (—) — lekarz paryski, pędził życie oddane dobroczynności, posilając się podobno wyłącznie chlebem i wodą.

...k upili sobie traktat Becquerela — *Elementarny traktat o higienie osobistej i publicznej* Alfreda Becquerela (—62) został wydany w roku 51, a Więć Bouvard i Pścuchet nie mogli go jeszcze czytać (dopiero w VI rozdziale powieści jest mowa*o wybuchu rewolucji 48 roku). Johann Ludwig C a s p e r (96—63) — słynny w swoim czasie lekarz niemiecki, napisał szereg prac medycznych, jak np. *Zasady statystyki medycznej*, *O wpływie małżeństwa na długość życia człowieka* itp.

Louis-Jacques B e g i n (93—59) — francuski lekarz wojskowy, autor m. in. *Fizjologii patologicznej*. Michel L e v y (09—72) — lekarz wojskowy, autor bardzo wówczas popularnego we Francji *Traktatu o higienie publicznej i osobistej* (43).

str. 93

Miriametr — jednostka miary długości równa 10000 m. Szkoła Politechniczna — wyższa szkoła techniczna w Paryżu, założona w czasie rewolucji, w 94 roku, kształcąca oficerów artylerii, saperów, a także inżynierów dla służby cywilnej.

str. 94

Georges-Louis Leclerc B u f f o n (07—88) — znakomity przyrodnik i geolog francuski, autor wielotomowej *Historii naturalnej*, dokończony przez Lacepede'a. Jego teorie geologiczne, wyłożone w dwóch dziełach (*Teoria ziemi* i *Epoki natury*), odegrały wybitnie postępową rolę w rozwoju nauki. Buffon tu-

maczył racjonalistycznie powstanie ziemi, formowanie się skał, rozwój życia itp., walcząc zdecydowanie ze światopoglądem fi-deistycznym.

Jacques-Henri Bernardin de Salnt-Pierre (—) — pisarz francuski, przedstawiciel sentymentalizmu, autor powieści *Paweł i Wirginia*, sławiącej idealną miłość na łonie nietkniętej cywilizacją natury. Jego *Studia natury* i pośmiertnie wydane *Harmonie natury* są niezwykle naiwną próbą obrony światopoglądu teologicznego, obfitującą w momenty mimowolnie humorystyczne. Dzieło *Opatrzności* jest doskonałe i pełne głębokiej harmonii: Wulkany istnieją po to, aby oczyszczać wodę morską od zanieczyszczeń; powodzie użyźniają ziemię i ponadto umożliwiają właścicielom ziemskim przejażdżkę łódką po swoich posiadłościach; pchły są dlatego czarne, żeby człowiek mógł je skuteczniej łapać na białym tle swej skóry, itp.

str. 95

Georges-Bernard D e p p i n g (84—53) — przyrodnik i geograf francuski (pochodzenia niemieckiego; pełny tytuł wspomnianej książki brzmi: *Cuda i piękności natury we Francji, albo opis tego, co zawiera ona ciekawego i interesującego z punktu widzenia historii naturalnej*. Dwutomowe to dzieło wyszło w roku i było wiele razy wznawiane.

str. 96

Amonity — głowonogi żyjące w erze mezozoicznej. Jeżówce — zwierzęta morskie z rzędu szkarłupni, pojawiły się w okresie sylurskim. Znany około 0 gatunków żyjących obecnie i 00 gatunków wykopalskowych. Listy Bertranda — pełny tytuł tego dzieła wydanego w roku brzmi: *Listy o rewolucjach globu ziemskiego*. Alexandre Bertrand (95—) — lekarz francuski, próbował dać naukowe wytłumaczenie zjawisk magnetyzmu zwierzęcego, somnambulizmu i halucynacji; zajmował się też fizyką i geologią.

Rozprawa Cuviera — *Rozprawa o rewolucjach powierzchni globu ziemskiego* stanowi wstęp do siedmiotomowego

dzieła Cuviera: Badania nad kopalinami, które wyszło w latach —. Georges Cuvier (69—) — wybitny przyrodnik francuski pracujący na polu anatomii porównawczej i paleontologii, był jednym z głównych obrońców teorii niezmienności gatunków, występujących przeciwko twierdzeniom La-

6

7

marcka o historycznym rozwoju świata organicznego. Zmiany między poszczególnymi historycznymi formami organicznymi tłumaczył Cuvier okresowymi kataklizmami geologicznymi, między którymi świat zwierzęcy nie podlegał jakoby żadnym zmianom. Wedle określenia Engelsa, teoria Cuviera była rewolucyjna w słowach, ale reakcyjna w treści.

str. 97

Montmartre — wzgórze stanowiące jedną z dzielnic Paryża.

Cervus giganteus (łac.) — jelen olbrzymi!, gatunek jelenia wykopaliskowego żyjącego w czwartorzędzie (tzw. *mega-ceros*). Szczątki jego znajdowano w Irlandii. Pies z Beaugency — w Listach Bertranda jest wzmianka o szczątkach zwierzęcia z rodzaju psów, znalezionych w Aravay koło Beaugency. Pies ten miał być dwa razy wyższy od wilka.

Feeria — utwór sceniczny oparty na elemencie cudowności i magii.

Koprolity — skamieniałe odchody zwierząt wykopaliskowych, głównie morskich, służące do wyrobu fosforowych nawozów sztucznych.

str. 98

Akademia Leksowieńska — wymyślona przez Flauberta; szczegóły o zębie mastodonta, o aligatorze oraz nazwisko Bloche'a zaczerpnął Flaubert ze *Szkicu topografii geognostycznej departamentu Calvados*, którego autorem był archeolog Arcisse de Caumont, założyciel Stowarzyszenia Antykwaryusza Normandii. Adiunkt — tu zastępcza mera; wybierany tak samo jak mer przez radę miejską lub gminną spośród jej członków.

str. 100

Ami Boué — geolog francuski, autor dwutomowego *Przewodnika podróżującego geologa, według Agendy geognostycznej pana Leonharda* ().

str. 101

Kapelusz [...] Gibusa się całkowicie spłaszczyć.

gibus: składany cylinder dający

8

Moreny — osady skaliste pozostawione przez cofające się lodowce.

Faluny — złoża wapienia rnszłowego.

str. 102

Gnejs — rodzaj łupku krystalicznego, różniący się od granitu łupkową budową i równolegle ułożonymi blaszkami łyszczku. Jean-Baptiste Omalius d'Halloy (83—75) — geolog belgijski, autor mapy geologicznej Francji, *Elementów geologii i Wstępu do geologii*. Fillada — odmiana łupku ilastego.

Kaolin — minerał wchodzący w skład glinki kaolinowej, służącej do wyrobu porcelany. Olit — odmiana ziarnistego wapienia.

Kimmeridge — zatoka w Anglii, w której znajdują się pokłady specjalnej odmiany gliny.

Etretat — znana miejscowość letniskowa położona nad morzem, o km od Hawru.

str. 103

Neptunizm — na przełomie XVIII i XIX w. powszechna w naukach geologicznych teoria, przypisująca wszystkim skałom pochodzenie osadowe (Neptun — rzymski bóg morza). Teoria ta miała uzasadnić prawdziwość biblijnego potopu; obaliło ją stwierdzenie wulkanicznego pochodzenia bazaltu i innych skał.

Pliitonizm — teoria jednostronnie tłumacząca powstanie skorupy ziemskiej wyłącznie procesami wulkanicznymi (Pluton — rzymski bóg podziemi i piekiel).

Wyspa Julia — wynurzyła się w roku z morza koło Sycylii i po kilku miesiącach zniknęła z powrotem pod wodą. Monte Nuovo — wysepka pochodzenia wulkanicznego, położona na zachód od Neapolu.

Wynurzyła się z morza w 38 roku.

Wstrząs w Lizbonie — trwające 6 sekund trzęsienie ziemi, które nawiedziło Lizbonę w roku 55, powodując śmierć 40 tysięcy osób i olbrzymie spustoszenia w zabudowaniach.

str. 104

Archipelag — tak starożytni Grecy nazywali Morze Egejskie i znajdujące się na nim wyspy.

str. 105

Alexandre Brongniart

(70—47) — wybitny geolog fran-

cuski, bliski współpracownik Cuviera, autor m. in. *Traktatu o elementach mineralogii*.

Jean-Baptiste Lamarck (1744—1829) — znakomity przyrodnik francuski, twórca teorii transformizmu, rozwinętej następnie w teorię ewolucji przez Darwina. Uznał on wpływ środowiska zewnętrznego na zmiany organizmu oraz stwierdził dziedziczenie przez następne pokolenia zmian w organizmie, powstałych na skutek zmiany warunków życia; z materialistycznego punktu widzenia poddał krytyce poglądy o stałości gatunków. Etienne Geoffroy Saint-Hilaire (1772—1844) — postępowy przyrodnik francuski, jeden z poprzedników Darwina. Zajmował się zoologią i anatomią porównawczą. Na podstawie swych badań anatomicznych i embriologicznych sformułował twierdzenie o jedności budowy organicznej kręgowców, które stanowi jeden z podstawowych elementów teorii ewolucji.

str. 106

Genesis — nazwa pierwszej księgi Pięcioksiągu Mojżesza, zawierającej opis stworzenia świata.

Louis-Gabriel-Ambroise Bonald (1754—1817) — filozof i publicysta francuski, jeden z głównych ideologów arystokracji

I reakcji klerykalnej po powrocie Burbonów.

str. 107

Elie de Beaumont (1731—1804) — profesor geologii w College de France, autor prac o formowaniu się gór i o kataklizmach geologicznych skorupy ziemskiej.

Spisy Manethona — lista trzydziestu dynastii władców egipskich, sporządzona w III w p.n.e. przez archiwistę świątyni w Heliopolis — Manethona i cytowana przez historyka żydowskiego Józefa.

str. 108

Alcide Dessalines d'Orbigny (1792—1847) — geolog i paleontolog francuski, autor *Elementarnego kursu paleontologii i geologii stratygraficznej*; rozwinął do krańcowych wniosków teorię katastrofistów (por. przyp. do Cuviera).

Zatoką Baffina — część oceanu Lodowatego, między Grenlandią i Ziemią Baffina.

str. 0

Wenus-Anadyomene z piany morskiej.

— Wenus wyłaniająca się

0

str. lii

Omfala — małżonka Herkulesa; przed małżeństwem zmusiła olbrzyma do przedzenia u jej stóp.

Samson i Dalila — Według Biblii, sędzia żydowski i pogromca Filistynów Samson, obdarzony niezwykłą siłą, zakochał się w Dalili będącej na żoździe filistyńskim. Dalila obciąła Samsonowi w czasie snu włosy, w których tkwiło źródło jego cudownej siły, i wydała go wrogom.

Cyrce — mitologiczna czarodziejka, która przywabiała żeglarzy na swoją wyspę i zamieniała ich w wieprze. Taki los spotkał również towarzyszy Odysseusza.

Córki Lota — według Biblii, patriarcha Lot, który wraz z rodziną ocalał z zagłady występnego miasta Sodomy, miał po pijanemu kazirodzczy stosunek z córkami.

Rozdział IV

str. 3

Croixmare — Babka Flauberta ze strony matki była z domu de Croixmare. W rodzinie pisarza szczycono się, bezpodstawnie zresztą, pokrewieństwem ze starym rodem normandzkim de Croixmare, który wydał kilka znakomitych postaci w historii Francji.

Książę d'Angoulême (1792—1844) — syn Karola X, następca tronu, kilka razy dowodził wojskami królewskimi za Restauracji.

str. 4

...piorunowali na tynki — w *Słowniku komunalów* czytamy: „Tynk — w kościołach. Piorunować przeciwko. To artystyczne oburzenie wygląda bardzo dobrze.”

str. 5

Karolingowie — druga z rzędu dynastia królów Francji, panująca od roku 751 do 987.

Walezjusze — rodzina Walezjuszków panowała we Francji od roku 888 do 1041.

Jean-Frederic Galois (1792—1832) — archeolog francuski; badał okolice Falaise.

SI — Boiward i Péouchet

1

str. 6

Opactwo Świętej Anny — właściwie tylko kaplica w okolicy Alençon, miejsce pielgrzymek.

Marin Onfroy, który sprowadził w XII wieku nowy gatunek ziemniaków — oczywisty nonsensem, gdyż ziemniaki sprowadzono do Europy z Peru dopiero w XVI wieku. We Francji uprawa ziemniaków na większą skalę datuje się od końca wieku XVIII.

Onfroy, gubernatorem Hastingsu w epoce podboju — Onfroy, hrabia normandzki, zmarł w 1057 roku, na dziewięć lat przed bitwą pod Hastings, która otworzyła księciu Normandii Wilhelmowi Zdobywcy drogę do podboju Anglii. Jean-Francois Dutreuil (zmarł ok. 1800) — prowincjonalny grafoman żyjący w Normandii, autor paru wierszowanych utworów i jednej komedii prozą o następującym tytule: *Przebiegła wieszczka albo sprytna czarodziejka, mała komedia piekielno-polityczno-sataniczno-magiczna w jednym akcie, przez Roberta Czarnoksiężskiego, członka. Towarzystwa*

Sztuk Tajemnych, Diabolicopolis (Caen) ... etc, etc.

Celtyzm — nauka o Celtach, tj. ludach zamieszkujących tereny Europy zachodniej od ok. X w. p.n.e. i zaasymlowanych przez Rzymian, Germanów i Iberów. Montargis — miasteczko koło Orleanu. Druidzi — kapłani w starożytnej Galii; podczas klęsk żywiołowych składali przebiegane ofiary z ludzi.

str. 7 Bazoque

wieś w kantonie Balleroy, w okręgu Bayeux.

str. 8

Regent — książę Filip Orleański sprawujący władzę we Francji w okresie małoletności Ludwika XV (—). Okres Regencji znany jest ze szczególnie rozwiązłych obyczajów i rozpusty w sferach dworskich.

str. 0

Rada Generalna — instytucja samorządowa, istniejąca w każdym departamencie, złożona z przedstawicieli kantonów.

str. 1

Tilbury — elegancki lekki powóz na dwóch kołach.

str. 2

Noel Taillepied (40—89) — franciszkanin, kronikarz

2

francuski, autor m. in. książki pt. *Państwo i republika druidów*, w której bezkrytycznie powtarzał średniowieczne legendy i fantazje.

Eubagowie — tak nazywali się druidzi, zajmujący się specjalnie studiami przyrodniczymi, astronomią i wróżeniem.

str. 4

Ozyrys — staroegipski bóg kwiatów, opiekun umarłych. „Bayeux” pochodzi od łacińskiego Baiocassis, a nie od Beli Casa. Charles Mangon de Lalande (70—47) — urzędnik administracyjny, zajmujący się z amatorską archeologią i poezją, autor *Memoriału o starożytnych ludach okolic Bayeux*. Henri Roussel (48—) — przyrodnik i erudyta francuski, badał m. in. departament Calvados. Amnion — egipski bóg słońca.

Jacques dom Martin (84—51) — benedyktyn, badacz obyczajów i religii starożytnych Galów, autor *Objaśnienia różnych niezwykłych zabytków dotyczących religii ludów najdawniejszych* (39).

Nekropol — miasto umarłych, cmentarz. Tumulus — kopiec z ziemi lub kamieni wznoszony w starożytności na grobach.

str. 5

...miały znaczenie falliczne — kojarzyły się kultem siły rozrodczej, właściwym wszystkim religiom starożytnym (łac. *phallus* — członek męski).

str. 8

Louis-Pierre Anquetin (—06) — podrzędny historyk, autor *Historii Francji*.

...s zereg królów malowanych — królami malowanymi (*les pois faineants* — dosł. gnuśni królowie) nazywa się ostatnich Merowingów, począwszy od Klodwiga II (639) do Childeryka III (751), którzy zubożeli i stracili posłuch u nominalnie im podległych seniorów. Władzę zagarnęli zwolna urzędnicy królewscy — majordomowie.

Listy Augustyna Thierry — *Listy o historii Francji* publikowane w „Kurierze Francuskim” i w roku wydane w formie książki. Augustin Thierry (95—58) był liberalnym historykiem francuskim. Celem jego badań nad średniowieczem było usprawiedliwienie francuskiej rewolucji

3

burżuazyjnej. Głosił on mianowicie tzw. teorię podboju i przedstawiał dzieje Francji jako historie, walki między potomkami zwycięskich Germanów, szlachtą, i stanem trzecim — wywodzącym się od podbitych przez Germanów Galów. W Listach, zajmował się powstaniem średniowiecznych komun miejskich przeciwko feudałom.

Antoine-Eugene de Genoude (92—49) — ksiądz, publicysta francuski, gorliwy stronnik Burbonów, uszlachcony przez Ludwika XVII, autor szesnastotomowej *Historii Francji*.

Merovingowie — dynastia królów frankońskich, panująca do 751 roku.

Kapetyngowie — dynastia francuska panująca po Karolingach (od 987 roku). Dzieli się na trzy rodziny: Kapetyngowie w linii prostej (987—), Walezjusze (—89) i Burboni (88—92 i —48).

str. 9

Praca Bucheza i Roux — *Historia parlamentarna rewolucji francuskiej*, opublikowana w latach — 38 przez spółkę autorską: Philippe Buchez (96—65) i Pierre Roux-Lavergne (02 — 74). Dzieło to było wykładem utopijnej „chrześcijańsko-socjalistycznej” doktryny Bucheza, który tłumaczył wpływy tradycji katolickiej ideologię i praktykę rewolucji burżuazyjnej.

Konwent — rewolucyjne ciało ustawodawcze w latach 92 — 94. — Konwent ogłosił republikę, skazał króla na ścięcie i był najwyższą instancją władzy w okresie dyktatury jakobinów.

Konstytucjonalista — zwolennik uchwalonej w 91 roku konstytucji, ustanawiającej we Francji ustrój monarchii konstytucyjnej.

Żyrodysta — członek (tu: zwolennik) ugrupowania politycznego w Zgromadzeniu Prawodawczym i Konwencie, reprezentującego interesy wielkiej burżuazji, wrogiemu jakobinom.
str. 0

Termidorczyk — zwolennik kontrewolucyjnego przewrotu 9 termidora roku II (lipca 94), który obalił dyktaturę jakobinów.

Sankiuloci — pogardliwa nazwa nadana w 92 roku przez arystokratów rewolucjonistom (*sans culotte* — nie noszący spodni, obcisłych i krótkich, charakterystycznych dla ubioru szlachty); przyjęła się wkrótce jako synonim patrioty.

Maximilien Robespierre (57 — 94) — wybitny rewolucjonista francuski, przywódca radykalnego stronnictwa jakobinów.

Maurice-Jacques Montgaillard (61—41) — intrygant i szpieg na usługach Ludwika XVI, Napoleona I i Ludwika XVII, autor wielu broszur polityczno-historycznych pisanych na zamówienia swych kolejnych chlebodawców. Jego brat, ksiądz Guillaume-Honore Montgaillard, napisał głośną wówczas, skalującą rewolucję francuską *Historię Francji od końca panowania Ludwika XVI do roku* (—).

Louis-Marie Prudhomme (52 —) — burżuazyjny publicysta francuski, redagował w czasie rewolucji słynny tygodnik „*Rewolucje Paryskie*”, przeszedł jednak do obozu kontrewolucyjnego i po obaleniu jakobinów zaczął ich obzierać stekiem oszczerstw. W latach 96 — 97 wydał *Historię ogólną i bezstronną pomysłów, błędów i zbrodni popełnionych w czasie rewolucji francuskiej*.

Charles Gallois (89—51) — liberalny historyk francuski — bonapartysta, potem republikanin — autor *Obrazów historii rewolucji francuskiej, Historii dziennikarzy i dzienników za rewolucji francuskiej* itp.

Jean Lacretelle (66 — 55) — historyk francuski, zwolennik monarchii konstytucyjnej, autor m. in. *Zarysu historycznego rewolucji francuskiej*.

Georges-Jacques Danton (59 — 94) — wybitny francuski działacz rewolucyjny, utalentowany mówca, reprezentował w łonie stronnictwa jakobinów interesy nowej burżuazji. W 94 roku stał się kontrewolucjonistą, występując przeciwko żądaniom ludu, i został stracony.

Pierre-Victorin Yergniaud (53 — 93) — Żyrodysta, jeden z najwybitniejszych mówców rewolucyjnych, stracony na gilotynie.

Filip Orleański — przydomek Ludwika Filipa księcia Orleańskiego (47 — 93), który przyłączył się początkowo do rewolucji i głosował za skazaniem swego kuzyna Ludwika XVI.

W czasie dyktatury jakobinów przeszedł na stronę kontrrewolucji i został zgilotynowany.

Jeanne-Louise C a m p a n (52 —) — sekretarka królowej Marii Antoniny, potem właścicielka pensji dla młodych arystokratek w Paryżu, autorka *Pamiętników o życiu osobistym Marii Antoniny* ().

Zgon Delfina — Ludwik-Karol, zwany Ludwi-

4

5

kiem XVII, drugi syn Ludwika XVI, uwięziony wraz z ojcem, umarł w więzieniu w 95 roku, w wieku 10 lat. Rozszerzano wówczas wieści, że to umarł podstawiony w jego miejsce sobowtór, a właściwy delfin został wykradzony z więzienia. Po upadku Napoleona I znalazło się kilku spryciarzy, z których każdy twierdził, że to właśnie on jest cudownie uratowanym pretendentem do tronu Francji.

Wejść do nieba, synu świętego Ludwika — zdanie, które rzekomo wyrzekł ostatni spowiednik Ludwika XVI, jezuita irlandzki Edgeworth de Firmont, w chwili ścięcia króla na szafocie.

Dziewice z Verdun — czternaście rojalistek, które po kapitulacji przed armią pruską twierdzy Verdun, w 92 roku, udały się z delegacją do króla pruskiego ofiarując mu kwiaty i kosz cukierków. W roku 94 zostały skazane przez trybunał rewolucyjny, z wyjątkiem dwóch najmłodszych, na gilotynę. Wśród owych „dziewic”, ogłoszonych przez emigrację arystokratyczną za męczenniczki, znajdowało się siedem kobiet, które przekroczyły znacznie czterdziestkę i były matkami licznych dzieci, oraz jedna prostytutka.

Spisy Prudhomme'a — pięciotomowe dzieło: *Zbrodnie Konwentu z listą osób posianych na śmierć w czasie rewolucji* (96).

str. 1

Królowa — małżonka Ludwika XVI, Maria Antonina (55—93), nienawidzona przez lud, rozrzutna i rozpustna. Została zgilotynowana.

Charles-Francois Dumouriez (39—) — oficer francuski, związany w czasie rewolucji z Filipem Egalite, a potem z żyryndystami, dowodził wojskami francuskimi w zwycięskiej bitwie z Prusakami i Austriakami pod Valmy (92). Z chwilą nastania dyktatury jakobińskiej począł zamyślać o kontrrewolucyjnym zamachu stanu, ale poprzestał na zdradzie i przejściu na stronę emigrantów i Austrii.

...czy w prerialu Góra, czy Żyro n da rozpoczęła — aluzja do powstania rewolucyjnych sekcji paryskich przeciwko władzy żyryndystów w końcu maja i początku czerwca 93 roku (według kalendarza rewolucyjnego miesiąc łąk — prerial obejmował okres od maja do czerwca).

6

...a w termidoKze Jakobini czy Centrum — mowa o wypadkach poprzedzających obalenie dyktatury jakobi-nów 9 termidora (lipca) 94 roku. Centrum było w Konwencie ugrupowaniem pośrednim między jakobinami i żyryndystami i odznaczało się niezdecydowaniem i chwiejnością. Lsonard Simonde de Sismondi (73—42) — historyk i ekonomista szwajcarski, liberał, autor *Historii republik włoskich* i *Historii Francuzów*.

Grzegorz z Tours (544—595) — biskup z Tours, autor słynnej kroniki *Historia Francorum*, stanowiącej podstawowe źródło historii Galii.

Enguerrand de Monstrelet (90—53) — autor *Kroniki*, opisującej okres pierwszej połowy XV wieku. Philippe de Commines (ok. 46—) — wybitny historyograf francuski, autor *Pamiętników*.

str. 1

Olimpiady — u Greków czteroletnie odstępy dzielące poszczególne igrzyska olimpijskie, służące do liczenia czasu. Olimpiady liczono od 776 roku p.n.e.; każda Olimpiada nosiła nazwisko zwycięzcy w ostatnich igrzyskach.

Jacques-Benigne B o s s u e t (—04) — kanonik w Metz a potem biskup Meaux, znakomity kaznodzieja i zacieklej pogromca protestantów i jansenistów, wybitny teoretyk absolutyzmu francuskiego. W wymienionej tu *Rozprawie o historii powszechnej* wyłożył swą koncepcję historycznego rozwoju świata, którego wyłączną siłą napędową jest, według niego, ciągła ingerencja Opatrzności.

Orzeł z M e a u x — przydomek nadawany Bossuetowi, zamieszczony przez Flauberta w *Słowniku komunalów*.

Teodozjusz (6—395 n.e.) — cesarz rzymski, prowadził wojny z Gotami i prześladował pogan w swym państwie.

Giambattista V i c o (68—44) — włoski burżuazyjny filozof, historyk i socjolog, twórca teorii cyklicznego rozwoju historii społeczeństw, autor traktatu *Zasady nowej nauki odnośnie wspólnej natury narodów* ().

Odrzucając w rzeczywistości teologiczny sposób pojmowania historii, stosował pierwsze elementy metody krytyczno-historycznej w badaniu źródeł. Belizariusz (494—595) — wybitny wódz w Cesarstwie Bizantyjskim. Według nieuzasadnionych legend stracił łaski cesarza Justyniana, został oślepiiony i skończył jako żebrak. Wilhelm T e — bohater ludowych legend szwajcarskich,

7

przywódca powstania czterech kantonów szwajcarskich przeciwko Austriakom w XIV w. Badania wykazały, że Tell nie jest postacią historyczną.

Rodrigo Diaz de Bivar C y d (umarł ok. 1099) — rycerz i rozbójnik hiszpański, wslawiony w walkach z Maurami, bohater legend hiszpańskich i wielu opartych na nich utworów literackich.

Instytut Francuski — nadrzędna instytucja naukowa, stworzona w czasie rewolucji, w skład której wchodzi pięć istniejących we Francji akademii.

Pierre D a u n o u (61—40) — historyk, profesor College de France, autor dwudziestotomowego *Kursu studiów historycznych*, zawierającego m.in. wykład jego racjonalistycznej metody badawczej.

str. 1

Pauzaniasz — wódz spartański, żyjący na przełomie VI i V w. p.n.e.

Tytus — syn Wespazjana, cesarz rzymski w latach 79—81.

W roku 70 n.e. stłumił powstanie w Judei i zburzył Jerozolimę..

Gnejus Pompejus (107—49 p.n.e.) — wódz rzymski, uczestnik pierwszego triumwiratu. Ujarzmił w 62 r. p.n.e. Syrię wraz z Królestwem Judejskim.

Karol IX — król Francji w latach 60—74.

Henryk II — ojciec Karola IX, panujący od roku 47 do 59.

str. 1

Antoine G u e n e e (—03) — teolog francuski, autor m.in. dzieła pt. *Listy kilku Żydów portugalskich, niemieckich i polskich do pana de Voltaire* (69), w którym bronił Biblii przed zarzutami Woltera.

Kampanie Karola VIII — Karol VIII, król Francji w latach 70—93, zainicjował wojny włoskie, trwające aż do 59 roku.

Andre M a s s e n a (58—) — jeden z najzdolniejszych dowódców napoleońskich. Po wyprawie do Hiszpanii stracił łaski cesarza, a w roku przeszedł na stronę Burbonów i walczył u boku księcia d'Angouleme przeciwko cesarzowi, w czasie Stu Dni Napoleona.

Wojna w Hiszpanii — zbrojna interwencja Burbonów w roku , mająca na celu obalenie liberalnej monarchii konstytucyjnej, powstałej w roku w Hiszpanii, i przywrócenie monarchii absolutnej. Dowództwo armii interwencyjnej spoczywało w rękach księcia d'Angou! 6me. Trocadsro — jeden z fortów broniących Kadyksu, w Hiszpanii.

Słupy Herkulesa — mitologiczna nazwa cieśniny Gibraltaru.

str. 1

Zarządzenia (*les Ordonnances*) — wydane lipca r. przez Karola X, rozwiązujące Zgromadzenie przed jego zebraniem się i wprowadzające znaczne zmiany do konstytucji. Stanowiły próbę przywrócenia absolutyzmu we Francji i stały się bezpośrednią przyczyną wybuchu rewolucji lipcowej. Henri Charles hrabia de Chambord(— 83) — wnuk Karola X. Pretendował do tronu francuskiego jako ostatni potomek starszej linii Burbonów.

Legityniści zwali go Henrykiem V.

Alexandre-Cesar Debelle (70—) — generał napoleoński, na emeryturze od 09 roku. W czasie Stu Dni Napoleona zarządzał departamentem Drôme, za co potem królewski trybunał wojskowy skazał go na śmierć.

Ludwik XVIII ułaskawił go na prośbę księcia d'Angoulšme.

str. 1

...ż e najznakomitszy z mych przodków

był protestantem — mowa o Henryku IV, który najpierw był przywódcą partii hugonockiej, ale przeszedł w roku 93 na katolicyzm (słynne jego powiedzenie: „Paryż wart jest mszy.”

Hrabia d'Artois — tytuł Karola X, zanim wstąpił na tron w roku .

str. 1

...g dyż uwłosienie mówi o temperamentie — w *Słowniku komunalów* Flaubert zanotował: „Blondynki — bardziej namiętne niż brunetki (patrz: Brunetki.” Pod hasłem „Brunetki” czytamy: „Bardziej namiętne niż blondynki (patrz Blondynki).”

8

9

Rozdział V str. 0

Louis de M a r c h a n g y (82—) — podrzędny reakcyjny pisarz francuski, autor napisanej pod wpływem Chateaubrianda *Galii poetycznej, albo historii Francuzów rozpatrywanej w jej związkach z poezja, wymową i sztukami pięknymi*. Charles d'Arincourt (89—56) — pisarz francuski, ultraroyalista, autor ponad dwudziestu kiepskich powieści i prac historycznych.

Frederic Soulie (00—47) — pisarz francuski, liberał, autor melodramatów i sensacyjnych powieści *Dwa tnipy, Pamiętniki diabła* (—38) itp.

Bibliofil Jacob-----pseudonim erudyty i powieścio-

pisarza francuskiego Pawła Lacroix (07—84), autora powieści historycznych z dziejów Średniowiecza, jak *Król rozpustników, Człowiek w żelaznej masce* itp.

Lascaris — książka w formie obrazów powieściowo-histo-rycznych z czasów poprzedzających bezpośrednio Odrodzenie, napisana przez liberalnego historyka francuskiego Abel-Fran-cois Villemaina (90—70). Szczegół z fajką

jest oczywistym anachronizmem, gdyż zwyczaj palenia tytoniu został sprowadzony z Ameryki przez Portugalczyków dopiero w połowie XVI wieku. Do Francji tytoń i fajkę sprowadził Nicot, ambasador francuski w Portugalii (stąd nikotyna). Biografia Powszechna — dzieło liczące 45 tomów, wydane w latach 1765–1766 przez braci Ludwika i Józefa Michaud, którego pełny tytuł brzmi: *Biografia powszechna, starożytna i nowożytna, w porządku alfabetycznym, o życiu ludzi, którzy wyróżnili się, swymi pismami, czynami, zdolnościami, cnotami lub przestępstwami*.

str. 1

George Sand (1804—1876) — wybitna postępową pisarką francuską, której właściwe nazwisko brzmiało Aurore Dupin Dudevant. Pisała najpierw powieści byronowsko-romantyczne, a potem stworzyła cykl powieści społecznych napisanych pod wpływem teorii socjalizmu utopijnego (*Wędrowny czeladnik, Horacy, Grzech pana Antoniego* itp.). ...r ad byłby być Jakubem, Szymonem, Benedyktem, Leliem — bohaterowie romantycznych powieści George Sand: *Jacques, Simon, Valentine* i noweli *Ostatnia z Aldinich*, z cyklu *Opowieści weneckie*.

0

]

Faramond — legendarny pierwszy władca Francji; miał panować w latach 4—4.

Klodo-weusz (465—5) — założyciel monarchii frankońskiej.

Filip August — król Francji w latach 80—. Markiza Pompadour (—64) — faworyta Ludwika XV.

Spisek Cellamare — księżę Antoni Cellamare (57—), ambasador Hiszpanii na dworze francuskim, zorganizował po śmierci Ludwika XIV nieudany spisek, którego celem było oddanie regencji we Francji w ręce Filipa V, króla Hiszpanii.

Ludwik XI — król Francji w latach 61—83, znany ze swego dziwaczego i odludnego trybu życia.

str. 2

Maria Stuart (42—87) — królowa Szkocji, pozbawiona tronu na skutek powstania szlachty szkockiej, uciekła do Anglii, gdzie z rozkazu królowej Elżbiety została uwięziona i po osiemnastu latach przebywania w więzieniu — ścięta. Armand-Jean R i c h e l i e u (85—42) — kardynał i pierwszy minister Ludwika XIII, ukrócił samowolę feudałów i prześladował protestantów.

Nowa Heloiza — sentymentalna powieść Jana-Jakuba Rousseau, z roku 61, o nieszczęśliwej choć wzajemnej miłości nisko urodzonego młodzieńca do arystokratki. *Delfina* — wczesno-romantyczna powieść feministyczna, napisana przez pisarkę francuską panią de Staël w roku 02. *Adolf* — wczesna autobiograficzna powieść romantyczna, napisana przez Benjamina Cconstant (67—), działacza obozu liberalnej burżuazji.

Ourika — bardzo swego czasu popularna, łzawa powieść księżnej Klary Lechat de Kersaint de Duras (79—), wydana w roku . Bohaterką jej jest młoda Murzynka zakochana w młodym 3! uroczym arystokracie Karolu, który ją wprawdzie bardzo lubi, ale żeni się z inną. Ourika wstępuje do klasztoru, gdzie po wzruszającej spowiedzi umiera. Xavier de Maistre (64—) — arystokrata francuski generał armii carskiej, brat słynnego reakcyjnego filozofa Józefa de Maistre; pisarstwem parał się dla rozrywki. Alphonse Kar r (08—90) — pisarz francuski, autor utworów humorystycznych i słynnej serii pamfletów p.n. *Osy*.

3

Str. 3

Auguste B i c a r d (99—41) — drugorzędny pisarz francuski, autor sensacyjnych i pikantnych romansów z życia drobnomie-szczaństwa (*Gryzетка, Dorożkarz Juliusz albo galernik wyzwolony, Położna* itp.)-

Paul de Kock (94—71) — autor olbrzymiej ilości sensacyjnych i frywolnych powieści z życia drobnej burżuazji, zawierających miejscami trafne akcenty krytyki społecznej (*WJaściciel trzech par spodni, Mój kuzyn Raymond, Bal w wielkim świecie* itp.).

Pustelnik z Chaussee d'Antin — tytuł kroniki obyczajowej prowadzonej od roku w „Gazette de France” przez dramaturga Wiktora de Jouy (64—46). *Athalie* — tragedia Racine'a z 91 roku.

str. 4

Th&tre Frangais albo Com&die Frangaise — założony w 80 roku paryski teatr, wystawiający przeważnie sztuki z repertuaru klasycznego.

Jean-Francois L a h a r p e (39—03) — francuski poeta i krytyk literacki, w młodości naśladowca Woltera, autor kilku miernych tragedii i tchnącego dogmatycznym racjonalizmem Kursu literatury.

Gabriela de V e r g y — tragedia Piotra Bulrette'a (—75); kochanek Gabrieli ginie na wyprawie krzyżowej i przed śmiercią poleca giernkowi zawieźć kochance swoje serce. Mąż Gabrieli przejmuje ten ostatni upominek poległego kochanka swej żony i zmusza do zjedzenia go na surowo. *Dionizy, tyran Sy r a k u z* — mierna tragedia Jana Franciszka Marmontela (—99).

Jacques Vaucanson (09—82) — mechanik i konstruktor francuski, wyrabiał różne pomysłowe katarzynki i mechanizmy-roboty, jak np. flecista, szachista i słynne kaczkę, które pluskały się w wodzie i polykały ziarno.

Celimena — postać kokietki z *Mizantropa* Moliere. Klitander i Sganarelle równie fałszywi jak Egist i Agamemnon — w komedii francuskiej Klitander był typem zakochanego młodzieńca, a Sganarelle postacią wyrażającą cięty dowcip i zdrowy rozsądek plebejski. Egist i Agamemnon są postaciami z wystawionej w 97 roku tragedii Lemerciera: *Agamemnon*. ...rodzaj ciągnący się od Diderota aż do

3

Pixerecourta — Denis Diderot (—84), wielki francuski pisarz-encyklopedysta epoki Oświecenia, był głównym

teoretykiem powstającego wtedy dramatu mieszczańskiego, mającego niektóre elementy wspólne z ówczesną sentymentalną tzw. łązawą komedią. W początku XIX w. rozwinął się we Francji melodramat, który przejął od łązawej komedii jej tendencje moralizatorskie, operował nastrojem grozy i tajemniczości, oraz łączył elementy komizmu i tragizmu. Melodramat był zatem zwiastunem wielkiego dramatu romantycznego. Przywódcą grupy melodramaturgów był Guilbert de Pixerecourt (73—44). Dramat z roku — dramat romantyczny; w roku został wystawiony *Hernani* Wiktora Hugo, a w roku poprzednim dramat historyczny Aleksandra Dumas: *Henryk III i jego dwór*. Joseph Bouchardy (10—70) — autor popularnych melodramatów o nadzwyczaj skomplikowanej akcji (Rybak Gaspardo, *Pasterz Łazarz* itd.).

Antoine-Louis Lemaître (00—76) — słynny aktor paryski występujący w dramatach romantycznych.

str. 5

Charles Pigault-Lebrun (53—) — autor sensacyjnych powieści *Dzieci karnawału* itp. Czapka frygijska — czerwony czepek o charakterystycznym kształcie, noszony przez starożytnych Frygijczyków, a potem przez wyzwolenców w Rzymie. W czasie rewolucji francuskiej noszono go jako oznakę wolności. To u r d e N e ś l e — pełen grozy i krwi dramat historyczny Aleksandra Dumas i Fryderyka Gaillardet (). *F e d r a* — słynna tragedia Racine'a (77).

str. 6

Robert Diabeł — opera z librettem wybitnego dramaturga francuskiego Eugeniusza Sue i muzyką Meyerbeera (), bardzo popularna we Francji w XIX wieku. *Miody Mąż* — komedia napisana w roku przez grafomana Aleksandra Wincentego Duval (67—42). *Wózek handlarz za octu* — bardzo wówczas popularny dramat sentymentalny Sebastiana Mercier (97). Wielka scena Tartufe'a w trz e c i m akcie — scena trzecia aktu trzeciego w Świętoszku Moliere, w której Tartufe zaleca się do Elwiry, żony zaślepionego w nim Orgona.

str. 7

...w czarnym twoim oku — te i następne wiersze są cytowane z końca drugiego aktu dramatu *Hernani* Wiktora Hugo.

str. 9

Jean-Pierre Beranger (80—57) — znakomity francuski poeta postępowy, twórca piosenek popularnych, znany ze swych piosenek-pamiletów, wyśmiewających Restaurację i filisterstwo burżuazji. Nosił długie włosy okalające wydatną łysinę na środku głowy.

str. 0

O d e o n — teatr w Paryżu, założony w 97 roku, grający sztuki współczesne.

François Hedelin d'Aubignac (04—76) — francuski krytyk literacki epoki klasycyzmu, walczący o przestrzeganie reguł poetyki Arystotelesa. Wspomniana tu *Praktyka teatru* była komentarzem do poetyki starożytnych.

Nicolas Boileau (—) — poeta francuski, główny teoretyk klasycyzmu, autor słynnej *Sztuki poetyckiej* (74). Corneille [...] pojęcia ni© ma o teatrze — *Cyd* Corneille'a, wystawiony z ogromnym sukcesem w roku , wzniecił zawiść wielu podrzędnych dramatopisarzy, między innymi kardynała Richelieu, który posiadał ambicje literackie znacznie przekraczające jego uzdolnienia w tym kierunku. Pod jego naciskiem świeżo powstała Akademia Francuska wydała w roku *Uwagi Akademii o Cydzie*, w których potępiła słynne arcydzieło jako utwór niezgodny z regułami poetyki Arystotelesa.

Julien-Louis Geoffroy (43—) — jezuita parający się krytyką dramatyczną; odznaczał się nieprzejednaną i nieprzebiegającą w kalumniach nienawiścią do filozofów Oświecenia, a w szczególności do Woltera.

Subligny — francuski pisarz i krytyk literacki z XVII Wieku, o którego życiu historia posiada nader skąpe wiadomości. Znany jest m. in. z tego, że z gwałtownego przeciwnika Racine'a stał się jego gorącym wielbicielem.

str. 1

Article de P a r i s — artykuł paryski; termin ten oznacza przedmioty zbytku i mody wyrabiane specjalnie w Paryżu. *Mizantrop* — jedna z najlepszych sztuk Moliere, wysta-

4

wioną po raz pierwszy w czerwcu 66 roku i zdjęta ze sceny po dwóch miesiącach. Molier. wystawiał- jeszcze kilkakrotnie swego *Mizantropa*, ale zawsze bez większego powodzenia. *Zair a* — jedna z najbardziej znanych spośród dwudziestu siedmiu tragedii Woltera, napisana pod bezpośrednim wpływem *Otella* Sa&kspira. Kryła w sobie zarodki sentymentalnego dramatu mieszczańskiego.

Victor-Henri-Joseph D u c a n g e (83—) — dramaturg i powieściopisarz francuski, liberał, prześladowany przez reżim Restauracji. Jego dramat *Trzydzieści lat, czyli życie karciarza*, i powieść o zbrodniach „białego terroru" za Restauracji p. t. *Walentyna* były bardzo popularne.

Louis-François P i c a r d (69—) — aktor i pisarz, autor około dwudziestu powieści i pięćdziesięciu utworów scenicznych, dosyć za jego życia popularnych we Francji. *F a n c h o n d u* (*Jziarka* — cklivy wodewil Jana Mikołaja Bouilly i Józefa Pain, wystawiony z olbrzymim sukcesem w 00 roku, o dziewczynie zarobkującej grą na wioli i kochanej przez bogatego pułkownika. *Rybak-Gaspardo* — melodramat Bouchardy'ego.

str. 2

fimile Li t trę (01—81) — francuski filozof-pozytywista i wybitny filolog, autor monumentalnego Słownika Języka Francuskiego.

Friedrich Wilhelm Schelling (75—54) — reakcyjny filozof niemiecki, uważający, iż zasadą świata jest nieświadoma, duchowa siła — absolut.

Thomas Reid (10—96) — filozof szkocki, przywódca idealistycznej szkoły szkockiej głoszącej tzw. filozofię zdrowego rozsądku.

str. 3

Theodore-Simon Jouffroy (96—42) — filozof francuski, stojący na stanowisku racjonalizmu i ateizmu, wychowanek i wykładowca Szkoły Normalnej. Interesował się szczególnie psychologią. Napisał m.in. *Wykłady estetyki*.

Ojciec Andre — (75—64) — Yves-Marie Andre, jezuita, profesor matematyki na uniwersytecie w Caen, autor m. in. *Szkicu o piąknie*.

str. 4

Dominicue Bouhours (—02) — jezuita, purystyczny krytyk literacki, zajmujący się szczególnie zagadnieniami stylu. Francois-Xavier Dröz (73—51) — moralista, historyk i ekonomista francuski, związany z grupą filozofów-racjonalistów zwanych ideologami. Autor napisanego w duchu klasycyzmu *Studium o pięknie w sztukach* ().

Jean-Marie Nisard (08—88) — krytyk literacki, przeprowadzający w swej *Historii literatury francuskiej* tezę, że literatura, poczynając od XVII wieku, w którym osiągnęła swoje apogeum, upada coraz bardziej,

Andre Chénier (62—94) — znakomity francuski poeta liryczny z końca XVIII wieku, materialista i racjonalista. Początkowo był zwolennikiem rewolucji, ale w czasie dyktatury jakobinów stał się jej przeciwnikiem i został zgilotynowany. Hugh Blair (—00) — duchowny prezbiteriański, profesor literatury w Edynburgu, autor *Wykładu retoryki i literatury pięknej*.

Antoine Houdar de Lamotte (72—) — dramaturg francuski, autor francuskiego przekładu Iliady Homera, poprzedzonego wstępem zatytułowanym *Rozważania o Homerze*, do którego Flaubert robi tu aluzję.

Marco Girolamo Vida (90—66) — poeta włoski piszący wyłącznie po łacinie, autor *Sztuki poetyckiej* (72) i słynnego poematu pt. *Gra w szachy*.

Dionysius Cassius Longin (2—3) — retor grecki, uważany błędnie za autora Traktatu o podniosłości, przetłumaczonego przez Boileau.

str. 6

Sprawa Pritcharda — wynikły pod koniec panowania Ludwika Filipa zatarg między Francją i Anglią, którego tłem była rywalizacja misjonarzy francuskich i angielskich na Wyspach Towarzyskich (Taiti), na Pacyfiku.

Pritchard — szef angielskiej placówki misyjnej na Taiti, wygnany z wyspy przez Francuzów, został w Anglii ogłoszony męczennikiem za wiarę. O mało nie doszło do konfliktu zbrojnego, gdyż stawką gry było posiadanie Wysp Towarzyskich; rząd francuski przyznał jednak pośpiesznie odszkodowanie pieniężne Pritchardowi. Krok ten wywołał ostrą krytykę ze strony opozycji antyorleańskiej, która oskarżyła Ludwika Filipa o tchórzostwo.

Ustawy wrześnie — uchwalone przez bankierów w Izbie Parów i Deputowanych w roku 1793, po nieudanym zamachu na Ludwika Filipa. Wprowadzały cenzurę i obostrzenie kar za wystąpienia antyrządowe.

...w postaci Marii Tudor — Maria Tudor była królową Anglii w latach 53—58 i zapisała się w dziejach jako bezwzględna prześladowczyni protestantów. Wiktor Hugo uczynił z niej bohaterkę, tytułową swego dramatu, wystawionego w roku 1831, w którym przedstawił zmyślane dzieje miłości krwawej królowej i jej faworyta Fabiano Fabiani.

str. 7

Casimir Delavigne (93—43) — francuski poeta i dramaturg, wybitny liberał, autor tragedii *Nieszpory sycylijskie* i *Parias*, oraz patriotycznych elegii, wymierzonych przeciwko Restauracji.

Auguste de Fodras (00—72) — arystokratyczny powieściopisarz francuski, opiewający w swych książkach uroki życia w „eleganckim świecie” (*Szlachcice na polowaniu*, *Pamiętniki myśliwca* itp.).

Rozdział VI

str. 8

Henri La Rochejaquelein (05—67) — arystokrata francuski, był do 48 roku gorącym stronnikiem Burbo-nów, jednym z przywódców tzw. partii neo-legitymistycznej, maskującej swą reakcyjność deklamacjami na temat „suwerenności ludu”. Po rewolucji lutowej markiz de La Rochejaquelein przeobraził się w „republikanina”, został członkiem Klubu Przyjaciół Ludu i zgłosił swą kandydaturę na prezydenta republiki. Rząd tymczasowy — powstał na barykadach rewolucji lutowej i składał się z przedstawicieli różnych, wrogich sobie w rzeczywistości, klas i ugrupowań; większość stanowili w nim reprezentanci burżuazji. Z ramienia republikańskiego drobnomieszczanstwa wchodził w jego skład Ledru-Rollin i Flo-con, monarchistów reprezentował Gremieux, proletariat — Louis Blanc i Albert.

Drzewa wolności — w czasie francuskiej rewolucji burżuazyjnej, poczynając od 90 roku, sadzono na wszystkich placach publicznych dęby ozdobione kwiatami i trójkolorowymi wstążkami, symbolizujące wolność.

...b lachy kilku starych czak z czasów L a-f, a y e ' a — Marie-Joseph Lafayette (57—), generał i stronnik liberalnej burżuazji, był na początku francuskiej re-

6

— Bouvard i Pecuchet

7

wolucji burżuazyjnej dowódcą gwardii narodowej. W roku był jednym z głównych organizatorów rewolucji lipcowej i popleczników Ludwika Filipa.

str. 0

Cyrkularze Ledru-Rollina — Alexandre-Auguste Ledru-Rollin (patrz otaj. do rządu tymczasowego), który był ministrem spraw wewnętrznych, wydał marca roku okólnik do rządowych komisarzy, mianowanych na miejsce prefektów, przyznający im wysokie pełnomocnictwa i wzywający do popierania nastrojów republikańskich na prowincji. Cyrkularze te wywołały strach i nienawiść wśród burżuazji.

str. 4

...p o zajściach maja w Izbie — kiedy 4 maja 48 roku zebrało się Narodowe Zgromadzenie Ustawodawcze, okazało się w pełni, że lutowe zwycięstwo ludu paryskiego zdyskontowała na swoją korzyść burżuazja. maja odbyła się manifestacja robotników paryskich, którzy wtargnęli na salę obrad Zgromadzenia i „w imieniu ludu oszukanego przez swych przedstawicieli” zażądali rozwiązania Izby. Burżuazja zlikwidowała szybko to wystąpienie, którego jedynym skutkiem było uwięzienie najenergiczniejszych przywódców proletariatu i ogłoszenie szeregu antyrobotniczych dekretów. Louis Blanc (—82) — utopijny socjalista francuski, w 48 roku był członkiem rządu tymczasowego z ramienia robotników i przewodniczącym Komisji do spraw pracy.

Ferdinand F l o c o n (00—60) — publicysta i polityk fran- -cuski reprezentował w rządzie tymczasowym, wraz z Ledru-Rollinem, republikańskie drobnomieszczaństwo. Francois-Ferdinand Joinyilfe (—00) — trzeci z rządu syn króla Ludwika Filipa, posiadający stanowisko wiceadmirała w marynarce królewskiej. W chwili wybuchu rewolucji lutowej znajdował się w Algierze, skąd uciekł natychmiast do Anglii.

str. 6

...c hcąc postąpić jak Lamartine — Al-phonse de Lamartine (90—69), znakomity romantyczny poeta francuski, autor *Rozmyślań poetyckich*, liberał burżuazyj-ny, stanął w roku 48 na czele rządu tymczasowego. Przez swą chwiejną politykę zdradził interesy ugrupowań demokratycznych. Lamartine był znakomitym mówcą. Tu aluzja do jego prze-

8

mówienia w dniu lutego 48 roku, którym zdezorientował robotników paryskich zebranych przed Ratuszem i żądających obalenia rządu tymczasowego i zatknięcia na gmachu czerwonego sztandaru.

str. 9

Zegar Boule'a — pochodzący z pracowni słynnego paryskiego mistrza stolarstwa artystycznego — Andrzeja Karola Boule (42—), nadwornego dostawcy Ludwika XIV i wielu innych współczesnych monarchów europejskich.

str. 0

...p apiery Cavaignaca spadały — Louis-Eugene Cavaignac (02—57), generał i działacz republikańskiej burżuazji, pogromca czerwcowego powstania robotników, wysunął swą kandydaturę w wyborach prezydenta republiki. Zniechęcił jednak wielu spośród swych burżuazyjnych stronników polityką lawirowania między lewicowymi i prawicowymi ugrupowaniami w Zgromadzeniu Narodowym. Gwardia ruchoma stała się podejrzana — w 48 roku burżuazja była zmuszona dopuścić do Gwardii Narodowej robotników. Rząd Tymczasowy tedy utworzył do walki z wrogiem Gwardię mobilową, złożoną z dwudziestu czterech tysięcy lumpenproletariuszy, złodziei i włóczęgów w wieku od piętnastu do dwudziestu lat. Mobilie wzięli aktywny udział w czerwcowej masakrze robotników, ale potem stali się niebezpieczni, gdyż stanowili oni siłę bojową republikańskiej frakcji burżuazyjnej; wkrótce po swym wyborze na prezydenta Ludwik Napoleon rozwiązał Gwardię ruchomą. ...i 10 grudnia wszyscy ...oddali swe głosy na Bonapartego — dzień 10 grudnia 51 roku był, wedle określenia Marksa, chłopskim zamachem stanu. Ludwik Napoleon zapewnił sobie zręczną propagandą poparcie wszystkich klas społeczeństwa francuskiego. Głosując na niego chłopcy głosowali przeciw podatkom, proletariat przeciwko Cavaignacowi, wielka burżuazja przeciwko niebezpiecznej dla niej frakcji republikańskiej, drobnomieszczaństwo przeciw konkurencji wielkokapitalistycznej. Napoleon otrzymał prawie pięć i pół miliona głosów. Cavaignac — półtora miliona, Ledru-Rollin — trzysta siedemdziesiąt tysięcy głosów. La Reyalesciere — modna wówczas odżywka zdrowotna, produkowana przez niejakiego doktora du Barry z soczewicy,

9

grochu, kukurydzy, fasoli itp. i barwiona sztucznie na czerwono, co pozwalało reklamować ją jako preparat zawierający rzekomo olejki z leczniczych roślin afrykańskich, „broniących Murzynów przed wszystkimi możliwymi chorobami”.

Guillaume Dupuytren (77—) — słynny chirurg, profesor Kliniki Chirurgicznej w Paryżu. Jego nazwiskiem, jak to jest przyjęte w reklamie kapitalistycznej, posługiwało się wiele paryskich wytwórni kosmetycznych dla zachwalania swych produktów, oczywiście za odpowiednio opłaconym zezwoleniem Dupuytrema.

str. 1

...o wyprawie na Rzym — mowa o akcji francuskiego korpusu ekspedycyjnego, wysłanego do Włoch w listopadzie 48 roku, rzekomo przeciwko Austriakom, a w rzeczywistości pchniętego do walki z republiką rzymską i powstaniem Garibaldiiego, w interesie zbiegłego przed powstańcami do Grecji papieża. Korpus ten zmusił w lipcu 49 roku Garibaldiiego do opuszczenia Rzymu. Wyprawa rzymska maskowana była we Francji oszukańczą propagandą o konieczności odebrania hegemonii we Włoszech z rąk monarchii austriackiej. Carlos Calvo (—06) — argentyński dyplomata, autor licznych prac z zakresu prawa międzynarodowego. Karl von M a r t e n s (—63) — dyplomata i prawnik niemiecki, autor *Zarysu prawa współczesnych mieszkańców Europy* ().
Emmenrich von V a e l (—67) — prawnik i dyplomata niemiecki, autor dzieła *Prawo ludzkie albo zasada prawa naturalnego w zastosowaniu do postępowania i spraw narodów i władców* (58).

str. 3

... t o a s t n a cześć [...] wielkiego Maksymiliana — Flaubert popełnił tu anachronizm: Petit nie mógł wnieść tego toastu, gdyż Ferdynand Józef Maksymilian (—67), brat cesarza Austrii Franciszka Józefa I, został, dzięki machinacjom klerykałów meksykańskich i interwencji Napoleona III, cesarzem Meksyku dopiero w roku 84, a w 67 roku obalony przez republikanów meksykańskich walczących pod wodzą Juareza ł w rok później rozstrzelany.

str. 5

Nicolas Changarnier (93—77) — generał francuski, orleanista, brał czynny udział w masakrze robotników paryskich w czerwcu 48 roku. Mianowany komendantem Paryża, marzył o dokonaniu zamachu stanu na własną rękę, ale został w roku 51 zdymisjonowany przez Ludwika Bonaparte, który przejrzał zawczasu jego zamiary.

str. 7

„C h a r i v a r i” — założony w roku dziennik satyryczny, po rewolucji lutowej organ republikańskiej frakcji burżuazyjnej Cavaignaca. Zatrudniał wówczas słynnego francuskiego karykaturzystę Amedse de Noś, podpisującego się pseudonimem Cham.

„U n i v e r s” — założony w roku dziennik klerykalny, głoszący po roku 48, że republika jest ustrojem opatrnościowym dla Francji, a od 52 roku bijący pokłony Ludwikowi Napoleonowi.

str. 8

...z a Karola II — Karol II panował w Anglii w latach 60—88.

Robert F i m e r (04—88) — rojalista angielski, wróg Crom-wella i rewolucji burżuazyjnej, w swym traktacie *Patriarcha* wywodził władzę królewską od autorytetu patriarchy w społeczeństwie pierwotnym.

John Locke (—04) — filozof sensualista, jeden z przedstawicieli wielkiego nurtu materialistycznej myśli angielskiej XVII wieku. W dziedzinie socjologii Locke był teoretykiem monarchii konstytucyjnej, powstałej w Anglii po rewolucji burżuazyjnej i opartej na kompromisie szlachecko-mieszczańskim. Claude-Adrien Helvetius (—71) — filozof francuski epoki Oświecenia; stosował materialistyczne i racjonalistyczne zasady w socjologii i etyce.

Charles Vatel (—86) — erudyta francuski, w swych pracach o francuskiej rewolucji burżuazyjnej gloryfikował żyrondistów.

Adam Glafey (92—53) — prawnik niemiecki, autor traktatu *Prawo naturalne i prawo ludzkie*.

Frangois H o t m a n (—89) — prawnik francuski, był działaczem protestanckim; po ucieczce z Francji wykładał w Genewie. Gabriel Bonnot Mably (09—85) — francuski komunista

0

1

utopijny, uczeń Rousseau i Locke'a, wyrażał dążenia najbardziej upośledzonych warstw trzeciego stanu. Święty Tomasz z Akwinu (—74) — filozof scholastyczny, wybitny teoretyk feudalizmu. Pierre Jurieu (—) — profesor teologii protestanckiej w Sedanie i Rotterdamie, zacięty przeciwnik Bossueta i absolutyzmu.

Umowa społeczna — traktat Jana Jakuba Rousseau, wydany w roku 62, zawierający racjonalistyczne uzasadnienie rewolucji burżuazyjnej.

str. 9

Henri-Claude S a i n t-Si m o n (60—) — wielki francuski socjalista utopijny i filozof historii. Jego doktryna była projektem reorganizacji kapitalizmu i uwolnienia go od anarchii gospodarczej, z pominięciem zasadniczych zmian ustrojowych. Fourleryzm — teoria Karola Fouriera (—), wybitnego francuskiego socjalisty utopijnego i wnikliwego krytyka anarchii kapitalistycznej. Bouvard i Pecuchet grzęzną w jej marginesowych, przepojonych mistycyzmem koncepcjach, które przesłaniają im całkowicie Istotę doktryny społecznej Fouriera. Bajaderyzm — bajadery to indyjskie tancerki, kapłanki bogini Rambha, oddające się prostytucji.

str. 0

Felix de Lafarelle (00—71) — drobnomieszczański ekonomista francuski, autor traktatu o wymownym tytule: O

postępie społecznym na korzyść klas ludowych nieubogich. Pierre-Joseph Proudhon (09—65) — publicysta i socjolog francuski, ideolog drobnomieszczaństwa, prekursor anarchizmu.

Eseneńczycy — sekta żydowska, powstała około I wieku p.n.e. Eseneńczycy żyli w gminach, dzielili się swym majątkiem, uprawiali ascezę i zachowywali celibat.

Bracia Morawscy albo Bracia Czescy — anarcho-komunistyczna sekta religijna, powstała w Czechach w połowie XV w. Jezuici z Paragwaju — w roku 08 na mocy przywileju królewskiego jezuici hiszpańscy założyli własne teo-kratyczne państwo w Paragwaju. Eksploatując zżęcznie i bezwzględnie ludność indiańską, która zachowała formy ustroju wspólnoty pierwotnej, jezuici paragwajscy zdobyli olbrzymie bogactwa. Po przeszło półtorawiecznym istnieniu, państwo jezuickie zostało zlikwidowane, a jezuici w 67 roku wygnani z Paragwaju.

Ikaryjczycy — mieszkańcy wymyślonej przez Cabeta krainy — Ikarii, opisanej w jego *Podróży do Ikarii*. Etienne C a b e t (88—56) był utopijnym komunistą francuskim, reprezentującym w swych teoriach stanowisko drobno-mieszczańskie.

Pierre Leroux (97—71) — jeden z przedstawicieli socjalizmu utopijnego w okresie Restauracji i Monarchii Lipcowej we Francji.

Auguste C o m t e (98—57) — francuski burżuazyjny filozof i socjolog, twórca „filozofii pozytywnej”.

str. 1

Thomas Morus (78—) — humanista angielski, jeden z twórców socjalizmu utopijnego, autor Utopii (). Morus pełnił urząd wielkiego kanclerza przy dworze królewskim. Został stracony pod zarzutem zdrady stanu.

Tommaso Campanella (68—39) — wybitny włoski komunista utopijny. W ciągu swego życia spędził dwadzieścia siedem lat w pięćdziesięciu różnych więzieniach i był wielokrotnie torturowany przez inkwizycję.

Filippo Michele Buonarroti (61—) — komunista utopijny i działacz rewolucyjny. Wraz z Babeufem zorganizował Spisek Równych, po wykryciu którego, w roku 97, został skazany na dożywotnie więzienie. W roku 06 zamieniono mu karę więzienia na dozór policyjny.

Prohibicja — zakaz importu pewnych towarów, lub obłożenie ich wysokim cłem ochronnym.

str. 2

Było to 3 grudnia 51 roku — nazajutrz po zamachu stanu Ludwika Napoleona, który w rok później ogłosił się cesarzem Napoleonem III.

str. 3

Strzelanina na bulwarach — zamach Ludwika Napoleona wywołał zbrojny opór ludu Paryża. Pierwsze barykady stanęły już 3 grudnia, liczba ich zwiększyła się znacznie, gdy rozlepiono afisze zwiastujące śmierć ludowego deputowanego Baudina oraz wezwanie do broni pióra Wiktora Hugo.

S42

3

W dniu następnym wojsko przystąpiło do decydującego uderzenia i po zlikwidowaniu barykad przeprowadzało rewizję domową rozstrzelując na miejscu wszystkich spotkanych z bronią w rękę albo podejrzanych o udział w walce przeciw uzurpatorowi.

Rozdział VII

str. 8

Yaleria Messalina (—48 n.e.) — piąta z rządu małżonka cesarza rzymskiego Klaudiusza, słynąca z rozpusty.

str. 9

L i v a r o t — miasteczko w departamencie Calvados.

Rozdział VIII

str. 3 i

Francois A m o r o s (69—48) — pułkownik hiszpański, minister policji w czasie panowania brata cesarza Napoleona I w Hiszpanii. Po upadku Napoleona przeniósł się na stałe do Francji i tu zasłynął jako propagator nauczania gimnastyki. Napisał *Podręcznik edukacji fizycznej i gimnastycznej* ().

str. 4

Charles-Irenee Saint-Pierre (58—43) — opat francuski, jałmużnik księżny d'Orleans. Odważnie krytykował rządy Ludwika XIV i był twórcą wielu mniej lub bardziej utopijnych projektów (utworzenie ogólnoeuropejskiego trybunału rozjemczego, stworzenie międzynarodowego kodeksu prawnego, wprowadzenie wszędzie ortografii jednoznacznej z wymową itp.).

str. 5

Clemence I s a u r e (ur. około 50 — zm. po 00) — odnowicielka założonej w roku przez trubadurów prowansalskich Akademii w Tuluae, organizującej konkursy poetyckie (tzw. *jeux floraux* — igrzyska kwiatowe).

str. 9

Michael F a r a d a y (91—67) — wielki fizyk i chemik angielski, słynący z badań nad elektrycznością i magnetyzmem.

4

Michel-Eugene Chevreul (86—89) — słynny chemik francuski, zajmował się również modnym wówczas

magnetyzmem zwierzęcym, usiłując stworzyć racjonalistyczną jego interpretację. (*O różdżce czarodziejskiej, o taftach zwanym wahadłem odkrywczym i o wirujących stolikach*, 54).

S e g o u i n — napisał *Tajemnice magii czyli sekret magnetyzmu odkryty i Rzut oka na sztuki magiczne pana Dupotet* i na *ruchome stoliki* (53).

Friedrich M e s m e r (—) — lekarz niemiecki, twórca cieszącej się olbrzymim powodzeniem w XIX wieku teorii magnetyzmu zwierzęcego. Według Mesmera wszystkie ciała materialne pogrążone są w olbrzymim oceanie fluidu, za pośrednictwem którego wywierają na siebie wzajemny wpływ, analogiczny do działania magnezu. Fluid ten można wykorzystać do oddziaływania na ludzi i do leczenia chorych; wystarczy, żeby magnetyzer skoncentrował pewną porcję fluidu i skierował ją na danego człowieka za pomocą dotknięcia czy też dzięki odpowiednim ruchom palców (tzw. *passom*).

str. 1

Jean-Philippe-Francois D e l e u z e (53—) — przyrodnik francuski, oddający się z całym zapałem studiom nad magnetyzmem zwierzęcym. Według niego, zahypnotyzowany przez magnetyzera pacjent może obserwować swobodnie wnętrze swego organizmu i wskazać źródło choroby oraz odpowiednie lekarstwa.

str. 3

Armand-Marie Puysegur (51—) — arystokrata francuski, uczeń Mesmera i propagator jego teorii, napisał dzieło *O magnetyzmie zwierzęcym rozpatrywanym w jego związku z różnymi działaniami fizyki ogólnej*.

str. 5

Album grae cum — dawni farmaceuci nazywali tak białe części psich ekskrementów, zawierające fosfat wapnia, którym przypisywano wszechstronne lecznicze własności. „Constitutionnel” antyklerykalny dziennik liberalnej burżuazji.

Alexandre Bertrand (95—) — lekarz francuski, autor Traktatu *o somnambulizmie*, w którym zjawiska somnambulizmu rozpatruje z racjonalistycznego punktu widzenia.

5

Jean Morin (05—64) — fizyk francuski, autor *Nowej dysertacji o elektryczności ciał*.

Jules C l o q u e t (90—83) — paryski profesor anatomii i chirurgii, przyjaciel Flauberta. Bramin — członek kasty kapłańskiej w Indiach.

str. 6

Wielki Lama albo Dalaj-Lama — najwyższy kapłan buddyzmu tybetańskiego, uważany za wcielenie Buddy.

Oacques Cazotte (—92) — pisarz francuski, autor fantastycznej opowieści *Zakochany diabeł*, zgilotynowany w czasie rewolucji. Wedle pewnej anegdoty, Cazotte wydał w roku 88 wystawny obiad dla swych przyjaciół (Bailly, Chamforta, Con-dorceta i in.) i w czasie biesiady przepowiedział wybuch rewolucji francuskiej, a każdemu z biesiadników to, co go czekało w przyszłości.

str. 7

Allan-Kardec, właściwie Hippolyte Rivail (03 — 69) — założyciel Paryskiego Towarzystwa Studiów Spirytystycznych i jego organu „Przeglądu spirytystycznego” (58). Napisał Księgę *o duchach* (57) i *Naśladowanie Ewangelii wedle spirytizmu* (64).

str. 8

Emanuel Swedenborg (88—72 — mistyk szwedzki; swój system filozoficzny oparł na rzekomych objawieniach otrzymanych od duchów. Pisał po łacinie. (*O niebie i piekle według tego, co widziałem i słyszałem, Wiedza aniołów o miłości i mądrości bożej* itp.).

Paul G e r v a i s (—79) — przyrodnik i lekarz francuski, profesor Sorbony, współpracował m. in. z przeglądem „Ogród roślinny”.

str. 9

Od — według Karola von Reichenbacha (88—69), niemieckiego przemysłowca i przyrodnika-witalisty, tajemnicza siła warunkująca powstawanie wrażeń zmysłowych (*Badania fizyko-iizjologiczne nad magnetyzmem, elektrycznością i ich związkami z siłą witalną*). Jean Dupotet (96—81) — baron francuski, urządził

6

w szpitalu paryskim pokaz praktyk i sztuczek mesmerystycznych; autor *Terapeutyki magnetycznej* itp.

Belladonna (*atrapa belladonna*) — wilcza jagoda, roślina dostarczająca gwałtownej trucizny: atropiny; używana w lecznictwie m.in. jako środek antyspazmodyczny.

str. 0

Dyrektoriat — czteroletni okres (95—99) po obaleniu dyktatury jakobinów przez wielką burżuazją, poprzedzający zamach stanu Napoleona I.

str. 2

Fructus belli (łac.) — owoc wojny.

str. 2

Jean-PMlibert Damiron (94—62) — profesor filozofii w Liceum Karola Wielkiego w Paryżu, autor podręczników historii filozofii dla szkół średnich.

Julien de La Mettrie (09—51) — lekarz francuski, wybitny filozof-materialista epoki Oświecenia, autor

słynnego, wydanego anonimowo traktatu *Człowiek maszyna*. Victor C o u s i n (92—67) — francuski polityk i filozof idealistyczny, przywódca szkoły spirytualistycznej, uważa, że świat zewnętrzny poznajemy tylko pośrednio, za pośrednictwem naszej jaźni. Bezpośrednio poznajemy jedynie naszą jaźń. Joseph-Marie G e r a n d o (72—42) — francuski publicysta, prawnik i filozof, usiłował stworzyć eklektyczny system filozoficzny, łącząc elementy sensualizmu z dogmatami Kościoła katolickiego. Homo *dupie x* (łac.) — podwójny człowiek.
str. 2

Baruch Spinoza (—77) — wielki filozof holenderski. Choć nie przezwyciężył całkowicie idealizmu, był materialistą i opierał swój światopogląd na koncepcji, że przyroda sama jest Bogiem czyli „swoją przyczyną”, nie powstała zatem wskutek działania siły nadprzyrodzonej. Zawiała terminologia filozoficzna Spinozy, która tak dezorientuje Bouvarda i Pécucheta, określa jako atrybuty niezliczone przymioty materii, z których znane są nam dwa: rozciągłość i myślenie; modusy to poszczególne przejawy przyrody — ciała i idee. Bóg pozbawiony woli i ogarniający wszechświat wyraża deterministyczną koncepcję roz-

7
woju przyrody, z którego Spinoza wyeliminował wszelką przypadkowość. Wszystko jest rządzone, według niego, bezwzględną koniecznością.

Przekład Saisseta — Edmond Saisset, drugorzędny filozof francuski, przełożył dzieła Spinozy w roku 43.
str. 2

Korolarie — wnioski wydedukowane na zasadzie praw logiki z ogólniejszych twierdzeń.
str. 2

...o ntologiczna czy psychologiczna — ontologia to w przedmarksowskiej filozofii nauka o bycie, oddzielana fałszywie od teorii poznania, czyli gnoseologii. Psychologiczna albo introspekcyjna metoda poznania świata poprzez własną jaźń głoszona była przez spirytualistycznych filozofów francuskich w pierwszej połowie XIX wieku — Maine de Birana i Wiktora Cousina.

Według Locke'a są dwa źródła — Locke uważał wprawdzie, że zmysły dostarczają nam wyłącznej wiedzy o świecie wewnętrznym, ale przyjmował istnienie tzw. zmysłu wewnętrznego, przy pomocy którego poznajemy własne stany psychiczne drogą refleksji.

Etienne Bonnot de Condillac (—80) — filozof francuski epoki Oświecenia, sensualista, autor *Traktatu o wrażeniach zmysłowych*, które uważał za jedyne źródło naszego poznania. Wrażenia, według Condillaca, nie są odbiciami, lecz tylko znakami rzeczy.
str. 2

A p i c i u s — słynny ze swego smakoszostwa i olbrzymiej sumy wydawanych na uczyty bogacz rzymski, żyjący na przełomie I wieku p.n.e. i I wieku n.e.
str. 2

Dugald Stewart (53—) — szkocki idealistyczny filozof, zastanawiający się w swych dziełach nad zagadnieniem kojarzenia myśli i nad pamięcią.
str. 2

Sofista — sofisci to greccy „nauczyciele mądrości” z V wieku
8

p.n.e. Ujemne znaczenie tego określenia, stosowanego w odniesieniu do człowieka rozmyślnie wprowadzającego kogoś w błąd fałszywym rozumowaniem, przyjęło się od tzw. późnych sofistów (IV w. p.n.e.).
str. 2

Gottfried Wilhelm Leibniz (46—) — niemiecki filozof idealistyczny i matematyk (twórca rachunku różniczkowego). Według Leibniza cała rzeczywistość jest zbiorem monad tj. bytów duchowych niepodzielnych i niezależnych od siebie, ale funkcjonujących w stałej korelacji ze sobą, jak zegary wskazujące tę samą godzinę, a to na mocy harmonii ustanowionej przez Boga.

Nicolas de Malebranche (38—) — filozof francuski, skrajnie idealistyczny, tłumaczył wszelkie zjawiska zachodzące w świecie ciągłą ingerencją Boga. Świat poznajemy nie za pomocą zmysłów, ale dzięki bezpośredniemu oglądowi idei, którego źródłem jest Bóg.

Ralpho Cudworth (—88) — teolog i filozof angielski, uczył, że duszę z dalem łączy substancja pośrednia, duchowo-materialna, tzw. pośrednik plastyczny.
str. 6

George Berkeley (84—53) — biskup i filozof angielski, najwybitniejszy przedstawiciel idealizmu subiektywnego. Otaczające człowieka przedmioty, według Berkeleya, nie istnieją obiektywnie, a tylko wówczas, kiedy są odczuwalne. Realny byt posiadają zatem jedynie subiektywne wrażenia, które Berkeley identyfikował z cechami przedmiotów materialnych.

Wstęp do filozofii hegeliańskiej — Georg Wilhelm Friedrich H e g e l (70—) był filozofem niemieckim, wybitnym przedstawicielem idealizmu obiektywnego. Hegel oparł swój system na założeniu, że świat materialny jest jedynie przejawem świata duchowego i że wobec tego prawa przyrody są odzwierciedleniem praw logiki. Owe prawa logiki pojmował Hegel dialektycznie, uważając, iż określają one pojęcia idealne w ich rozwoju poprzez przeciwieństwa. Pécuchet błędzi z właściwą obu naszym bohaterom groteskową naiwnością po labiryntach systemu Hegla i wulgaryzuje go w arcyzabawny sposób.

9

str. 7

Sławetne *cogito* — Bouvard ma na myśli słynny dowód Kartezjusza, wyprowadzający istnienie duszy i całego świata z istnienia myśli aktualnej („*cogito, ergo sum*” — myślę, więc jestem).

str. 2

S e r p e n t albo węzownica — dawny instrument dęty, wydający bardzo niskie dźwięki.

Rozdział IX

str. 2

Naśladowanie — mistyczny traktat średniowieczny, przypisywany św. Tomaszowi a Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*.

str. 2

Gehenna — w języku biblijnym: piekło.

str. 9

Święty Brunon (ok. 10—01) — założyciel zakonu kartuzów.

str. 0

La Salette — góra w departamencie Isere, słynna w połowie XIX wieku ze skandalicznej historii z cudem. września 46 roku nad strumieniem płynącym po zboczu la Salette objawiła się dwojgu dzieciom pasącym bydło Matka Boska i wygłosiła mrozące krew w żyłach przepowiednie. Biskup Grenoblł, de Bruillard, stwierdził oficjalnie zaistnienie cudu i La Salette stała się miejscem licznych pielgrzymek, a wodę ze wspomnianego strumyka aplikowano chorym, jako cudowną. Jednakże w osiem lat potem władze kościelne po uprzednich długich wewnętrznych sporach stwierdziły, że cudu wcale nie było, zaś na procesie pewnej starej dewotki, niejakiej panny de La Merliere, który odbył się w Grenobli w 55 roku, okazało się, iż rzekome objawienie było zęczenie odegrane przez nią w celu „podniesienia autorytetu religii”. Mimo oczywistego stwierdzenia oszustwa, urządzano nadal przez długi czas gromadne pielgrzymki do Cudownej Matki Boskiej z La Salette.

Delivrande — wieś koło Caen, miejsce pielgrzymek nor-mandzkich.

0

str. 6

Akrostych — utwór rymowany, w którym pierwsze litery kolejnych wierszy tworzą jakiś wyraz lub zdanie.

Str. 7

Badania nad chrystianizmem Ludwika H e r-vieu — dzieło to jest najprawdopodobniej zmyślone przez Flau-berta. W rzeczywistości istniał niejaki Jan-Ludwik Hervieu, ksiądz, ale napisał jedynie *Przegląd dowodów na boskie pochodzenie religii katolickiej, rzecz* tedy o zupełnie przeciwnych tendencjach, niż książka pożyczona naszym bohaterem przez Bar-berou.

Szkoła Normalna — założona w roku 94 wyższa szkoła pedagogiczna w Paryżu, kształcąca wysoko wykwalifikowanych pedagogów, mająca doskonałe racjonalistyczne tradycje. Jean-Joseph G a u r n e (02—69) — walczył o zastąpienie w programie szkół średnich we Francji klasyków greckich i rzymskich pismami ojców kościoła. Napisał wspomniany tu ośmiotomowy *Katechizm wytrwałości w wierze czyli wykład religii od początku świata aż do naszych czasów*.

str. 9

Egzegeza — wyjaśnianie i komentowanie Biblii.

str. 0

Keepsake (ang.) — ozdobny album z rysunkami.

str. 2

Exodus — druga księga Pięcioksiągu Mojżesza, opisująca wyjście Żydów z Egiptu.

A m o s — jeden z trzech mniejszych proroków żydowskich z VIII w. p.n.e.

Jeremiasz — prorok żydowski z VII w. p.n.e., autor słynnych elegii na zburzenie Jerozolimy.

Paralipomena — nazwą dwóch ksiąg Starego Testamentu. Deuteronomium — ostatnia część Pięcioksiągu.

str. 3

Atanazy i Ariusz — przywódcy dwóch przeciwnych obozów we wstrząsających Kościołem w IV wieku sporach na temat równości trzech osób Trójcy Świętej. Arianizm został potępiony na soborze w Nicei (5), a potem zaaprobowany na

1

"soborach w Tyrze, Rimini i Seleukcji (5 i 9), a w 381 roku ponownie i ostatecznie potępiony przez Kościół na synodzie w Konstantynopolu.

Obecność rzeczywista — dogmat o obecności Chrystusa w Eucharystii.

Niepokalane poczęcie jest najświeższej daty — dogmat o Niepokalanym Poczęciu Matki Boskiej został ogłoszony przez Piusa IX — 8 grudnia 54 roku. A b g a r — król Edessy w Mezopotamii, który wedle apokryfów miał prowadzić korespondencję z Chrystusem w sprawie uleczenia go z trądu.

Nilometr — tyczka opatrzona podziałką, służąca do wskazywania stanu wód Nilu.

I z y d a — staroegipska bogini płodności, zbóż, małżeństwa itd. H o m a — w starohinduskiej religii uroczysta

ofiara z masła i ziarna rzuconego w ogień na cześć boga słońca Agni. Parsowie — potomkowie starożytnych Persów, wyznawcy Zaratustry, którzy wyemigrowali do Indii wobec prześladowań ze strony muzułmanów. Językiem Parsów nazywa się język indoeuropejski grupy irańskiej, używany w Persji pod koniec okresu panowania dynastii Sasanidów (6—652 n. e.). Statek Xisuthrosa — legenda chaldejska o królu Kasisatra (którego imię grecki historyk Polyhistor zmienił na Xisuthros) jest prawie identyczna z biblijną historią o Noem i o potopie.

str. 4

Orygenes (5—4) — apologeta chrześcijański, stosujący alegoryczną interpretację Biblii.

Tebańska legia — według legendy, legia wojska rzymskiego złożona z chrześcijan pochodzących z Tebałdy w Górnym Egipcie, która została wycięta w pień ok. 0 roku na rozkaz cesarza Maksymiliana Herkulesa, gdy odmówiła złożenia ofiary bogom rzymskim,

Symforoza i jej siedmiu synów — Symfo-roza, żona trybuna Getuliusa (II w. n.e.), została wrzucona do Tybru za odmowę złożenia ofiary bogom, a jej siedmiu synów skazano na ćwiartowanie.

Felicyta i jejsiedem córek — wdowa po patrycjuszu rzymskim, na której oczach, według legendy, stracono po kolei siedem córek, w cztery miesiące potem ścięto ją samą za wyparcie się bogów rzymskich.

2

S w. Urszula — wedle podań, córka króla Kornwalii Dioni nota, zamordowana wraz z całym swoim fraucymerem przez Hunów w czasie podróży do Bretanii, gdzie miała poślubić księcia Conana (IV w.).

Undecemilla — po łacinie *undecim millia* znaczy: jedenaście tysięcy.

str. 5

Servius Sulpicius G a l b a (3 p.n.e. — 69 n.e.) — wódz rzymski, proklamowany po śmierci Nerona cesarzem, po siedmiu miesiącach panowania uduszony na Forum w czasie buntu pretorianów.

Rzezie albigensów — albigensi byli sektą religijną w południowej Francji w wieku XII—XIII, grupującą chłopów i rzemieślników walczących z feudalami i Kościołem. Papież Innocenty III zorganizował przeciwko nim wielką krucjatę pod wodzą Szymona de Montfort, która utopiła we krwi ruch albigensów.

Noc ś w. Bartłomieja — krwawy epizod z wojen religijnych we Francji w XVI w.; podjudzeni przez królową, Katarzynę Medycejską, katolicy urządzili w nocy z na sierpnia 72 roku rzeź protestantów w Paryżu; masakra ta rozszerzyła się w następnych dniach na całą Francję. Odwołanie edyktu nantejskiego — edykt nantejski wydany przez Henryka IV w 98 roku gwarantował protestantom francuskim wolność wyznania i pewne przywileje, nie był jednak nigdy w pełni realizowany. Kiedy w czasie panowania Ludwika XIV kalwinizm stał się ideologią najbardziej zdecydowanego odłamu mieszczańskiej opozycji przeciwko absolutyzmowi, edykt nantejski, po uprzednich prześladowaniach protestantów, został zniesiony (85). Wywołało to głęboki upadek gospodarczy Francji, gdyż dziesiątki tysięcy rzemieślników i kupców-protestantów wyemigrowało za granicę. Hipatia — córka filozofa Theona z Aleksandrii, żyjąca na przełomie III i IV w. n.e.; gdy nie chciała zostać chrześcijanką, podburzony przez biskupa Cyrylego tłum ukamienował ją, pociął ciało jej na kawałki i spalił.

Hieronim z Pragi (10—) — uczeń Jana Husa, spalony żywcem za herezję.

Jan H u s (—) — przywódca reformacji w Czechach i inspirator ruchu narodowo-wyzwoleńczego, został podstępem

Bouvard i Pecuchet

3

zwabiony na sobór w Konstancji i tam spalony na stosie za herezję.

Giordano B r u n o (50—00) — filozof włoski, kontynuator dzieła Kopernika, spalony na stosie przez inkwizycję, jako heretyk.

Lucilio V a n i n i (85—) — filozof włoski, zakwestionował w swym *Amfiteatrze wiecznej Opatrzności* istnienie duszy nieśmiertelnej i został za to spalony na stosie, pod zarzutem uprawiania czarów.

Annę D u b o u r g (—59) — ksiądz francuski, bronił w parlamencie paryskim protestantów skazanych na wygnanie. Gdy nieopatrznie uczynił w swym przemówieniu aluzję do związku króla Henryka II z Dianą de Poitiers, skazano go na uduszenie i spalenie, pod pretekstem obrazy majestatu. Dragoni Ludwika XIV — aluzja do słynnych dra-gonad, t.j. masowych pacyfikacji dokonywanych na ludności protestanckiej przez wojsko, na rozkaz Ludwika XIV.

str. 7

Proboszcz Meslier — wybitny rewolucyjny ideolog mas chłopsko-plebejskich, proboszcz Etrepigny w Szampanii, Jean Meslier (64—) zostawił testament, w którym stwierdził, że mimo spełniania swych funkcji duchownych był ateistą. W „Testamencie” Meslier głęboko zanalizował sytuację francuskich mas ludowych, napiętnował szlachtę i reżym absoluty-styczny i poddał krytyce religię, zwłaszcza chrześcijańską, w której widział główną przeszkodę uniemożliwiającą powszechne powstanie ludu przeciwko ciemnościom, przez to, że zmusza ona lud do pokory i poddaństwa. Filozoficzne i społeczne poglądy Mesliera, wyłożone w jego „Testamencie”, godzące bezpośrednio w ustrój feudalny i jego nadbudowę, wywarły przemożny wpływ na ideologów francuskiego Oświecenia.

str. 8

Proboszcz z Ars —

kanonizowany w roku.

Jean Marie Vianney (86—59),

str. 9

P *alladium* (łac) — świętość, obrona przed złem.

Rosolis (z wł.) — likier z płatków róży.

str. 0

Logos — po grecku słowo. W teologii chrześcijańskiej Słowo

4

Boga, czyli druga osoba Trójcy — Chrystus. W filozofii Platona termin ten oznacza Boga jako źródło idei.

str. 1

Były to czasy wojny włoskiej — wojna prowadzona przez Królestwo Sardynii i Francję przeciwko Austrii w roku 59. Austria po klęskach pod Magentą i Solferino zawarła z Sardynią i Francją pokój w Zurychu:

Lombardia została oswobodzona od przemocy austriackiej i przyłączona do Sardynii, Francja zyskała Sabaudię i

Niceę. Emanuel — Wiktor Emanuel II (—78), król Sardynii, w 61 roku ogłosił się królem całych Włoch; wraz

ze swym ministrem Cavourem walczył przyczynił się do wyzwolenia i zjednoczenia narodowego Italii.

...d uch 89 roku — w 89 roku wybuchła francuska rewolucja burżuazyjna.

str. 2

T u i l e r i e — pałac królewski w Paryżu, spalony w 71 roku. Rodolphe T o p f f e r (99—46) — szwajcarski pedagog, rysownik i pisarz, autor dowcipnych *Nowel genewskich*, *Wycieczek zygakiem* itp., w których opisywał alpejskie pejzaże i wyidealizowane, bez troski życie ludzi na łonie natury. Wydawał również albumy z komicznymi rysunkami dla dzieci.

str. 6

Trójkolorowa szarfa — szarfa niebiesko-biało-czerwona, przepasująca ukośnie pierś mera w czasie, gdy pełni

uroczyste funkcje. Barwy narodowe Francji, wprowadzone przez rewolucję 89 roku, były zachowane przez

Napoleona I i po okresie restauracji Burbonów przywrócone przez Ludwika Filipa. Napoleon III, pretendujący

do roli kontynuatora tradycji napoleońskich, zachował trójkolorowy sztandar i zastąpił galijskiego koguta na

drzewcu orłem napoleońskim. Tertulian (0—0) — doktor kościoła, apologeta; wiele jego poglądów Kościół

uznaje za hereetyckie. Mormoni — sekta amerykańska założona w roku przez Józefa Smitha. Doktryna tej sekty

stanowi mieszaninę zasad chrześcijaństwa, buddyzmu i mahometanizmu. Mormoni głoszą teokrację i poligamię.

W 87 roku wydano w Stanach Zjednoczonych specjalną ustawę zakazującą mormonom praktykowania

wielżeństwa. Leviticus — trzecia część Pięcioksiągi Mojżesza.

5

str. 7

Wisznu — w religii hinduskiej druga osoba boskiej trójcy,

złożonej z Bramy, Wisznu i Sziwy.

Rozdział X

str. 3

Emil - dzieło Jana Jakuba Rousseau, wydane w 62 roku, zawierające wykład racjonalnej metody wychowania dzieci według ideałów Oświecenia.

str. 2

Łabędź z Cambrai — epitet nadany Fenelonowi, który był biskupem Cambrai; (do łabędzia przyrównuje się pisarza posiadającego jasny i wdzięczny styl, np. łabędź z Mantui — Wergiliusz). Epitet ten figuruje w *Słowniku komunalów*, pod hasłem Fenelon.

Frenologia — pseudonaukowa teoria, stworzona przez niemieckiego lekarza Franciszka Józefa Galia (58

—), który usiłował określać charakter i uzdolnienia człowieka na podstawie budowy czaszki. *V u l g o*

(łac.) — wulgarnie, w języku wulgarnym.

str. 3

Alimentacyjne ść — w terminologii frenologicznej skłonność do pochłaniania nadmiernej ilości

pokarmów. Salpetriere — przytułek dla staruszek i szpital psychiatryczny w Paryżu.

str. 6 Kranioskopia

badanie kształtu czaszki.

str. 7

Pierre-Samuel D u p o n t de Nemours (39—) — ekonomista francuski, współpracownik Turgota, autor

traktatu pt. *Fizjokracja*. W innym swoim dziele pt. *Filozofia wszechświata* utrzymywał, że zasadą istnienia społeczeństw jest ogólna miłość.

Frangois Broussais (72—38) — lekarz francuski, założyciel szkoły fizjologicznej głoszącej, że choroby są spowodowane podrażnieniem (zapaleniem) odpowiednich tkanek w organizmie.

6

str. 9

Będziemy walczyli w cieniu — według legendy, tuż przed bitwą w wąwozie termopilemskim przybiegł do Leonidasa pewien Grek z wieścią, iż nadciąga armia perska tak potężna, że strzały jej łuków mogą przesłonić słońce jak chmura. Na to jeden ze Spartan odrzekł: „Tym lepiej, będziemy walczyć w cieniu.” Arystydes (ok. 540—468 p.n.e.) — ateński wódz i mąż stanu, wsławiony w bitwie z Persami pod Maratonem. Za sprawą rywalizującego z nim polityka Temistoklesa został skazany na wygnanie, ale w czasie najazdu Kserksesa na Grecję powrócił do ojczyzny i pogodził się z Temistoklesem. Trójnóg z żarem Scewoli — według legendy, Rzymianin Gaius Mucius chciał zabić króla etruskiego Porsennę, aby ocalić Rzym. Schwyty w obozie etruskim i prowadzony na tortury, sam włożył prawą rękę do ognia. Porsenna, pełen podziwu i lęku, kazał go uwolnić i zawarł pokój z Rzymianami. Gaius Mucius otrzymał przydomek Scewola, tzn. mańkut. Beczka Regulusa — Marcus Atilius Regulus, konsul rzymski, został w 5 roku p.n.e. pojmany do niewoli przez Kar-tagńczyków. Wypuszczony na słowo, celem przekazania senatowi rzymskiemu propozycji wymiany jeńców, wrócił po spełnieniu poselstwa do Kartaginy, mimo że czekały go tam, jak głoszą legendy rzymskie, najokrutniejsze tortury. M. in. wsadzono go do beczki nabitej gwoździami i stoczono z wysokiej góry. Łoże z róż Guatimozina — Guatimozin, król Azteków, został pokonany i pojmany w roku przez hiszpańskiego konkwistadora Corteza, który go kazał torturować, dopóki nie wyjawi kryjówek skarbów państwa Azteków. Gdy torturowany wraz z Gautimozinem Indianin narzekał na okropny ból, król Azteków, znoszący tortury z niezwykłym heroizmem, skarcił go słowami: „A czyż ja leżę na łożu z róż?” W a z a z Soissons — po zwycięstwie Franków nad wojskami namiestnika rzymskiego pod Soissons w 486 roku, król Franków Klodwig chciał odesłać arcybiskupowi Remigiuszowi srebrną wazę, którą jeden z jego żołnierzy złupił z kościoła w Reims. Żołnierz ten, gdy się dowiedział o zamiarze króla, rozbił oszczepem wazę będącą jego łupem wojennym, za co Klodwig strzaskał mu później głowę ze słowami: „Tak ty zrobiłeś z wazą z Soissons.”

Dąb świętego Ludwika — Ludwik IX, zwany Świętym, panujący we Francji w latach —70, sądził często

7

osobiście swych poddanych. Według podań, sądy królewskie odbywały się pod sędziwym dębem w Yincennes, gdzie znajdował się zamek królewski.

Kura w garnku Henryka IV — aluzja do słynnego powiedzenia króla Francji Henryka IV, który dążył do takiego wzbogacenia wyniszczonego długimi wojnami religijnymi kraju, „żeby każdy Francuz mógł w niedzielę kłaść kurę do garnka”.

„A moi d' A u v e r g n e!” — legendarny epizod z wojny siedmioletniej (56—63). Podczas operacji wojsk francuskich w Hanowerze w roku 60, w nocy z na października młody szlachcic owernijski, kapitan Ludwik d'Assas, wyszedł samotnie na patrol do lasu koło Clostercamp, w pobliżu którego rozłożył się pułk O werni języków. Nagle został obkoczony przez żołnierzy niemieckich księcia Brunświckiego. Za cenę milczenia mógł ocalić swe życie, ale wolał zaalarmować towarzyszy. Wykrzyknął: „Owernia do mnie, nieprzyjacieli!”, i padł zakłuty bagnetami. Autentyczność tego zdarzenia, mimo że m. in. opowiada o nim także Wolter, jest więcej niż wątpliwa. „Mściciel” — okręt francuskiej marynarki wojennej z epoki francuskiej rewolucji burżuazyjnej, który, po bohaterskiej walce w czasie bitwy morskiej z flotą angielską w 94 roku w kanale La Manche, zatonął wraz z całą prawie załogą.

str. 1

„*R e d o u t é d e s D a m e s*” — tak nazywano albumy reprodukcji akwarel salonowego malarza francuskiego Piotra Józefa Redoute (59—40), ulubieńca Marii Antoniny, zwanego Rafaelem kwiatów.

str. 5

Henri de Castel-Moron Belsunce (71—55) — biskup Marsylii, słynny z pełnej samozaparcia pomocy, jaką niósł chorym w czasie zarazy panującej w okręgu Marsylii w latach —; był jednocześnie najbardziej nietolerancyjnym z duchownych katolickich walczących z jansenistami. Joseph-Marie Jaeguard (52—) — słynny konstruktor francuski, twórca udoskonalonego warsztatu tkackiego. Życie miał bardzo ciężkie; był synem rzemieślnika, pracował przez długi czas jako palacz w wapienniku, a potem, jako robotnik w manufakturze, znosił szykany ze strony tkaczy, których jego wynalazek pozbawił pracy.

8

str. 7

Jeremy Bentham (48 — 42) — prawnik i publicysta angielski, gloryfikator kapitalizmu, nazwany przez Marksa „geniuszem burżuazyjnej głupoty”. Flaubert czyni tu aluzję do jego traktatu *Teoria kar i nagród*.

str. 8

Johann Heinrich Pestalozzi (46 —) — pedagog szwajcarski, zwolennik metody wychowawczej Jana Jakuba Rousseau. Philippe Schwarzerd Melanchton (97 — 60) — jeden z przywódców luteranizmu w Niemczech, autor pierwszego protestanckiego traktatu teologicznego (*Loci communes*). Felix-Antoine Dupanloup (02—78) — biskup Orleanu, katolicki filozof i pedagog, autor siedmiotomowego traktatu pt. *Wychowanie*.

str. 0

...z ajrzeli do dziełka pani Campan — pani

Campan (patrz przypis do str. 9) napisała *Traktat o wycho-*

waniu kobiet.

Scena z Eliscynem — z tragedii *Athalie* Racine'a.

Ester — jedna z drugorzędnych tragedii Racine'a.

Jean-Baptiste Rousseau (71 — 41) — francuski poeta liryczny, autor bardzo miernych kantat, epigramów, komedii i *Ody do Fortuny*.

Klarysa Harlowe — najpopularniejsza w XVIII wieku angielska powieść sentymentalna pióra Samuela Richardsona (48), opiewająca dzieje cnotliwej i nieszczęśliwej dziewczyny uwiedzionej przez zdemoralizowanego światowca — Lowelasa.

str. 1

Johann Bernhardt Basedow (— 90) — niemiecki pedagog, autor *Zbioru metodycznego wiadomości koniecznych do nauczania młodzieży*, napisanego pod wpływem *Emila* Jana Jakuba Rousseau.

Martin Aime (82—47) — podrzędny pisarz francuski, uczeń i wielbiciel Bernardin de Saint-Pierre'a, autor m. in. książki pt. *O wychowaniu matek*.

POSŁOWIE

„Głupota ludzka przytłacza mnie obecnie tak mocno, że czuję się jak mucha dźwigająca na grzbiecie Himalaje. Mniejsza z tym. Postaram się wypluć mój jad w mej książce. Ta nadzieja sprawia mi ulgę.” — pisał Flaubert w jednym ze swych listów z okresu pracy nad *Bouvardem i Pecuchetem*. Książka ta, ostatnia książka Flauberta, przeznaczona przezeń dla wąskiego kręgu „wyrafinowanych” czytelników, jest dziełem całego życia pisarza, wyrazem najgłębszych myśli i uczuć, końcowym etapem jego drogi ideowego i artystycznego rozwoju.

Flaubert nosił imię Gustaw, ale życzenia imienninowe od swych przyjaciół żartobliwie przyjmował w dniu świętego Polikarpa, który, jak głosi legenda, uciekał często ze swego miasta na pustynię, wołając: „Boże, w jakim to wieku kazałeś mi żyć!” Urodził się w roku, jako syn dyrektora szpitala w Rouen, w Normandii.

Rodzina jego była dość zamożna i ta okoliczność umożliwiła mu prowadzenie spokojnego życia, wolnego od wszelkich materialnych kłopotów.

Już od wczesnego dzieciństwa, wbrew nasyconej mieszczańskim praktycyzmem życiowym atmosferze panującej w jego domu rodzinnym, czuł Flaubert nieodparty pociąg do literatury. Mając dziesięć lat napisał zachowaną do dziś groteskową pochwałę Corneille'a. Jego ulubioną książką w tym czasie, której uczył się niemal na pamięć, był *Don Kiszot* Ceryantesa. W trzy lata później założył w kolegium dziennik „Sztuka i Postęp”. Te młodociane próby literackie Flauberta mnożyły się z każdym rokiem, znajdując zawsze uznanie w dobranym kółku kilku starszych kolegów i przyjaciół, będących mniej lub bardziej zręcznymi wielbicielami Muzy.

Młodości przyszłego pisarza przyświecała gwiazda sztuki romantycznej. Rozczytywał się w Goethem, Byronie, Chateaubriandzie, Mussecie. Ten ostatni zwłaszcza był mu wówczas mistrzem; przejął się jego buntem przeciwko kajdanom, w jakie nieprzeciętną jednostkę zakuwało płaskie życie w reżimie Ludwika Filipa, jego skłonnością do wygrzebywania w swej duszy zarodków zniechęcenia i rozpacz. Po roku (data wydania *Spowiedzi dziecięcia wieku* Musseta), mając już za sobą kilka tchnących grozą i bezsilnym protestem nowel — o człowieku zakopanym żywcem, o człowieku, który nie ma duszy — Flaubert pisze kilka opowiadań autobiograficznych, jak *Pamiętniki szaleńca*. Obok romantycznych wynurzeń pojawiają się w nich pierwsze akcenty szyderczej ironii pod adresem pospolitej głupoty burżuazji.

Lista ulubionych lektur tego młodego wielbiciela Musseta zawiera interesującą pozycję. Flaubert zachwyca się kolejno *Spowiedzią dziecięcia wieku* i *Gargantuą i Pantagruelem*. U Kabe, *lais'go* czy się ostrego, ironicznego patrzenia na ludzi. W szkole tego mistrza renesansowej satyry rozwija swój smak groteskowego wyolbrzymiania obserwowanych objawów tępoty, podłości i głupoty. Bezpośrednim wynikiem tych obserwacji była słynna zabawa w „Chłopaka”, której Flaubert wraz ze swymi przyjaciółmi oddawał się z pasją, nie tylko w tym czasie, ale i później, w wieku dojrzałym.

„Chłopak” był dziwaczną komiczną postacią wymyśloną przez Flauberta, czymś w rodzaju Pantagruela ubranego w żakiet komiwojażera. Przemawiał przysłowiami, wygłaszał najcyniczniejsze poglądy na przemian z najgłupszymi komunałami, sypał tłustymi żartami i patetycznymi banałami, poruszał się z śmieszną niezgrabnością, śmiał się hafaśliwie w najbardziej nieoczekiwanych momentach. W tym wszystkim sekundowały mu godnie inne postaci tej nieskończonej, co dzień na nowo improwizowanej farsy — arcybiskup, sufragan, służący i inni, których role rozdzielali między siebie rozbawieni przyjaciele. Dwoma zasadniczymi cechami „Chłopaka” były: cynizm, obliczony na wywołanie skandalu wśród rzeczywistych lub intencjonalnie obecnych słuchaczy, oraz głupota, mająca groteskowo przedrzeźniać opinie, wyrażenia i sposób bycia mieszcuchów. Celem tedy tej młodzieńczej gry, celem, w który godzić będzie przede wszystkim ostrze krytyki społecznej, zawartej w jego przyszłych wielkich utworach, jest kołtun ze swoją głupotą, podłością, niewolniczym przestrzeganiem konwenansów i obłudą. W roku w prowincjonalnej gazecie został ogłoszony

pierwszy drukowany utwór Flauberta — *Lekcja historii naturalnej: o gatunku „kancelisty”*. Jest to maleńkie opowiadanie satyryczne wyśmiewające miernotę mieszczaucha. Przyszły autor *Bouvarda i Pecucheta* ma wówczas szesnaście lat.

W 40 roku Flaubert zapisał się na wydział prawa w Paryżu, chociaż nie miał najmniejszej ochoty do tych studiów. Nigdy ich też nie ukończył. Czas przeznaczony na naukę kodeksów poświęcał na lekturę i na poznawanie Paryża od strony salonów mieszczańskich i arystokratycznych. Po trzech latach takich studiów objawy choroby, która gnębić będzie Flauberta przez całe życie, skłoniły rodzinę do rezygnacji z projektu wy kierowania Gustawa na prawnika. Niedośzły adwokat wyjechał w krótką podróż do Włoch i po powrocie osiadł na prowincji, dzieląc swój czas między zajęcia literackie i rzadkie wizyty w stolicy. Powstaje pierwsza *Szkolą uczuć* — autobiograficzna powieść z doświadczeń paryskich, powieść o straconych złudzeniach i zwichniętym życiu młodego artysty Juliusza, którego romantyczne marzenia o idealnej miłości przyskają jak bańki mydlane zmiążdżone przez otaczający go tłum podłych i głupich ludzi. Juliusz nie potrafi i nie chce upodobnić się do otoczenia, tak jak to robi jego przyjaciel Henryk, chociaż wie, że jest to jedyna droga do zdobycia kariery i powodzenia u kobiet. Zamyka się w sobie ze swymi marzeniami i rozczarowaniem, rezygnuje z czynnego życia. Ustroniem, w którym Flaubert wznosił swoją „wieżę z kości słoniowej” broniącą go przed naporem odpychającej rzeczywistości spod znaku mieszczaucha, była mała posiadłość rodzinna w Croisset pod Rouen. Gustaw spędzał tam początkowo lato, później zamieszkał w Croisset na stałe wraz z matką. Całkowita niezależność materialna chroniła go przed koniecznością pograżenia się w nurt codziennego mieszczańskiego życia. Mógł patrzeć na nie z daleka, jako obserwator. Na razie odwrócił jednak głowę ze wstrętem. Mając dwadzieścia pięć lat zaczął pisać pierwszą z trzech wersji *Kuszenia świętego Antoniego*. Pierwsze *Kuszenie* przenosiło go na skrzydłach romantycznej fantazji daleko od wypadków we współczesnej Francji, przeżywającej dramat 48 roku, w czasy pierwszych chrześcijan, w egzotyczne krainy starożytnego Wschodu. Po ukończeniu tej książki w 49 roku Flaubert wybrał się wraz z Maksymianem Du Camp w długą dwuletnią podróż po Grecji, Turcji, Syrii i Egipcie. Po powrocie do kraju Flaubert zaczyna pisać *Panią Bovary*.

Krytyka burżuazyjna sygnalizuje w tym momencie życia Flauberta — między pierwszym *Kuszeniem* i *Panią Bovary* — „niewytłumaczalny” przełom. Pisarz zerwał nie wiadomo dlaczego z romantyczną tematyką i z zapożyczoną od romantyków, nacechowaną liryzmem i łatwym impulsywnym stylem metodą artystyczną swoich pierwszych utworów.

Przed wszystkim w zakresie tematyki dzieła przełom ten nie jest wcale tak zasadniczy i nieoczekiwany. W epoce prób i poszukiwań Flaubert, jak powiedziano wyżej, żywo interesował się ludźmi, wśród których żył. Próbował chronić się przed nimi w głąb swej duszy urabianej na wzór „chorych dusz”, opisywanych w utworach niektórych romantyków, ale to nie przeszkadzało mu otwierać co chwilę oczu na otaczający go świat. Ten syn mieszczańskiej rodziny tkwił w nim zbyt głęboko sercem i duszą, zbyt silnie nienawidził mieszczaucha i cierpiał widząc dokoła tyle zła i głupoty, żeby zadowolić się papierowymi zamkami wznoszonymi w chmurach rozkiełzanej fantazji reakcyjnego odłamu romantyków. *Kuszenie* było jedną z prób ucieczki w przeszłość przed problematyką aktualną, i bynajmniej nie ostatnią próbą. Flaubert zawsze konsekwentnie przeplatał swoje powieści współczesne utworami traktującymi o przeszłości, aby, jak sam mówił, odetchnąć innym powietrzem, oderwać się od tego, co go tak mierzilo w życiu współczesnej Francji. Po *Pani Bovary* podjął drugą redakcję *Kuszenia świętego Antoniego* i oddał się długim studiom nad starożytną Kartaginą, które uwieńczyła powieść historyczna *Salambo*. Po następnej wielkiej powieści współczesnej — drugiej *Szkole uczuć* — przystąpił do trzeciej redakcji *Kuszenia*, a w trakcie męczącej pracy nad *Bouvardem i Pecuchetem* szukał wytchnienia w komponowaniu *Legandy o świętym Julianie Szpitalniku* i opowiadania *Herodiada*. *Zasadniczą* jednak w twórczości Flauberta jest linia stanowiąca przedłużenie realistycznej tradycji Balzaka — wiodąca przez *Panią Bovary*, *Szkolę uczuć* i *Bouvarda*.

Wyjaśnienia istotnego przełomu w metodzie artystycznej pisarza, który beznamietnym, „obiektywnym” i „bezosobowym” studium rzeczywistości w *Pani Bovary* zastąpił liryzm, autobio-graficzność i subiektywizm utworów młodzieńczych, nie można Oczywiście znaleźć na drodze rozszyfrowywania ahistorycznie traktowanych wpływów literackich i badań nad abstrakcyjną „psychologią twórcy”. Szukać go należy przede wszystkim w stosunku pisarza do konkretnej historycznie rzeczywistości społecznej, w jego sposobie pojmowania i ocenie tej rzeczywistości, w *ty*m, co determinuje treść utworu. Nad pierwszym swoim dojrzałym dziełem — *Panią Bovary* — Flaubert pracował cztery i pół roku, nad drugą wielką powieścią współczesną — *Szkolą uczuć* — pięć lat. Oba te utwory powstały w epoce rządów Napoleona III.

W ówczesnym burżuazyjnym powieściopisarstwie realistycznym przybiera na sile i zostaje podniesiony do rangi „konfliktu” społecznego — problem kołtuna, zrodzony dla literatury już w epoce Ludwika Filipa. Za panowania bowiem tego króla-rmieszczucha, kołtun wywindował się do rangi zjawiska obyczajowego we Francji i począł odtań dyktować średnim warstwom społeczeństwa burżuazyjnego „styl życia” oparty na zaśnieźdzałej rutynie, na niewolniczym podleganiu konwenansom i przesadom, na obłudzie moralnej, na kulcie komunałów i pretensjonalnego banału. Artystycznym szczytem francuskiej satyry na kołtuna jest arcykomiczna postać Józefa Prudhomme'a, tępego i napszonego profesora kaligrafii, stworzona przez znanego we Francji pisarza owej doby, Henryka Monnier. Kryzys moralności i rozkład kultury burżuazyjnej są zasadniczym tematem *Pani Bovary* i *Szkoły uczuć*. Obie te książki opowiadają o klęsce romantycznych ideałów życia, o klęsce wzniosłych, szlachetnych uczuć głównych bohaterów po skonfrontowaniu tych ideałów i uczuć z płaską, brudną rzeczywistością. Akcja *Pani Bovary* toczy się w epoce Ludwika Filipa, w *Szkole uczuć* wkracza w rok 48 i czasy dyktatury Napoleona III.

Z obu powieści Flauberta ziele pesymizm, przekonanie o fatalnej nieuchronności zła. I Emmę i Fryderyka cechuje absolutna bierność. Życie w świecie kapitalistycznym jest bezwzględny, straszny prądem, który pochłania, unicestwia każdego, kto by usiłował mu się przeciwstawić. Podłość, zachłanność, głupota muszą odnieść triumf nad tym, co wyrasta w jakikolwiek sposób ponad bagno filisterskiej rzeczywistości.

Flaubert bardzo intensywnie przeżywał zawody swych bohaterów. Znane jest jego powiedzenie: „Emma Bovary, to ja”; losy Fryderyka zawierają wiele rysów autobiografii pisarza i jego miłości do pani Schlesinger. Doskonale wczucie się w psychikę i przeżycia postaci powieściowych było jednym z podstawowych kanonów jego metody „obiektywizmu” w artystycznym odtwarzaniu rzeczywistości. Owa metoda, postulująca jak najwierniejsze przenoszenie obserwowanych zjawisk do powieści, opis życia bez żadnej oceny i „tendencyjnej perspektywy”, wynikała z naukowych ambicji ówczesnego powieściopisarstwa realistycznego, szukającego teoretycznych założeń w pozytywizmie. W ostatniej instancji opierała się ona na stwierdzeniu bezcelowości jakiegokolwiek wysiłku człowieka, zmierzającego do zasadniczej zmiany strumienia wydarzeń, na założeniu bezskuteczności walki ze złem społecznym. Jedyną skuteczną przeciwwagą powszechnej brzydoty życia ludzkiego w społeczeństwie burżuazyjnym był dla Flauberta estetyzm: zachwyt dla czysto zewnętrznego, plastycznego i kolorystycznego uroku świata i kult idealnie pięknej formy dzieła sztuki, kult stylu. Obie powieści Flauberta obfitują w doskonale poetyckie opisy przedmiotów, wnętrza, krajobrazów, w efekty malarskie. „Nie ma atomu materii, który nie zawierałby poezji” — taka była zasada Flauberta. Był to jednak zachwyt dla piękna „czystej formy”, piękna parnasistów — oderwanego od spraw człowieka i w gruncie rzeczy antyhumanistycznego. Nie można wszakże pominąć milczeniem mistrzostwa, z jakim Flaubert często osiągał zamierzone efekty artystyczne, operując takimi właśnie opisami malarskimi. Uroczy widok Paryża w *Szkole uczuć*, oglądanego z daleka, z wspaniałą grą barw oddaną po mistrzowsku w słowie, znakomicie podkreśla, prawem kontrastu, ohydę życia, które toczyło się w tym mieście.

Niemal przysłowiową jest tytaniczna praca Flauberta nad stylem jego wielkich utworów. Wiadomo, że pisarz ten komponował właściwie zdania, które są niezwykle melodyjne i rytmiczne; forma ich stanowi jak gdyby tło muzyczne dla wyrażonych w nich treści intelektualnych. Ogromną zasługą Flauberta jest rozwinięcie, udoskonalenie francuskiego języka literackiego. Powieść *Pani Bovary* przyniosła Flaubertowi sądowy proces o obrazę moralności publicznej, *Szkolę uczuć* wywołała nagonkę prasy burżuazyjnej na autora. Krytyka społeczna, zawarta w tych książkach, mimo wszystkich jej ograniczeń, raniła dotkliwie burżuazję. Flaubert umocnił się tylko w swej niechęci do świata, w którym mu przyszło żyć, snuł plany zemsty. Wiązały się one z dawniejszym już pomysłem realizowanym systematycznie i ze złośliwą satysfakcją wśród innych zajęć literackich pisarza, ze *Słownikiem komunałów*. Pierwsza wzmianka w korespondencji Flauberta o tej encyklopedii głupoty burżuazji pochodzi z 50 roku, z okresu jego podróży na Wschód. Od tej chwili pisarz zbierał z pasją kolekcjonera wszystkie kołtuńskie komunały, absurdalne gotowe zdania i opinie, uważane w środowisku mieszczańskim za niepodlegające dyskusji, układał je alfabetycznie według haseł, zaopatrywał w jadowite odsyłacze, odczytywał przyjaciółom, sycił nimi swą nienawiść do „burżuazji”. (Pamiętać należy, że dla Flauberta „burżuj” nie był członkiem określonej klasy społecznej, lecz zjawiskiem kultu -ralno-obyczajowym w społeczeństwie burżuazyjnym; „nazywam mieszcuchem każdego, kto myśli w niski sposób”.) Urósł w ten sposób kilkudziesięciostrońcowy dykjonarz przeróżnych opinii i definicji kursujących w środowisku mieszczańskim. Oto kilka przykładów ze *Słownika*.

ARCHIMEDES — powiedzieć usłyszawszy jego nazwisko: „Eureka! Dajcie mi punkt oparcia, a podniosę świat.”

BÓG — nawet Wól ter powiedział: „Gdyby Bóg nie istniał, należałoby go wynaleźć.”

BRAZ — metal starożytności.

DYLETANT — bogaty człowiek, posiadający stały bilet do Opery.

EPOKA — (nasza) grzmieć przeciwko niej. Żalić się, że nie jest poetyczna. Nazywać ją epoką przejściową, epoką dekadencji.

ERUDYCJA — pogardzać nią, jako oznaką ciasnego umysłu.

HIEROGLIFY — starożytny język Egipcjan, wynaleziony przez kapłanów dla ukrycia ich występnych tajemnic.

INCOGNITO — ubiór księcia w podróży.

JEZUICI — maczają palce we wszystkich rewolucjach. Nie przepuszcza się nawet, jak wielu ich jest.

KOZACY — jedzą świece.

LITTRE — szydzić, kiedy usłyszysz jego nazwisko: „Ten pan, który mówi, że pochodzimy od małp.”

MUZYKA — łagodzi obyczaje. Przykład: *Marsylianka*.

OAZA — karczma na pustyni.

PODSTAWY — społeczeństwa są: własność, rodzina, religia, szacunek dla autorytetu.

PÓLNOC — granica szczęścia i uczciwych przyjemności; wszystko, co się robi po północy, jest niemoralne.

ROBOTNIK — zawsze uczciwy, o ile nie wznieca rozruchów.

WOLNOŚĆ — O wolności! Ileż zbrodni popełnia się w twoim imieniu. Posiadamy wszystkie swobody, jakie są nam konieczne.

Równoległe do *Słownika* Flaubert zbierał materiały do *Albumu głupstw*, który miał obejmować zdania tego samego typu wyjęte z książek. Już od 52 roku Flaubert nosił się z zamiarem opublikowania swego *Słownika*, po zaopatrzeniu go w odpowiedni wstęp, złośliwie gloryfikujący wszystko, co się, powszechnie przyjmuje, udowadniający, że większość ma zawsze rację, a wszelka oryginalność w opiniach jest społecznie niebezpieczna, składający wielkich ludzi w ofierze motłochowi filistrów.

Gorycz nienawiści do głupoty i podłości otoczenia tężeje w pisarzu z każdym dniem, zwłaszcza po roku 70. Lata 69—72 oznaczają bowiem dla Flauberta okres klęsk życiowych. Umierają po kolei jego przyjaciele: Bouilhet — jego „brat

intelektualny", Duplan — stary kolega z ławy szkolnej. Wybucho wojna francusko-pruska i następuje najazd Prusaków na Francję. Flaubert przeżywa klęski swego kraju tak silnie, jak największą tragedię osobistą. W 72 roku umiera jego matka, oraz Theo — Teofil Gautier, stary przyjaciel.

Flaubert szuka zapomnienia w gorączkowej pracy nad trzecim *Kuszeniem świętego Antoniego*. W książce tej, dwukrotnie już przedtem przerabianej, robi przegląd starożytnych religii i wierzeń rozmaitych sekt chrześcijańskich, które defilują w postaci fantastycznych zjaw przed oczyma świętego pustelnika. Za Re-nanem dochodzi do wniosku, że wszystkie religie są fałszywe, ale każda z nich zawiera swoiste piękno, bo wyraża poezję narodu, który ją stworzył, że dogmaty religijne są absurdem, wszystkie religie jednak zawierają ziarno prawdy: stwierdzają istnienie niepoznawalnej tajemnicy, leżącej u podstaw wszechświata.

W 72 roku przystępuje Flaubert do pracy nad *Bouvardem i Pecuchetem*, mającym urzeczywistnić stare projekty związane ze *Słownikiem komunalów* i stanowić odpowiednik *Kuszenia* w odniesieniu do współczesności. Ma to być zemsta na mieszczeniu i przegląd współczesnej wiedzy, tak jak *Kuszenie* było przeglądem starożytnych systemów religijnych.

Bouvard i Pecuchet rodzi się najdłużej i najtrudniej ze wszystkich powieści Flauberta, przynosi swemu twórcy najwięcej mąk i zwątpień. Flaubert kilkakrotnie przerywa pracę nad tą książką, wyczerpany nią do reszty; pisze wówczas parę utworów dramatycznych i *Trzy opowiadania*. W 75 roku podstawy jego materialnej egzystencji, tak dotąd dostatniej, zostają zburzone przez bankructwo Cornmanville'a — męża ukochanej przez niego, egoistycznej siostrzenicy — pochłaniające cały majątek pisarza. Flaubert odtąd boryka się z wielkimi trudnościami finansowymi; szarpie to boleśnie jego dumę i pogłębia jeszcze bardziej nas-troje pesymizmu i zniechęcenia do świata. Jedynym jaśniejszym promykiem na tym ponurym niebie schyłku życia jest serdeczna i odwzajemniana przyjaźń Flauberta do znakomitego pisarza rosyjskiego Turgieniewa, przebywającego we Francji, do George Sand, młodego Maupassanta i kilku jeszcze osób ze środowiska literacko-artystycznego.

Mimo wszystkich zmartwień i trosk Flaubert uparcie kontynuuje pracę nad *Bouvardem*, oddaje się ogromnym lekturom (przeczytał do tej powieści przeszło tysiąc pięćset książek z najróżniejszych dziedzin wiedzy, sztuki i pseudowiedzy), robi z nich dokładne notatki. Walczy do ostatka na trudnym posterunku pisarza — krytyka stosunków społecznych, obrońcy niezależności myśli.

Flaubert umarł nagle, przy swym biurku w Croisset, w maju 80 roku.

Bouvard i Pecuchet jest książką niedokończoną. Śmierć zastała autora w połowie dziesiątego i ostatniego zarazem rozdziału pierwszej części powieści. Zakończenie tego rozdziału znane nam jest jedynie w postaci szczegółowego planu, treść i forma drugiego tomu *Bouvarda* stanowiły dotąd przedmiot dyskusji historyków literatury. Poza tym należy pamiętać, że tekst owych dziesięciu rozdziałów, które opublikowano po jego śmierci, jako ostatnie dzieło wielkiego pisarza, jest owocem pierwszej redakcji i że autor nie zdążył poczynić w nim poprawek, skreśleń i przeróbek, które z taką skrupulatnością zwykł był wprowadzać do każdego swego dzieła przed oddaniem go w ręce wydawcy.

Flaubert sam twierdził, że jego „piekielna książka” będzie posiadała właściwą, pełną wymowę tylko jako całość.

Niedokończona i niewykończona stała się łatwym łupem dla dowolnej i tendencyjnej interpretacji burżuazyjnych krytyków, którzy albo wręcz szydzili z tego „poronionego płodu” mieszczochożery z Croisset, albo, przewyższając powierzchownością i niedorzecznością swoich wywodów samego nawet Bouvarda i Pecucheta, spłykali i gmatwali sens utworu. Nawet zasłużeni dotychczasowi flaubertyści francuscy objawiają widoczną nieporadność, gdy chodzi o wyśledzenie prawdziwej intencji autora, nie mówiąc już o prawidłowej ocenie obiektywnego znaczenia utworu.

Co właściwie Flaubert chciał powiedzieć w historii swych dwojga „pocziwców”? Czy zamierzał udowodnić bezużyteczność nauki i wykazać próżność i bezcelowość wysiłków ludzkiego umysłu, czy tylko przestrzec przed zgubnymi skutkami braku metody w zdobywaniu wiedzy o świecie (podtytuł *Bouvard.ii i Pécucheta* miał brzmieć: *O braku metody w naukach*) i wykpić niedorzeczności, jakie nie trudno znaleźć w pierwszej z brzegu książce? Dlaczego Bouvard i Pecuchet postępują raz jak skończeni głupcy, a zaraz potem dają dowody niezaprzeczonej inteligencji? Kimże w końcu są — dwoma arcykomicznymi tępakami, ucieleśnającymi zniechęconą głupotę i umysłowe skostnienie mieszczenia, czy też parą zabawnych dyletantów-samouków, niepozabawionych uzdolnień i pałających szlachetną żądzą wiedzy?

Fabuła utworu jest bardzo prosta. Dobrana para paryskich kopistów — Franciszek Dionizy Bartłomiej Bouvard i Justyn Roman Cyryl Pecuchet — dzięki niespodziewanemu spadkowi mogą porzucić nudną pracę pisarzyków i zakupić niewielką posiadłość ziemską w Normandii, gdzie rozporządzają dowolnie czasem. Obaj liczą wówczas po pięćdziesiąt lat. „Robić będziemy, co się nam żywnie spodoba” — mówią sobie i zabierają się do ogrodnictwa, agronomii, sadownictwa, potem usiłują fabrykować likiery. Każde z tych przedsięwzięć, ozdobione naj-komicznieszymi i najoczywistszymi pomyłkami, kończy się sromotnym niepowodzeniem. Rzucają je i biorą się do czego innego. W ten sposób zajmują się kolejno chemią, anatomią, fizjologią, medycyną, astronomią, archeologią, historią, literaturą, estetyką, polityką, socjologią, przeżywają ukoronowany fatalnym zawodem kryzys miłosny, potem próbują sił na polu gimnastyki, spirytyzmu, magnetyzmu, metafizyki, filozofii, religii, interesują się pedagogiką, frenologią, nawet urbanistyką, występują z własnymi koncepcjami zreformowania życia społecznego w odczycie wygłoszonym w oberży „Pod Złotym Krzyżem”

Wszystkie te rozliczne doświadczenia uwieńczone są klęską i rozczarowaniem. Jak w koszmarnym śnie Bouvard i Pecuchet usiłują schwytać Prawdę i oto wszystko rozpada im się ciągle w rękach, a otaczające ich złośliwe widziadła — brzuchaty proboszcz Jeufroy, sprytny hrabia de Fayerges, gburowaty mer Fpureau, notariusz Marecot, lekarz-cynik Vaucorbeil i inni — zanoszą się triumfalnym, głupim śmiechem.

Tok akcji *Bouvarda i Pecucheta* ma również coś z wizji śpiącego człowieka, z halucynacji świętego Antoniego. Brak w nim głębszego, skutkowo-przyczynowego powiązania poszczególnych

eksperymentów, jakich dokonują nasi dwaj poczciwcy. Wiecznie ten sam schemat sytuacyjny w następujących po sobie, a nie wynikających z siebie epizodach, których kolejność można by zmienić dowolnie, nie naruszając ogólnej prawidłowości rozwoju akcji. W następstwie poszczególnych zawodów Bouvarda i Pecucheta trudno się dopatrzeć jakiejś zasady dramatycznego stopniowania. Błahe, nieistotne przypadki, powierzchowne skojarzenia, przy właściwej bohaterom zmienności zainteresowań i skłonności do zniechęcenia, decydują o kolejności wydarzeń. Widać, że autor troszczy się wprawdzie o zachowanie pozorów realności, pozorów życia, ale nie akcja, nie wątek dramatyczny jest kością kompozycyjnym utworu. „Ci, którzy czytają książkę po to, by się dowiedzieć, czy baronowa poślubi wicehrabiego — pisał Flaubert o *Bouvardzie* — będą wprowadzeni w pole.”

Autor niewiele się liczy z wymogami chronologii wewnętrznej utworu i zapomina o tym, że jego bohaterowie muszą się starzeć, i to w dość szybkim tempie, skoro w ekspozycji powieści przekraczają już pięćdziesiątkę. Akcja *Bouvarda i Pecucheta* — stosownie do wskazówek chronologicznych w tekście — rozciąga się na okres mniej więcej trzydziestu lat: rozpoczyna się w 38, kończy około 69 roku. Bouvard i Pecuchet, w chwili gdy nad Sekwaną zawierają brzemiennej w skutki znajomość, mają lat czterdzieści siedem, a zatem swój odczyt w obery „Pod Złotym Krzyżem” wygłaszają jako siedemdziesięciosiedmioletni starcy. Autor jednak mówi o nich niezmiennie, jako o ludziach co najmniej w sile wieku, jak gdyby czas zatrzymał się dla nich na pięćdziesiątce. Unika zresztą wyrazistszych aluzji chronologicznych ograniczając się do kilku niezbędnych dla toku akcji dat, a jak pedantycznie, lecz niezbyt ustalono, nawet te daty nie *zgadzają* się z rzeczywistą chronologią wewnętrzną utworu. Akcja właściwie trwa trzydzieści osiem, a nie trzydzieści lat, i w końcowych epizodach pierwszego tomu dwaj główni bohaterowie powinni występować jako starcy uginający się pod brzemieniem osiemdziesięciu pięciu lat życia.

Dwaj poczciwcy różnią się też wybitnie od bohaterów poprzednich powieści współczesnych Flauberta. Emma Boyary, Fryderyk Moreau, pan Homais czy Arnoux są ludźmi żywymi, prawdziwymi. Bouvard i Pecuchet przypominają raczej karykatury: ich naiwność, dobroduszość, głupota są groteskowo wyolbrzymione, nieprawdopodobne. *Bouvard i Pecuchet* nie miał być jednak wcale jeszcze jedną

powieścią Flauberta, taką jak *Pani Bovary* i *Szkolą uczuć*. Flaubert wyraźnie w jednym ze swych listów zaznacza, że musi dołączyć akcję i łączniki fabularne między poszczególnymi epizodami utworu, „aby rzecz nie wyglądała na traktat filozoficzny”. Jest to zatem oryginalna, jedyna w swoim rodzaju powieść filozoficzna, napisana przez tego dziewiętnastowiecznego pisarza realizmu krytycznego.

Poglądy filozoficzne Flauberta, znajdujące najwyraźniejsze odzwierciedlenie w jego olbrzymiej korespondencji, podlegały na przestrzeni lat fluktuacji. Nie trudno jednak stwierdzić pewien konsekwentny i stały kierunek ewolucji światopoglądowej pisarza. Ewolucja ta zmierzała ku coraz głębszemu, coraz wszechstronniejszemu pesymizmowi. Wstręt Flauberta do społeczeństwa burżuazyjnego, do stęchłej filisterskiej atmosfery umysłowej we Francji ówczesnej przybierał na sile z roku na rok, równoległe z coraz intensywniejszym poczuciem beznadziejności, płynącym z przekonania, że obserwowany przez niego stan *rzeczy* doprowadzić musi do jakiejś katastrofy, kataklizmu, który będzie końcem wszystkiego. Wypadki roku 70 i 71 decydująco przyspieszyły tę ewolucję i zachwiały potężnie jedynymi filarami optymizmu w świadomości pisarza — jego przekonaniem o skuteczności estetyzmu, jako samoobrony artysty przed absurdalnością rzeczywistości społecznej, i jego wiarą w moc i dobrodziejstwo nauki.

„Nigdy sprawy ducha — pisze w 72 roku do Turgieniewa — nie były w mniejszej cenie. Nigdy nienawiść do wszelkiej wielkości, pogarda dla Piękną, bezczeszczenie literatury w końcu nie były bardziej jawne. Zawsze usiłowałem żyć w wieży z kości słoniowej. Ale przyłył łajna uderza w jej mury, grożąc ich zawaleniem. Nie chodzi o politykę ale o stan umysłowy Francji...”

Po klęsce sudańskiej i okupacji pruskiej rozpowszechniła się we Francji opinia, że Prusy odniosły zwycięstwo głównie dzięki pełnemu wykorzystaniu zdobyczy nauki dla celów wojennych, w czym znacznie przewyższyły Francję. Celem ubocznym propagowania tego poglądu było uniewinnienie burżuazji francuskiej, która tchórzliwie i zdradziecko zachowała się wobec najeźdźcy, celem zasadniczym — umotywowanie wprężenia nauki i postępu technicznego w służbę odwetowych i imperia-listycznych dążeń francuskiego kapitału.

Flaubert z zadziwiającą ostrością dostrzegł tę antyhumanistyczną tendencję rodzącego się imperializmu do wykorzystywania wiedzy na szkodę ludzkości. „Jakaż ruina, co za upadek, jaka nędza, co za ohyda! Czyż można wierzyć w postęp i cywilizację wobec tego wszystkiego, co się dzieje? I na cóż nam nauka, skoro te rzesze uczonych popełniają podłe czyny godne Hunów, a nawet gorsze, gdyż są one systematyczne, zimne, umyślne i nie są umotywowane ani namiętnością, ani głodem” — pisał Flaubert pod koniec 71 roku do George Sand. W tej atmosferze zwątpienia w postęp i skuteczność nauki burżuazyjnej jako jego dźwigni, w atmosferze lęku przed nieuniknioną katastrofą klasy, do której pisarz należał duszą i ciałem, mimo swego do niej wstrętu —

poczęła krystalizować się agnostyczna postawa Flauberta wobec świata, będąca konsekwentnym wynikiem ewolucji jego pozytywistycznego światopoglądu, Wyrazem tego stanowiska był entuzjastyczny stosunek Flauberta do współczesnego filozofa angielskiego — agnostyka Herberta Spencera, którego traktaty zaczęły pojawiać się we Francji w przekładach z początkiem lat siedemdziesiątych (*Pierwsze zasady* 71, *Klasyfikacja nauk* 72).

„Czy czyta Pani dzieła Herberta Spencera? — zapytuje Flaubert panią Roger des Genettes w liście z września 78 roku. — To dopiero jest wielki człowiek i prawdziwy pozytywista, zjawisko rzadkie we Francji, wbrew temu, co się o tym mówi...”

Agnostycyzm Spencera był kontynuacją pozytywizmu — filozofii panującej we Francji od połowy XIX stulecia, redukującej rolę nauki do badania, opisu i klasyfikacji zjawisk, „pozytywnych” faktów, a odmawiającej poznaniu ludzkiemu kompetencji w zakresie filozoficznego uogólniania obserwacji, odkrywania ogólnych praw rządzących światem, odkrywania przyczyn zjawisk. Funkcja społeczna tego systemu była niedwuznaczna. Nauka, zwłaszcza dyscypliny społeczne, odkrywająca i formułująca obiektywne prawa rządzące procesem historycznym, tak fatalne dla kapitalizmu, stawała się niebezpieczna dla burżuazji, zwłaszcza po doświadczeniach 48 roku. Należało naukę ograniczyć, zacieśnić, zmusić do badania faktów samych w sobie, do wystrzegania się wszelkich „nienaukowych” syntez. Teoretycznym uzasadnieniem takiego zawężenia zakresu poznania ludzkiego w imię jego „naukowienia” był właśnie system filozofii pozytywnej, stworzony we Francji przez Augusta Comte'a jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku.

W filozofii Spencera — szermującej zręcznie ostatnimi zdobyczami wiedzy, biologii zwłaszcza, co zapewniło jej ogromną popularność — bardzo wyraźnie zdemaskował się reakcyjny sens pozytywizmu. Spencer pragnął pogodzić naukę i religię, dowodząc, że obie rzekomo prowadzą do tych samych wniosków — do stwierdzenia niepoznawalności przyczyn wszechrzeczy, niepoznawalności istoty zjawisk. Wiedza ludzi o świecie — według Spencera — podobna jest do kuli, której objętość stale wzrasta o nowe wiadomości. Jednakże wraz z powiększaniem się objętości owej kuli wzrasta również jej powierzchnia, a więc i ilość punktów stycznych z otaczającą ją sferą „nieznanego”. W ten sposób wiedza nieuchronnie prowadzi do wiary w nie dającą się wyjaśnić tajemnicę świata. Przyjęcie niepoznawalności istoty zjawisk jest podstawą harmonii, która panuje jakoby między nauką i religią. Oczywiście wszelka religia, pretendująca do wiedzy, że bóstwo — a więc niepoznawalna przyczyna wszechrzeczy — ma takie to a takie określone cechy, jest antyreligijna, bo zuchwale usiłuje wyjaśniać to, co przekracza możliwości poznawcze człowieka. Tak samo nauka, o ile rości pretensje do badania i rozumienia przyczyn zjawisk

1. praw rządzących światem, staje się, zdaniem Spencera, anti-naukowa, gdyż domniemane przyczyny zjawisk i prawa są tylko symbolami wytworzonymi przez umysł człowieka i naprawdę nikt nic o nich nie wie i wiedzieć nie może. Człowiek może tylko badać fakty i klasyfikować je, a i w tym zakresie wiedza jego zawiera zawsze elementy prawdy i fałszu „w nieznanym proporcjach”.

Takie same poglądy głosi Flaubert po roku 71 i wyklada je częściowo w ostatniej redakcji *Kuszenia świętego Antoniego*.

„Nie zrozumiała Pani sensu mego oburzenia — pisze do pani Roger des Genettes. — Nie dziwię się ludziom, którzy chcą wytłumaczyć rzeczy niezrozumiałe, ale tym, którzy wierzą, że znaleźli wytłumaczenie, tym, którzy mają Pana Boga (albo nie-Bo-ga) w swej kieszeni. Otóż to, każdy dogmatyzm wyprowadza mnie z równowagi. Krótko mówiąc, materializm i spirytualizm wydają mi się dwoma impertynencjami. Przeczytawszy ostatnio niemało książek katolickich, wziąłem do ręki *Filozofię* Lefevre'a («ostatnie słowo nauki»); nadaje się to do wrzucenia w latrynę. Taka jest moja opinia. Wszyscy oni są ignorantami, wszyscy szarlatanami, wszyscy są idiotami, dostrzegającymi niezmiennie tylko jedną stronę całości...”

Z właściwą mu pasją spencerysta-Flaubert rozciąga swoją nienawiść do głupoty filistra na wszystkich „sekcjarzy” nauki,

którzy, zamiast badać i tylko badać fakty, wyciągają wnioski, uogólniają. Głupota, według jego słynnej definicji, polega na chęci konkludowania.

Aloje oddalenie od sekcjarzy — pisze w swej korespondencji — jest tak wielkie, że książka mego przyjaciela Eobina *Wychowanie* (napisana w duchu modnych wówczas teorii wulgarnego biologizmu *) bardzo mi się nie podobała. Pozytywiści francuscy chępią się, a wcale nie są pozytywiściami. Popadają w głupi materializm, zamieniają się w Holbacha! Jaka różnica między nimi i takim Herbertem Spencerem!”

Flaubert ulega w pełni wstecznym nurtom filozofii burżuazyjnej, zmierzającej do zacieśnienia ludzkiej wiedzy o świecie, do zakwestionowania obiektywnej wartości poznania. Od przyjęcia niepoznawalności istoty zjawisk krok już tylko do zakwestionowania realnego, obiektywnego istnienia samych zjawisk, krok do najbardziej skrajnego subiektywnego idealizmu, którego nowe wydanie, w postaci filozofii empiriokrytyków miało pod koniec XIX wieku zająć czołowe miejsce wśród dekadentkich nurtów filozofii burżuazyjnej epoki imperializmu.

„Czy wierzył Pan kiedykolwiek w istnienie rzeczy? — zapytuje Flaubert listownie swego ucznia, Guy de Maupassanta, w 78 roku. — Czy wszystko nie jest jedynie iluzją?! Nie ma nic prawdziwego, oprócz «stosunków», to znaczy sposobu, w jaki postrzegamy przedmioty.”

Tak jak w *Kuszeniu świętego Antoniego* Flaubert, idąc za Spencerem i Renanem, próbował wykazać fałsz wszystkich dogmatów religijnych i udowodnić, że każdy system religijny zawiera ziarno prawdy — mianowicie stwierdzenie tajemniczej, niepoznawalnej podstawy i istoty zjawisk — tak w *Bouvardzie i Pecuchecie* zamierzał przeprowadzić spencerowską krytykę wszystkich teorii naukowych, artystycznych, metafizycznych, wszystkich „dogmatów” wiedzy,

wykazać ich fałszywość i bezsilność wobec praktyki życiowej, w której kierowanie się jakimi-kolwiek uogólnieniami do niczego, prócz zgubnych błędów, nie może prowadzić.

Już pierwszy eksperyment Bouvarda i Pecucheta w dziedzinie ogrodnictwa i sadownictwa rzuca snop światła na te podstawowe tezy filozoficzne utworu. „Autorzy zalecają nam zmieniać kierunek krążenia soków — mówi zgnębiony Pecuchet. — Soki przez to napotykają na przeszkody i drzewo nieuchronnie cierpi na tym. Żeby się dobrze czuło, musiałyby przestać owocować. Tymczasem te, których się nie przycina i nigdy nie nawozi, rodzą owoce, prawda że nie tak duże, ale smaczniejsze. Niech mi kto powie, dlaczego tak jest! I nie tylko każdy gatunek wymaga specjalnych zabiegów, ale jeszcze każdy osobnik, zależnie od klimatu, temperatury, różnych rzeczy! Gdzie jest reguła w takim razie? I jakąż możemy mieć nadzieję na jakiegokolwiek powodzenie czy zysk?”

Każdy następny epizod będzie nową ilustracją tej tezy. „Czynniki życia są przed nami ukryte — stwierdzają Bouvard i Pecuchet na zakończenie swych medycznych studiów i eksperymentów — dolegliwości zbyt liczne, leki problematyczne, a w dziełach medycznych nie znajdujemy żadnego rozumnego określenia zdrowia, choroby, skłonności do pewnych niedomagań, nawet definicji ropy!”

„Pragnąłby pogodzić doktryny z dziełami, krytyków z poetami, podchwycić istotę Piękna i te zagadnienia tak go dręczyły, że wpłynęło to na stan jego zdrowia. Dostał żółtaczkę.” — Oto jedyny, tragikomiczny rezultat, który koronuje studia Pecucheta nad estetyką.

Rozpatrzenie ostatniego dzieła Flauberta w tym jego aspekcie — jako traktatu filozoficznego lub raczej powiastki filozoficznej — pozwala na częściowe wyjaśnienie problemu podstawowego dla zrozumienia i interpretacji utworu, sformułowanego już wyżej: czy Bouvard i Pecuchet są głupcami, czy nie.

Dwaj poczciwcy posiadają bez wątpienia dość sprawnie funkcjonujący intelekt; są to ludzie przeciętnie inteligentni, odznaczają się żądzą wiedzy, zdają sobie sprawę z poważnych luk w swoim wykształceniu i boleją nad tym. Słowem, wyrastają zdecydowanie ponad umysłowe skostnienie, tępotę, brak zainteresowań dla wszystkiego, co nie jest „interesem”, i zadowolenie z siebie pospolitego mieszcza. A jednak popełniają ciągle najbardziej jaskrawe i oczywiste pomyłki w każdej dziedzinie wiedzy i życia praktycznego, do jakiej tylko się zaborą. Wygłaszają szereg beznadziejnie głupich twierdzeń, traktują na serio zupełnie idiotyczne książki i idiotyczne problemy. Z równym zapałem studiują anatomię i filozofię, jak spirytyzm, magnetyzm, czy frenologię. Pomyłki i rozczarowania niewiele ich uczą, dopóty... dopóki trwają w swych zamiarach zdobywania wiedzy, wyjaśniania faktów, stosowania w życiu teorii zaczerpniętych z książek, dopóki uważają, że ich studia dają im „prawo do zabierania głosu”. Czy Flaubert wyśmiewa i potępia ich żądzę poznania, ich głód prawdy? Z całą pewnością nie. Dzięki temu przecież stają się wyżsi, szlachetniejsi od otaczających ich tępych, egoistycznych, odpychających mieszcuchów z Chavi-gnolles. Flaubert jednak wyszydza i ośmiesza w ich dążeniu do wiedzy „sentymalizm intelektualny” i „brak metody” — to znaczy wiarę w możliwość zgłębienia tego, czego jego zdaniem umysł ludzki nie jest w stanie zgłębić, to znaczy brak sceptycyzmu i pozytywistycznego stosunku do faktów. Dopóki poczciwcy nie pozbędą się swych iluzji co do zakresu wiedzy, dopóki nie zrozumieją, że „nie ma nic prawdziwego poza zjawiskami”, muszą popełniać głupstwa, choćby byli najgenialniejsi w świecie.

Oczywiście głupstwa te są odpowiednio wyolbrzymione, groteskowo przesadzone i zagęszczone. Flaubert chciał wywołać śmiech nie tylko z teorii o ideach wrodzonych — jak to pisze w jednym ze swych listów. Zamierzał wykpić „sentymalizm” i „dogmatyzm” we wszystkich domenach działalności umysłu człowieka. Komiczna, nieprawdopodobna naiwność jego „pocziwców” była bardzo skutecznym narzędziem artystycznym dla osiągnięcia tego celu. Jaka wspaniała mieszanina względnie sensownych poglądów i oczywistych nonsensów, traktowanych na tym samym planie, utożsamianych ze sobą w rozkosznych rozmowach naszych dwóch poczciwców i w ich arcykomicznych dyskusjach z kołtunami z Chavignolles! Jakże rozległe możliwości dla realizowania tak bardzo Flaubertowi właściwej skłonności do mistyfikacji, do wyprowadzania w pole zbyt prostodusznego czytelnika!

Przygody intelektualne Bouvarda i Pecucheta, zdawać by się mogło, są rzeczywiście, tak jak planował Flaubert, gloryfikacją spencerowskiej, „prawdziwej” odmiany pozytywizmu, owego „szczytu” osiągniętego przez myśl burżuazyjną w epoce, w której kapitalizm wkraczał w swą ostatnią fazę rozwojową, w stadium imperializmu. Flaubert potępił tu „sekcjarstwo” i „dogmatyzm” w nauce, ale jako ich pozytywne przeciwstawienie ukazał inną, obiektywnie równie antynaukową, burżuazyjną metodą poznawczą — spenceryzm. Takie pochopne wnioski i uogólnienia można by wyprowadzić z analizy pierwszego, jedynie istniejącego, tomu tego niedokończonego utworu.

Nie wolno jednak zapominać, że Flaubert z całym naciskiem podkreślał, że jego książka będzie posiadała pełną wymowę tylko jako całość. Konkluzja jej nie zawiera się bynajmniej, tak jak to powszechnie sądzono, w decyzji Bouvarda i Pecucheta, kończącej pierwszy tom: „kopiować jak niegdyś”, powtórzonej na końcu projektowanego drugiego tomu w postaci sugestywnego obrazu obu kopistów, pochylonych nad pulpitem i przepisyujących. Prawdziwa, konkluzja utworu miała być cała treść drugiego tomu, którego pisarz niestety nie zdążył napisać, mimo że w znacznej części materiały miał już zebrane. Na szczęście pozostały plany i szkice, co prawda bardzo ogólnikowe, ale pozwalające jasno i stanowczo określić ideę przewodnią drugiej-części powieści. Ostatnie badania i odkrycia nie znanych przedtem notatek Flauberta, dokonane przez francuskich flauberty-stów,

dostarczają do tego niezbitych dokumentów.

Bouvard i Pecuchet, przepelnieni goryczą rozczarowań wyniesionych ze studiów, zasiadają do biurka, aby „kopiować jak niegdyś”. Z początku przepisują mechanicznie wszystko, co wpadło im w rękę, ze sterty kupionych za grosze papierzysek przeznaczonych na makulaturę. Oddają się z pasją „materialnej rozkoszy przepisywania”. Z czasem zaczynają coraz wyraźniej odczuwać potrzebę klasyfikowania tego, co przepisują. Przechodzą z wolna do świadomego redagowania encyklopedii głupoty ludzkiej. Wyszukują w papierach i książkach zdania i fragmenty, zawierające groteskowe nonsensy, anachronizmy, pomyłki, usterki stylistyczne; klasyfikują je, sporządzają zestawienia, porównania antytetyczne, tworząc całkowicie w duchu pozytywizmu pojęty, „pomnikowy”, „naukowy” album głupstw. Album ten miał zawierać takie rubryki, jak: okazy wszystkich rodzajów stylu (styl agrotechniczny, medyczny, teologiczny, klasyczny, romantyczny), zestawienia zbrodni ludu i zbrodni królów, dobrodziejstw religii i zbrodni religii. Co więcej, jak świadczy o tym ostatni chronologicznie, a czwarty z kolei, plan drugiego tomu powieści, Bouvard i Pecuchet włączają do swego manuskryptu *Słownik komunalów*, a zatem nie tylko przepisują i klasyfikują głupstwa książkowe, ale przeprowadzają obserwacje na materiale żywym, na mieszczuchach z Chavignolles. Stają się tedy dwoma, świadomymi tego, archeologami głupoty.

Tenże czwarty i ostatni sporządzony przez Flauberta plan drugiego tomu zawiera na końcu szkic rozdziału zatytułowanego „Konkluzja”. „Pewnego dnia znajdują (w starych papierach z manufaktury) brudnopis listu Vaucorbeila do pana prefekta. Prefekt pytał go, czy Bouvard i Pecuchet nie są niebezpiecznymi szaleńcami. List doktora jest poufnym doniesieniem, wyjaśniającym, że są oni nieszkodliwymi głupcami. [...] Co z tym zrobimy? Żadnych refleksji! Przepisujemy! Trzeba, żeby stronica się zapełniała, żeby pomnik stał się kompletny — równość wszystkiego, zła i dobra, Piękna i Brzydota, rzeczy nieznaczących i charakterystycznych. Nie ma nic prawdziwego poza zjawiskami.

Zakończyć obrazem obu poczciwców pochylonych nad swym pulpitem i przepisujących.”

Wymowa planów drugiego tomu jest niedwuznaczna. Świadczy ona o zdumiewającej ostrości realistycznego widzenia świata przez tego burżuazyjnego pisarza. Flaubert-realista wyrasta wysoko ponad Flauberta-filozofa. W tym samym czasie, kiedy w korespondencji manifestuje swój entuzjazm dla Spencera, jego dzieło, łączące w pełnym wyrazie obrazie literackim elementy rzetelnej obserwacji życia toczącego się wokoło, genialnie przeczy owym zachwytem nad jednym z najpopularniejszych wówczas i najefektowniejszych burżuazyjnych systemów filozoficznych.

Flaubert usiłując w swej praktyce artystycznej odtworzyć z taką uczciwością, na jaką go tylko było stać, prawdę o swojej epoce, o swojej klasie, przewycięża swój spenceryzm, idzie dalej, ukazując, do czego on prowadzi. Przeprowadza druzgocącą krytykę tego systemu, który przyjmował przecież jako jedyną mądrość wśród steku głupstw, głoszonych przez dekadencją naukę burżuazyjną.

Do czego służyć może względnie inteligentnym, „pocziwym” mieszczuchom ta jedynie „naukowa”, wykluczająca omyłki metoda poznawcza? Wyłącznie do rejestrowania i kontemplowania głupoty ich własnej i głupoty klasy, do której należą.

Jedynym rezultatem, jaki osiągnąć może nauka burżuazyjna na tym etapie historycznym — Bouvard i Pecuchet reprezentują tu przecież groteskowo jej „najskuteczniejszą” metodę poznawczą — jest absurdalne „zapełnianie strony” faktami, nawet tymi faktami, które oskarżają ją o głupotę. Epizod przepisywania listu Vaucorbeila przez dwóch poczciwców miał stanowić najbardziej wymowne artystyczne uogólnienie w tym utworze demaskującym kompletny chaos pojęć i wartości, do którego dochodzi myśl burżuazyjna na progu imperializmu.

Równoległe do krytyczno-groteskowego przeglądu nauk, sztuk i pseudonauk Flaubert stawca w swej ostatniej książce decydującą bitwę z wrogiem, którego wysmiewał i nienawidził od wczesnej młodości. Dwaj poczciwi rycerze o smętnych obliczach

ścierają się pod jego komendą z armią „strasznych mieszczan” z Chavignolles. Zmagania ich są długie i ciężkie,, obfitują w dramatyczne potyczki i długie okresy zawieszenia broni. Głupota kołtuna jest jednak przemożna.

Napiera od frontu i jednocześnie prowadzi perfidną dywersję na tyłach przeciwnika. Nikt nie może jej pokonać.

Cały mieszczański świat składa się z większych lub mniejszych głupców i inaczej być nie może.

Dwaj poczciwcy nie są bowiem postaciami wyciosanymi z jednej bryły, stanowiącymi prostą, jednoznaczną antynomię kołtuństwa. Są „odmienni od innych”, dostrzegają panoszącą się wokół nich podłość i głupotę, ale oni sami i w dobrej wierze wygłaszają i powtarzają kołtuńskie poglądy, sami przypominają co chwila otaczających ich filistrów.

Eurżuazyjni krytycy — przychylni Flaubertowi — usiłują w tym miejscu „ratować” pisarza, który popełnił jakoby niekonsekwencję. Wedle nich Flaubert w czasie przygotowywania i pisania książki tak się zżył ze stworzonymi przez siebie bohaterami, że zaczął wyposażać ich we własne myśli, uczucia i refleksje przetransponowane na język groteski. Od czasu do czasu przypominał sobie jednak o swych pierwotnych zamiarach, wedle których Bouvard i Pecuchet reprezentować mieli kołtunów, i wtedy kazał im popełniać najbardziej beznadziejne głupstwa, wygłaszać najrozpaczliwsze idiotyzmy, by po chwili znów o tym zapomnieć i dać się ponieść swojej sympatii dla poczciwców.

Znana jest skłonność Flauberta do autoironii i nie ulega wątpliwości fakt, że pisarz identyfikował się ze swymi poczciwcami. Bouvard i Pecuchet na każdej niemal karcie powieści wypowiadają groteskowo zniekształcone opinie Flauberta. Wystarczy przypomnieć ich refleksje filozoficzne kończące każdy kolejny eksperyment. Flaubert był przeciwnikiem głosowania powszechnego i wrogiem Napoleona III, Bouvard i Pecuchet zajmują to samo stanowisko, przytaczając argumenty samego Flauberta, nieco tylko zwulgaryzowane. Nienawidzą głupoty kołtuna, tworzą *Słownik komunalów*, tak jak Flaubert, a przy tym wszystkim pozostają ciągle mieszczuchami. I tutaj właśnie, w tej sprzeczności w charakterze i losach Bouvarda i Pecucheta, odkrywa się głębia realistycznego widzenia współczesnej rzeczywistości przez Flauberta, głębia realizmu, na jaki stać było tego burżuazyjnego wroga burżuazji. . Bouvard i Pecuchet pochodzą ze środowiska mieszczańskiego

i obaj pozostaną do końca życia mieszczuchami. Mimo całej nienawiści do filisterstwa swego środowiska nie znajdą w sobie, bo nie mogą znaleźć, siły zdolnej przewyciężyć jego magnetyczną moc przyciągania. Zalewa ich tak potężna fala głupoty, że mimo największych wysiłków nie mogą utrzymać się na powierzchni i co chwila idą na dno, łykając wielkie porcje cuchnącego kołtuństwa. Przewyższają wprawdzie swych współczesnych, bo czują ohydny odór głupoty, który Marescotowie, Fayer-gesowie, Vaucorbeilowie i Jeufroyowie wciągają w nozdrza, jak najwonniesze kadzidło. Ale ich mieszczańska krótkowzroczność nie pozwala im dojrzeć jedyne­go możliwego wyjścia z tej sytuacji. Męczą się w końcu bezskutecznym szamotaniem, pozwalają się zalać napierającej fali i jako antidotum na zatrucie zgniłą wodą filisterskiej głupoty, poczynają stosować tę samą zgniłą wodę, tylko w świadomie już odmierzanych, z wyrafinowaniem i „metodą” stopniowanych dawkach. Takie jest chyba rozwiązanie dramatu Bouvarda i Pecucheta, dramatu samego Flauberta. W tym wskazaniu na niemożliwość wydostania się z bajora mieszczańskiego kołtuństwa bez jakiegoś kataklizmu, który by unicestwił jego dopływy — w tym leży realistyczna uczciwość i prawdomówność Flauberta. O „kataklizmie”, o rewolucji społecznej Flaubert bał się myśleć, tak jak o końcu świata. Jego spojrzenie artysty było jednak na tyle ostre, że przenikało na wskroś fatamorgany idealnego postępu społecznego „bez wstrząsów”, fabrykowane przez burżuazyjnych ideologów. Nie dostrzegał wprawdzie Flaubert zasadniczych sprzeczności kapitalizmu, głębokich przyczyn nieuleczalnej choroby kapitalistycznego ustroju. Widział jednak niektóre objawy tej choroby i odtworzył je realistycznie w swym dziele, ba, nawet odkrył je w sobie samym.

„Bouvard i Pecuchet wypełniają mnie do tego stopnia — pisał Flaubert w swej korespondencji — że stałem się nimi samymi. Ich głupota jest moją własną i to mnie doprowadza do wściekłości.”

Jadowity wąż, walczący przez całe życie z kołtuństwem, ukąsił się we własny ogon.

ZDZISŁAW RYŁKO